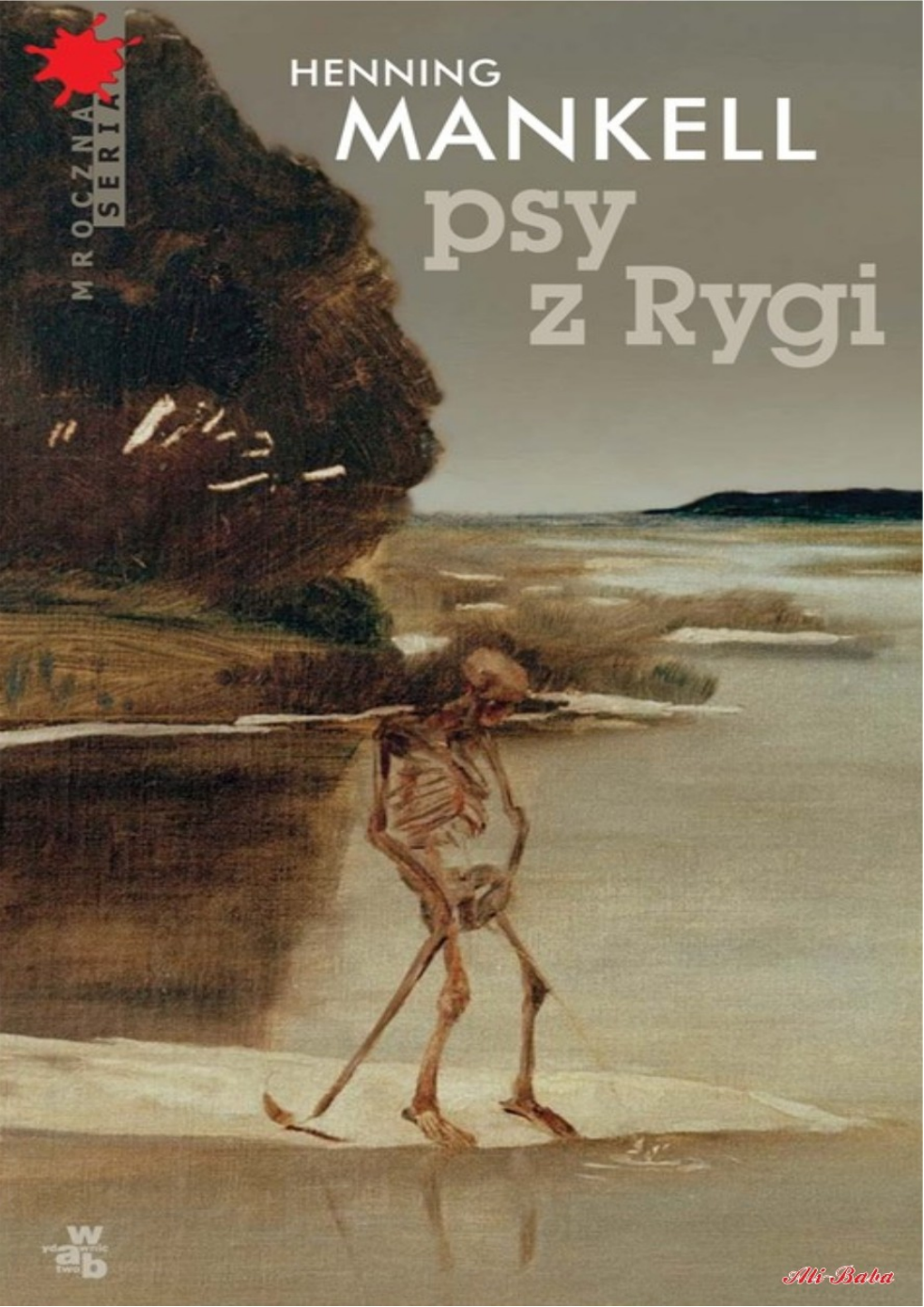


MRO CZNA
SERIA

HENNING
MANKELL
psy
z Rygi



w
ab
Two

Ali-Baba

HENNING MANKELL

PSY Z RYGI

HUNDARNA I RIGA

PRZEŁOŻYŁA GRAŻYNA LUDYIGSSON

w
ydawnic
a
two
b

Rano, tuż przed dziesiątą, spadł śnieg.

Sternik na kutrze rybackim zaklął. W radiu zapowiadali śnieg, ale miał nadzieję, że dotrze do szwedzkiego wybrzeża zanim zacznie padać. Gdyby nie to opóźnienie w Hiddensee poprzedniego wieczoru, mógłby już teraz płynąć na Ystad, zmieniając kurs o parę stopni na wschód. A teraz do tego punktu zostało mu jeszcze siedem mil morskich i gdyby burza śnieżna okazała się gwałtowna, musiałby stanąć w dryf i poczekać na lepszą widoczność.

Zaklął jeszcze raz. Skąpstwo nie popłaca, pomyślał. Już na jesieni powinienem był kupić nową instalację radarową. Na mojej starej dece nie można już polegać. Powinienem kupić któryś z amerykańskich modeli, ale pożałowałem grosza, no i nie miałem zaufania do NRD-owców. Nie wierzyłem w ich uczciwość.

Wciąż trudno mu było zrozumieć, że już nie ma państwa zwanego Niemiecką Republiką Demokratyczną. W ciągu jednej nocy historia starła z mapy stare linie graniczne. Teraz były po prostu Niemcy i nikt nie wiedział, jak ma wyglądać wspólna codzienność obu krajów. Zaraz po zburzeniu muru berlińskiego czuł niepokój, czy ta wielka przemiana, aby nie oznacza, że jego interes straci rację bytu. Lecz wschodnio-niemiecki partner zapewnił go, że w najbliższej przyszłości nic się nie zmieni. A może okaże się, że ta sytuacja otwiera całkiem nowe możliwości?

Padający śnieg zgęstniał, a wiatr zaczął skrecać na południowy wschód. Sternik zapalił papierosa i nalał kawy

do kubka, zamocowanego w uchwycie przy kompasie. W sterówce było ciepło, pocił się. Zapach ropy uderzał go w nozdrza. Rzucił okiem w kierunku maszynowni. Na wąskiej koi zobaczył jedną ze stóp Jakobsona. Duży palec wystawał przez dziurę w skarpecie. Niech śpi, pomyślał. Jak będziemy musieli stanąć w dryf, przejmie wachtę, a ja odpocznę parę godzin. Popijając letnią kawę, wracał myślą do poprzedniego wieczoru. W małym, podupadłym porcie po zachodniej stronie Hiddensee zmuszeni byli czekać na ciężarówkę, która, gruchocząc w ciemności, przyjechała dopiero po pięciu godzinach i zabrała towar. Weber twierdził, że się wcześniej zepsuła i stąd to spóźnienie. Może to i prawda. To była stara jak świat radziecka ciężarówka wojskowa, fakt, że trochę wyremontowana, ale i tak dziw brał, że jeszcze w ogóle jeździ. Jednak sternik nie ufał Weberowi. Choć Weber nigdy go nie oszukał, postanowił kiedyś, raz na zawsze, że mu nie będzie ufać. Był to konieczny środek ostrożności. W końcu z każdym rejsem przewoził do wschodnich Niemiec towar nie byle jakiej wartości: dwadzieścia czy trzydzieści komputerów z kompletnym wyposażeniem, setki komórek i tyle samo samochodowych zestawów stereo. Każda taka podróż oznaczała odpowiedzialność za milionowe sumy. Gdyby wpadł, nie uniknąłby dotkliwej kary. I nie miałby co liczyć na jakąkolwiek pomoc Webera. W tym świecie myślało się tylko o sobie.

Sprawdził kurs na kompasie i skorygował go o dwa stopnie na północ. Log wskazywał, że utrzymywali stałą prędkość ośmiu węzłów. Wciąż było ponad sześć i pół mil morskich do punktu, w którym można będzie wziąć kurs na szwedzkie wybrzeże i skręcić na Brantevik. Na razie jeszcze widział przed sobą szaroniebieskie fale, lecz zadymka wzmagą się. Jeszcze pięć razy, myślał, i po wszystkim. Wtedy będę miał dość pieniędzy, i w drogę! Zapalił kolejnego papierosa,

uśmiechając się do siebie. Wkrótce osiągnie cel. Zostawi wszystko za sobą i wyruszy w długą podróż do Porto Santos, gdzie otworzy swój bar. Niedługo nie będzie już musiał stać w nieszczelnej sterówce i marznąć w przeciągu, z Jakobsonem chrapiącym na pryczy w głębi brudnej maszynowni. Choć nie bardzo wiedział, jak będzie wyglądało to nowe życie, już za nim tęsknił.

Nagle śnieg przestał padać, równie niespodziewanie, jak zaczął. Z początku sternik nie śmiał uwierzyć w swe szczęście, lecz po chwili skonstatował, że płatki śniegu rzeczywiście przestały już wirować mu przed oczami. Może zdąży mimo wszystko, myślał. Może burza przejdzie bokiem w kierunku Danii?

Dolał sobie kawy i zaczął pogwizdywać. Na jednej ze ścian sterówki wisiała torba z pieniędzmi. O kolejne trzydzieści tysięcy koron bliżej Porto Santos, małej wysepki leżącej tuż obok Madery. Nieznany raj, który na niego już czekał. Miał właśnie pociągnąć łyk letniej kawy, gdy zobaczył gumowy ponton. Gdyby śnieg tak nagle nie przestał padać, nie zauważyłby go. Kołysał się na falach, zaledwie pięćdziesiąt metrów od lewej burty. Czerwony ponton ratunkowy. Rękawem kurtki przetarł zaparowaną szybę i zmrzył oczy, by lepiej widzieć. Jest pusty, pomyślał. Pewnie zerwał się z jakiegoś statku. Pokręcił kołem sterowym, zmniejszając jednocześnie prędkość. Dźwięk motoru zmienił się, co zbudziło Jakobsona, który poderwał się z pryczy i wystawił z maszynowni nieogoloną twarz, pytając:

- Już na miejscu?

- Mamy ponton na lewej burcie - powiedział Holmgren, bo tak się nazywał mężczyzna przy kole sterowym. - Pomyślałem, że moglibyśmy wciągnąć go na pokład. Jest wart kilka ładnych tysięcy. Przejmij ster, to wyjmę bosak.

Jakobson stanął za sterem, a Holmgren naciągnął czapkę na uszy i wyszedł ze sterówki. Wiatr kąsał go w twarz; trzymał

się relingu, by uderzenia fal nie ścięły go z nóg. Ponton zbliżał się powoli. Holmgren zaczął odczepiać bosak, umocowany między dachem sterówki a wciągarką. Palce zupełnie mu zgrabiwały przy siłowaniu się z zamrożniętymi węzłami. W końcu zdołał odczepić bosak i odwrócił się.

Wzdrygnął się gwałtownie. Ponton był teraz zaledwie parę metrów od kadłuba kutra. Zobaczył, jak bardzo się mylił. Leżały w nim dwie osoby. Martwe. Jakobson wołał ze sterówki coś, czego Holmgren nie mógł dosłyszeć. I on spostrzegł, co leżało w pontonie.

Nie po raz pierwszy Holmgren widział zwłoki. Kiedyś, w młodości, gdy odbywał służbę wojskową, w czasie manewrów wybuchł pocisk artyleryjski, rozrywając na kawałki czterech jego przyjaciół. Później, pracując przez wiele lat jako zawodowy rybak, widywał zwłoki wyrzucane na brzeg przez fale czy unoszące się na powierzchni wody.

To byli mężczyźni. Od razu uderzył go ich osobliwy ubiór. Nie wyglądali na rybaków ani żeglarzy. Mieli na sobie garnitury, na szyjach krawaty. Obejmowali się ramionami, jakby chcieli się nawzajem uchronić przed nieuniknionym. Próbował wyobrazić sobie, kim byli, co im się mogło stać. Jakobson wyszedł ze sterówki i stanął obok niego.

- O cholera! - powiedział. - Cholera jasna! Co teraz zrobimy? Holmgren namyślił się szybko.

- Nic - odpowiedział. - Jeśli weźmiemy ich na pokład, będziemy musieli odpowiadać na masę nieprzyjemnych pytań. Po prostu nie widzieliśmy ich. Przecież pada śnieg.

- Pozwolimy, żeby tak dryfowali? - zastanawiał się Jakobson.

- Tak - powiedział Holmgren. - Są martwi. Nic już nie możemy dla nich zrobić. Poza tym nie chcę być zmuszony do spowiadania się, skąd płyniemy tym kutrem. A ty chcesz?

Jakobson pokręcił niepewnie głową. W milczeniu

przyglądali się zwłokom. Mężczyźni byli młodzi, mogli mieć niewiele ponad trzydziestkę. Ich twarze były białe i ściągnięte. Holmgren wzdrygnął się.

- Dziwne, że nie ma żadnego napisu na pontonie - powiedział Jakobson. - Nazwy statku, z którego pochodzi.

Holmgren chwycił bosak i zaczął manewrować pontonem, tak by można było obejrzeć go ze wszystkich stron. Jakobson miał rację. Żadnego napisu.

- Co się stało, do cholery? Kim oni są? Jak długo dryfowali w ten sposób, w garniturach i krawatach?

- Jak daleko jest do Ystadu? - spytał Jakobson.

- Ponad sześć mil morskich.

- Moglibyśmy podciągnąć ich trochę bliżej wybrzeża - powiedział Jakobson. - Żeby zostali wyrzuceni na ląd gdzieś, gdzie ich znajdą.

Holmgren zaczął się zastanawiać. Zostawienie ich własnemu losowi byłoby czymś paskudnym, nie przeczył. Z drugiej strony holowanie pontonu wiązało się z ryzykiem, załoga jakiegoś promu czy statku mogłaby to zauważyć.

Ważył wszystkie za i przeciw, po czym podjął szybką decyzję. Uwolnił linę cumowniczą i przywiązał ponton do relingu. Jakobson zmienił kurs na Ystad, a gdy ponton znalazł się dziesięć metrów za kutrem, Holmgren naprężył linę, by przestał szarpać się na kilwaterze.

Kiedy było już widać zarys szwedzkiej linii brzegowej, Holmgren odciął cumę. Ponton został daleko za kutrem i po chwili zniknął im z oczu. Jakobson zmienił kurs na wschodni i parę godzin później wchodzili do portu w Brantevik. Tutaj Jakobson dostał swoje pięć patyków, wsiadł do volvo i pojechał do domu, do Svarte. Holmgren zamknął sterówkę na klucz i przykrył właz do ładowni brezentem. Port był opustoszały. Powoli i metodycznie sprawdzał cumy, po czym wziął torbę z pieniędzmi i poszedł do swojego forda, który wkrótce z oporem ruszył z miejsca.

Normalnie już zaczęłyby snuć marzenia o Porto Santos. Lecz teraz przed jego oczami kołysał się czerwony ponton. W myśli próbował obliczyć, w którym miejscu dopłynie do lądu. Prądy były kapryśne i zmienne. Kierunek wiatru też wciąż się zmieniał. Doszedł do wniosku, że ponton może wylądować praktycznie wszędzie. Jednak podejrzewał, że nastąpi to gdzieś w pobliżu Ystadu. Jeśli wcześniej nie zostanie zauważony przez załogę czy pasażerów jednego z wielu polskich promów. Ale mógł tylko zgadywać.

Ściemniało się już, gdy dojeżdżał do Ystadu. Na rogu, w pobliżu hotelu Continental, zatrzymał się na światłach. Dwaj mężczyźni w garniturach, myślał, w pontonie? Coś się nie zgadzało. Coś, co zobaczył mimochodem, i nie zastanowił się nad tym. W momencie gdy światła zmieniały się na zielone, błysnęła mu w głowie myśl. Mężczyźni nie znaleźli się w pontonie w wyniku katastrofy na morzu. Byli martwi, zanim się tam znaleźli. Nie miał na to dowodu, trudno mu było podać jakiś sensowny argument. A jednak wiedział. Byli już martwi, gdy ktoś ich położył w pontonie.

Postanowił pod wpływem nagłego impulsu. Skręcił w prawo i zatrzymał się przy budkach telefonicznych naprzeciwko księgarni przy rynku. Dokładnie przemyślał to, co powie, po czym wykręcił dziewiątkę i cztery zera i zażądał połączenia z policją. Gdy je uzyskał, przez brudne szyby budki telefonicznej zobaczył padający znów śnieg.

Był 12 lutego 1991 roku.

Nadkomisarz policji kryminalnej Kurt Wallander siedział w swoim pokoju w komisariacie w Ystadzie i ziewał. Ziewał tak szeroko, że nagle chwycił go skurcz jednego z mięśni pod brodą. Ból był dotkliwy. By odblokować skurcz, zaczął uderzać się dłonią po brodzie. W tym momencie do pokoju wszedł Martinsson, jeden z najmłodszych policjantów na komendzie. Zdumiony, zatrzymał się w drzwiach. Wallander nadal bił się po brodzie. Martinsson odwrócił się, by wyjść.

- Wejdz - powiedział Wallander. - Nigdy nie zdarzyło ci się ziewnąć tak szeroko, że chwycił cię kurcz mięśnia?

Martinsson pokręcił głową.

- Nie - odpowiedział. - Zastanawiałem się właśnie, co robisz.

- To teraz już wiesz. Z czym przyszedłeś?

Martinsson usiadł na krześle i skrzywił się. W rękę trzymał notatnik.

- Parę minut temu odebraliśmy dziwny telefon - zaczął. - Chciałbym to z tobą skonsultować.

- Codziennie odbieramy dziwne telefony - odpowiedział Wallander z namysłem.

- Nie wiem, co o tym myśleć - ciągnął Martinsson. - Ktoś dzwonił z budki telefonicznej i twierdził, że niedługo gdzieś tu w okolicy do wybrzeża przybije ponton z dwoma martwymi ludźmi. Nie podał swojego nazwiska, nie powiedział, dlaczego nam to mówi ani kim są ci martwi. Odłożył słuchawkę.

Wallander popatrzył na kolegę ze zdziwieniem.

- To wszystko? Kto prowadził rozmowę?

- Ja. Powiedział dokładnie to, co słyszałeś. Ale wydał mi się w jakiś dziwny sposób przekonywający.

- Przekonywający?

- Z czasem nabiera się wprawy - odpowiedział Martinsson. -

W większości wypadków od razu słyszysz, że to nic poważnego. Ale ten wydawał się pewny swego.

- Dwaj martwi ludzie w pontonie ratowniczym, który miałby gdzieś tu przybić do brzegu?

Martinsson skinął głową.

Wallander stłumił ziewnięcie i odchylił się na oparcie krzesła.

- Czy raportowano o jakichś wypadkach na morzu?

- Nie - odpowiedział Martinsson.

- Powiadom o tym inne okręgi leżące na wybrzeżu - powiedział Wallander. - Pogadaj z ratownictwem morskim. Ale nie możemy zaczynać poszukiwań tylko na podstawie anonimowego telefonu. Poczekamy i zobaczymy.

Martinsson skinął głową i podniósł się z krzesła.

- Też tak uważam. Poczekajmy i zobaczymy.

- W nocy może być paskudnie - powiedział Wallander, wskazując w stronę okna. - Śnieg.

- Ja w każdym razie jadę teraz do domu - odparł Martinsson, spoglądając na zegarek. - Śnieg czy nie śnieg.

Martinsson wyszedł, a Kurt Wallander wyciągnął się na krześle. Czuł się zmęczony. Dwie noce z rzędu musiał przerywać sen, bo trzeba było iść na akcje, które nie mogły czekać do rana. Najpierw prowadził pościg za podejrzanym o gwałt, który zabarykadował się w jednym z opustoszałych letnich domków w Sandskogen. Był pod silnym wpływem narkotyków i podejrzewano, że może być uzbrojony, musieli więc go wyczekać aż do piątej rano. Wtedy sam się poddał. Następnej nocy Wallandera wyrwała ze snu wiadomość o zabójstwie w centrum miasta. Na jakimś urodzinowym przyjęciu solenizantowi, mężczyźnie koło czterdziestki, wbito nóż prosto w skroń.

Wstał z krzesła i włożył kurtkę. Teraz muszę się przespać, pomyślał. Zadymką niech zajmie się ktoś inny. Kiedy wyszedł z komendy, skulił się pod naporem wiatru,

dmącego mu prosto w oczy. Otworzył drzwiczki i wgramolił się do swego peugeota. Śnieg pokrywający szyby sprawił, że poczuł się w ciepłym wnętrzu wozu niemal przytulnie. Zapуścił silnik, wsunął do odtwarzacza kasetę z muzyką i przymknął oczy.

Od razu zaczął myśleć o Rydbergu. Nie upłynął jeszcze miesiąc, odkąd jego kolega i powiernik zmarł na raka. O chorobie Rydberga Wallander dowiedział się rok wcześniej, kiedy razem próbowali rozwiązać zagadkę morderstwa starca z Lenarp. W ciągu ostatnich miesięcy życia Rydberga, kiedy dla wszystkich, a szczególnie dla niego samego, było już jasne, że koniec jest nieunikniony, Wallander próbował wyobrazić sobie ten dzień, w którym przyjdzie na komisariat i dowie się, że Rydberga już nie ma. Jak teraz zdoła się obejść bez rad i opinii starszego, doświadczonego kolegi? Uświadomił sobie, że jest jeszcze za wcześnie, by odpowiedzieć na to pytanie. Od chwili, kiedy Rydberg na dobre odszedł na zwolnienie lekarskie, nie trafiły mu się żadne szczególnie zawile dochodzenia. Lecz czuł ból i żal.

Włączył wycieraczki i pojechał do domu. Miasto sprawiało wrażenie wymarłego, jakby ludzie szykowali się do obłączenia przez nadchodzącą zadymkę. Zatrzymał się na stacji benzynowej przy Ósterleden i kupił wieczorną gazetę, później zaparkował przy Mariagatan, swojej ulicy, i poszedł do domu. Zamierzał się wykapać, a później zrobić sobie coś do jedzenia. Przed pójściem spać chciał jeszcze zadzwonić do ojca, który mieszkał w niewielkim domku na przedmieściach Lóderup. Od czasu, kiedy w zeszłym roku ojciec w stanie ciężkiego zamroczenia umysłowego wyszedł w nocy na spacer w samej tylko piżamie, Kurt Wallander codziennie do niego dzwonił. Robił to i ze względu na ojca, i na siebie. Miał ciągle wyrzuty sumienia, że tak rzadko go odwiedza. Po ubiegłorocznym zdarzeniu gmina przydzieliła ojcu stałą pomoc domową. To polepszyło mu humor, bo

wcześniej bywał nie do zniesienia. Mimo to Wallandera gryzło sumienie, że poświęca ojcu za mało czasu.

Wykąpał się, przyrządził sobie omlet, zadzwonił do ojca i poszedł spać. Nim opuścił roletę w oknie sypialni, spojrzął na pustą ulicę. Samotna latarnia opierała się podmuchom porywistego wiatru. Wallanderowi tańczyły przed oczami pojedyncze płatki śniegu. Termometr wskazywał trzy stopnie poniżej zera. Może zadymka przesunęła się bardziej na południe? Z impetem opuścił roletę i wsunął się pod kołdrę. Wkrótce zasnął.

Nazajutrz czuł się wypoczęty. Kwadrans po siódmej siedział już w swym pokoju na komendzie. Jeśli nie liczyć kilku niegroźnych wypadków samochodowych, noc była zadziwiająco spokojna. Zadymka cofnęła się, nim jeszcze zdążyła rozpętać się na dobre. Wallander wszedł do stołówki, skinął głową kilku kiwającym się nad kubkami zmęczonym policjantom z drogówki i nalał sobie kawy. Kiedy tylko się obudził, postanowił, że dzisiejszy dzień poświęci na dokończenie kilku zaległych raportów. Pierwszy dotyczył poważnego pobicia, w które zamieszanych było kilku Polaków. Jak zwykle, jeden zwał na drugiego. Nie było wiarygodnych świadków, którzy widzieliby przebieg całego zdarzenia i mogli złożyć sensowne zeznania. Ale raport trzeba było napisać, choć najprawdopodobniej nikt nie zostanie oskarżony o to, że w nagłym porywie emocji wybił bliźniemu szczękę.

O wpół do jedenastej odsunął od siebie ostatni raport i poszedł po kawę. Wracając, z daleka usłyszał sygnał telefonu dobiegający z jego pokoju.

Dzwonił Martinsson.

- Pamiętasz ponton? - spytał.

Wallander musiał pomyśleć parę sekund, nim zrozumiał, o co chodzi.

- Facet, który dzwonił, wiedział, o czym mówi - ciągnął

Martinsson. - Ponton ze zwłokami na pokładzie przybił do brzegu przy Mossby Strand. Zauważyła go kobieta, która wyszła na spacer z psem. Była bliska hysterii, kiedy mi o tym opowiadała przez telefon.

- Kiedy dzwoniła?

- Przed chwilą, trzydzieści sekund temu.

Dwie minuty później Wallander jechał na zachód, ku Mossby Strand. Wziął własny samochód. Przed nim jechali Peters i Noren, policyjnym wozem na sygnale. Droga prowadziła wzdłuż morza; Wallander wzdrygał się na widok lodowatych fal, załamujących się przy brzegu. W lusterku widział karetkę, a za nią kolejny wóz policyjny, z Martinssonem za kierownicą.

Na Mossby Strand nie było nikogo. Kiosk zabito deskami, huśtawki miały się na wietrze, poskrzypując łańcuchami. Kiedy wyszedł z samochodu, poczuł powiew zimnego wiatru na twarzy. Na szczycie porosłej trawą wydmy, w miejscu, gdzie teren zaczynał opadać w kierunku plaży, stała kobieta i machała do nich ręką. Obok niej niespokojnie szarpał się na smyczy pies.

Wallander przyśpieszył kroku. Jak zwykle niepokoiło go to, co zobaczy. Widok zwłok nigdy nie przestał go poruszać, nigdy się do tego nie przyzwyczaił. Zmarli, podobnie jak żywi, bywali bardzo różni.

- Tam! - krzyczała histerycznie kobieta.

Wallander spojrział we wskazywanym przez nią kierunku. Przy brzegu kołysał się czerwony ponton ratunkowy, zaklinowany między kamieniami obok długiego pomostu.

- Proszę tu poczekać - powiedział do kobiety, po czym ześlizgnął się ze zbocza i przebiegł przez plażę. Wszedł na pomost i zajrzał do pontonu. Leżały w nim zwłoki mężczyzn, blade, splecione ze sobą. Próbował utrwalić w głowie ten widok niczym fotografię. W ciągu wielu lat pracy w policji nauczył się, jak ważne jest pierwsze wrażenie. Martwy

człowiek stanowił najczęściej koniec długiego i skomplikowanego łańcucha wydarzeń, ale jego przebieg można czasem było odgadnąć już na samym początku.

Martinsson, który miał na sobie gumiaci, wszedł do wody i wciągnął ponton na plażę. Wallander przykucnął i obserwował zwłoki. Sanitariusze z widocznym niesmakiem stali z boku, trzęsąc się z zimna i czekając z noszami w pogotowiu. Podnosząc głowę, Wallander zauważył, że Peters uspokaja rozhisteryzowaną kobietę. Całe szczęście, pomyślał, że ponton nie przydryfował tu latem, kiedy plaża jest pełna bawiących się i kąpiących dzieci. Zwłoki nie przedstawiały pięknego widoku. Zaczynały już gnąć, mimo silnego wiatru czuć było wyraźny trupi zapach.

Wyjął z kieszeni kurtki parę gumowych rękawiczek i zaczął ostrożnie obmacywać kieszenie denatów. Nic nie znalazł. Lecz gdy odchylił marynarkę jednego z nich, zobaczył na białej koszuli, na wysokości piersi, plamę skrzepniętej krwi. Spojrzał na Martinssona.

- To nie żaden wypadek - powiedział. - To morderstwo. W każdym razie tego zabito strzałem prosto w serce.

Wallander podniósł się i cofnął o parę kroków, by Noren mógł sfotografować ponton.

- Co myślisz? - zapytał Martinssona. Młody policjant potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Wallander powoli okrążył ponton, przyglądając się zwłokom.

Obaj mężczyźni mieli jasne włosy i najwyżej po trzydzieści lat. Sądząc po ich rękach i ubraniach, nie byli pracownikami fizycznymi. Kim w takim razie byli? Dlaczego nie mieli nic w kieszeniach? Obszedł ponton jeszcze kilka razy, od czasu do czasu zamieniając parę słów z Martinssonem. Przez następne pół godziny obejrzał wszystko, co zwróciło jego uwagę. Personel techniczny rozpoczął swoje metodyczne

badania. Nad pontonem rozpięto wielki plastikowy namiot. Noren skończył fotografowanie, wszyscy byli zmarznięci i chcieli już tylko odjechać. Wallander zastanawiał się, co by na to powiedział Rydberg. Czy zauważyłby coś, co jemu umknęło?

Wsiadł do samochodu i włączył silnik, by się rozgrzać. Morze było szare, czuł pustkę w głowie. Kim właściwie byli ci ludzie?

Kilka godzin później, trzęsąc się z zimna, mógł nareszcie przywołać personel karetki. Podeszli z noszami. Musieli zginać i łamać ciała, by je rozłączyć. Gdy wyniesiono zwłoki, Wallander dokładnie przeszukał ponton, lecz nie było w nim absolutnie niczego, nawet wiosła. Wallander spojrział w stronę morza, jakby szukał rozwiązania gdzieś na horyzoncie.

- Musisz porozmawiać z kobietą, która znalazła ponton - zwrócił się do Martinssona.

- Już to zrobiłem - odparł tamten zdziwiony.

- Musisz ją wypytać szczegółowo - powiedział Wallander. - W tej wichurze nie da się tego zrobić, jak należy. Zabierz ją na komendę. A Noren ma dopilnować, żeby ponton dotarł do nas dokładnie w takim stanie, w jakim jest teraz. Powiedz mu to.

Wrócił do samochodu.

Teraz przydałby się Rydberg, pomyślał znowu. Co on by zobaczył, czego ja nie widzę? Co by pomyślał?

Wróciwszy do Ystadu, poszedł prosto do Bjorka, szefa komendy, i złożył krótki raport o tym, co widział w Mossby Strand. Bjork słuchał, zaniepokojony. Wallander często odnosił wrażenie, że Bjork czuje się osobiście dotknięty, gdy w jego okręgu ma miejsce jakieś poważne przestępstwo. Ale żywił dla swojego szefa duży szacunek. Bjork nie mieszał się do pracy śledczej policjantów i hojnie rozdzielał wyrazy uznania, gdy jakiemuś dochodzeniu groziło utknięcie w

martwym punkcie. Od czasu do czasu bywał kapryśny, ale do tego Wallander zdążył się przyzwyczaić.

- Zajmiesz się tym - powiedział Bjork, kiedy Wallander umilkł. - Martinsson i Hansson ci pomogą. Myślę, że możemy przydzielić do tego trochę ludzi.

- Hansson zajmuje się sprawą gwałciciela, którego złapaliśmy jednej z ubiegłych nocy - zaprotestował Wallander. - Może lepiej Svedberg?

Bjork skinął głową. Wallander postawił na swoim. Jak zwykle.

Po wyjściu z pokoju Bjorka poczuł, że jest głodny. Ponieważ łatwo przybierał na wadze i stale walczył z grożącą mu otyłością, zwykle nie jadał lunchu. Lecz dziś zwłoki w pontonie sprawiły, że nie mógł sobie znaleźć miejsca. Pojechał więc do centrum, zaparkował samochód jak zwykle przy ulicy Stickgatan i wąskimi, krętymi uliczkami poszedł do kawiarni Fridolf, gdzie zjadł kilka kanapek i popił je mlekiem. Cały czas rozmyślał nad tym, co się stało. Dzień przedtem, tuż przed godziną osiemnastą, ktoś zadzwonił na policję i, nie podając nazwiska, uprzedził o wydarzeniu, które będzie miało miejsce następnego dnia. Teraz wiedzieli, że mówił prawdę. Czerwony ponton ze zwłokami dwóch mężczyzn rzeczywiście przydryfował do brzegu. Przynajmniej jeden z nich został zamordowany strzałem prosto w serce. W kieszeniach nie mieli niczego, co by mogło wskazywać na ich tożsamość.

To wszystko.

Wallander wyjął pióro i na serwetce zrobił parę notatek. Już teraz miał masę pytań domagających się odpowiedzi. Nieustannie prowadził wewnętrzną rozmowę z Rydbergiem - czy dobrze myślę, czy o czymś nie zapomniałem? - próbując wyobrazić sobie jego reakcje i odpowiedzi.

Niekiedy mu się to udawało, ale czasem widział przed sobą tylko wychudzoną i zapadniętą twarz Rydberga na łożu

śmierci.

O wpół do czwartej był z powrotem na komendzie. Zawołał do swojego pokoju Martinssona i Svedberga, zamknął drzwi i poprosił telefonistkę, by nie łączyła do niego żadnych rozmów.

- To nie będzie łatwe - zaczął. - Możemy tylko mieć nadzieję, że obdukcja oraz badanie ubrań i pontonu coś dadzą. Ale jest parę pytań, na które już teraz chciałbym znaleźć odpowiedź.

Svedberg stał oparty o ścianę, z notatnikiem w ręku. Był łyсы, miał koło czterdziestki, urodził się w Ystadzie; złośliwe pogłoski mówiły, że gdy tylko wyjeżdżał poza granice miasta, ogarniała go tęsknota za domem. Na pierwszy rzut oka mógł wydawać się ślamazarny i mało zaangażowany w pracę, ale był dokładny, co Wallander bardzo sobie cenił. Martinsson pod wieloma względami stanowił przeciwieństwo Svedberga. Tuż po trzydziestce, urodzony w Trollhattan, bardzo chciał zrobić karierę w policji. Poza tym działał w Partii Liberalnej, i z tego, co Wallander słyszał, miał spore szanse, by w jesiennych wyborach wejść do rady powiatowej. Jako policjant był impulsywny i odrobinę niedbały. Ale często miewał dobre pomysły, a jego ambicje sprawiały, że wydobywał z siebie olbrzymie pokłady energii, jeśli uważał, że jest na właściwym tropie.

- Chcę wiedzieć, skąd pochodzi ten ponton - powiedział Wallander. - Kiedy już ustalimy, od jak dawna nie żyją ci ludzie, musimy wykombinować, skąd płynął ponton i jak długo dryfował.

Svedberg spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Da się?

Wallander skinął głową.

- Musimy zadzwonić do Instytutu Meteorologii - powiedział. - Tam wiedzą wszystko o deszczach i wiatrach. Pomogą nam określić w przybliżeniu, skąd przyłynął

ponton. Poza tym chcę wiedzieć o tym pontonie wszystko, co możliwe. Gdzie został wyprodukowany, na jakich statkach mogą takie mieć. Wszystko.

Skinął głową w kierunku Martinssona:

- Ty to zrobisz.

- Nie powinniśmy zacząć od sprawdzenia, czy nie poszukują tych ludzi? - zastanawiał się Martinsson.

- Dobrze, zacznij od tego - powiedział Wallander. - Skontaktuj się z ratownictwem morskim, z wszystkimi okręgami na wschodnim wybrzeżu. I pogadaj z Bjórkiem, czy nie trzeba od razu włączyć w to Interpolu. Jeśli chcemy dowiedzieć się, kim są ci ludzie, musimy od początku iść na całość.

Martinsson skinął głową, zapisując coś na kartce. Svedberg w zamyśleniu gryzł pióro.

- Ja sprawdzę ich ubrania - ciągnął Wallander. - Musi być jakiś ślad. Cokolwiek.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Noren ze zwiniętą w rulon mapą morską.

- Pomyślałem, że się przyda - powiedział. Wallander skinął głową.

Rozłożyli mapę na biurku i pochylili się nad nią, jakby planowali bitwę morską.

- Jak szybko dryfuje ponton? - spytał Svedberg. - Prądy i wiatry mogą i sprzyjać, i przeciwdziałać.

W milczeniu patrzyli na mapę. Po chwili Wallander zwinął ją i postawił w rogu za krzesłem. Nikt nie miał nic do powiedzenia.

- No to zaczynamy - powiedział. - Możemy spotkać się tu o szóstej i uzgodnić, co mamy.

Svedberg i Noren wyszli z pokoju. Wallander poprosił Martinssona o pozostanie.

- Co powiedziała ta kobieta? - zapytał. Martinsson wzruszył ramionami.

- Pani Forsell, wdowa Forsell - uzupełnił - mieszka w domku w Mossby i jest emerytowaną nauczycielką gimnazjum w Angelholm. Mieszka tam przez cały rok razem z psem, który wabi się Tegner. Osobliwe imię dla psa. Codziennie wietrzy na plaży psa i siebie. Wczoraj wieczorem, kiedy spacerowała wzdłuż wydm, pontonu nie było. Dziś był. Zauważyła go mniej więcej kwadrans po dziesiątej i od razu zadzwoniła do nas.

- Kwadrans po dziesiątej - powiedział Wallander w zamyśleniu. - Czy to aby nie za późno na spacer z psem? Martinsson przytaknęła.

- To samo pomyślałem - powiedział. - Ale okazało się, że to było już w drodze powrotnej, a wyszła z domu o siódmej. Wallander zmienił temat.

- Facet, który dzwonił wczoraj. Jak brzmiał?

- Tak jak powiedziałem. Przekonywająco.

- Czy mówił jakimś dialektem? Ile mógł mieć lat?

- Mówił po skańsku. Jak Svedberg. Głos miał niski. Miałem wrażenie, że jest palaczem. Czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Wyrażał się prosto i klarownie. Może być kimkolwiek, począwszy od urzędnika bankowego, a skończywszy na rolniku.

Wallander miał jeszcze jedno pytanie.

- Dlaczego dzwonił?

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział Martinsson. - Mógł wiedzieć, że ponton przybije do brzegu, bo sam jest w to zamieszany. Może to nawet on nacisnął spust. Mógł też po prostu coś widzieć, coś słyszeć. Jest wiele możliwości.

- Które wyjaśnienie jest najbardziej logiczne? - ciągnął Wallander.

- To ostatnie - odpowiedział Martinsson szybko. - Mógł coś usłyszeć, zobaczyć. To nie jest morderstwo tego rodzaju, że sprawca celowo chce ściągnąć na siebie policję.

Wallander był tego samego zdania.

- Idźmy dalej. Coś usłyszał lub zobaczył? Zwłoki w pontonie ratunkowym. Jeśli nie jest w to zamieszany, trudno by mu było widzieć morderstwo albo morderstwa. W takim razie widział ponton.

- Dryfujący ponton - dodał Martinsson. - A gdzie się widzi ponton? Jak się jest na morzu, w łodzi.

Wallander przytaknął.

- Właśnie. No właśnie. No ale jeśli sam nie jest sprawcą, to dlaczego chce pozostać anonimowy?

- Ludzie na ogół nie chcą być w nic zamieszani - odparł Martinsson. - Wiesz, jak jest.

- Możliwe. Ale jest jeszcze jedna ewentualność. Że z jakiegoś całkiem innego powodu nie chce mieć do czynienia z policją.

- Czy to nie za bardzo naciągane? - zasugerował Martinsson niepewnie.

- Ja tylko głośno myślę - powiedział Wallander. - Musimy spróbować go w jakiś sposób odnaleźć.

- Czy mamy zwrócić się do niego z apelem, żeby się odezwał?

- Tak. Ale nie dziś. Najpierw muszę dowiedzieć się więcej o denatach.

Wallander pojechał do szpitala. Choć był tu już wiele razy, wciąż trudno mu było połapać się w tym nowo zbudowanym kompleksie budynków. Zatrzymał się w kafeterii na parterze i kupił banana. Później poszedł na patologię. Obducent o nazwisku Móρθ nie zaczął jeszcze szczegółowych oględzin, lecz mimo to mógł odpowiedzieć na pierwsze pytanie.

- Obaj zostali zastrzeleni. Z bliska, strzałami prosto w serce. Przypuszczam, że to było przyczyną śmierci.

- Chciałbym jak najszybciej otrzymać wynik. Czy mógłbyś już teraz powiedzieć, od jak dawna nie żyją?

Móρθ pokręcił głową.

- Nie. I to w jakiś sposób jest odpowiedzią.

- Co masz na myśli?
- Że najprawdopodobniej nie żyją od dość dawna. I dlatego trudno będzie ustalić dokładny czas zgonu.
- Dwa dni? Trzy? Tydzień?
- Nie mogę powiedzieć - odparł Mórth. - A nie chcę zgadywać.

Mórth zniknął w głębi sali obdukcyjnej. Wallander zdjął kurtkę, włożył gumowe rękawiczki i rozpoczął przeglądanie ubrań denatów, rozłożonych na czymś, co przypominało staroświecki zlewozmywak.

Jeden z garniturów uszyty był w Anglii, drugi w Belgii, buty były włoskie. Wallander domyślał się, że kosztowały немало. Koszule, krawaty, bielizna również były dobrej jakości i z całą pewnością drogie. Po dwukrotnym przejrzaniu ubrań Wallander skonstatował, że nie zawierają żadnych śladów, które mogłyby go naprowadzić na jakiś trop. Jedyne, co wiedział, to to, że mężczyźni najprawdopodobniej mieli pieniądze pod dostatkiem. Ale gdzie się podziały portfele, obrączki, zegarki? Bardziej zastanawiające było jednak to, że w momencie gdy ich zastrzelono, żaden z nich nie miał na sobie marynarki. Nie było w nich dziur, nie znalazł też śladów prochu.

Wallander próbował wyobrazić sobie całe zdarzenie. Ktoś strzela dwóm mężczyznom prosto w serce. Gdy nie żyją, zakłada im marynarki, po czym umieszcza ich w pontonie. Dlaczego?

Jeszcze raz przeszukał ubrania. Jest coś, czego nie widzę, myślał. Rydberg, pomóż!

Lecz Rydberg milczał. Wallander wrócił na komendę. Wiedział, że obdukcja zajmie wiele godzin i że wstępny wynik otrzyma najwcześniej jutro. Na jego biurku leżała kartka od Bjórka, który uważał, że z włączeniem w to Interpolu należy zaczekać do jutra. Zirytował się. Czasem trudno mu było zrozumieć przesadną ostrożność Bjórka.

Zebranie o szóstej trwało krótko. Martinsson zameldował, że nie było żadnych listów gończych ani nie prowadzono żadnego śledztwa w sprawie mężczyzn z pontonu. Svedberg przeprowadził długą rozmowę telefoniczną z Instytutem Meteorologii w Norrkóping, który obiecał pomoc, jeśli policja z Ystadu przyśle formalne pismo.

Wallander powiedział, że jest tak, jak sądził - obaj mężczyźni zostali zamordowani. Poprosił też Svedberga i Martinssona, by zastanowili się, dlaczego ktoś wkłada zwłokom marynarki.

- Popracujemy jeszcze parę godzin - zakończył Wallander. - Jeśli macie jakieś sprawy, odłóżcie je lub przekazcie innym. To dochodzenie nie będzie łatwe. Dopilnuję, żeby już od jutra powiększono grupę śledczą.

Gdy wyszli z pokoju, Wallander rozłożył na stole mapę morską i zaczął wodzić palcem po linii wybrzeża w kierunku Mossby Strand. Ponton mógł przydryfować z daleka albo z bliska, lub też pływać przez jakiś czas tam i z powrotem.

Zadzwoił telefon. Przez chwilę zawahał się, czy odebrać; było już późno, chciał pójść do domu i w spokoju wszystko przemyśleć. Podniósł jednak słuchawkę. Dzwonił Mórth.

- Już gotowe? - spytał Wallander ze zdziwieniem.

- Nie. Ale jest pewna rzecz, ważna jak sądzę, którą mogę powiedzieć już teraz.

Wallander wstrzymał oddech.

- Ci dwaj mężczyźni nie są Szwedami. W każdym razie nie urodzili się w Szwecji.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Zjrzałem im do ust - ciągnął Mórth. - Plomb nie robił im szwedzki dentysta. Prędzej rosyjski.

- Rosyjski?

- Tak. Rosyjski dentysta. W każdym razie dentysta z Europy Wschodniej. Używają całkiem innych metod niż my.

- Jesteś pewien?

- Inaczej bym nie dzwonił.

Wallander usłyszał irytację w jego głosie.

- Wierzę ci - powiedział szybko.

- I jeszcze jedna rzecz, co najmniej tak samo ważna. Ci ludzie prawdopodobnie ucieszyli się, gdy ich zastrzelono. Jeśli wybaczysz cynizm. Bo przed śmiercią byli nieludzko torturowani. Przypalano ich, obdzierano ze skóry, miażdżono im palce - wszelkie paskudztwo, jakie można sobie wyobrazić.

Wallander milczał.

- Jesteś tam? - pytał Móρθ.

- Tak. Jestem. Tylko zastanawiam się nad tym, co powiedziałaś.

- Jestem tego pewien.

- Nie wątpię. Ale takie rzeczy nie należą do codzienności.

- Dlatego pomyślałem, że powinienem od razu zadzwonić.

- Dobrze zrobiłeś.

- Jutro dostaniesz pełny raport. Z wyjątkiem wyników niektórych badań laboratoryjnych, zajmujących więcej czasu.

Wallander poszedł do kuchni i nalał sobie resztkę kawy z ekspresu. Był tu sam. Usiadł przy jednym ze stołów.

Rosjanie? Torturowani ludzie z Europy Wschodniej?

Nawet Rydberg uznałby, że zanoszą się na długie i zawile śledztwo.

O wpół do ósmej odstawił do zlewozmywaka pusty kubek.

Później wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Wiatr ucichł i temperatura nagle spadła.

Tuż po drugiej w nocy obudził go gwałtowny ból w piersiach. Leżał w ciemności, myśląc, że umiera. Płacił za stresującą, wyczerpującą pracę w policji. Cena była wysoka. Ogarnęła go rozpacz i żal, że już po wszystkim, że nic mu w życiu nie wyszło. Leżał nieruchomo w ciemności, czując narastający lęk i ból. Później nie potrafił dokładnie określić, jak długo tak leżał, nie mogąc zapanować nad lękiem. Powoli, wielkim wysiłkiem woli, odzyskał kontrolę nad sobą.

Ostrożnie wstał z łóżka i zszedł na dół do zaparkowanego przy ulicy samochodu. Ból nie był już tak gwałtowny, przechodził i powracał w pulsującym rytmie, rozprzestrzeniając się na ramiona, ale zdawał się tracić początkową intensywność. Wsiadł do samochodu i, starając się oddychać spokojnie, pustymi ulicami pojechał na pogotowie. Pielęgniarka o miłych oczach przyjęła go, wysłuchała, co miał do powiedzenia, i nie biorąc jego lęku za urojenia, nie odprawiła go z kwitkiem, nie potraktowała jak histeryka z lekką nadwagą. Z gabinetu zabiegowego dobiegał ryk zalanego mężczyzny. Wallander leżał na noszach, ból powracał falami. Przybyłemu wkrótce lekarzowi jeszcze raz opisał ból w piersiach. Przewieziono go do gabinetu zabiegowego i podłączono do elektrokardiografu. Później zmierzono mu ciśnienie i puls. Spytano, czy pali - w odpowiedzi potrząsnął przecząco głową. Nigdy wcześniej nie odczuwał tak nagłego bólu w piersi i, o ile mu było wiadomo, w rodzinie również nikt nie miał kłopotów w sercem. Lekarz oglądał jego EKG.

- Nic szczególnego. Wszystko wydaje się w normie. Jak pan myśli, co mogło spowodować pański niepokój?

- Nie wiem.

Lekarz dalej oglądał kartę.

- Jest pan policjantem. Mogę sobie wyobrazić, że to wyczerpująca praca.

- Przeważnie. Czasem mniej, czasem bardziej.

- A jak u pana z konsumpcją alkoholu?

- Myślę, że jest przeciętna.

Lekarz przysiadł na rogu stołu i odłożył kartę. Wallander widział, jak bardzo jest zmęczony.

- Nie sądzę, żeby to był atak serca. Raczej sygnał alarmowy ciała, że nie wszystko jest tak, jak powinno. Tylko pan może wiedzieć, czy tak istotnie jest.

- Zgadza się. Codziennie zadaję sobie pytanie, co się stało z moim życiem, i łapię się na tym, że nie mam z kim porozmawiać.

- Powinien pan mieć. Wszyscy powinniśmy.

Lekarz podniósł się ze stołu, gdy pager w kieszeni jego fartucha zaćwierkał jak pisklę.

- Zostanie pan tu na noc. Proszę spróbować odpocząć.

Wallander leżał bez ruchu, słuchając szumu niewidocznej klimatyzacji. Z korytarza dochodził dźwięk rozmów.

Każdy ból ma swoje wyjaśnienie, myślał. Jeśli to nie serce, to co? Moje ciągłe wyrzuty sumienia, że tak rzadko poświęcam czas i siły ojcu? Obawa, że listy córki z uniwersytetu w Sztokholmie tak naprawdę nie mówią wszystkiego? Że wcale nie jest tak, jak pisze: że czuje się dobrze, że pracuje, że ma wszystko to, czego tak długo szukała. Czy wciąż się podświadomie boję, że znowu spróbuje popełnić samobójstwo, jak wtedy, gdy miała piętnaście lat? Czy też źródłem mojego bólu jest zazdrość o Monę, którą być może wciąż odczuwam, choć ona porzuciła mnie ponad rok temu?

Światło w pokoju było ostre. Pomyślał, że całe jego życie nosiło na sobie piętno pustki, której sam nie potrafił wypełnić. Lecz czy ból, który poczuł tej nocy, mógł być spowodowany samotnością? Nie znajdował odpowiedzi, w

które by od razu nie zaczynał wątpić.

- To wszystko nie może dłużej trwać - powiedział do siebie głośno. - Muszę się zabrać za własne życie. Zaraz. Teraz.

Obudził się nagle, o szóstej. Przy łóżku stał lekarz, patrząc na niego.

- Nie boli?

- Nie, czuję się już dobrze - odpowiedział Kurt Wallander. - Co to mogło być?

- Napięcie. Stres. Sam pan chyba wie najlepiej.

- Tak. Chyba wiem.

- Uważam, że powinien pan zrobić porządne badania lekarskie. Choćby po to, by się upewnić, że z pańskim ciałem jest wszystko w porządku. Później łatwiej panu będzie zajrzeć do swojego wnętrza i zobaczyć, co się tam kryje.

Wallander pojechał do domu, wziął prysznic, napił się kawy. Termometr wskazywał trzy stopnie poniżej zera. Niebo nagle pojaśniało, wiatr się uspokoił. Długo borykał się z myślami o minionej nocy. Ból, wizyta w szpitalu, wszystko to miało w sobie coś nierzeczywistego. Uzmysłowił sobie, że nie może zignorować tego, co się stało, że jest odpowiedzialny za swoje życie.

Dopiero kwadrans po ósmej, zmuszając się do tego, na powrót wszedł w rolę policjanta.

Gdy tylko dotarł na komendę, dał się wciągnąć w gwałtowną wymianę zdań z Bjorkiem, który uważał, że powinno się natychmiast wezwać ekipę techniczną ze Sztokholmu, by dokładnie zbadała miejsce zbrodni.

- Nie ma żadnego miejsca zbrodni - powiedział Wallander. - Jeśli czegoś możemy być pewni, to tego, że ci ludzie nie zostali zamordowani w pontonie.

- Ale teraz, kiedy nie ma Rydberga, musimy poprosić o pomoc z zewnątrz - ciągnął Björk. - Nie mamy wystarczających kompetencji. Jak to się mogło stać, że nie

odgrodziliście plażę w miejscu, gdzie znaleziono ponton?

- Plaża nie jest miejscem zbrodni. Ponton pływał w wodzie. Czy ogrodziłbyś fale taśmą?

Wallander zaczynał być zły. Było jasne, że ani on, ani żaden z inspektorów w Ystadzie nie ma takiego doświadczenia jak Rydberg. Ale to nie znaczyło, że nie potrafił stwierdzić, kiedy potrzebni byli specjaliści z ekipy technicznej.

- Albo pozwolisz mi decydować, albo sam przejmiesz śledztwo.

- To nie wchodzi w rachubę - odpowiedział Bjórk. - Ale nadal uważam, że nie konsultowanie się ze Sztokholmem jest błędem.

- Mam inne zdanie.

Na tym na razie stanęło.

- Zajrzę do ciebie za chwilę - powiedział Wallander. - Mam sporo spraw, do których musisz się ustosunkować.

Bjórk zdziwił się.

- Czy mamy jakiś trop? Myślałem, że utknęliśmy.

- Niezupełnie. Będę za dziesięć minut.

Poszedł do swojego pokoju, wykręcił numer szpitala i - ku swemu zdziwieniu - od razu udało mu się złapać Mórtha.

- Mamy coś więcej? - spytał Wallander.

- Właśnie piszę raport. Nie możesz poczekać w spokoju jeszcze parę godzin?

- Muszę poinformować Bjórka. Możesz przynajmniej powiedzieć, od jak dawna nie żyją?

- Nie. Musimy poczekać na wynik analizy laboratoryjnej. Wynik badania zawartości żołądka i dokładne informacje na temat tego, jak daleko posunął się rozkład tkanek. W tym momencie mogę tylko zgadywać.

- To zgadnij.

- Nie lubię zgadywać, wiesz o tym. Jaki będziesz miał z tego pożytek?

- Masz doświadczenie, znasz swoją pracę. Wynik badań z

pewnością potwierdzi twoje przypuszczenia. Szepnij mi do ucha, nie przekazę tego dalej.

Móρθ namyślał się, Wallander czekał.

- Tydzień. Co najmniej tydzień. Ale nie powiesz nikomu.

- Już zapomniałem. I dalej jesteś pewien, że to cudzoziemcy, Rosjanie albo ludzie z Europy Wschodniej?

- Tak.

- Zauważyłeś coś, co cię zaskoczyło?

- Nie znam się na amunicji, ale nigdy przedtem nie widziałem tego typu pocisków.

- Coś jeszcze?

- Tak. Jeden z nich ma na ramieniu tatuaż. Przedstawia rodzaj krzywej szabli, karabeli czy jak to się nazywa.

- Co takiego?

- Rodzaj szabli. Nie można wymagać, żeby obducent był specjalistą od białej broni.

- Jest jakiś napis?

- Co masz na myśli?

- Na tatuażach jest zwykle tekst. Imię kobiety albo nazwa miejsca.

- Niczego nie ma.

- Coś jeszcze?

- W tej chwili nie.

- To dzięki i na razie.

- Nie ma za co.

Wallander odłożył słuchawkę i poszedł do Bjórka. Drzwi do pokojów Martinssona i Svedberga były otwarte, lecz żadnego z nich nie było w środku. Siedział, popijając kawę, podczas gdy Bjórk kończył rozmowę telefoniczną. Słuchał jej jednym uchem. Bjórk wydawał się coraz bardziej zirytowany, Wallander drgnął, gdy z całej siły rzucił słuchawkę.

- Niech to cholera weźmie! - wykrzyknął Bjórk. - Jaki sens ma to wszystko, co robimy?

- Dobre pytanie. Ale nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Bjórk trząśł się z oburzenia. Wallander nigdy go nie widział w takim stanie.

- Co się stało?

Bjórk spojrział na niego.

- Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć, ale przecież muszę. Jeden z morderców z Lenarp, ten, którego nazywaliśmy Lucią, dostał przepustkę z więzienia i oczywiście nie wrócił. Przypuszczalnie opuścił kraj. Już go nie złapiemy.

Wallander nie wierzył własnym uszom.

- Przepustkę?! Przecież nie odsiedział jeszcze nawet roku! Jest sprawcą jednej z najpoważniejszych zbrodni, jakie po pełniono w tym kraju! Jak, do cholery, mógł dostać przepustkę?

- Na pogrzeb matki.

Wallander zdębiał.

- Przecież jego matka nie żyje od dziesięciu lat! Pamiętam jeszcze raport, który przysłała nam czeska policja.

- Kobieta, podająca się za jego siostrę, pojawiła się w więzieniu w Hall. Błagała, żeby dano mu przepustkę na pogrzeb. Najwyraźniej nikt niczego nie sprawdził. Pokazała zawiadomienie, że pogrzeb ma się odbyć na cmentarzu w Angelholm. Oczywiście sfalszowane. Niektórzy ludzie w tym kraju wciąż są na tyle naiwni, że wierzą, iż nie fałszuje się zawiadomień o pogrzebach. Facet dostaje przepustkę. Stało się to przedwczoraj. Ale naturalnie nie było żadnego pogrzebu, żadnej siostry ani zmarłej matki. Obezwładniają strażnika, wiążą go i wywożą do lasu, gdzieś poza Jónköping. Są tak bezczelni, że jadą samochodem Centralnego Zarządu Więziennictwa przez Limhamn do Kastrup. Tam go zostawiają. A potem znikają bez śladu.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Wallander. - Kto, u diabła, dał przepustkę takiemu bandycie?

- Szwecja jest fantastyczna. Niedobrze się robi.

- Ale kto za to odpowiada? Ten, kto mu dał przepustkę, powinien zająć jego miejsce w celi! Jak to możliwe?!

- Zbadam to bliżej, ale jest, jak jest, a faceta nie ma.

Wallander przypomniał sobie wyjątkowo brutalne morderstwo, popełnione na dwojgu starych ludzi w Lenarp. Spojrzał z rezygnacją na Bjórka.

- Jaki to ma sens? Po co mamy ścigać przestępców, jeśli później Centralny Zarząd Więziennictwa po prostu ich wypuszcza?

Bjórk nie odpowiadał. Wallander wstał i podszedł do okna.

- Jak długo to można wytrzymać?

- Musimy robić swoje - odpowiedział Bjórk. - Powiedz teraz, co wiesz o tych facetach z pontonu.

Wallander złożył ustny raport. Czuł się ocieężały, zmęczony, rozczarowany. Bjórk zrobił parę notatek.

- Rosjanie - powiedział, gdy Wallander umilkł.

- Albo ludzie z Europy Wschodniej. Mórth był tego pewien.

- No to będę musiał zwrócić się do MSZ - powiedział Bjórk. - Kontakty z rosyjską policją to ich sprawa. Albo z polską, w każdym razie z krajów Europy Wschodniej.

- To mogą być Rosjanie mieszkający w Szwecji lub w Niemczech. Albo na przykład w Danii.

- Większość Rosjan w dalszym ciągu mieszka jednak w Rosji

- odparł Bjórk. - Natychmiast skontaktuję się z MSZ. Oni wiedzą, co zrobić w takiej sytuacji.

- Można by włożyć zwłoki z powrotem do pontonu i poprosić, żeby straż ochrony wybrzeża zaciągnęła go na wody międzynarodowe. W ten sposób pozbylibyśmy się kłopotu.

Bjórk zdawał się tego nie słyszeć.

- Musimy też uzyskać pomoc przy identyfikacji - powiedział.

- Zdjęcia, odciski palców, ubrania...

- I tatuaż. Karabela.

- Karabela?

- Tak. Karabela.

Björk pokręcił głową i sięgnął po telefon.

- Poczekaj chwilę - powiedział Wallander. Björk opuścił rękę.

- Myślę o człowieku, który dzwonił. Według Martinssona, mówił dialektem skańskim. Powinniśmy spróbować go odszukać.

- Mamy jakieś ślady?

- Żadnych. Dlatego proponuję, żebyśmy zwrócili się z apelem, utrzymanym w ogólnym tonie. Ogłosimy, że poszukujemy osób, które widziały czerwony ponton dryfujący w zatoce i poprośmy, żeby się odezwały.

Björk skinął głową.

- Muszę porozmawiać z prasą. Dziennikarze już zaczęli wydzwaniać. Nie mam pojęcia, skąd mogli się tak szybko dowiedzieć o tym, co się stało na odludnej plaży. Zajęli mi wczoraj pół godziny.

- Wiesz chyba, że mamy przeciek - powiedział Wallander, myśląc o podwójnym morderstwie w Lenarp.

- Jacy my?

- Policja. Policja okręgu Ystad.

- Kto jest informatorem?

- Skąd mam wiedzieć? Przypominanie personelowi o zachowywaniu dyskrecji i tajemnicy zawodowej to twój obowiązek.

Björk ze złością wałnął dłonią w biurko, jakby symbolicznie wymierzał komuś policzek. Ale nie skomentował tego, co powiedział Wallander.

- Ogłosimy apel - powiedział tylko. - O dwunastej, przed Echem Dnia. Chcę, żebyś był na konferencji prasowej. A teraz muszę zadzwonić do Sztokholmu po instrukcje.

Wallander wstał.

- Lepiej tego uniknąć.

- Uniknąć czego?

- Szukania tych, co zastrzelili ludzi z pontonu.
- Zobaczę, co powie Sztokholm - powiedział Björk i pokręcił głową.

Wallander wyszedł. Drzwi do pokoiów Martinssona i Svedberga wciąż były otwarte. Spojrzał na zegarek, było prawie wpół do dziesiątej. Zszedł do piwnicy. Czerwony ponton stał na kilku drewnianych wspornikach. Z latarką w ręku obejrzał go dokładnie, ale nie znalazł żadnego znaku firmowego ani napisu, wskazującego kraj produkcji. Był zdziwiony, nie mógł znaleźć żadnego logicznego wytłumaczenia tego faktu. Jeszcze raz obszedł ponton. Nagle jego uwagę przyciągnęła lina różniąca się od pozostałych, przytrzymujących drewnianą płytę, stanowiącą podłogę pontonu. Przyjrzał się jej końcowi. Wyglądało na to, że została odcięta nożem. Na to też nie znalazł żadnego wytłumaczenia. Próbował wyobrazić sobie, jakie wnioski wyciągnąłby z tego wszystkiego Rydberg, ale w głowie miał pustkę.

O dziesiątej był z powrotem w pokoju. Ani Martinsson, ani Svedberg nie odpowiadali na telefon. Wyciągnął notatnik i zaczął robić zestawienie tych niewielu faktów dotyczących zamordowanych, które udało im się ustalić. Mężczyźni z Europy Wschodniej, zabici strzałami z bliska, prosto w serce, a następnie ubrani w marynarki i wrzuceni do pontonu ratunkowego, którego dotąd nie udało się zidentyfikować, byli przed śmiercią torturowani. Odsunął notatnik.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Torturowanych i zamordowanych ludzi chowa się, zakopuje czy spuszcza na dno morza z ciężarem przyczepionym do nóg. Wrzucenie ich do pontonu wiąże się z ryzykiem, że zostaną znaleźieni. A może o to właśnie chodziło? Żeby ich znaleźniono? Czy ponton nie wskazuje na to, że zabójstwa dokonano na pokładzie statku?

Zmiał pierwszą kartkę notatnika i wrzucił ją do kosza. Za mało wiem, pomyślał. Rydberg powiedziałaby pewnie, żebym nie był tak niecierpliwy.

Zadzwonił telefon. Była już za kwadrans jedenasta. W momencie gdy usłyszał głos ojca, uświadomił sobie, że kompletnie zapomniał o ich dzisiejszym spotkaniu. O dziesiątej miał przyjechać po niego do Lóderup, by później zawieźć go do Malmö, do sklepu z farbami i płótnem malarskim.

- Dlaczego nie przyjeżdżasz? - pytał ojciec ze złością w głosie.

Kurt Wallander postanowił powiedzieć prawdę.

- Przepraszam, ale zupełnie o tym zapomniałem.

W słuchawce zapadła dłuższa cisza.

- Przynajmniej uczciwa odpowiedź - odezwał się w końcu ojciec.

- Mogę jutro.

- Wobec tego jutro.

Wallander zapisał to na kartce i przykleił ją do telefonu.

Jutro nie może zapomnieć.

Zadzwonił do Svedberga. Wciąż nie było odpowiedzi. Natomiast Martinsson podniósł słuchawkę, właśnie wszedł do pokoju. Wallander wyszedł spotkać się z nim na korytarzu.

- Wiesz, czego się dziś nauczyłem? - spytał Martinsson. - Że zidentyfikowanie pontonu ratunkowego na podstawie jego opisu to rzecz prawie niemożliwa. Różne modele i marki wyglądają tak samo. Tylko eksperci potrafią je rozróżnić. Pojechałem więc do Malmö i latałem po różnych firmach zajmujących się ich importem.

Nalali sobie w stołówce kawę, Martinsson wziął parę sucharków i poszli do Wallandera.

- No to wiesz już wszystko o pontonach.

- Nie. Wiem sporo. Ale nie wiem, skąd pochodzi ten.

- Dziwne, że nie ma żadnej metryczki z nazwą kraju produkcji. Na sprzęcie ratowniczym jest zwykle mnóstwo oznaczeń i instrukcji.

- Zgadza się. Importerzy w Malmö są podobnego zdania. Ale zdaje się, że wiem, jak rozwiązać ten problem. Straż ochrony wybrzeża. Kapitan Ósterdahl.

- Kto to jest?

- Emerytowany kapitan, który spędził całe życie w jednostkach straży ochrony wybrzeża. Piętnaście lat w Arkósund, dziesięć w archipelagu Gryf. Później przeprowadził się do Simrishamn i tam przeszedł na emeryturę. Przez wszystkie te lata prowadził własny rejestr statków różnego typu. Łącznie z opisem ich pontonów ratunkowych.

- Kto ci o tym powiedział?

- Kiedy zadzwoniłem do straży granicznej, miałem szczęście. Człowiek, który odebrał telefon, pracował na jednym ze statków straży ochrony wybrzeża, na których Ósterdahl był kapitanem.

- Świetnie. Miejmy nadzieję, że nam pomoże.

- Jeśli nie on, to już chyba nikt - odpowiedział entuzjastycznie Martinsson. - Mieszka przy Sandhammaren. Przywiozę go, żeby obejrzał ponton. Czy poza tym mamy coś nowego?

Wallander opowiedział, do jakich wniosków doszedł Mórth. Martinsson słuchał z uwagą.

- To oznacza, że być może będziemy współpracować z rosyjską policją - powiedział, gdy Wallander skończył. - Znasz rosyjski?

- Ani słowa. Ale to może również znaczyć, że nie będziemy musieli się tym wszystkim zajmować.

- Zawsze można mieć taką nadzieję.

Martinsson popadł nagle w zadumę.

- Czasami czuję - powiedział po chwili - że pewnymi

sprawami wolałbym się nie zajmować. Są paskudne. Zbyt krwawe, niemieszczące się w głowie. W szkole policyjnej nie nauczono nas, jak się odnosić do storturowanych zwłok na pontonach. To tak, jakbym nie nadażał za dzisiejszymi przestępstwami. A w końcu mam tylko trzydzieści lat.

Przez ostatnie lata Kurt Wallander często snuł podobne rozważania. Coraz trudniej być policjantem. Żyli w czasach, w których brutalność przestępców przybierała takie formy, z jakimi się wcześniej nie zetknęli. Wiedział, że to mit, jakoby wielu policjantów porzucało zawód ze względów ekonomicznych, by pracować w ochronie czy w prywatnych przedsiębiorstwach. Prawda była taka, że większość z nich robiła to ze względów bezpieczeństwa.

- Może powinniśmy pójść do Bjórka i zażądać kursu dokształcającego na temat tego, jak się obchodzić z torturowanymi ludźmi - zaproponował Martinsson.

Nie było w tym cynizmu, raczej niepewność, którą Wallander sam często odczuwał.

- Każda generacja policjantów mówi to samo - powie dział. - Najwyraźniej nie jesteśmy pierwsi.

- Nie mogę sobie przypomnieć, żeby Rydberg kiedykolwiek narzekał.

- Rydberg był wyjątkiem. Ale zanim pójdziesz, chciałbym cię o coś spytać. Facet, który dzwonił. Czy nic nie wskazywało na to, że jest cudzoziemcem?

Tego Martinsson był pewien.

- Nic. Był ze Skanii. Koniec, kropka.

- Przypomniało ci się coś jeszcze z tej rozmowy?

- Nie.

Martinsson wstał.

- Pojadę teraz do Sandhammaren i odszukam kapitana Ósterdahla.

- Ponton jest w piwnicy. Powodzenia. A wiesz, gdzie się podziewa Svedberg?

- Nie mam pojęcia. Zupełnie nie wiem, nad czym teraz pracuje. Może jest w Instytucie Meteorologii?

Kurt Wallander pojechał do centrum na lunch. Miał ciągle w pamięci ostatnią, nierzeczywistą noc, zadowolił się więc sałatką.

Wrócił na komendę tuż przed początkiem konferencji prasowej. Zanotował na kartce kilka rzeczy i poszedł do Bjórka.

- Nie cierpię konferencji prasowych - powiedział Bjórk. - Dlatego nigdy nie zostanie komendantem głównym. Choć i tak bym nim nie został.

Poszli razem na spotkanie z dziennikarzami. Wallander przypomniał sobie tłok, jaki panował na konferencji prasowej rok temu, gdy prowadzili śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa w Lenarp. Teraz na sali były tylko trzy osoby. Dwoje dziennikarzy poznał już wcześniej; kobietę z „Ystads Allehanda”, pisującą przejrzyste i klarowne sprawozdania, i faceta z lokalnej redakcji „Arbetet”, którego spotkał zaledwie parę razy. Trzecią osobą był ostrzyżony na jeża mężczyzna w okularach. Wallander widział go po raz pierwszy.

- Gdzie jest „Sydsvenskan”? - zasyczał mu w ucho Bjórk. - „Skanska Dagbladet”? Lokalne radio?

- Skąd mam wiedzieć? Zaczynaj już.

Bjórk wszedł na niewielki podest w rogu pokoju.

Mówił, dukając, i bez zaangażowania. Wallander miał nadzieję, że jego wystąpienie nie będzie trwało dłużej niż potrzeba.

Potem przyszła jego kolej.

- W okolicy Mossby Strand do brzegu przybił ponton ratunkowy ze zwłokami dwóch mężczyzn. Nie zdołaliśmy ich zidentyfikować. O ile nam wiadomo, na morzu nie było żadnych wypadków, mogących mieć związek z tym pontonem. Nie zgłoszono też żadnych przypadków osób

zaginionych na morzu. Potrzebujemy zatem pomocy społeczeństwa. I waszej.

Nie powiedział nic o mężczyźnie, który zatelefonował dzień wcześniej. Przeszedł od razu do sedna.

- A zatem chcielibyśmy poprosić wszystkich, którzy coś widzieli, ewentualnie coś wiedzą na temat dryfującego przy brzegu czerwonego pontonu lub czegoś innego, co może mieć znaczenie, by się do nas odezwali. To wszystko.

Björk ponownie wszedł na podest.

- Jeśli mają państwo jakieś pytania, proszę bardzo.

Uprzejma pani z „Ystads Allehanda” zastanawiała się, czy przestępczość w spokojnej zwykle Skanii czasem nie wzrosła.

Kurt Wallander parsknął śmiechem w duchu. Spokojnej, pomyślał. Tu nigdy nie było specjalnie spokojnie.

Björk zaprzeczył, jakoby wzrosła liczba zgłaszanych przestępstw, i pani z „Ystads Allehanda” zadowolili się tą odpowiedzią. Korespondent lokalnej redakcji „Arbetet” nie miał pytań. Björk miał właśnie zakończyć konferencję, gdy młody człowiek w okularach podniósł rękę.

- Mam pytanie. Dlaczego nie podajecie informacji, że ludzie z pontonu zostali zamordowani?

Wallander rzucił szybkie spojrzenie na Björka.

- W chwili obecnej nie jest jasne, jak zginęli - powiedział Björk.

- To nieprawda. Wszyscy wiedzą, że zostali zabici strzałem w serce.

- Następne pytanie - powiedział Björk. Wallander zauważył, że Björk zaczął się pocić.

- Następne pytanie? - powtórzył dziennikarz z irytacją. - Czemu mam stawiać następne pytanie, jeśli nie dostałem odpowiedzi na poprzednie?

- Dostał pan taką odpowiedź, jakiej w tej chwili mogę udzielić.

- To niesłychane! - powiedział dziennikarz. - Dobrze, zadam jeszcze jedno pytanie. Dlaczego nie mówicie, że istnieje podejrzenie, iż zamordowani mogą być obywatelami rosyjskimi? Po co zwołujecie konferencję prasową, jeśli nie odpowiadacie na pytania i nie mówicie, jak jest naprawdę? Przeciek, pomyślał Wallander. Jak on, u diabła, mógł się tego wszystkiego dowiedzieć? Nie rozumiał, dlaczego Bjórk nie powiedział prawdy. Dziennikarz miał całkowitą rację. Jakie były powody, żeby zatajać fakty?

- Jak to przed chwilą zaznaczył inspektor Wallander, nie udało nam się jeszcze zidentyfikować tych mężczyzn - mówił Bjórk. - Dlatego właśnie wychodzimy z apelem do społeczeństwa. Mamy nadzieję, że prasa poda do wiadomości, że szukamy informacji.

Młody dziennikarz demonstracyjnie schował notatnik do kieszeni kurtki.

- Dziękuję za obecność - powiedział Bjórk.

Przy wyjściu Kurt Wallander zatrzymał panią z „Ystads Allehanda” i zapytał:

- Kim jest ten dziennikarz?

- Nie wiem. Nigdy przedtem go nie widziałam. Czy to, co mówił, to prawda?

Wallander nie odpowiedział, a pani z „Ystads Allehanda” była na tyle uprzejma, że nie spytała ponownie.

- Dlaczego nie powiedziałaś prawdy? - spytał Wallander, doganiając Bjórka na korytarzu.

- Ci przekłęci dziennikarze - warknął Bjórk. - Jak się o tym dowiedział? Kto donosi?

- Ktokolwiek. Choćby ja.

Bjórk zatrzymał się jak wryty, patrząc na Wallandera, lecz nie skomentował jego słów. Miał natomiast nowe informacje.

- MSZ prosiło, żeby grać na zwłokę.

- Dlaczego?

- O to spytaj ich. Mam nadzieję, że już po południu dostanę dalsze instrukcje.

Wallander wrócił do swojego pokoju. Nagle poczuł, że ma tej całej sprawy powyżej uszu. Usiadł przy biurku i otworzył jedną z szuflad. Leżała w niej kopia ogłoszenia dotyczącego pracy - fabryka wyrobów gumowych w Trelleborgu szukała nowego szefa ochrony. Pod kopią leżało podanie, które napisał parę tygodni wcześniej. Teraz zaczął się poważnie zastanawiać, czy go nie wysłać. Jeśli praca w policji ma być rodzajem zabawy informacjami, które albo przeciekały, albo były utajniane bez wystarczających powodów, nie chciał już brać w tym udziału.

Traktował swoją pracę bardzo poważnie. Zwłoki w pontonach ratunkowych wymagały tego od niego. Nie wyobrażał sobie, że można wykonywać zawód policjanta bez przestrzegania pewnych niepodważalnych, racjonalnych i moralnych zasad.

Tok jego myśli przerwało wejście Svedberga, który pchnął drzwi stopą.

- Gdzie się, u diabła, podziewałeś? - spytał Wallander. Svedberg spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Zostawiłem ci kartkę na biurku. Nie widziałeś jej?

Kartka spadła na podłogę. Wallander podniósł ją i prze czytał, że Svedberg jest u meteorologów na lotnisku Sturup.

- Pomyślałem, że pójde na skróty. Znam jednego człowieka z lotniska, oglądamy razem ptaki w Falsterbonaset. Pomógł mi obliczyć, skąd mógł przyplłynąć ten ponton.

- Czy nie miał tego zrobić Instytut Meteorologii?

- Pomyślałem, że tak będzie szybciej.

Wyjął z kieszeni zwitek papierów i rozłożył je na stole. Wallander zobaczył kolumny cyfr i masę diagramów.

- Zrobiliśmy obliczenie przy założeniu, że ponton dryfował przez pięć dób - powiedział Svedberg. - Ponieważ kierunek wiatru przez ostatnie tygodnie był stały, otrzymaliśmy w

miarę konkretny wynik. Ale nie sprawi on, że staniemy się mądrzejsi.

- Co to znaczy?

- Że ponton prawdopodobnie płynął z bardzo daleka.

- Czyli?

- Że mógł przyplłynąć z tak odległych od siebie krajów, jak Estonia czy Dania.

Wallander spojrzał podejrzliwie na Svedberga.

- Czy to wiarygodna hipoteza?

- Tak. Możesz sam spytać Janne.

- W porządku - odpowiedział Wallander. - Idź do Bjórka i powiedz mu to, niech przekaże do MSZ. Może dzięki temu pozbędziemy się całej historii.

- Pozbędziemy się?

Wallander opowiedział, co się zdarzyło w ciągu dnia.

- Nie lubię zostawiać czegoś, co zacząłem - mruknął przybity Svedberg.

- Nic na razie nie jest pewne. Opowiadam tylko, co się stało.

Svedberg zniknął w pokoju Bjórka, a Wallander dalej dumiał nad swoim podaniem do fabryki w Trelleborgu. Ponton ze zwłokami mężczyzn kołysał się przez cały czas w jego umyśle.

O czwartej trzymał w ręku protokół z obdukcji. Zanim przyjdą próbki z laboratorium, Mórth mógł złożyć jedynie wstępny raport. Mężczyźni przypuszczalnie nie żyli od mniej więcej tygodnia, prawdopodobnie przez dłuższy czas byli poddani działaniu słonej wody. Jeden z nich miał około dwudziestu ośmiu lat, drugi był parę lat starszy. Poddano ich ciężkim torturom. Obaj byli zdrowi, ich zęby zaplombowane zostały przez wschodnioeuropejskich dentystów.

Wallander odłożył raport i wyjrzał przez okno. Było już ciemno. Poczuł głód.

Bjórck powiadomił go przez telefon, że MSZ rano poda

dalsze instrukcje.

- No to jadę do domu - odpowiedział Wallander.

- To jedź - odparł Björk. - Zastanawiam się, kim mógł być ten dziennikarz?

Dowiedzieli się nazajutrz. Sensacyjne nagłówki „Expressen” donosiły o zwłokach znalezionych u wybrzeży Szwecji. Przypuszczano, że zamordowani byli obywatelami sowieckimi. Do sprawy włączył się MSZ. Policja w Ystadzie otrzymała bezpośredni nakaz wyciszenia całej sprawy. Gazeta zażądała wyjaśnień.

Nim jednak Wallander zdążył zobaczyć nagłówki gazet z tego dnia, minęła trzecia.

A do tego czasu zdążyło się wiele wydarzyć.

Gdy następnego dnia, tuż po ósmej, Kurt Wallander przyszedł na komendę, wszystko zaczęło dziać się naraz. Temperatura znowu podskoczyła powyżej zera i nad miastem mżył drobny deszczyk. Wallander spał dobrze, dolegliwości z poprzedniej nocy się nie powtórzyły. Był wypoczęty. Martwił się tylko tym, w jakim humorze będzie ojciec, kiedy pojedą do Malmö.

W korytarzu spotkał Martinssona. Od razu się zorientował, że ma on mu coś ważnego do powiedzenia. Kiedy Martinsson był zbyt podminowany, by usiedzieć w swoim pokoju, wszyscy wiedzieli, że coś się stało.

- Kapitan Ósterdahl rozwiązał zagadkę pontonu! - wykrzyknął. - Masz czas?

- Przecież zawsze mam czas - odpowiedział Wallander. - Chodźmy do mnie. Zobacz, czy Svedberg już przyszedł.

Parę minut później byli w komplecie.

- Właściwie należałoby prowadzić rejestr takich ludzi jak kapitan Osterdahl - zaczął Martinsson. - Policja powinna utworzyć specjalną sekcję obejmującą cały kraj, której jedynym zadaniem byłaby współpraca z ludźmi posiadającymi wiedzę w nietypowych dziedzinach.

Wallander skinął głową, sam często o tym myślał. Istniało mnóstwo ludzi posiadających rozległą wiedzę w rzadkich dziedzinach. Jak na przykład ten stary drwal z Harjedalen, który parę lat temu zidentyfikował azjatycki kapsel od butelki z piwem, kapsel, którego tajemnicy nie zdołała rozgryźć ani policja, ani eksperci z monopolu spirytusowego. Odkrycie drwala umożliwiło skazanie mordercy, który inaczej pewnie uniknąłby kary.

- Tacy ludzie jak kapitan Osterdahl są o wiele bardziej użyteczni niż wszyscy eksperci, którzy tu latają, wygłaszając same frazesy i pobierają za to zawrotne honoraria - ciągnął

Martinsson. - Kapitan Osterdahl ucieszył się tylko, że może pomóc.

- A mógł?

Martinsson wyjął z kieszeni notatnik i uderzył nim w stół, jakby wyciągnął królika z niewidocznego kapelusza. Wallander zirytował się. Martinsson potrafił być czasami męczący ze swymi dramatycznymi gestami. Choć może przyszedłemu prowincjonalnemu politykowi Partii Liberalnej przystoi takie zachowanie, pomyślał.

- Słuchamy w napięciu - powiedział po chwili milczenia.

- Kiedy wczoraj wieczorem wszyscy poszliście do domu, spędziliśmy z kapitanem Ósterdahlem kilka godzin w piwnicy przy pontonie - zaczął Martinsson. - Wcześniej nie było to możliwe, bo on regularnie każdego popołudnia grywa w brydża i kategorycznie odmawia odstąpienia od tego zwyczaju. Kapitan Osterdahl jest starszym panem o bardzo stanowczym charakterze. Sam chciałbym być taki, gdy nadejdzie pora.

- Mów dalej - popędzał go Wallander. Wiedział wystarczająco dużo o obdarzonych stanowczym charakterem starszych panach. Stale pamiętał o ojcu.

- Chodził wokół pontonu na czworakach jak pies - ciągnął Martinsson. - Nawet go wąchał. W końcu skonstatował, że ponton ma co najmniej dwadzieścia lat i został wyprodukowany w Jugosławii.

- Skąd mógł to wiedzieć?

- Sposób produkcji. Skład materiału. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Wszystkie jego argumenty są tu, w notatniku. Uwielbiam ludzi, którzy wiedzą, co mówią.

- Dlaczego nie było żadnego oznaczenia, że łódź pochodzi z Jugosławii?

- Żadna łódź - powiedział Martinsson. - To pierwsza rzecz, jakiej nauczył mnie kapitan Ósterdahl. To nazywa się ponton, nie inaczej. A na brak oznaczenia miejsca produkcji

znalazł doskonale wytłumaczenie. Jugosłowianie często wysyłają pontony do Grecji i Włoch, gdzie nadaje się im fałszywe oznaczenia marek. Nie jest to dziwniejsze niż zegarki produkowane w Azji jako europejskie.

- Co jeszcze powiedział?

- Powiedział dużo więcej, znam teraz na pamięć historię pontonów ratunkowych. Już w starożytności istniały różnego rodzaju pontony. Najwcześniejsze robiono z gliny. Ale pontony takie jak ten spotyka się najczęściej na rosyjskich i wschodnioeuropejskich transportowcach. Nie używa się ich natomiast w ogóle na statkach skandynawskich. Nie zezwala na to Izba Morska.

- Dlaczego?

Martinsson wzruszył ramionami.

- Zła jakość. Łatwo się psują. Mieszanka gumowa jest kiepska.

Wallander myślał.

- Jeśli wnioski kapitana Osterdahla są słuszne, jest to ponton, który pochodzi prosto z Jugosławii, a nie dotarł na przykład przez Włochy, gdzie dostałby fałszywe oznaczenie markowe. Czy w takim razie mamy do czynienia ze statkiem jugosłowiańskim?

- Niekoniecznie - odpowiedział Martinsson. - Pewna ilość tych pontonów idzie bezpośrednio do Rosji. Jest to, zdaje się, część przymusowej wymiany handlowej między Moskwą a państwami podległymi. Nawiasem mówiąc, kapitan mówił, że widział raz dokładnie taki sam ponton na rosyjskim statku rybackim, który zajęto w okolicy Haradskar.

- Ale czy z całą pewnością możemy stwierdzić, że jest to statek z Europy Wschodniej?

- Tak twierdzi kapitan Ósterdahl.

- Dobrze - powiedział Wallander. - Więc wiemy przynajmniej tyle.

- Ale to wszystko - skomentował Svedberg.
- Jeśli nie zgłosi się facet, który dzwonił, to te informacje nam nie wystarczą - stwierdził Wallander. - Wszystko wskazuje na to, że ponton ze zwłokami przydryfował z drugiej strony Bałtyku. I że nie są to Szwedzi.
- Przerwało mu pukanie do drzwi. Poślaniec przyniósł kopertę z dodatkowymi wynikami obdukcji. Wallander przerzucił papiery i od razu zrozumiał.
- Coś tu mamy. Mórth znalazł ciekawe rzeczy we krwi.
- AIDS? - spytał Svedberg.
- Nie. Narkotyki. Wyraźne ślady amfetaminy.
- Rosyjscy narkomani - powiedział Martinsson. - Rosyjscy narkomani, torturowani i zamordowani. W garniturach i krawatach. Dryfujący w jugosłowiańskim pontonie ratunkowym. To zupełnie co innego niż przebiegli bimbrownicy czy drobne złodziejaski.
- Nie wiemy, czy to Rosjanie - zaprotestował Wallander. - W gruncie rzeczy nic nie wiemy.
- Wykręcił numer telefonu Bjórka.
- Tu Bjórk.
- Wallander. Siedzimy ze Svedbergiem i Martinssonem, zastanawiając się, czy dostałeś jakieś instrukcje z MSZ.
- Jeszcze nie. Ale pewnie niedługo się odezwą.
- Jadę do Malmö na parę godzin.
- Dobrze. Odezwę się, jak będzie coś z MSZ. A przy okazji, czy mężczyli cię jacyś dziennikarze?
- Nie.
- Mnie o piątej rano obudzili ci z „Expressen”. A później dzwoniли bez przerwy. Muszę powiedzieć, że jestem trochę zmartwiony.
- Nie ma się czym przejmować. I tak napiszą, co zechcą.
- To właśnie mnie niepokoi. Pojawiające się w gazetach spekulacje zakłóca śledztwo.
- W najlepszym razie odezwie się ktoś, kto coś widział lub

wie.

- Bardzo wątpię. I nie lubię, jak się mnie budzi o piątej rano. Różne rzeczy można chlapnąć, gdy jest się wyrwanym ze snu.

- Musimy wziąć sobie na wstrzymanie. Pogłówkujcie na razie sami, ja mam starą sprawę do załatwienia w Malmö. Widzimy się po lunchu.

Svedberg i Martinsson wyszli. Wallander czuł niesmak, dając kolegom do zrozumienia, jakoby podróż do Malmö dotyczyła spraw zawodowych. Wiedział, że każdy policjant, tak jak większość ludzi, załatwia sprawy prywatne w godzinach pracy. Ale mimo wszystko miał opory. Jestem staroświecki, pomyślał, a mam dopiero niewiele ponad czterdziestkę.

Poinformował centralę, że będzie uchwytny dopiero po lunchu, wsiadł w samochód i pojechał na Ósterlen. Minął Sandskogen i skręcił w kierunku Kaseberga. Przestało siępać, natomiast zaczęło wiać.

W Kaseberga zatankował. Ponieważ przyjechał za wcześnie, podjechał do portu. Zaparkował i wyszedł. Wiało. Wokół nie było żywej duszy. Kiosk i wędzarnie ryb były zaryglowane. Żyjemy w przedziwnych czasach, pomyślał. W niektórych częściach tego kraju wszystko jest otwarte tylko latem. Zimą całe miejscowości wywieszają tabliczki „zamknięte”.

Mimo chłodu wszedł na kamienne molo. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnego statku. Morze było puste. Pomyślał o zwłokach mężczyzn w czerwonym pontonie. Kim byli? Co się stało? Dlaczego torturowano ich i zabito? Kto włożył im marynarki?

Spojrzał na zegarek. Wróciwszy do samochodu, ruszył prosto do leżącego na równinie na południe od Lóderup domu ojca.

Zastał go jak zwykle w starej stajni, gdzie malował. Wallandera owionął intensywny zapach farb olejnych i

terpentyny. Cofnął się myślami do dzieciństwa. Ten szczególny zapach, stale otaczający stojącego przy sztalugach ojca, był jednym z najwcześniejszych jego wspomnień. Nawet malowany przez niego motyw przez te wszystkie lata pozostał ten sam - krajobraz w zachodzącym słońcu. Czasami, na życzenie zamawiających, ojciec dodawał głuszcza z lewej strony na pierwszym planie.

Ojciec był pacykarzem. Malując wciąż ten sam motyw, doprowadził swe dzieło do perfekcji. Dopiero jako dorosły, Wallander uświadomił sobie, że nie wynikało to z lenistwa czy braku umiejętności. Ojciec najwidoczniej potrzebował niezmienności, dającej mu poczucie bezpieczeństwa, które ułatwiało mu dojście ze swoim życiem do ładu.

Ojciec odłożył pędzel i wytarł ręce w brudny ręcznik. Ubrany był jak zwykle, w kombinezon i ucięte kalosze.

- Jestem gotowy.

- Nie przebierzesz się? - spytał Wallander. Ojciec spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

- Czemu miałbym się przebierać? Czy w dzisiejszych czasach trzeba mieć na sobie garnitur, żeby pojechać do sklepu z farbami?

Wallander uświadomił sobie bezcelowość jakiegokolwiek argumentacji. Jego ojciec odznaczał się bezgranicznym uporem. Poza tym zachodziła obawa, że się rozżłości, a wtedy podróż do Malmö będzie nie do zniesienia.

- Rób, jak chcesz - powiedział.

- Tak, robię jak chcę.

Pojechali. Ojciec obserwował krajobraz za oknem.

- Brzydko - powiedział nagle.

- Co masz na myśli?

- Że Skania jest brzydka zimą. Szara glina, szare drzewa, szare niebo. A najbardziej szarzy są ludzie.

- Może masz rację.

- Jasne że mam rację. Bez dwóch zdań. Skania jest brzydka

zimą.

Sklep z farbami leżał w centrum Malmö. Wallander szczęśliwie znalazł miejsce do parkowania przed samym wejściem. Ojciec dokładnie wiedział, co mu było potrzebne: płótno, farby, pędzle, parę szpachelek. Kiedy miał zapłacić, wyjął z kieszeni zwitek zmiętych banknotów. Wallander przez cały czas trzymał się na uboczu. Ojciec nie pozwolił mu nawet zanieść rzeczy do samochodu.

- Jestem gotów. Możemy wracać do domu - zakomunikował.

Wallander pomyślał nagle, żeby zatrzymać się i zjeść coś gdzieś po drodze. Ku jego zdziwieniu ojciec uznał to za dobry pomysł. Stanęli przy motelu w Svedali i weszli do restauracji.

- Powiedz kierownikowi sali, że chcemy dobry stolik - powiedział ojciec.

- Tu jest samoobsługa. Trudno, żeby mieli kierownika sali.

- To idziemy gdzieś indziej - zarządził ojciec. - Jak mam jeść poza domem, to chcę, żeby mi podano do stołu.

Wallander z niechęcią patrzył na brudny kombinezon ojca. Nagle przypomniał sobie, że w Skurup jest zaniedbana pizzeria. Tam z pewnością nikt nie zwraca uwagi na wygląd. Pojechali do Skurup i zaparkowali przed pizzérią. Obaj zamówili proste danie - gotowanego dorsza. Jedząc, Wallander patrzył na ojca i myślał, że nie zdąży go poznać, że już na to za późno. Wcześniej uważał, że w żaden sposób nie jest do ojca podobny, ale w ostatnich latach ogarniały go co do tego coraz większe wątpliwości. Mona, żona, która opuściła go w zeszłym roku, oskarżała go często o taki sam męczący upór, taki sam pedantyczny egotyzm. Może nie chcę widzieć podobieństwa, myślał, może boję się tego? Uparty osioł, który widzi tylko to, co chce widzieć?

U policjanta upór mógł być zaletą. Gdyby nie upór, niejedno śledztwo wzięłoby w łeb, choć osoby z zewnątrz mogą tego

nie rozumieć. Upór nie jest więc chorobą zawodową, ale zaletą.

- Czemu nic nie mówisz? - przerwał bieg jego myśli ojciec. Był nie w sosie.

- Przepraszam. Rozmyślałem.

- Nie chcę z tobą siedzieć i jeść, jeśli masz milczeć.

- Co mam powiedzieć?

- Możesz powiedzieć, jak się czujesz, jak czuje się twoja córka, czy spotkałeś jakąś nową babę.

- Babę?

- Czy ty wciąż oplakujesz Monę?

- Nie oplakuję. Ale to nie znaczy, że znalazłem jakąś nową, jak mówisz, babę.

- Dlaczego nie?

- Nie tak łatwo znaleźć nową kobietę.

- A co robisz?

- Co masz na myśli?

- Czy to tak trudno zrozumieć? Pytam po prostu, co robisz, żeby spotkać nową kobietę!

- Nie chodzę na tańce, jeśli o tym myślisz.

- O niczym nie myślę. Pytam tylko. Uważam, że z roku na rok dziwaczejesz.

Kurt Wallander odłożył widelec.

- Dziwaczeję?

- Trzeba było słuchać moich rad. Niepotrzebnie zostałeś policjantem.

No to znowu jesteśmy tam, gdzie zaczęliśmy. Nic się nie zmieniło...

Zapach terpentyny. Mroźny wiosenny dzień roku 1967. Mieszkają jeszcze w starej, przebudowanej kuźni pod Limhamn. Ale wkrótce ma stąd wyjechać. Czeka na list, więc biegnie do skrzynki pocztowej, kiedy tylko widzi samochód listonosza. Rozrywa kopertę i czyta jej zawartość. Przyjęli go do szkoły policyjnej, ma zacząć jesienią. Wbiega

do domu, gwałtownie otwierając drzwi ciasnego pokoju, w którym ojciec maluje swój krajobraz. „Dostałem się do szkoły policyjnej!”, krzyczy. Ale ojciec mu nie gratuluje, nawet nie odkłada pędzla, dalej maluje. Wciąż pamięta, że były to chmury, zabarwione na czerwono przez odbłask zachodzącego słońca. Zrozumiał, że sprawił mu zawód. On miał zostać policjantem!

Przyszedł kelner, pobierał talerze i po chwili wrócił z dwiema filiżankami kawy.

- Jednego nigdy nie zrozumiałem. Dlaczego nie chciałeś, żebym został policjantem?

- Zrobiłeś to, co chciałeś.

- To nie jest odpowiedź.

- Nie wyobrażałem sobie, że mój syn przyjdzie do domu, usiądzie do stołu, a z rękawów zaczną mu wylazić trupie robaki.

Kurt Wallander aż podskoczył, słysząc tę odpowiedź. Robaki z rękawów?

- O co ci chodzi?

Ojciec nie odpowiadał. Dopił letnią kawę.

- Jestem gotowy. Możemy jechać.

Wallander poprosił o rachunek i zapłacił.

Nigdy nie otrzymam odpowiedzi, pomyślał. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego tak bardzo nie podoba mu się, że zostałem policjantem.

Wrócili do Lóderup. Wiatr wzmógł się. Ojciec wniósł farby i płótna do pracowni.

- Kiedy pogramy w karty?

- Przyjadę za parę dni - odpowiedział Wallander. Wracając do Ystadu nie bardzo wiedział, czy jest zły, czy raczej zbulwersowany. *Robaki z rękawów?* Co miał na myśli?

Była za kwadrans pierwsza, gdy odstawił samochód i wrócił do swojego pokoju na komendzie. Rozmowa z ojcem nie dawała mu spokoju. Postanowił, że przy następnym

spotkaniu wymusi na nim jednoznaczną odpowiedź na swoje pytanie.

Odpędził myśli o ojcu i powrócił do roli policjanta. Przede wszystkim musiał zadzwonić do Bjórka. Lecz nim zdążył wybrać numer, telefon zaterkotał. Podniósł słuchawkę.

- Wallander.

W słuchawce szumiało i trzeszczało. Powtórzył swoje nazwisko.

- Czy to pan zajmuje się sprawą pontonu ratunkowego?

Głos był nieznamy. Mężczyzna mówił szybko i w jakiś nienaturalny sposób.

- Z kim rozmawiam?

- To nie ma znaczenia. Dzwonię w sprawie pontonu.

Wallander wyprostował się na krześle i sięgnął po papier i pióro.

- Czy to pan dzwonił parę dni temu?

- Dzwonił? - powtórzył zdziwiony mężczyzna. - Ja nie dzwoniłem.

- Więc to nie pan dzwonił z informacją, że ponton ratunkowy ma przybić do brzegu w okolicy Ystadu?

Zapadło milczenie. Wallander czekał.

- Nieważne - powiedział w końcu mężczyzna. Rozmowa została przerwana.

Wallander w pośpiechu zanotował, co powiedział mężczyzna. Od razu uświadomił sobie, że popełnił błąd. Facet zadzwonił, bo chciał coś powiedzieć o zwłokach w pontonie.

Kiedy usłyszał, że ktoś już to zrobił przed nim, zdziwił się czy może przestraszył, i szybko zakończył rozmowę.

Wniosek był prosty: to nie był ten sam człowiek, który rozmawiał z Martinssonem.

Innymi słowy, było więcej osób niż jedna, które coś wiedziały. Łatwo to było wytłumaczyć. Rozwiązanie zagadki kryło się w rozmowie tamtego mężczyzny z Martinssonem.

Ci, którzy coś widzieli, musieli znajdować się na statku, którego załoga składała się z więcej niż jednej osoby, bo przecież nikt nie wyprawia się w morze sam, i to zimą. Ale na jakim statku? Mógł to być prom albo kuter rybacki lub też transportowiec, albo jeden z tankowców, które ciągle pływają po Bałtyku.

Martinsson uchylił drzwi.

- Już pora? - spytał.

Wallander postanowił na razie nic nie mówić o telefonie. Czuł niejasną potrzebę zaprezentowania współpracownikom przemyślanego zestawienia faktów.

- Nie rozmawiałem jeszcze z Björkiem. Zobaczmy się może za pół godziny.

Martinsson zniknął, a Wallander wykręcił numer Bjórka.

- Tu Björk.

- Wallander. Jak poszło?

- Przyjdź do mnie, to się dowiesz.

Wallander zdziwił się usłyszawszy, co Björk miał do powiedzenia.

- Będziemy mieć wizytę. MSZ przyśle urzędnika, który podobno może nam pomóc w śledztwie.

- Urzędnik z ministerstwa? A co on wie o śledztwie?

- Nie mam pojęcia. Przyjeżdża już po południu. Pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybyś go odebrał. Samolot ląduje na Sturup o siedemnastej dwadzieścia.

- Niech to cholera. Przyjeżdża, żeby pomóc czy żeby nas nadzorować?

- Nie wiem. Poza tym to dopiero początek. Zgadnij, kto jeszcze dzwonił?

- Komendant główny policji.

- Skąd wiedziałeś?

- Rozwiązywanie zagadek to moja specjalność. Czego chciał?

- Zażądał bieżących informacji. Poza tym chce tu przysłać paru ludzi. Jednego z zabójstw, drugiego z narkotyków.

- Czy ich też trzeba odebrać z lotniska?

- Nie, sami dadzą sobie radę.

Wallander zamyślił się.

- To wszystko wydaje mi się dziwne - powiedział w końcu. - Zwłaszcza ten urzędnik z MSZ. Po co przyjeżdża? Czy skontaktowali się z policją w ZSRR? Albo w którymś z krajów Europy Wschodniej?

- Wszystko przebiega zgodnie z ich procedurami. Tak powiedzieli w MSZ. Tylko że ja nie wiem, co to oznacza.

- Jak to? Nie dostałeś porządnych informacji?

Björk rozłożył ręce.

- Pracuję na tym stanowisku wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak to się w tym kraju odbywa. Czasem mnie nie dopuszczają do informacji. Innym razem wyprowadzają w pole ministra sprawiedliwości. Ale najczęściej to szwedzkie społeczeństwo nie otrzymuje nawet części informacji o tym, co się właściwie dzieje.

Wallander doskonale rozumiał, o czym mówi Björk. Liczne skandale prawne z ostatnich lat dokładnie ukazały zakryty przed wzrokiem opinii publicznej system tuneli, wbudowanych w piwnice państwowych organizacji. Tuneli, łączących różne departamenty i instytucje. To, co wcześniej było tylko przypuszczeniami, którym zaprzeczano, traktując je jak sekciarskie urojenia, teraz okazało się prawdą. Prawdziwą władzę sprawowano w dużym stopniu w ciemnych, tajemnych przejściach, niedostępnych dla instytucji kontroli, które przecież są jednym z najważniejszych elementów państwa prawa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Svedberg z popołudniówką w rękę.

- Pewnie chcielibyście to zobaczyć.

Wallander aż podskoczył, gdy spojrział na pierwszą stronę gazety. Wielkie, rzucające się w oczy nagłówki oznajmiały, że u wybrzeży Skanii dokonano sensacyjnego odkrycia -

znaleziono ludzkie zwłoki. Björk zerwał się z krzesła, wyrwał gazetę z rąk Svedberga i zaczęli ją czytać, zaglądając sobie przez ramię. Ku swemu przerażeniu Wallander ujrzał na zamazanej fotografii własną, zmęczoną twarz. Musieli zrobić to zdjęcie w czasie śledztwa w sprawie morderstw w Lenarp, przemknęło mu przez myśl.

Śledztwo prowadzi inspektor kryminalny Knut Wallman.

Autor tekstu pod zdjęciem obdarzył go innym nazwiskiem. Björk odrzucił gazetę. Na czoło wystąpiła mu czerwona plama, zapowiadająca atak wściekłości. Svedberg cofnął się dyskretnie w kierunku drzwi.

- Tu przecież jest wszystko. Tak, jakbyś to ty napisał, Wallander, albo ty, Svedberg. Wiedzą, że MSZ włączyło się do sprawy, że komendant główny policji śledzi postępy w śledztwie. Wiedzą nawet, że ponton jest produkcji jugosłowiańskiej. Mają więcej informacji niż ja. Czy tak właśnie jest?

- Tak. Martinsson powiedział o tym dziś rano.

- Rano? Wielki Boże! Kiedy drukują tę cholerną gazetę?

Björk krążył po pokoju. Wallander i Svedberg spoglądali na siebie. Gdy Björk tracił humor, gubił się w niekończących się wywodach.

Björk złapał gazetę i zaczął głośno czytać:

- *Sowieckie patrole śmierci. Nowa Europa otworzyła Szwecję na przestępczość z aspektami politycznymi.* Co mają na myśli? Czy ktoś z was może mi wyjaśnić? Wallander?

- Nie mam pojęcia. Myślę, że najlepiej nie przejmować się tym, co piszą w gazetach.

- Jak tu się nie przejmować? Po tym wszystkim będziemy obłożeni przez media.

Zadzwoił telefon, jakby właśnie spełniło się proroctwo Björka. Dziennikarz z „Dagens Nyheter” prosił o komentarz. Björk przysłonił ręką słuchawkę.

- Trzeba ponownie zwołać konferencję prasową. Albo może rozesłać komentarz prasowy? Co lepiej? Jak myślicie?

- Jedno i drugie - zaproponował Wallander. - Ale z konferencją poczekać do jutra. Może ten człowiek z MSZ ma jakieś uwagi.

Björk poinformował dziennikarza i zakończył rozmowę, nie odpowiadając na żadne pytania. Svedberg opuścił pokój, a Björk i Wallander zasiedli do redagowania krótkiej informacji prasowej. Gdy była gotowa, Wallander podniósł się by wyjść, lecz Björk poprosił go o pozostanie.

- Musimy coś zrobić z tymi przeciekami. Widocznie byłem zbyt naiwny. Pamiętam, jak narzekałeś w zeszłym roku, przy sprawie morderstw w Lenarp. A ja uznałem to za przesadę. Pytanie tylko, co robić.

- Zastanawiam się, czy w ogóle można coś zrobić. Już w zeszłym roku zacząłem w to wątpić. Musimy nauczyć się z tym żyć.

- Cudownie będzie pójść na emeryturę - powiedział Björk po chwili zamyślenia. - Czasami wydaje mi się, że nie idę z duchem czasu.

- Wszyscy mamy to odczucie. Jak się nazywa urzędnik, którego mam odebrać ze Sturup?

- Törn.

- Imię?

- Nie podali.

Wrócił do swego pokoju, gdzie już czekali Martinsson ze Svedbergiem. Svedberg opisywał właśnie to, czego był świadkiem w pokoju Björka.

Wallander postanowił skrócić zebranie do minimum. Powiedział o rozmowie telefonicznej i o wniosku, do jakiego doszedł: ponton ratunkowy widziała więcej niż jedna osoba.

- Mówił skańskim dialektem? - spytał Martinsson.

Wallander skinął głową.

- Ich wytropienie powinno być możliwe - ciągnął

Martinsson. - Można wykluczyć tankowce i drobnicowce. Co pozostaje?

- Kutry rybackie. Ile ich jest na południowym wybrzeżu Skanii?

- Dużo. Ale teraz, w lutym, duża część stoi w porcie. Myślę, że jesteśmy w stanie ich namierzyć, ale będzie to kosztować kupę pracy.

- Zdecydujemy jutro. Może wtedy wszystko się odmieni - powiedział Wallander.

Streścił to, czego dowiedział się od Bjórka. Martinsson zareagował podobnie jak Wallander, zdziwieniem i irytacją. Svedberg po prostu wzruszył ramionami.

- Dziś już nic nie wymyślimy - zakończył Wallander. - Muszę napisać raport o wszystkim, co się dotąd zdarzyło. Wy też. Jutro skonfrontujemy to z ludźmi z zabójstw i narkotyków. I z człowiekiem z MSZ, który nazywa się Törn. Wallander przyjechał na lotnisko sporo przed czasem. Wypił kawę z policjantami z odprawy paszportowej, wysłuchując narzekań na zarobki i czas pracy. Kwadrans po piątej usiadł na ławce przed wyjściem dla pasażerów, patrząc z roztargnieniem na reklamę na ekranie zawieszonym pod sufitem. Zapowiedziano przylot i Wallander zaczął się zastanawiać, czy człowiek z MSZ spodziewał się policjanta w mundurze. Jeśli stanę z rękami założonymi na plecy, kołysząc się na stopach, może zorientuje się, że jestem policjantem, pomyślał z ironią. Obserwował wychodzących pasażerów. Nie było nikogo, kto by się rozglądał za czekającym nieznajomym. Gdy tłum się przerzedził, a on nadal nikogo takiego nie zobaczył, zrozumiał, że musiał przeoczyć gościa. Jak wygląda urzędnik MSZ, zastanawiał się. Jak zwykły człowiek czy jak dyplomata? Ale jak wygląda dyplomata?

- Kurt Wallander? - usłyszał głos za plecami. Odwróciwszy się, zobaczył przed sobą trzydziestoletnią kobietę.

- Tak. To ja jestem Wallander.

Kobieta zdjęła rękawiczkę i podała mu rękę.

- Birgitta Törn - przedstawiła się. - Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pewnie oczekiwał pan mężczyzny?

- Chyba tak.

- Wciąż stosunkowo niewiele kobiet poświęca się dyplomacji. Niemniej spora część administracji MSZ znajduje się w ich rękach.

- Ach tak. Witam panią w Skanii.

Czekając na bagaże, obserwował ją ukradkiem. Wyglądała zwyczajnie, ale coś nieokreślonego w jej oczach zwróciło jego uwagę. Podnosząc walizkę, uchwycił jej spojrzenie i wtedy uświadomił sobie, że używała szkieł kontaktowych, podobnie jak Mona przez ostatnie lata ich małżeństwa.

Poszli do samochodu. Wallander spytał o pogodę w Sztokholmie, o to, jak minęła podróż. Odpowiedziała, ale wyczuł w niej pewien dystans.

- Mam zamówiony hotel, który nazywa się Sekelgarden - powiedziała w drodze. - Chciałabym przejrzeć dotychczasowe raporty ze śledztwa. Przypuszczam, że został pan poinformowany o tym, że cały materiał ma być do mojej dyspozycji.

- Nie, nikt o tym nie mówił. Ale ponieważ nic nie jest utajnione, dostanie go pani. Skoroszyt leży na tylnym siedzeniu.

- Jest pan przewidujący.

- Mam jedno pytanie. Co właściwie pani tu robi?

- Niestabilna sytuacja na Wschodzie powoduje, że MSZ obserwuje wszystkie anomalie. Poza tym możemy pomóc w kierowaniu formalnych pytań do krajów nienależących do Interpolu.

Mówi jak polityk, pomyślał Wallander. W jej słowach nie ma miejsca na niepewność.

- Anomalie. Można i tak to nazwać. Jeśli pani chce, mogę

pokazać ponton ratunkowy na komendzie.

- Nie, dziękuję. Nie wtrącam się do pracy policyjnej. Ale naturalnie byłoby dobrze, gdybyśmy mogli zwołać zebranie jutro przed południem. Chciałabym usłyszeć sprawozdanie.

- Może być o ósmej. Czy pani wie, że Komenda Główna Policji przydzieliła nam dodatkowych inspektorów? Przepuszczam, że przybędą jutro.

- Zostałam o tym poinformowana.

Hotel Sekelgarden leżał przy ulicy za rynkiem. Wallander zatrzymał samochód i sięgnął po skoroszyt z raportem, po czym wyjął jej walizkę z bagażnika.

- Czy była już pani w Ystadzie?

- Nie sądzę.

- Czy mogę w takim razie zaproponować kolację na rachunek policji z Ystadu?

Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- To uprzejmie z pana strony, ale mam sporo pracy.

Poczuł irytację. Może policjant z małego miasta stanowił nie dość wytworne towarzystwo?

- Hotel Continental ma chyba najlepsze jedzenie. W dole rynku i na lewo. Czy mam po panią przyjechać jutro rano?

- Sama znajdę drogę. W każdym razie dziękuję. Dziękuję, że mnie pan odebrał.

Wallander pojechał do domu. Było wpół do siódmej. Poczuł, że ma wszystkiego dosyć. To nie była tylko pustka, spowodowana powrotem do mieszkania, w którym nikt na niego nie czekał. Miał również wrażenie, że coraz trudniej mu się odnaleźć w życiu. A teraz nawet ciało zaczęło mu się sprzeciwiać. Dawniej czuł się pewnie w swoim zawodzie. Uczucie niepewności pojawiło się rok temu, gdy próbował rozwikłać sprawę brutalnego zabójstwa pary starszych ludzi w Lenarp. Często rozmawiał z Rydbergiem o tym, że taki kraj jak Szwecja, zmierzający w nieokreślonym kierunku, potrzebuje policji innego rodzaju. Z każdym dniem czuł się

coraz mniej efektywny. I nie mogły tu pomóc żadne kursy, regularnie organizowane przez Komendę Główną Policji.

Wyjął piwo z lodówki, włączył telewizor i opadł na sofę. Na ekranie migotał jeden z niekończących się, serwowanych codziennie programów z cyklu „spotkania przy kawie”.

Znowu zaczął się zastanawiać, czy nie starać się o pracę w Trelleborgu. Może właśnie odmiany było mu trzeba?

Może policjantem powinno się być tylko przez pewną część życia, a później należy zająć się czymś zupełnie innym?

Przesiedział na sofie do późna, dopiero koło północy położył się spać.

Właśnie zgasił lampę, gdy zadzwonił telefon. Tylko nie to, tylko nie jeszcze jedno śmiertelne pobicie, pomyślał. Usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę. Od razu rozpoznał głos faceta, który zadzwonił do niego po południu.

- Być może wiem coś o pontonie.

- Interesują nas wszystkie informacje, które mogą nam pomóc.

- Mogę je przekazać tylko pod warunkiem, że policja nie zdradzi, że dzwoniłem.

- Może pan pozostać anonimowy, jeśli pan chce.

- To nie wystarczy. Policja musi mi zagwarantować, że nie ujawni, że w ogóle ktoś dzwonił.

Wallander zastanowił się szybko, po czym dał na to swoje słowo. Facet wciąż się wahał.

Czegoś się boi, pomyślał Wallander.

- Przysięgam na honor policjanta.

- Wiele za niego nie daję.

- A powinien pan. Jeśli chodzi o dotrzymywanie słowa, to żaden bank udzielający kredytów nie ma mi nic do zarzucenia.

W słuchawce zapadła cisza. Wallander słyszał oddech człowieka po drugiej stronie linii telefonicznej.

- Czy wie pan, gdzie leży ulica Industrigatan? - spytał nagle

mężczyzna.

Wiedział. Były to tereny przemysłowe, położone na południowym krańcu miasta.

- Proszę tam jechać - powiedział mężczyzna. - Wjedzie pan w tę ulicę. Jest jednokierunkowa, ale to nie ma znaczenia. W nocy nic tam nie jeździ. Wyłączy pan silnik i zgasi światła.

- Teraz?

- Teraz.

- Gdzie mam się zatrzymać? Ulica jest długa.

- Niech pan jedzie. Znajdę pana. I niech pan będzie sam. W przeciwnym razie nic z tego.

Rozmowa została przerwana.

Wallander poczuł w gardle lekki ucisk niepokoju. Pomyślał, że mógłby zadzwonić do Martinssona albo Svedberga i poprosić ich o pomoc. Po chwili jednak zdusił w sobie niepokój - co w końcu mogło się stać?

Odrzucił kołdrę i wstał. Parę minut później wsiadał do samochodu. Temperatura spadła poniżej zera. Drżał z zimna.

Po pięciu minutach skręcił w ulicę Industrigatan, przy której znajdowały się siedziby firm samochodowych i drobnych przedsiębiorstw. Nigdzie nie było widać żadnych światel. Dojechał do połowy ulicy i zatrzymał się. Wyłączywszy silnik i światła, czekał w ciemności. Zegarek z fosforyzującym wyświetlaczem przy kierownicy wskazywał siedem minut po północy.

Zrobiło się w pół do pierwszej i nic. Postanowił poczekać do pierwszej, i jeśli nikt się do tego czasu nie pojawi, wrócić do domu.

Zauważył go dopiero wtedy, gdy stanął tuż przy samochodzie. Szybko opuścił szybę w oknie. Twarz mężczyzny skrywał cień, trudno było rozróżnić rysy. Ale głos rozpoznał.

- Proszę jechać za mną - powiedział i zniknął.

Kilka minut później z przeciwnej strony nadjechał samochód. Błysnęły światła mijania.

Wallander zapuścił silnik i ruszył za nim. Wyjechali z miasta, kierując się na wschód. Czuł strach.

Port w Brantevik był pusty.

Większość świateł była wygaszona, tylko pojedyncze lampy oświetlały nieruchomą wodę basenu portowego. Wallander zastanawiał się, czy żarówki zostały stłuczone czy też przepaliły się i nie wkręcono nowych w ramach komunalnego planu oszczędzania. Żyjemy wśród pogłębiającej się ciemności, pomyślał. Symboliczny obraz staje się rzeczywistością.

Światła pozycyjne samochodu przed nim zgasły, po chwili mężczyzna wyłączył także reflektory. Wallander wyłączył swoje i czekał w ciemności. Zegar na tablicy rozdzielczej konwulsyjnym pulsowaniem wskazywał za pięć minut wpół do drugiej. Nagle w ciemności zabłysła latarka, niczym niespokojny świetlik. Wallander wysiadł. Było przejmująco zimno. Człowiek z latarką zatrzymał się kilka metrów przed nim. W dalszym ciągu nie można było rozróżnić rysów jego twarzy.

- Idziemy na nabrzeże - powiedział gardłowym skańskim dialektem. Wallander pomyślał, że po skańsku nic nie może brzmieć groźnie. Nie znał innego dialektu, który miałby w sobie tyle troskliwości.

Mimo to wahał się.

- Dlaczego? Dlaczego mamy iść na nabrzeże?

- Boi się pan? Pójdziemy na nabrzeże, bo tam stoi statek.

Mężczyzna odwrócił się i zaczął iść. Wallander poszedł za nim. Nagły poryw wiatru owionął mu twarz. Zatrzymali się przed ciemną sylwetką kutra rybackiego. Wokół czuć było silną woń morza i oleju. Mężczyzna podał Wallanderowi latarkę.

- Proszę poświecić na cumy.

Wtedy zobaczył jego twarz po raz pierwszy. Około czterdziestki, może trochę starszy. Gruboskórna, ogorzała

od wiatru twarz kogoś, kto stale przebywa na powietrzu. Ubrany w granatowy kombinezon i szarą kurtkę. Czarna czapka nasunięta na czoło.

Mężczyzna chwycił jedną z cum i wdrapał się na pokład. Poszedł w stronę sterówki i zniknął w ciemnościach. Wallander czekał. Po chwili światło lampy gazowej oświetliło mężczyznę, wracającego na dziób po trzeszczącym pokładzie.

- Niech pan wejdzie.

Skostniałymi palcami Wallander niezdarnie uchwycił się zimnego relingu i wgramolił na pokład.

Idąc za mężczyzną wzdłuż pochyłego pokładu, potknął się o linę.

- Tylko proszę nie wypaść. Woda jest zimna.

Wallander wszedł za swoim przewodnikiem do ciasnej sterówki i dalej, do maszynowni. Czuć było ropą i smarami. Mężczyzna zawiesił gazową latarnię na haczyku u sufitu i zmniejszył płomień.

Wallander uświadomił sobie, że facet bardzo się boi. Roztrzęsione dłonie odmawiały mu posłuszeństwa, spieszył się.

Wallander usiadł na niewygodnej koi, przykrytej brudnym kocem.

- Dotrzyma pan przyrzeczenia?

- Zawsze dotrzymuję przyrzeczeń.

- Nikt tego nie robi. Ja myślę tylko o sobie.

- Masz jakieś imię?

- Nieważne.

- Ale widziałeś czerwony ponton ze zwłokami?

- Może.

- Inaczej byś nie zadzwonił.

Mężczyzna sięgnął po brudną mapę morską, leżącą na pryczy.

- Tutaj - powiedział wskazując palcem. - Tu go widziałem.

Była za dziewięć druga, kiedy go zauważyłem. Dwunastego. To znaczy w ostatni wtorek. Kombinowałem, skąd mógł przypląć.

Wallander sięgnął do kieszeni, szukając czegoś do pisania. Naturalnie nic nie znalazł.

- Powoli. Opowiedz od początku. Gdzie zauważyłeś ponton?

- Mam to zapisane. Ponad sześć mil morskich od Ystadu, w kierunku południowym. Ponton dryfował na północny wschód. Zapisałem dokładną pozycję.

Wyciągnął rękę, podając Wallanderowi pognieciony skrawek papieru. Wallander odniósł wrażenie, że określenie pozycji było dokładne, mimo że cyfry mu nic nie mówiły.

- Ponton podpłynął blisko kutra, lecz gdyby padał śnieg, nigdy bym go nie zauważył.

Nigdy *byśmy* go nie *zauważyli*, przemknęło Wallanderowi przez głowę. Za każdym razem, kiedy tamten mówił, wahał się, choć niemal niedostrzegalnie. Jakby się pilnował, żeby nie powiedzieć całej prawdy.

- Przydryfował od lewej burty - ciągnął mężczyzna. - Podholowałem go w kierunku wybrzeża. Gdy zobaczyłem ład, puściłem go.

To wyjaśnia, dlaczego lina była odcięta, pomyślał Wallander. Spieszyło im się, byli zdenerwowani. Nie zawahali się poświęcić części liny.

- Jesteś rybakiem?

- Tak.

Nie, pomyślał Wallander. Znowu skłamałeś. A kłamać nie potrafisz. Ciekawe, czego się boisz.

- Wracalem do domu - ciągnął mężczyzna.

- Na pewno masz radio na łodzi. Dlaczego nie zaalarmowałeś straży ochrony wybrzeża?

- Mam swoje powody.

Wallander uświadomił sobie, że musi przebić się przez jego strach. Inaczej do niczego nie dojdzie. Zaufanie, pomyślał.

Musi poczuć, że naprawdę może mi zaufać.

- Muszę wiedzieć więcej. To, co opowiesz, wykorzystam oczywiście w śledztwie, ale nikt się nie dowie, że wiem to od ciebie.

- Nikt niczego nie powiedział. Nikt nie dzwonił.

Wallander zrozumiał nagle, jak wygląda sytuacja.

Istniał prosty i całkiem logiczny powód tego, że mężczyzna tak uparcie chciał pozostać anonimowy, wyjaśniający także jego wyraźny strach; gdy znalazł ponton, nie był na łodzi sam. Wallander pomyślał o tym wcześniej, rozmawiając z Martinssonem. Teraz znał już dokładną liczbę członków załogi. Było ich dwóch. Nie trzech, nie więcej, ale dwóch. Mężczyzna bał się właśnie tego drugiego.

- Nikt nie dzwonił. Czy to twój kuter?

- Co to ma za znaczenie?

Wallander zaczął od początku. Był teraz pewien, że facet nie ma nic wspólnego ze zwłokami; zauważył ponton i podholował go w kierunku łądu. To upraszczało sprawę, nawet jeśli wciąż nie rozumiał, czego mężczyzna tak bardzo się obawia. Kim jest ten drugi?

Przemysłowcy, błysnęło mu nagle. Ludzi albo alkoholu. Kutra używano do przemytu, dlatego nie czuć zapachu ryb.

- Widziałeś w pobliżu jakiś statek, gdy zauważyłeś ponton?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Mówię tylko to, co wiem na pewno.

- Ale mówiłeś, że próbowałeś zastanawiać się, skąd przypłynął ponton.

Odpowiedź była stanowcza.

- Ponton pływał jakiś czas w wodzie. Nie mógł być dopiero co wyrzucony.

- Dlaczego?

- Plankton zaczął się już na nim osadzać.

Wallander niczego takiego nie zauważył, gdy oglądał

ponton.

- Kiedy go znaleźliśmy, nie było tam śladu glonów.
- Pewnie zostały splukane, gdy holowałem go do brzegu - zastanowił się. - Ocierał się o fale przybojowe.
- Jak długo według ciebie leżał w wodzie?
- Może tydzień. Trudno powiedzieć.

Wallander obserwował mężczyznę. Miał niespokojne oczy i przez cały czas nasłuchiwał w napięciu.

- Masz coś więcej do powiedzenia? Wszystko może mieć znaczenie.
- Myślę, że ponton przydryfował z którejś z republik nadbałtyckich.
- Dlaczego tak myślisz? Dlaczego nie z Niemiec?
- Znam te wody. Myślę, że ponton pochodzi z republik nadbałtyckich.

Wallander próbował przywołać w pamięci obraz mapy.

- To długa droga. Wzdłuż całego polskiego wybrzeża. Trzeba wpłynąć na niemieckie wody terytorialne. Trudno uwierzyć, żeby przepłynął taki szmat Bałtyku.
- W czasie drugiej wojny światowej miny dryfowały bardzo daleko w bardzo krótkim czasie. Wiatry wiejące w ostatnich tygodniach mogły to ułatwić.

Światło lampy gazowej zaczęło nagle słabnąć.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - powiedział mężczyzna, składając brudną mapę. - Czy pamiętasz o obietnicy?
- Zawsze pamiętam, co obiecałem. Ale mam jeszcze jedno pytanie. Dlaczego bałeś się ze mną spotkać? Dlaczego w środku nocy?
- Nie boję się. A gdyby nawet, to moja sprawa. Mam powody.

Wrzucił mapę do szufladki pod sterem. Wallander próbował wymyślić jeszcze jakieś pytania, zanim się rozstaną.

Żaden z nich nie zauważył nieznacznego poruszenia się

łodzi. Było to bardzo lekkie przechylenie, jakby martwa fala dopiero teraz sięgnęła ładu.

Wallander wygramolił się z maszynowni. Pospiesznie omiótł snopem światła latarki ściany sterówki. Nie zauważył niczego, co pozwoliłoby mu później zidentyfikować kuter.

- Gdzie mogę cię znaleźć, jeśli zajdzie potrzeba? - spytał, gdy byli już na nabrzeżu.

- Nie znajdziesz mnie i nie będzie takiej potrzeby. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Idąc, Wallander liczył kroki. Gdy stawiał stopę na ziemi po raz siedemdziesiąty trzeci, poczuł pod butem gruz portowego dziedzińca. Mężczyzna wziął latarkę i bez słowa zniknął w ciemności. Wallander wsiadł do samochodu, ale nie włączył silnika. Odczekał parę minut. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że widzi cień poruszający się w ciemności. Lecz było to tylko złudzenie. Później przypomniał sobie, że to on miał odjechać pierwszy. Gdy dotarł do głównej ulicy, zwolnił, lecz nie pojawiły się za nim żadne światła.

Za kwadrans trzecia otworzył drzwi do mieszkania. Usiadł przy kuchennym stole i zapisał rozmowę z kutra.

Republiki nadbałtyckie, pomyślał. Czy ponton naprawdę mógł dryfować z tak daleka? Wstał i poszedł do dużego pokoju. W szafce, między stosami starych tygodników i programów operowych, znalazł swój zniszczony szkolny atlas. Otworzył go na stronie pokazującej południową Szwecję i Bałtyk. Republiki nadbałtyckie zdawały się leżeć daleko, a jednocześnie blisko.

Nic nie wiem o morzu, pomyślał, nic nie wiem o prądach, wiatrach i dryfach. Może on ma rację? W końcu dlaczego miałby mówić nieprawdę?

Znów zastanowił się nad przyczyną strachu mężczyzny. Być może był nią ten drugi.

Dochodziła czwarta, gdy się położył. Długo nie mógł zasnąć.

Obudził się nagle, wiedząc, że zasnął.

Zegarek na nocnym stoliku wskazywał siódmą czterdzieści sześć. Klnąc, zerwał się z łóżka i zaczął się ubierać. Szczoteczkę i pastę do zębów włożył do kieszeni kurtki. Za trzy minuty ósma parkował przed komendą. Ebba z recepcji przywołała go skinieniem dłoni.

- Masz iść do Bjórka. Poza tym jak ty wyglądasz? Zasnąłeś?

- Ba - odpowiedział Wallander i pobiegł do toalety, żeby umyć zęby. Jednocześnie próbował pozbierać myśli przed spotkaniem. Jak przedstawić swój nocny wypad do portu w Brantevik?

W pokoju Bjórka nie było nikogo, poszedł więc do największej sali konferencyjnej na komendzie. Zapukał do drzwi, czując się jak spóźniony uczeń.

Patrzyło na niego sześć osób, siedzących wokół owalnego stołu.

- Najwyraźniej spóźniłem się odrobinę - powiedział, siadając na najbliższym wolnym krześle. Bjórk patrzył na niego surowo, a Svedberg i Martinsson uśmiechali się z ciekawością. W uśmiechu Svedberga zauważył również odrobinę szyderstwa. Po lewej stronie Bjórka siedziała Birgitta Törn z nieokreślonym wyrazem twarzy.

Pozostałych dwóch mężczyzn widział po raz pierwszy. Wstał i obszedł stół, by się z nimi przywitać. Obaj mieli około pięćdziesiątki i byli uderzająco do siebie podobni. Mocno zbudowani, z uprzejmymi twarzami. Jeden przedstawił się jako Sture Rónnlund, drugi nazywał się Bertil Loven.

- Jestem z kryminalnego - powiedział Loven. - Sture pracuje w narkotykach.

- Kurt jest naszym najbardziej doświadczonym oficerem - powiedział Bjórk. - Proszę sobie nalać kawy.

Gdy wszyscy napełnili kubki, Bjórk otworzył zebranie.

- Jesteśmy wdzięczni, ma się rozumieć, za wszelką możliwą pomoc. Nie uszło niczyjej uwagi poruszenie, jakie w

środkach masowego przekazu spowodowało znalezienie przez nas pontonu ze zwłokami. Między innymi dlatego ważne jest, by śledztwo zostało przeprowadzone sprawnie i przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Birgitta Törn naturalnie przyjechała przede wszystkim jako obserwator, by pomóc nam w ewentualnych kontaktach z krajami, gdzie Interpol nie ma żadnych wpływów. Ale to nie przeszkadza, byśmy wysłuchali jej zdania na temat konkretnych zagadnień związanych ze śledztwem.

Przyszła kolej na Wallandera. Ponieważ wszyscy w pokoju mieli kopie raportów sporządzonych do tego momentu, nie omawiał już szczegółów śledztwa, nakreślił jedynie najważniejsze fakty i podał ramy czasowe. Dłużej zatrzymał się natomiast przy badaniu patologicznym i jego rezultacie. Gdy skończył, Loven spytał o parę detali. To było wszystko. Björk rozejrzał się po pokoju.

- No dobrze. I co robimy dalej?

Wallandera zirytowała uniżona postawa Björka wobec kobiety z MSZ i ludzi z policji w Sztokholmie. Nie mógł się powstrzymać przed zaprezentowaniem. Skinął w kierunku Björka na znak, że chce coś powiedzieć.

- Jest wiele niejasności. Nie mam na myśli stanu śledztwa. Nie rozumiem, dlaczego MSZ uznało za konieczne przysłanie Birgitty Törn tu, do Ystadu. Nie sądzę, by wynikało to po prostu z chęci ułatwienia nam przez ministerstwo kontaktów z - przykładowo - rosyjską policją, gdyby zaszła taka potrzeba. Można to załatwić teleksem do Sztokholmu. Według mnie wygląda to raczej tak, że MSZ postanowiło nadzorować nasze śledztwo. W takim razie chciałbym wiedzieć, co mają nadzorować i, przede wszystkim, dlaczego MSZ podjęło taką decyzję. Podejrzewam, że MSZ wie coś, czego my nie wiemy. Ale może to nie oni podjęli tę decyzję? Może ktoś inny?

Kiedy umilkł, w pokoju zaległa całkowita cisza. Björk

patrzył na Wallandera z przerażeniem. Milczenie przerwała Birgitta Törn.

- Nie ma pan podstaw, by nie wierzyć w przedstawione przez nas powody mojego przyjazdu do Ystadu. Niestabilna sytuacja w Europie Wschodniej wymaga, abyśmy dokładnie śledzili rozwój wydarzeń.

- Przecież nie wiemy nawet, czy ci ludzie pochodzą z Europy Wschodniej - sprzeciwił się Wallander. - Ale może wy wiecie coś, czego my nie wiemy. W takim razie bardzo chciałbym się tego dowiedzieć.

- Uspokójmy się trochę - powiedział Bjórk.

- Chcę otrzymać odpowiedź na moje pytania - zaprotestował Wallander. - Nie zadowolę się ogólnikami na temat niestabilnej sytuacji politycznej.

Twarz Birgitty Törn straciła nagle swój nieokreślony wyraz. Spojrzała na niego wzrokiem, w którym dało się zauważyć rosnącą pogardę i dezaprobatę. Jestem niewygodny, myślał Wallander. Należę do, ach!, jakże niewygodnej szarej masy.

- Jest tak, jak powiedziałam - odrzekła Birgitta Törn. - Gdyby był pan rozsądny, wiedziałby pan, że nie ma powodu do takiej reakcji.

Wallander pokręcił głową i zwrócił się do Lovena i Rónnlunda.

- A jak wyglądają wasze instrukcje? Sztokholm prawie nigdy nie przysyła ludzi, jeśli nie otrzyma formalnej prośby o pomoc. A o ile wiem, nie wystosowaliśmy takowej. A może to zrobiliśmy?

Bjórk pokręcił głową, gdy Wallander ostentacyjnie zwrócił się do niego.

- A zatem Sztokholm podjął taką decyzję z własnej inicjatywy - ciągnął. - Jeśli mamy współpracować, chciałbym wiedzieć dlaczego. Bo chyba nie jest tak, że nasze umiejętności zawodowe zostały zakwestionowane, zanim rozpoczęło się śledztwo?

Loven z zakłopotaniem zakręcił się na krześle. W końcu odezwał się Rónnlund. Wallander wyczuwał sympatię w jego głosie.

- Komendant główny policji uważał, że może wam się przydać pomoc. Naszym zadaniem jest być do waszej dyspozycji, nic innego. To wy prowadzicie śledztwo. Dobrze będzie, jeśli będziemy mogli pomóc. Ani Bertil, ani ja, nie wątpimy w waszą zdolność do samodzielnego poprowadzenia tej sprawy. Osobiście uważam, że przez te wszystkie dni pracowaliście szybko i z rozeznaniam.

Wallander skinął głową w podzięce za uznanie. Martinsson siedział, uśmiechając się, a Svedberg w zamyśleniu dłubał w zębach kawałkiem drzazgi, którą oderwał ze stołu.

- W takim razie może zaczniemy się zastanawiać, co robimy dalej - powiedział Bjórk.

- Doskonale - zgodził się Wallander. - Mam parę teorii i chciałbym usłyszeć wasze zdanie na ich temat. Ale najpierw opowiem wam o pewnej nocnej przygodzie.

Złość minęła. Czuł się znów spokojny. Zmierzył się z Birgittą Tórni i nie został pokonany. W swoim czasie dowie się, po co naprawdę przyjechała. Sympatia okazana mu przez Rónnlunda wzmocniła jego poczucie wartości. Opowiedział o telefonie i swojej wizycie na kutrze w Brantevik, specjalnie podkreślając zdecydowane przekonanie mężczyzny, że ponton mógł przydryfować z republik nadbałtyckich. W napadzie nieoczekiwanej inwencji Bjórk zadzwonił do recepcji, prosząc o natychmiastowe przyniesienie ogólnych i szczegółowych map całego regionu.

Wallander już widział Ebbę, jak łapie najbliższego mijającego recepcję policjanta i zleca mu dostarczenie map. Dolał sobie kawy i przeszedł do swoich teorii.

- Wszystko wskazuje na to, że mężczyźni zostali zamordowani na pokładzie jakiegoś statku. Dlaczego nie zatopiono ciał w morskiej głębi - na to jest tylko jedno

możliwe wytłumaczenie: że morderca lub mordercy chcieli, by zwłoki zostały odnalezione. To z kolei trudno racjonalnie wyjaśnić, między innymi z uwagi na fakt, że nie można było przewidzieć, gdzie i kiedy ponton dopłynie do jakiegokolwiek brzegu. Mężczyźni zostali zamordowani strzałami z bliska, lecz najpierw poddano ich torturom. Torturuje się ludzi z zemsty lub w celu wyduszenia z nich informacji. Następne, o czym trzeba pamiętać, to to, że obaj byli pod wpływem narkotyków, konkretnie amfetaminy. Narkotyki w jakiś sposób związane są z tą historią. Poza tym mam wrażenie, że obaj mężczyźni byli dobrze sytuowani. Wskazuje na to ich ubiór. Według miary wschodnioeuropejskiej mieli zapewne sporo pieniędzy, jeśli było ich stać na takie ubrania i buty. Ja nigdy nie mógłbym sobie pozwolić na takie ciuchy.

Loven wybuchnął śmiechem na ten komentarz, ale Birgitta Tom dalej z zacięciem patrzyła w stół.

- A zatem wiemy całkiem sporo - ciągnął Wallander. - Nawet jeśli nie potrafimy złożyć wszystkich części w jeden obraz, wyjaśniający przebieg wydarzeń i przyczynę zamordowania mężczyzn. Teraz trzeba dowiedzieć się właściwie tylko jednej rzeczy: kim oni są. Na tym musimy się skupić. Powinniśmy też zrobić szybkie badanie balistyczne kul, które spowodowały ich śmierć. Chcę również dostać dokładne informacje na temat wszystkich zaginionych czy poszukiwanych osób w Szwecji i Danii. Zdjęcia, odciski palców i rysopisy mają być natychmiast wysłane przez Interpol. Może znajdziemy coś w rejestrach? Poza tym trzeba jak najszybciej skontaktować się z policją sowiecką i republik nadbałtyckich, jeśli to jeszcze nie zostało zrobione. Może Birgitta Törn potrafi coś na ten temat powiedzieć?

- Zrobimy to w ciągu dnia - powiedziała. - Skontaktujemy się z międzynarodowym działem moskiewskiej policji.

- Trzeba również skontaktować się z policją w Estonii, na Łotwie i na Litwie.

- Zrobimy to za pośrednictwem Moskwy.

Wallander spojrział na nią pytająco, po czym zwrócił się do Bjórka.

- Czy nie mieliśmy tu wizyty przedstawicieli litewskiej policji ubiegłej jesieni?

- Jest pewnie tak, jak ona mówi - odpowiedział Bjórk.

- Z pewnością istnieje w tych krajach policja narodowa, lecz formalnie wciąż decydują Sowietci.

- Nie jestem tego taki pewny - powiedział Wallander. - Ale MSZ z pewnością wie lepiej niż ja.

- Tak - odparła Birgitta Tórn. - Wiemy.

Bjórk zakończył zebranie, a później od razu zniknął gdzieś z Birgittą Tórn. Konferencję prasową zwołano na drugą po południu.

Wallander pozostał w sali konferencyjnej, by razem z pozostałymi kolegami omówić zadania, które mieli przed sobą.

Svedberg przyniósł plastikowy woreczek z dwoma pociskami, a Loven miał się zająć sprawą badań balistycznych. Ogromną robotę, jaką było przeczesanie rejestru osób poszukiwanych i zaginionych, rozdzielono między wszystkich. Martinsson, który miał osobiste kontakty z policją w Kopenhadze, wziął na siebie kontakt z kolegami po drugiej stronie cieśniny.

- O konferencji prasowej nie musicie myśleć - powiedział Wallander na koniec. - To zmartwienie Bjórka i moje.

- Czy konferencje są tutaj tak samo przykre jak w Sztokholmie? - spytał Rónnlund.

- Nie wiem, jak to wygląda w Sztokholmie, ale tu nie są zbyt zabawne.

Reszta dnia upłynęła na rozsyłaniu rysopisów do wszystkich okręgów policyjnych w kraju i do pozostałych państw

skandynawskich. Poza tym trzeba było przejrzeć pewną ilość różnych rejestrów. Dość szybko okazało się, że odcisków palców zamordowanych mężczyzn nie było w rejestrach ani szwedzkiej, ani duńskiej policji. Interpol potrzebował więcej czasu na zbadanie sprawy. Wallander i Loven odbyli dłuższą rozmowę o tym, na ile dawne wschodnie Niemcy stały się już pełnoprawnym członkiem Interpolu i czy ich rejestr został przekazany do centralnego systemu komputerowego, obejmującego całe nowe Niemcy, czy w NRD istniał zwykły rejestr przestępców i czy w ogóle istniała granica między rejestrem policji kryminalnej a kartoteką tajnej policji politycznej.

Loven podjął się zbadania tej sprawy, a Wallander miał przygotować konferencję prasową.

Tuż przed konferencją spotkał pełnego rezerwy Bjórka.

Czemu nic nie mówi, zastanawiał się Wallander. Może uważa, że byłem zbyt obcesowy wobec tej wytwornej damy z MSZ.

W pokoju konferencyjnym zebrało się sporo dziennikarzy i przedstawicieli mass mediów. Wallander szukał wzrokiem młodego dziennikarza z „Expressen”, lecz go nie znalazł. Jak zwykle, rozpoczął Bjórk. Z nieoczekiwaną gwałtownością zaatakował to, co nazwał *niepojętymi bredniami*, które zostały rozpowszechnione przez prasę. Wallander pomyślał o nocnym spotkaniu z zalęknionym mężczyzną. Kiedy nadeszła jego kolej, powtórzył swój apel o zgłaszanie policji ewentualnych spostrzeżeń. A gdy jeden z dziennikarzy spytał, czy nie wpłynęły jeszcze żadne informacje w tej sprawie, odpowiedział, że jak dotąd jest cicho.

Konferencja była nadzwyczaj jałowa, Bjórk mimo to opuszczał pokój zadowolony.

- Co robi dama z MSZ? - spytał Wallander, kiedy szli korytarzem.

- Najczęściej rozmawia przez telefon. Pewnie uważasz, że powinniśmy podsłuchiwać te rozmowy?

- Może to nie najgorszy pomysł - mruknął Wallander.

Dzień minął bez niespodziewanych zdarzeń. Teraz pozostawało tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać na skutek, jaki przyniesie uruchomienie tych wszystkich kontaktów, nad którymi dziś pracowali. Tuż przed szóstą Martinsson wetknął głowę do pokoju Wallandera, pytając, czy ten nie miałby ochoty przyjść do niego na kolację. Zaprosił też Rónnlunda i Lovena, którzy zdawali się tęsknić za domem.

- Svedberg miał inne plany. Birgitta Törn zamierza pojechać wieczorem do Malmö. Masz ochotę przyjść?

- Niestety, wieczorem jestem zajęty, nie zdążę.

Była to tylko po części prawda. Jeszcze nie do końca się zdecydował, czy pojechać wieczorem do Brantevik, by dokładniej obejrzyć kuter.

O wpół do siódmej odbył swą codzienną rozmowę z ojcem. Dostał polecenie przywiezienia nowej talii kart, kiedy przyjedzie następnym razem. Po rozmowie opuścił komendę. Wiatr ucichł, niebo było przejrzyste. W drodze do domu zrobił zakupy. O ósmej, kiedy już zjadł i czekał, aż kawa będzie gotowa, wciąż nie mógł się zdecydować, czy pojechać do Brantevik. Czuł się zmęczony po nocnej wyprawie i pomyślał, że równie dobrze może to zrobić jutro. Długo siedział nad kawą przy kuchennym stole. Próbował wyobrazić sobie, że Rydberg siedzi naprzeciwko, komentując wydarzenia dzisiejszego dnia. Krok za krokiem omawiał śledztwo ze swym niewidzialnym gościem. Minęły już trzy dni od czasu, gdy ponton wylądował przy Mossby Strand. Jeśli nie zdołają zidentyfikować zamordowanych mężczyzn, nie posuną się dalej, a wtedy zagadka najprawdopodobniej pozostanie nierozwiązana.

Odstawił kubek do zlewu, podlał więdnący kwiat w oknie,

po czym przeszedł do dużego pokoju, włączył płytę Marii Callas i słuchając *Traviaty*, zdecydował ostatecznie, że kuter może poczekać.

Później próbował zadzwonić do córki, studiującej na uniwersytecie ludowym pod Sztokholmem. Uzyskał połączenie, czekał długo, lecz nikt nie odpowiadał. O wpół do jedenastej poszedł w końcu spać i zasnął niemal od razu. Następnego dnia, w piątym dniu śledztwa, tuż przed czternastą, stało się to, na co wszyscy czekali. Birgitta Tórn weszła do pokoju Wallandera i wręczyła mu teleks. Za pośrednictwem nadrzędnych władz w Moskwie policja z Rygi informowała, że denaci, znaleźni na pontonie ratunkowym przy szwedzkim wybrzeżu, prawdopodobnie byli obywatelami łotewskimi. By ułatwić dalsze dochodzenie, major Litwinow z moskiewskiej policji proponował szwedzkim kolegom, by skontaktowali się bezpośrednio z sekcją do spraw przestępstw w Rydze.

- A więc istnieje - powiedział Wallander. - Łotewska policja.
- A kto temu przeczył? - odparła Birgitta Tórn. - Lecz gdyby zwrócił się pan bezpośrednio do Rygi, mogłyby powstać dyplomatyczne komplikacje. Nie jest pewne, czy w ogóle otrzymalibyśmy jakąś odpowiedź. Przypuszczam, że nie uszło pańskiej uwagi, że sytuacja na Łotwie jest w obecnej chwili bardzo napięta.

Wallander wiedział, co miała na myśli. Jeszcze nie minął miesiąc od czasu, kiedy elitarne jednostki sowieckie, zwane czarnymi beretami, ostrzelały budynek ministerstwa spraw wewnętrznych w centrum Rygi. Zginęło sporo niewinnych ludzi. Wallander widział w gazetach zdjęcia barykad, wznoszonych z kamiennych bloków i zespawanych żelaznych rur. Ale mimo to nie bardzo rozumiał, co się właściwie stało. Zaczynał odnosić wrażenie, że zawsze wiedział zbyt mało o tym, co się wokół niego dzieje.

- To co teraz robimy? - spytał niepewnie.

- Nawiązemy kontakt z policją w Rydze. Przede wszystkim musimy dostać potwierdzenie, że na pewno chodzi o osoby wymienione w teleksie.

Wallander przeczytał go jeszcze raz. Człowiek z kutra miał najwyraźniej rację. Ponton rzeczywiście przydryfował z którejś z republik nadbałtyckich.

- Wciąż nie wiemy, kim są ci mężczyźni.

Dowiedział się tego po trzech godzinach. Zapowiedziano rozmowę z Rygą, i grupa śledcza zebrała się w pokoju konferencyjnym. Bjórk był tak podekscytowany, że rozlał sobie kawę na garnitur.

- Czy ktoś zna łotewski? - spytał Wallander. - Bo ja nie.

- Rozmowa odbędzie się po angielsku - poinformowała Birgitta Tórn. - Poprosiliśmy o to.

- Ty będziesz rozmawiać. - Bjórk zwrócił się do Wallandera.

- Mój angielski nie jest najlepszy.

- Jego z pewnością też nie - skonstratował Rónnlund. - Jak się nazywa? Major Litwinow? Na pewno się wyrówna.

- Major Litwinow pracuje w Moskwie - zaznaczyła Birgitta Tórn. - Teraz mamy rozmawiać z policją w Rydze, która jest stolicą Łotwy.

Dziewiętnaście minut po piątej zadzwonił telefon. Dźwięk był zadziwiająco wyraźny, Wallander usłyszał w słuchawce głos człowieka, który przedstawił się jako major Liepa z policji kryminalnej w Rydze. Słuchał, notując. Od czasu do czasu odpowiadał na pytanie. Major Liepa mówił kiepsko po angielsku. Wallander nie był do końca pewien, czy go dobrze rozumie, lecz po zakończeniu rozmowy okazało się, że zapisał wszystko, co najważniejsze.

Dwa nazwiska. Dwie tożsamości.

Janis Leja i Juris Kalns.

- Ryga miała ich odciski palców - powiedział Wallander. Według majora Liepy nie ma wątpliwości, że chodzi o te właśnie osoby.

- Świetnie - powiedział Bjórk. - Co to za panowie?

Wallander sięgnął do notatek.

- *Notorious criminals* - przeczytał. - Tłumaczy się to pewnie jako notoryczni kryminaliści?

- Czy miał jakiś pogląd na to, dlaczego ich zamordowano? - zastanawiał się Bjórk.

- Nie. Ale nie wydawał się specjalnie zdziwiony. Jeśli go dobrze zrozumiałem, ma przysłać trochę materiału. Poza tym pytał, czy chcielibyśmy, żeby przysłał kilku łotewskich policjantów do pomocy przy śledztwie.

- Byłoby wspaniale. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

- MSZ naturalnie rozpatrzy tę propozycję - powiedziała Birgitta Tórn.

Na tym skończyli. Następnego, szóstego dnia śledztwa, major Liepa przysłał teleks, informując, że jutro po południu osobiście przybędzie na międzynarodowe lotnisko Arlanda pod Sztokholmem, a stamtąd uda się prosto na Sturup.

- Major - powiedział Wallander. - Co to oznacza?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Martinsson. - Ja sam najczęściej czuję się kapralem w tym zawodzie.

Birgitta Tórn wróciła do Sztokholmu. Wallander miał nadzieję, że nigdy już jej nie zobaczy. Gdy zniknęła, trudno mu było przypomnieć sobie jej głos czy wygląd.

Nigdy jej nie zobaczę, pomyślał. I pewnie nie dowiem się, po co właściwie tu przyjechała.

Bjórk wziął na siebie odebranie łotewskiego majora z lotniska. Co oznaczało, że Wallander mógł poświęcić wieczór ojcu i pograć z nim w kanastę. Jadąc do Lóderup, pomyślał, że zagadka pontonu zostanie wkrótce rozwiązana. Łotewski policjant poda im prawdopodobny motyw zbrodni i całe śledztwo będzie można przenieść do Rygi. Tam należało szukać sprawców. Ponton przyplłynął do Szwecji, ale sprawa miała swój początek po drugiej stronie Bałtyku.

Zwłoki zostaną przewiezione na Łotwę, gdzie musi
znajdować się rozwiązanie ich zagadki.

Nie wiedział jeszcze, jak bardzo się myli.

Tak naprawdę wszystko miało się dopiero zacząć.

A tymczasem zima na dobre rozgościła się w Skanii.

Kurt Wallander wyobrażał sobie, że major Liepa pojawi się na komendzie w Ystadzie ubrany w mundur. Lecz mężczyzna, którego mu przedstawiono siódmego dnia śledztwa rano, miał na sobie szary, workowaty garnitur i źle zawiązany krawat. Był niski, a jego uniesione ramiona sprawiały wrażenie, jakby w ogóle nie miał szyi. Wallander nie zauważył u niego żadnych żołnierskich gestów. Major miał na imię Karlis, palił jednego papierosa za drugim, tak że koniuszki jego palców były żółte od nikotyny.

Nałóg majora od razu stał się problemem na komendzie. Zirytowani przeciwnicy palenia przychodzili do Bjórka, skarżąc się, że Liepa pali wszędzie, nawet w strefach uznanych za całkowicie wolne od dymu tytoniowego. Bjórk prosił, by okazać gościowi zrozumienie, lecz później zlecił Wallanderowi, by powiedział majorowi, że powinien respektować zakaz palenia. Gdy Wallander łamaną angielszczyzną przekazał sprawę Liepie, ten wzruszył ramionami i natychmiast zgasił papierosa. Od tej chwili unikał palenia poza pokojem Wallandera i salą konferencyjną. Ale dym zaczynał przeszkadzać nawet Wallanderowi, poprosił więc Bjórka, by dał majorowi oddzielny pokój. W końcu rozwiązano to tak, że Svedberg chwilowo wprowadził się do Martinssona, a Liepa rozgościł się w jego pokoju.

Major Liepa był zaawansowanym krótkowidzem. Jego szkła bez oprawek zdawały się zbyt słabe. Czytając, trzymał kartkę zaledwie parę centymetrów od oczu. Można by sądzić, że wacha papier, a nie studiuje tekst. Tym, którzy na niego patrzyli, trudno było z początku powstrzymać się od uśmieszków. Wallander, słysząc na korytarzu pogardliwe komentarze na temat niskiego, przygarbionego majora z Łotwy, natychmiast je przerywał. Liepa był wyjątkowo

byстрыm i przenikliwym policjantem, co Wallander zauważył od razu. W pewien sposób przypominał Rydberga, przede wszystkim pracował z podobną pasją. Nawet jeśli pewne stałe procedury, według których prowadzone było prawie każde śledztwo, ułatwiały popadnięcie w rutynę, oni jej nie ulegali. Major Liepa był zapalczywy. Jego bezbarwny wygląd zewnętrzny skrywał bystry umysł doświadczonego śledczego.

Ranek siódmego dnia był szary i wietrzny. Zbliżająca się zamieć miała przejść nad Skanią pod wieczór. Ponieważ gwałtowna epidemia grypy zdziesiątkowała personel komendy, Bjórk był zmuszony chwilowo wyłączyć Svedberga ze śledztwa. Inne przestępstwa, odłożone tymczasowo na bok, domagały się natychmiastowego działania. Loven i Rónnlund wrócili do Sztokholmu. Bjórk, czując się nie w formie, zostawił Martinssona i Wallandera z majorem Liepą. Siedzieli w sali konferencyjnej, major kopcił jednego papierosa za drugim.

Wallander, który poprzedniego wieczora grał z ojcem w kanastę, nastawił budzik na piątą, by zdążyć przeczytać broszurę o Łotwie, którą dzień wcześniej wyszukano mu w księgarni. Pomyślał też, że powinni wymienić się informacjami o tym, jak zorganizowana jest policja w obu krajach. Sam fakt, że łotewska policja posługiwała się stopniami wojskowymi, wskazywał na duże różnice. Pijąc poranną kawę, próbował sformułować po angielsku parę ogólnych uwag na temat szwedzkiej policji, lecz nagle poczuł niepewność. Sam niewiele wiedział o tym, jak funkcjonuje szwedzka policja. A na dodatek ten energiczny nadgorliwiec, komendant główny policji, w ramach reorganizacji wprowadził ostatnio szereg zmian. Wallander naczytał się o tym w tasiemcowych i, jak zawsze, podle napisanych okólnikach. Kiedy przy jakiejś okazji próbował porozmawiać z Bjórkiem o tym, na czym właściwie polegała

ta reorganizacja, otrzymywał niejasne i wymijające odpowiedzi. Siedząc naprzeciwko wciąż palącego majora, pomyślał, że na razie nie będzie o tym mówił. Jeśli wynikną jakieś nieporozumienia, wyjaśni się je na bieżąco.

Kiedy Bjórk, kaszląc, opuścił pokój, Wallander pomyślał, że wypadałoby zacząć od paru zwrotów grzecznościowych. Spytał, gdzie Liepa zatrzymał się na czas wizyty w Ystadzie.

- W hotelu. Ale nie wiem, jak się nazywa.

Odpowiedź majora zbiła go z tropu, Liepa zdawał się zainteresowany tylko śledztwem.

Na grzeczności będzie czas później, pomyślał Wallander. Wszystko, co nas teraz łączy, to śledztwo, nic innego.

Major opowiedział szczegółowo o tym, jak łotewskiej policji udało się ustalić tożsamość obu mężczyzn. Źle mówił po angielsku, co go wyraźnie irytowało. W przerwie Wallander zadzwonił do przyjaciela księgarza pytając, czy nie ma jakiegoś słownika łotewsko-angielskiego. Nie miał. Byli więc zmuszeni przedzierać się przez tekst łotewskiego raportu przy pomocy jedyne go języka znanego, choć na bardzo niskim poziomie, obu stronom.

Po dziewięciu godzinach intensywnego czytania dokumentu - podczas których obaj z Martinssonem z przerażeniem patrzyli na kopie niezrozumiałego, łotewskiego protokołu, a major Liepa tłumaczył, szukał słów i przedzierał się przez tekst - Wallander miał jako taki obraz sytuacji. Janis Leja i Juris Kalns, mimo stosunkowo młodego wieku, zasłynęli już jako nieobliczalni i brutalni przestępcy. Nie uszła uwadze Wallandera pogarda, z jaką major powiedział, że należeli do rosyjskiej mniejszości na Łotwie. Wiedział, że spora część Rosjan, mieszkających na Łotwie od czasu rosyjskiej aneksji po drugiej wojnie światowej, sprzeciwiała się dążeniom do uzyskania suwerenności. Nie wiedział jednak nic o skali tego problemu, jego wiedza z dziedziny polityki była zbyt uboga. Ale pogarda majora Liepy była wyraźna i ujawniała

się często.

- Rosyjscy bandyci - mówił. - *Russian bandits, members of our Eastern mafia.*

Dwudziestoosmioletni Leja i trzydziestojednoletni Kalns mieli na swym koncie długą listę przestępstw. Zajmowali się rabunkiem i napadami, przemytem i nielegalnymi transakcjami walutowymi. Ryska policja podejrzewała ich o przynajmniej trzy morderstwa, lecz niczego nie można było im udowodnić.

Kiedy Liepa przedstawił w końcu wszystkie raporty i wyciągi z lotewskich rejestrów kryminalnych, Wallander sformułował pytanie, które uważał za bardzo istotne.

- Ci faceci mają na sumieniu mnóstwo poważnych przestępstw. (Przetłumaczenie słowa „poważny” sprawiło mu trudności, aż w końcu Martinsson zaproponował angielskie sformułowanie *serious*). Zadziwia fakt, że w więzieniu siedzieli bardzo krótko, mimo że udowodniono im winę i zostali skazani.

Błada twarz majora Liepy otworzyła się w szerokim uśmiechu.

Chciał otrzymać to pytanie, pomyślał Wallander. To ważniejsze niż wszystkie grzecznościowe zwroty.

- Muszę wyjaśnić, jak to jest z moim krajem - powiedział Liepa, zapalając nowego papierosa. - Nie więcej niż piętnaście procent ludności Łotwy to Rosjanie, a mimo to od czasów drugiej wojny światowej zdominowali oni wszystkie dziedziny życia. Napływ Rosjan był jedną z metod ucisku, stosowanych przez komunizm moskiewski. Może nawet najefektywniejszą z metod. Pyta pan, jak to jest możliwe, że Leja i Kalns tak krótko siedzieli w więzieniu, kiedy właściwie powinni dostać dożywocie, a może nawet wyrok śmierci. Nie twierdzą, że wszyscy sędziowie i prokuratorzy są skorumpowani - byłoby to dużym uproszczeniem - lecz sądzę, że Leja i Kalns mieli też innych,

znacznie silniejszych protektorów.

- Mafię - powiedział Wallander.

- I tak, i nie. Mafia w naszych krajach również potrzebuje ochrony. Jestem pewien, że Leja i Kalns przeznaczali dużo czasu na świadczenie usług dla KGB. A tajnej policji nigdy się nie podobało, kiedy jej ludzie siedzieli w więzieniu, jeżeli nie byli zdrajcami czy donosicielami. „Opiekuńczy” cień Stalina ciągle się unosi nad ich głowami.

Dotyczy to również Szwecji, pomyślał Wallander szybko. Choć nie możemy się pochwalić żadnym cieniem za kulisami. Tego rodzaju zawiła sieć zależności występuje nie tylko w systemach totalitarnych.

- KGB - powtórzył major. - A potem mafia. Jedno związane z drugim. Nici znają tylko wtajemniczeni.

- Mafia - odezwał się Martinsson, który dotąd milczał, ograniczając się do podsuwania Wallanderowi właściwych wyrażen i słów angielskich. - To dla nas coś nowego. Świetnie zorganizowane rosyjskie czy wschodnioeuropejskie syndykaty zbrodni. Kilka lat temu szwedzka policja zorientowała się, że zaczęły się u nas pojawiać szajki sowieckiego pochodzenia, przede wszystkim w Sztokholmie. Ale wciąż wiemy o nich zbyt mało. Kilka brutalnych zbrodni wynikających z wewnętrznych porachunków stanowiło pierwszą oznakę tego, że coś zaczyna się dziać. I ostrzeżenie, że ci ludzie w ciągu najbliższych lat będą próbowali wbić klin w tutejszy światek przestępczy i zająć w nim kluczowe pozycje.

Wallander z zazdrością słuchał angielszczyzny Martinssona. Wymowę miał fatalną, ale zasób słów znacznie większy niż on. Dlaczego Główny Zarząd Policji nie organizuje kursów angielskiego, zamiast tych wszystkich cholernych pogadank o kierowaniu personelem czy o wewnętrznej demokracji, myślał z irytacją.

- To z pewnością prawda - powiedział major Liepa. - Gdy

państwa komunistyczne ulegają rozkładowi, są niczym rozbite statki. Przestępcy, niczym szczury, uciekają pierwsi. Mają kontakty, mają pieniądze, stać ich na to. Wiele osób z państw Europy Wschodniej, które starają się o azyl na Zachodzie, to bandyci, nieuciekający przed prześladowaniem, lecz szukający nowych terenów łowieckich. Bardzo łatwo sfalszować historię i tożsamość człowieka.

- Panie majorze - powiedział Wallander. - Mówi pan: „sądzę”. *You believe. You do not know?*

- Jestem pewien, ale nie mogę tego udowodnić. Jeszcze nie. Wallander czuł, że słowa majora kryły znaczenia i związki, których nie był w stanie od razu ogarnąć czy zrozumieć. Na Łotwie świat przestępczy był powiązany z elitą polityczną, za którą stało prawo i władza, jej przedstawiciele mogli więc tuszować zbrodnie i bezpośrednio wpływać na sankcje karne. Martwi ludzie z pontonu przynieśli ze sobą ukrytą informację osadzoną w obcym i skomplikowanym kontekście. Czyje ręce naprawdę trzymały broń wycelowaną w ich serca?

Wallander pojął nagle z całkowitą jasnością, że dla majora każde śledztwo oznacza szukanie dowodów odsłaniających tło polityczne. Może trzeba podobnie pracować w Szwecji, pomyślał. Może trzeba uzmysłwić sobie, że nie dość głęboko wnikamy w naturę przestępczości, która nas otacza?

- A denaci? - spytał Martinsson. - Kto ich zamordował i dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedział Liepa. - Oczywiście wykonano na nich wyrok. Ale dlaczego ich torturowano? I kto to zrobił? Czego chcieli się dowiedzieć, nim ich uciszyli? Czy dowiedzieli się tego? Ja też mam wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi.

- Wątpię, by rozwiązanie można było znaleźć w Szwecji -

powiedział Wallander.

- Wiem - odpowiedział Liepa. - Może jest na Łotwie.

Wallander podskoczył. Dlaczego powiedział „może”?

- Jeśli nie na Łotwie, to gdzie?

- Dalej - odrzekł Liepa.

- Dalej na wschód - podsunął Martinsson.

- Lub może dalej na południe - powiedział Liepa z ociąganiem, widać było, że na razie nie chce ujawniać swoich myśli.

Spotkanie przerwano. Wallander poczuł, że po ślęczeniu nad raportami majora odezwało się jego stare lumbago. Martinsson obiecał majorowi pomoc przy wymianie waluty w którymś z banków. Wallander poprosił go również, by skontaktował się z Lovenem w Sztokholmie i spytał o wyniki badań balistycznych. On sam miał napisać raport ze spotkania; prokurator Anette Brolin zostawiła wiadomość, że chce go dostać jak najszybciej.

Droga Brolin, pomyślał Wallander, opuszczając zadymiony pokój konferencyjny, tą sprawą nie będą musiały zajmować się nasze sądy. Wyślemy ją jak najszybciej do Rygi, razem z parą zwłok i czerwonym pontonem. A potem odfajkujemy śledztwo, wiedząc, że zrobiliśmy swoje i „nic nie skłania do podjęcia dalszych kroków”.

Po lunchu Wallander napisał raport, a Martinsson towarzyszył majorowi, który chciał kupić ubranie dla żony. Skończył właśnie rozmowę z prokuraturą, podczas której przekazano mu, że Anette Brolin może go przyjąć, gdy wszedł Martinsson.

- Gdzie masz majora? - spytał Wallander.

- Siedzi w swoim pokoju i pali. Już zdążył rozsypać popiół na wytworny dywan Svedberga.

- Jadł coś?

- Zaprosiłem go do Lurblasaren na lunch. Była pieczeń. Nie sądzę, by mu smakowała. Głównie palił i pił kawę.

- Rozmawiałaś z Lovenem?
 - Ma grypę, leży w domu.
 - Rozmawiałaś w takim razie z kimś innym?
 - Nie można się było dodzwonić. Nikogo nie można złapać. Nie wiadomo, kiedy ktokolwiek będzie na miejscu. Wszyscy obiecują oddzwonić, ale nikt tego nie robi.
 - Może Rónnlund mógłby ci pomóc?
 - I jego próbowałem złapać, ale poszedł gdzieś w sprawie służbowej. Nikt nie wiedział w jakiej ani gdzie, ani kiedy ma wrócić.
 - Spróbuj jeszcze raz. Ja idę do prokuratora z raportem. Myślę, że niedługo będziemy mogli oddać całą sprawę majorowi. Zwłoki, ponton i materiał śledczy. Wszystko będzie mógł zabrać ze sobą do Rygi.
 - Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać.
 - O czym?
 - O pontonie.
 - A co z nim?
 - Major Liepa chciałby go zbadać.
 - Wystarczy zejść do piwnicy.
 - To nie takie proste.
- Wallander poczuł irytację. Martinsson miał czasami trudności z powiedzeniem wprost, o co chodzi.
- Czy to takie trudne, zejść schodami do piwnicy?
 - Ponton zniknął.
- Wallander spojrział z niedowierzaniem na Martinssona.
- Zniknął?
 - Tak. Zniknął.
 - Co masz na myśli? Przecież ponton stoi w piwnicy na dwóch wspornikach, tam, gdzie badaliście go razem z kapitanem Osterdahlem. A propos, powinniśmy napisać do niego i podziękować mu za pomoc. Dobrze, że mi przypomniałeś.
 - Wsporniki są, ale ponton zniknął.

Wallander zrozumiał nagle, o czym mówi Martinsson. Odłożył papiery i razem zbiegli na dół.

Martinsson mówił prawdę. Pontonu nie było. Drewniane wsporniki leżały przewrócone na betonowej posadzce.

- Co tu się stało, do cholery?! - ryknął Wallander. Martinsson odpowiedział z wahaniem, jakby sam wątpił w to, co mówi.

- Było włamanie. Wczoraj wieczorem Hansson widział ponton, gdy zaszedł tu w jakiejś sprawie. Dziś rano policjant z drogówki zobaczył, że jedne z drzwi są wyłamane. Ponton musiano więc ukraść ostatniej nocy.

- To niemożliwe. Nie mogli się przecież włamać do komisariatu! Tu są przez całą dobę ludzie! Czy czegoś jeszcze brakuje? Dlaczego nikt mnie o tym nie powiadomił?

- Ten z drogówki powiedział Hanssonowi, ale Hansson zapomniał zawiadomić ciebie. Tu nie było niczego poza pontonem. Wszystkie inne drzwi były zamknięte, nie wyłamano ich. Tym, którzy to zrobili, chodziło tylko o ponton.

Wallander wpatrywał się tępo w przewrócone klocki. Czuł narastający niesmak.

- Martinsson - powiedział wolno. - Mógłbyś sobie przy przypomnieć, czy w gazecie było coś o tym, że ponton leży w piwnicy na komendzie?

Martinsson zastanowił się.

- Tak. Pamiętam, czytałem, że ponton jest w piwnicy. Poza tym wydaje mi się, że był tu fotograf. Ale kto ryzykuje włamanie na policję, żeby zabrać ponton?

- Ano właśnie. Kto ryzykuje?

- Nic nie rozumiem.

- Może major Liepa będzie rozumiał. Przyprowadź go tu, a później przeprowadzimy dokładną wizję lokalną. Jak pójdziesz po majora, to daj komuś znać, żeby zawołali tego z drogówki. Kto to był?

- Wydaje mi się, że Peters. Pewnie jest teraz w domu i śpi. Jeśli w nocy będzie zadymka, czeka go ciężka służba.

- Tak czy inaczej, musimy go obudzić - powiedział Wallander. - Nie ma rady.

Martinsson zniknął i Wallander został w piwnicy sam. Podeszedł do wyłamanych drzwi i popatrzył na nie. Mimo że były wykonane z grubej stali i miały podwójne zamki, włamywacze dostali się do środka, nie uszkadzając samych drzwi. Zamek otwarto wytrychem.

Ktoś wiedział, czego chce, i wiedział, jak się otwiera zamki, pomyślał.

Jeszcze raz popatrzył na przewrócone wsporniki. Sam przecież badał ponton tak długo, aż uzyskał pewność, że niczego nie przeoczył. Badali go również Martinsson i Ósterdahl, a także Rónnlund i Loven. Czego nie zauważyliśmy, zastanawiał się. Coś musieliśmy przeoczyć.

Martinsson wrócił z palącym papierosa majorem i wyjaśnił mu, co się stało. Wallander włączył wszystkie jarzeniówki u sufitu i obserwował Liepę. Tak, jak się spodziewał, Liepa nie był specjalnie zdziwiony. Potakiwał tylko głową na znak, że rozumie, po czym zwrócił się do Wallandera:

- Zbadali panowie ponton? Jakiś stary kapitan zidentyfikował go jako wyprodukowany w Jugosławii? To na pewno się zgadza. Masa jugosłowiańskich pontonów ratunkowych znajduje się na pokładach lotewskich statków. Nawet łodzi policyjnych. A zatem zbadali panowie ponton?

- Tak - odrzekł Wallander.

W tym momencie pojawił swój fatalny błąd.

Nikt nie pomyślał, by wypuścić z pontonu powietrze. Nikt nie zajrzał do środka. On sam również o tym nie pomyślał. Było mu wstyd. Jak mógł o tym zapomnieć, dlaczego nie rozpruł pontonu? Prędzej czy później wpadłby na to, lecz oczywiście powinien był zrobić to od razu.

Major Liepa zdawał się czytać w jego myślach. Nie było

sensu tłumaczyć mu tego, co już sam wydedukował.

- Co mogło być *inside*? - spytał majora. Ten wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie narkotyki.

Wallander zastanowił się.

- To się nie trzyma kupy. Zostawia się zwłoki w pontonie zawierającym narkotyki? Pozwala mu się płynąć, gdzie go prąd poniesie?

- Ma pan rację - odparł Liepa. - Ale może popełniono błąd. A ci, którzy wynieśli ponton, mieli go właśnie naprawić.

Przez najbliższą godzinę byli zajęci dokładnym przeczesywaniem piwnicy. Wallander pobiegł do recepcji i poprosił Ebbę, by znalazła wiarygodny powód, wyjaśniający Anette Brolin, dlaczego Wallander nie może dostarczyć jej raportu. Sprawa włamania rozniosła się po całej komendzie, aż doszła do Bjórka, który jak burza wpadł do piwnicy.

- Jeśli to wyjdzie poza komendę, staniemy się pośmiewiskiem dla całego kraju.

- Nie wyjdzie - powiedział Wallander. - Jest zbyt żenujące.

Wyjaśnił Bjórkowi, co się przypuszczalnie stało. Zdał sobie sprawę, że usłyszawszy to, jego przełożony z pewnością będzie miał poważne wątpliwości, czy Wallander jest właściwą osobą do prowadzenia tak skomplikowanego śledztwa. Błąd był nie do wybaczenia.

Czyżbym zrobił się leniwy? - zadał sobie pytanie. Może nie nadaję się nawet na ochroniarza w fabryce wyrobów gumowych w Trelleborgu? Może powinienem się przeprowadzić do Malmö i wrócić do patrolowania ulic?

W piwnicy nie znaleziono niczego, ani odcisków palców, ani śladów stóp na zakurzonej posadzce. Wyżwirowane podwórko przed wyłamanymi drzwiami było rozjeżdżone przez policyjne samochody i nie dało się na nim rozróżnić jakichkolwiek śladów.

Nie mając tu już nic więcej do roboty, wrócili do sali

konferencyjnej. Przyjechał Peters, skwaszony i wściekły, że został obudzony. Mógł podać tylko dokładny czas, kiedy zauważył włamanie. Wallander wypytał też nocny personel, lecz niestety, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Nic. Kompletnie nic.

Wallander poczuł nagle zmęczenie, rozboleła go głowa od dymu z papierosów majora, który musiał bez przerwy wdychać.

Co teraz robić, myślał. Co by zrobił Rydberg?

Dwa dni później zniknięcie pontonu wciąż stanowiło zagadkę.

Major Liepa uważał, że koncentrowanie się na próbach odnalezienia pontonu było marnowaniem czasu. Wallander niechętnie przyznał mu rację. Lecz uczucie, że popełnił niewybaczalny błąd, nie opuszczało go ani na chwilę. Miał chandrę i każdego ranka budził się z bólem głowy.

Na Skanię spadła gwałtowna burza śnieżna. Policja apelowała przez radio, by ludzie siedzieli w domu i nie wyjeżdżali nigdzie dalej bez wyraźnej potrzeby. Dom, w którym mieszkał ojciec Wallandera, został zasypany śniegiem. Ale gdy zadzwonił do niego, pytając, czy ma wszystko, czego potrzebuje, ojciec odpowiedział, że nawet nie zauważył, że zasypało drogę. W ogólnym chaosie, jaki powstał po zniknięciu pontonu, śledztwo utknęło. Major Liepa zamknął się w pokoju Svedberga, studiując wyniki badań balistycznych, przysłane przez Lovena. Wallander odbył długą rozmowę z Anette Brolin na temat aktualnego stanu śledztwa. Za każdym razem, kiedy ją spotykał, przypominał sobie, jak to rok temu gwałtownie się w niej zakochał. Teraz mu się wydawało, że chyba to sobie wmówił. Anette skontaktowała się z prokuratorem generalnym i wydziałem prawnym MSZ, by dostać zielone światło na umorzenie sprawy w Szwecji i przekazanie jej policji w Rydze. Liepa dopilnował, by łotewska policja

wystosowała formalną prośbę do MSZ.

Pewnego wieczoru, gdy zawieja szalała w najlepsze, Wallander zaprosił majora do siebie do domu. Wypili butelkę whisky. Wallander poczuł się pijany już po kilku szklaneczkach, na Liepę alkohol zdawał się nie działać. Tytułowany przez Wallandera „majorem”, nie miał nic przeciwko temu. Niełatwo było z nim rozmawiać. Nie wiadomo, czy powodem była jego nieśmiałość, trudności z angielskim, czy też może cechowało go poczucie wyższości pomieszane z rezerwą. Wallander opowiadał o swojej rodzinie, o Lindzie, która studiowała na uniwersytecie ludowym w Sztokholmie. Major odpowiedział krótko: żona nazywa się Baiba, dzieci nie mają.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność, chwilami siedzieli w milczeniu, ze szklaneczkami w dłoniach.

- Szwecja i Łotwa - zaczął Wallander. - Czy istnieją podobieństwa czy tylko różnice? Gdy myślę o Łotwie, próbuję stworzyć sobie jakiś obraz. Lecz nic nie widzę, choć jesteśmy prawie sąsiadami.

Słyszac swój głos, uświadomił sobie, że pytanie jest bez sensu. Szwecja nie była krajem zarządzanym jak kolonia, przez obce państwo. Na szwedzkich ulicach nie wznoszono barykad, nie strzelano do niewinnych ludzi, nie miażdżono ich czołgami. Czy istniało coś innego niż różnice?

Odpowiedź majora była zaskakująca.

- Jestem religijny - zaczął - choć nie wierzę w żadnego boga. Można wierzyć w coś, co wykracza poza naszą zdolność racjonalnego rozumowania. Nawet w marksizm wbudowana jest spora dawka wiary, mimo że on sam usiłuje uchodzić za naukę racjonalną, a nie wyłącznie ideologię. To moja pierwsza wizyta na Zachodzie. Wcześniej mogłem wyjeżdżać tylko do Sowietów, do Polski i republik nadbałtyckich. Tutaj po raz pierwszy ujrzałem materialny dostatek, który wydaje się wprost nieograniczony. Jest

jedna różnica między naszymi krajami, będąca zarazem podobieństwem. Oba są biedne. Ale bieda ma różne oblicza. U nas nie ma takiego dostatku, jak u was, nie ma wolności wyboru. Ale ubóstwo twojego kraju polega na tym, że nie trzeba w nim walczyć o przetrwanie. Wolność odebrała wam wolę. Dla mnie ta walka ma wymiar religijny. Nie chciałbym się zamienić.

Wallander uzmysłowił sobie, że major wcześniej starannie przygotował sobie odpowiedź, nie musiał szukać właściwych słów.

Ale co tak naprawdę powiedział? Szwedzkie ubóstwo?

Musiał zaprotestować.

- Myli się pan, majorze. I w tym kraju odbywa się walka. Cała masa ludzi jest odcięta - czy *closed from* to naprawdę najodpowiedniejsze sformułowanie? - od dobrobytu, o którym pan mówi. Z pewnością nikt nie umiera z głodu. Lecz myli się pan, sądząc, że my nie musimy walczyć.

- Walczy się wyłącznie o przetrwanie. Zaliczam do tego również walkę o wolność i niezawisłość. Wszystko inne jest już kwestią własnego wyboru, a nie konieczności.

Rozmowa urwała się. Wallander miał wiele pytań, przede wszystkim o to, co się stało miesiąc temu w Rydze, ale nie miał siły ich zadać. Nie chciał ujawnić swojej ignorancji. Wstał i nastawił płytę Marii Callas.

- *Turandot* - powiedział major. - To bardzo piękne.

Śnieg i wiatr szalały za oknem. Major wyszedł po północy. Wallander stał patrząc, jak idzie, kuląc się w swym niezgrabnym palcie.

Następnego dnia zamieć ucichła. Można było zacząć odśnieżać zasypane drogi. Wallander obudził się z kacem. We śnie dojrzało w nim postanowienie. Czekał na decyzję prokuratora generalnego, mógł przecież zabrać majora do Brantevik, żeby zobaczył kuter.

Tuż po dziewiątej wsiedli do samochodu i pojechali na

wschód. Pokryty śniegiem krajobraz skrzył się w ostrym słońcu. Było trzy stopnie poniżej zera. Wiatr ucichł na dobre.

W porcie było pusto. Przy zewnętrznym falochronie cumowało wiele kutrów. Wallander nie potrafił wskazać, który to z nich. Stanęli w miejscu, gdzie zaczynał się falochron, i Wallander zaczął odliczać kroki, aż doszedł do siedemdziesięciu trzech.

Kuter nazywał się „Byron”. Drewniany, pomalowany na białą, miał około czterdziestu stóp długości. Wallander objął ręką grubą, szorstką cumę i przymknął oczy. Czy to ta sama? Nie był pewny. Wdrapali się na pokład. Właz do ładowni okryty był bordowym brezentem. Gdy szli w kierunku sterówki, Wallander potknął się o zwiniętą linę. To go upewniło, że znaleźli właściwą łódź. Sterówka była zamknięta na dużą kłódkę. Major obluzował róg brezentu i poświecił latarką w głąb ładowni. Była pusta.

- Nie czuć rybą - stwierdził Wallander. - Tu nie ma sieci, nie ma ani jednej rybiej łuski. To łódź przemytnicza. Ale co przemycają? I dokąd?

- Wszystko. Ponieważ w naszych krajach brakowało dotąd wszystkiego, przemycać można wszystko.

- Dowiem się, kto jest właścicielem łodzi. Jeśli nawet dałem słowo, mogę to sprawdzić. Czy pan, majorze, złożyłby takie przyrzeczenie?

- Nie. Nigdy bym tego nie zrobił.

Nie było nic więcej do oglądania. Wróciwszy do Ystadu, Wallander przez całe popołudnie próbował się dowiedzieć czegoś o kutrze „Byron”. Kosztowało go to wiele zachodu. W ciągu ostatnich lat łódź zmieniała właściciela niezliczoną ilość razy. Należała między innymi do spółki handlowej z Simrishamn, o fantazyjnej nazwie Ryby Ruskpricka, po czym została sprzedana rybakowi o nazwisku Óhrstróm. On z kolei odsprzedał ją po kilku zaledwie miesiącach. W końcu

udało mu się ustalić, że obecny właściciel nazywa się Sten Holmgren i mieszka w Ystadzie przy ulicy Mariagatan, tej samej, na której znajdowało się mieszkanie Wallandera, co skonstatował ze zdziwieniem. Bez skutku próbował znaleźć jego nazwisko w książce telefonicznej. Urząd wojewódzki w Malmö nie miał informacji o tym, by Sten Holmgren zarejestrował na siebie jakąś firmę. Na wszelki wypadek Wallander sprawdził też w wydziałach wojewódzkich w Kristianstad i Karlskronie, ale i tam Holmgren nie był zarejestrowany.

Odłożył pióro i poszedł po kawę. Wracając, usłyszał telefon. Dzwoniła Anette Brolin.

- Zgadnij, z czym dzwonię.

- Może znowu nie jesteś zadowolona z naszych sprawozdań.

- Nie jestem. Ale nie o tym chciałam mówić.

- No to nie wiem.

- Śledztwo ma zostać umorzone. Sprawę przenosi się do Rygi.

- To pewne?

- Prokurator generalny i MSZ są co do tego zgodni. Zakomunikowali, że śledztwo ma być umorzone. Właśnie się dowiedziałam. Wszystkie formalności załatwiane były w szalonym tempie. Twój major może już wracać do domu, a zwłoki zabrać ze sobą.

- Ucieszy się. To znaczy z tego, że może jechać do domu.

- Żal ci?

- Nic a nic.

- Możesz go poprosić, żeby do mnie przyszedł. Bjórka już powiadomiłam. A gdzie w ogóle jest Liepa?

- Siedzi u Svedberga i pali. Nigdy nie spotkałam człowieka, który by tyle palił.

Wczesnym rankiem następnego dnia major wsiadł w samolot do Sztokholmu, by stamtąd polecieć dalej do Rygi. Cynowe trumny przewieziono samochodem do Sztokholmu,

a później załadowano na samolot.

Pożegnali się przy odprawie dla pasażerów. Wallander kupił mu na prezent pożegnalny album o Skanii. Nie wpadł na lepszy pomysł.

- Chciałbym wiedzieć, jak to się dalej potoczy.

- Będzie pan dostawał informacje na bieżąco - odpowiedział major.

Uścisnęli sobie ręce.

Osobliwy człowiek, pomyślał Wallander, wracając z lotniska. Zastanawiam się, co właściwie o mnie sądził.

Nazajutrz była sobota. Wallander spał długo, a później pojechał do ojca. Wieczorem poszedł do pizzerii, zjadł kolację, popijając ją czerwonym winem. Bez ustanku rozmyślał nad tym, czy starać się o pracę w Trelleborgu, czy też nie. Termin składania podań upływał za parę dni. Niedzielne przedpołudnie poświęcił na pranie i beznadziejne próby posprzątania mieszkania. Wieczorem poszedł do kina - jedyne, jakie jeszcze funkcjonowało w Ystadzie. Obejrzał amerykański film policyjny. Niechętnie przyznał, że film trzymał w napięciu, mimo wszystkich przegieć.

W poniedziałek przyszedł do pracy tuż po ósmej. Właśnie zdejmował kurtkę, gdy do pokoju wszedł Bjórk.

- Przyszedł teleks od policji w Rydze.

- Od majora Liepy? Co pisze?

Bjórk był zakłopotany.

- W ogóle nic nie pisze - odpowiedział z wahaniem.

Wallander popatrzył na niego zdziwiony.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Major Liepa został zamordowany w dniu, w którym wrócił do domu. Teleks podpisał pułkownik Putnis, prosząc nas o pomoc. Obawiam się, że to oznacza, że musisz tam pojechać.

Wallander usiadł na krześle i przeczytał teleks. Major nie

żyje? Zamordowany?

- Przykro mi z tego powodu - powiedział Bjórk. - Straszna rzecz. Zadzwońię do szefa policji i poradzę się go w sprawie ich prośby.

Wallander siedział jak porażony.

Major Liepa zamordowany?

Ścisnęło go w gardle. Kto mógł pozbawić życia tego krótkowzrocznego, bez ustanku palącego człowieka? I dlaczego?

Pomyślał o Rydbergu. Nagle poczuł się bardzo samotny.

Trzy dni później był w drodze na Łotwę. Dwudziestego ósmego lutego, tuż przed drugą, samolot Aeroflotu zatoczył koło nad Zatoką Ryską.

Wallander patrzył z góry na wybrzeże, zastanawiając się, co go czeka.

Pierwszym doznaniem na nowym miejscu był chłód.

W pomieszczeniu, w którym stał w kolejce do kontroli paszportowej, było tak samo zimno, jak na dworze, kiedy przechodził z samolotu do hali przylotów - żadnej różnicy. Przyjechał do kraju, gdzie wewnątrz pomieszczeń było tak samo zimno, jak na zewnątrz. Zaczął żałować, że nie wziął ze sobą kalesonów.

Kolejka dygoczących pasażerów w ponurej hali przylotów przesuwiała się powoli. Dwóch Duńczyków mąciło ciszę w poczekalni głośnym wyrzekaniem na to, co ich czeka w czasie wizyty na Łotwie. Starszy z nich najwidoczniej był już wcześniej w Rydze. Opowiadał teraz młodszemu koledze o beznadziejnej apatii i niepewności, jaka - według niego - panowała w kraju. Zirytowali Wallandera, jak gdyby podświadomie od nich oczekiwał, by okazali więcej szacunku krótkowzrocznemu majorowi, zamordowanemu parę dni temu.

Próbował przypomnieć sobie, co wie o kraju, do którego właśnie przyjechał. Jeszcze tydzień wcześniej ledwie potrafił umiejscowić na mapie republiki nadbałtyckie. Tallin równie dobrze mógł być dla niego stolicą Łotwy, a Ryga ważnym portem w Estonii. Z odległych czasów szkolnych przypominał sobie tylko niejasne informacje o geografii Europy. Na kilka dni przed wyjazdem próbował przeczytać wszystko, co udało mu się zdobyć na temat Łotwy. Miał teraz ogólne pojęcie o tym niewielkim kraju, który ciągle, za sprawą kaprysów historii, padał ofiarą walk między wielkimi mocarstwami. Szwecja również dokonała tu kilka razy krwawych spustoszeń. Rozumiał też, jak bardzo rok 1945 był brzemienny w skutki dla współczesnej historii tego kraju, gdy niemiecka machina wojenna została pokonana i Sowieci mogli bez przeszkód zająć Łotwę, wcielając ją do

swego państwa. Próba utworzenia niezależnego rządu łotewskiego została brutalnie stłumiona, a armia wyzwolenicza ze Wschodu szybko zmieniła się w armię okupacyjną, która bezwzględnie zdusiła wolnościowe zapędy Łotwy.

Ale czuł, że tak naprawdę nie wie o tym nic, w jego wiadomościach było zbyt wiele luk.

Hałaśliwi Duńczycy, którzy przyjechali tu, by robić interesy na handlu maszynami rolniczymi, doszli do okienka kontroli paszportowej. Wallander wyjmował właśnie paszport, gdy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Drgnął, jakby obawiał się, że zostanie zatrzymany. Odwrócił się i zobaczył przed sobą mężczyznę w szaroniebieskim mundurze.

- Kurt Wallander? Nazywam się Jazeps Putnis. Przykro mi, że przychodzę tak późno, lecz samolot wylądował wcześniej, niż to było przewidziane. Nie będziemy pana fatygować formalnościami. Chodźmy tędy.

Jazeps Putnis mówił doskonale po angielsku. Wallander przypomniał sobie wysiłki Liepy, ciągle szukającego właściwego słowa. Podążył za Putnisem w kierunku drzwi, przed którymi stał żołnierz. Przeszli do innej hali, równie ponurej i zniszczonej, gdzie wylądowywano bagaże z wózka.

- Miejmy nadzieję, że pański bagaż wkrótce nadejdzie. Pozwalam sobie powitać pana na Łotwie i w Rydze. Czy był pan tu wcześniej?

- Nie. Jakoś nigdy się nie złożyło.

- Wolałbym naturalnie, byśmy spotkali się w innych okolicznościach - ciągnął Putnis. - Śmierć majora Liepy bardzo nas wszystkich poruszyła.

Wallander czekał na ciąg dalszy, lecz Jazeps Putnis, który według teleksu posiadał rangę pułkownika, nagle zamilkł. Szybkim krokiem podszedł do mężczyzny w wyblakłym kombinezonie i futrzanej czapie, który stał pod ścianą.

Mężczyzna wyprężył się, gdy Putnis coś do niego powiedział szorstkim głosem, i zniknął pospiesznie w drzwiach prowadzących na płytę lotniska.

- Długo to trwa - powiedział Putnis, uśmiechając się. - W Szwecji też macie ten problem?

- Czasami. Zdarza się, że trzeba czekać.

Pułkownik Putnis stanowił przeciwieństwo majora Liepy. Bardzo wysoki, o ostrym profilu, poruszał się zdecydowanie i energicznie, a przenikliwe spojrzenie jego szarych oczu zdawało się rejestrować wszystko, co działo się wokół.

Przypominał zwierzę odziane w szaroniebieski mundur, rysia czy też lamparta.

Wallander próbował odgadnąć jego wiek. Może miał koło pięćdziesiątki, ale mógł też być starszy.

Hałaśliwy wózek bagażowy nadjechał w kłębach spalin. Wallander od razu zauważył swoją walizkę. Nie zdołał ubiec pułkownika, który ją podniósł. Obok szeregu taksówek czekała policyjna wołga. Kierowca zasalutował, otwierając drzwiczki. Zaskoczony Wallander niepewnie oddał honor.

Björk powinien to zobaczyć, pomyślał w przelocie. Co właściwie myślał major Liepa o tych wszystkich spotkanych w Ystadzie - szwedzkiej dziurze średniej wielkości - oficerach śledczych w dżinsach, którzy nigdy nie salutowali?

- Zamówiliśmy dla pana pokój w hotelu Łotwa - powiedział pułkownik Putnis podczas jazdy z lotniska. - To najlepszy hotel w mieście. Ma ponad dwadzieścia pięć pięter.

- Z pewnością jest pierwszorzędny. Chciałbym przekazać pozdrowienia i złożyć kondolencje od moich kolegów. Choć znaleźliśmy majora Liepę tak krótko, był bardzo lubiany.

- Dziękuję. Śmierć majora jest olbrzymią stratą dla nas wszystkich.

I Wallander znów czekał na dalszy ciąg, który nie nastąpił.

Dlaczego nic nie mówi, pomyślał. Dlaczego nie opowiada, co się stało? Dlaczego zamordowano majora? Kto to zrobił?

Dlaczego poproszono mnie o przyjazd? Czy zachodzi podejrzenie, że morderstwo miało związek z wizytą majora w Szwecji?

Spoglądał na mijany krajobraz.

Opustoszałe pola, pokryte nieregularnymi plamami śniegu. Od czasu do czasu szary budynek mieszkalny, otoczony niemalowanym płotem. Gdzieś widać było wieprza, ryjącego w kupie nawozu. Ogarnęła go nieskończona melancholia i przypomniał sobie podróż do Malmö, którą odbył niedawno z ojcem. Być może krajobraz Skanii w czasie zimowych miesięcy nie był zbyt atrakcyjny, lecz ponura pustka, jaką oglądał tutaj, przekraczała wszelkie jego wyobrażenia.

Gdy patrzył na krajobraz, malowany pędzlem historii tego kraju, zanurzonym w wypełnionej szarą farbą puszcze bez dna, ogarniało go przygnębienie.

Poczuł nagłą potrzebę działania. Nie po to tu przyjechał, by dać się zdołować ponurym, zimowym krajobrazom.

- Chciałbym jak najszybciej otrzymać raport - powiedział. - Co się właściwie stało? Nic nie wiem, poza tym, że major Liepa został zamordowany tego samego dnia, gdy wrócił do Rygi.

- Przyjadę po pana, jak już pan się rozlokuje w pokoju. Zaplanowaliśmy spotkanie na wieczór.

- Wystarczy, że wstawię walizkę. Nie potrzebuję wiele czasu.

- Spotkamy się o wpół do ósmej - odpowiedział Putnis. Wallander zrozumiał, że nie jest w stanie zmienić planu, który już został ustalony.

Zaczynało się ściemniać, gdy jechali przez przedmieścia Rygi, posuwając się w kierunku centrum.

Wallander patrzył z zadumą na ponure blokowiska, ciągnące się po obu stronach drogi. To, co go czekało, budziło w nim mieszane uczucia.

Hotel leżał w środku miasta, przy końcu esplanady. W przelocie zobaczył pomnik, który, jak sobie uświadomił,

przedstawiał Lenina. Hotel Łotwa wznosił się na tle nocnego nieba jak ciemnoniebieska kolumna. Pułkownik Putnis prowadził go z pośpiechem przez pusty hol do recepcji.

Wallander miał uczucie, jakby był na parkingu, który naprędce zmieniono w hotelowy hol. Na jednej ze ścian połykiwał szereg drzwi do wind. Schody nad jego głową rozgałęziały się i prowadziły w różnych kierunkach.

Ku jego zdziwieniu okazało się, że nie musi się meldować. Pułkownik Putnis odebrał jego klucz z rąk recepcjonistki i wjechali jedną z ciasnych wind na piętnaste piętro. Wallander dostał pokój numer 1506, z widokiem na dachy miasta. Zastanawiał się, czy w dziennym świetle będzie można stąd zobaczyć Zatokę Ryską.

Putnis, spytawszy, czy jest zadowolony z pokoju, oddalił się. Miał wrócić za dwie godziny i zawieźć go na wieczorne spotkanie w Komendzie Głównej Policji.

Wallander stanął w oknie, patrząc na rozpościerającą się przed nim panoramę spadzistych dachów Rygi. Daleko w dole przejeżdżała z łoskotem ciężarówka. Przez nieszczelne ramy okienne do środka wpadało zimne powietrze. Dotknął kaloryfera - był zaledwie letni. Skądś dochodził uporczywy dzwonek telefonu.

Kalesony, pomyślał, to pierwsze, co jutro kupię.

Rozpakował walizkę i ustawił przybory toaletowe w obszernej łazience. Na lotnisku kupił dużą butelkę whisky. Po chwili wahania nalał trochę do szklanki od mycia zębów. Włączył stojące na nocnym stoliku radio rosyjskiej produkcji. Jakiś podekscytowany mężczyzna mówił bardzo szybko, jakby był sprawozdawcą sportowym. Wallander odrzucił kapę i położył się na łóżku.

Jestem więc w Rydze, myślał. Wciąż nie wiem, co się stało. Wiem tylko, że major nie żyje. Ale przede wszystkim nie wiem, czego spodziewa się po mnie pułkownik Putnis.

Było zbyt zimno, by leżeć na łóżku. Postanowił zejść do recepcji i wymienić pieniądze. Może mieli jakiś bar, gdzie mógłby napić się kawy?

W recepcji zobaczył duńskich biznesmenów, którzy zirytowali go na lotnisku. Starszy z nich stał obok portiera, ze złością machając mapą. Wyglądał, jakby tłumaczył, jak się robi latawce bądź lotnię. Wallander o mało nie wybuchnął śmiechem. Znalazł tabliczkę z napisem *change money*; starsza pani uprzejmie skinęła w jego stronę, a on podał jej dwie studolarówki. W zamian otrzymał cały stos lotewskiej waluty. Gdy wrócił do recepcji, Duńczyków już nie było. Spytał portiera, gdzie można napić się kawy, a ten wskazał mu salę restauracyjną. Kelner zaprowadził go do stolika przy oknie i wręczył jadłospis. Zdecydował się na omlet i kawę. Za oknem przemykali opatuleni ludzie i przejeżdżały hałasujące trolejbusy. Wiatr, wpadający przez nieszczelne okna, poruszał ciężkimi zasłonami.

Rozejrzał się po pustej restauracji. Przy jednym ze stołów siedziała para starszych ludzi, jedząc w milczeniu. Przy innym samotny mężczyzna w szarym garniturze pił herbatę. To wszystko.

Wallander wrócił myślami do poprzedniego wieczoru, gdy przyleciał ze Sturup do Sztokholmu. Linda, jego córka, czekała na niego na dworcu głównym, przy którym zatrzymał się busik z lotniska. Poszli do hotelu Centralnego, znajdującego się nieopodal, na ulicy Vasagatan, w którym wcześniej zamówił pokoje dla siebie i Lindy; mieszkała w Bromma, na odległym przedmieściu. Wieczorem zaprosił ją na kolację do restauracji na starym mieście. Ostatni raz widzieli się wiele miesięcy temu, i rozmowa z początku nie kleiła się, przeskakiwali z jednego przypadkowego tematu na drugi. Już zaczął się zastanawiać, czy jej listowne sprawozdania, w których pisała, że w szkole czuje się dobrze, były prawdziwe. Bo kiedy pytał o to teraz,

odpowiadała nieokreślonymi bąknięciami. A gdy z irytacją w głosie pytał o jej plany na przyszłość, odpowiadała, że nie ma żadnych.

- Czy nie najwyższa już pora?

- Nie ty decydujesz.

Nie podnosząc głosu, zaczęli się kłócić. On mówił, że nie może już tak dalek wędrować od szkoły do szkoły, wciąż nie mogąc się zdecydować, a ona odpowiadała, że jest wystarczająco dorosła, by robić, co chce.

Nagle uderzyło go, że Linda jest podobna do niego. Nie bardzo wiedział, na czym polega podobieństwo, to było raczej odczucie, że słyszy w niej swój własny głos, że coś się powtarza. W rozmowie z córką widział odbicie własnej skomplikowanej relacji z ojcem.

Jedli bez pośpiechu, popijając winem. Irytacja i napięcie, jakie się między nimi wytworzyły, malały. Wallander opowiadał o swoim wyjeździe do Rygi; przez krótką chwilę bawił się myślą, czy nie zaproponować jej, by z nim pojechała. Czas płynął szybko, było po północy, gdy płacił rachunek. Mimo zimna wrócili do hotelu spacerem, a później rozmawiali w jego pokoju do trzeciej nad ranem. Kiedy Linda poszła w końcu do siebie, Wallander pomyślał, że mimo nie najlepszego wstępu, spędzili przyjemny wieczór. Nie mógł jednak całkiem uwolnić się od niepokoju spowodowanego faktem, że nie wiedział, jak naprawdę wygląda jej życie.

Gdy opuszczał hotel przed południem, Linda jeszcze spała. Zapłacił za jej pokój i zostawił krótki list u portiera, który obiecał wręczyć go córce.

Wyrwał się z rozmyślań, gdy milcząca para starszych ludzi opuszczała restaurację. Gości nie przybyło. Samotny mężczyzna wciąż siedział przy herbacie. Wallander spojrział na zegarek. Do przyjścia Putnisa została jeszcze godzina.

Zapłacił rachunek i po szybkim przeliczeniu skostatował,

że posiłek był bardzo tani. Wróciwszy do pokoju, przejrzał papiery, które przywiózł ze sobą. Powoli zaczynał na nowo wgłębiać się w śledztwo, które, jak myślał, na zawsze odłożył na półkę. Poczł zapach mocnych papierosów majora.

Kwadrans po siódmej pułkownik Putnis zapukał do drzwi. Samochód czekał przed hotelem. Jechali przez ciemne miasto w kierunku Komendy Głównej ryskiej policji. Na ulicy było niewielu ludzi. Wieczorem nagle się oziębiło. Ulice i place były źle oświetlone, Wallander miał wrażenie, jakby oglądał wyciętą z papieru makietę miasta. Wjechali przez bramę z nadbudówką i zatrzymali się na podwórzu, przypominającym zamkowy dziedziniec. Pułkownik Putnis milczał podczas drogi, a Wallander w dalszym ciągu oczekiwał, że może dowie się w końcu, dlaczego zaproszono go do Rygi. Przemierzali rozbrzmiewające echem, opustoszałe korytarze; potem schodami w dół, i jeszcze jeden korytarz. W końcu pułkownik zatrzymał się przed drzwiami i otworzył je bez pukania.

Wallander wszedł do dużego, ciepłego, lecz kiepsko oświetlonego pokoju. Większą jego część zajmował stół konferencyjny, nakryty zielonym filcem, otoczony dwunastoma krzesłami. Stała na nim karafka z wodą i kilka szklanek.

W cieniu czekał mężczyzna. Odwrócił się i podszedł do Wallandera.

- Witam w Rydze. Nazywam się Juris Murniers.

- Pułkownik Murniers i ja wspólnie odpowiadamy za śledztwo w sprawie morderstwa majora Liepy - powiedział Putnis.

Wallander od razu wyczuł napięcie między obu pułkownikami, zdradzał je jakiś dziwny ton w głosie Putnisa. W tej krótkiej wymianie słów kryło się coś jeszcze, lecz nie potrafił tego sprecyzować.

Pułkownik Murniers miał koło pięćdziesiątki, krótko

obcięte siwe włosy i bladą, nalaną twarz cukrzyka. Był niski, poruszał się bezszelestnie.

Jeszcze jedno zwierzę z rodziny kotowatych, pomyślał Wallander. Dwóch pułkowników, dwa koty, obaj w mundurach.

Wallander i Putnis zdjęli płaszcze i usiedli przy stole. Skończyło się czekanie, odetchnął Wallander. Nareszcie dowiem się, co stało się z majorem Liepą.

Głos zabrał Murniers. Usiadł tak, że prawie cała jego twarz pogrążona była w cieniu. Zwracał się do Wallandera w dobrej i bogatej angielszczyźnie głosem, który wydobywał się jakby z głębokiej ciemności. Putnis natomiast, patrząc prosto przed siebie, sprawiał wrażenie niezainteresowanego.

- Sprawa jest nadzwyczaj zagadkowa - powiedział Murniers.

- Major tego samego dnia, kiedy wrócił ze Sztokholmu, złożył raport pułkownikowi Putnisowi i mnie. Siedzieliśmy w tym właśnie pokoju omawiając sprawę. Major Liepa miał prowadzić dalsze śledztwo u nas w kraju. Skończyliśmy koło piątej. Później dowiedzieliśmy się, że major od razu pojechał do domu, do żony. Mieszkają w okolicy Katedry Ryskiej. Żona później opowiadała, że był taki jak zawsze, cieszył się z powrotu do domu. Przy kolacji opowiadał o swoich wrażeniach z podróży do Szwecji; a propos, pan zdaje się wywarł na nim bardzo dobre wrażenie, inspektorze Wallander. Tuż przed jedenastą zadzwonił telefon. Major właśnie kładł się spać. Żonie trudno było powiedzieć, kto dzwonił, ale major ubrał się i powiedział, że musi natychmiast udać się do Komendy Głównej. Nie było w tym dla niej nic dziwnego, może czuła się tylko trochę rozczarowana, że wzywają go zaraz po powrocie z podróży. Nie powiedział, kto dzwonił, ani dlaczego zmuszony jest pracować w nocy.

Murniers przerwał i sięgnął po karafkę z wodą. Wallander

rzucił okiem w kierunku wciąż patrzącego przed siebie Putnisa.

- Od tego momentu wszystko jest bardzo niejasne - ciągnął Murniers. - Wcześniej rano pracownicy portu znaleźli ciało majora przy Daugavgriva. Tak nazywa się najbardziej odległa część ogromnego terenu portowego w Rydze. Zwłoki majora leżały na nabrzeżu. Stwierdziliśmy później, że tył głowy miał zmiażdżony jakimś twardym przedmiotem, być może żelazną rurą lub drewnianą pałką. Badania naszych lekarzy wskazują, że został zamordowany godzinę lub najwyżej dwie po wyjściu z domu. To z grubsza wszystko, co wiemy. Nikt go nie widział, ani kiedy wychodził z domu, ani w porcie. Sprawa jest bardzo zagadkowa. Nie zdarza się w tym kraju - a jeśli, to bardzo rzadko - że ktoś zabija policjanta. A zwłaszcza kogoś tak wysokiej rangi jak major. Naturalnie zależy nam bardzo, by sprawca jak najszybciej został ujęty.

Murniers umilkł i z powrotem zanurzył się w cień.

- A więc nikt nie dzwonił do majora z żądaniem, by tu przyszedł - podsumował Wallander.

- Nie - odpowiedział Putnis szybko. - Zbadaliśmy to. Dyżurny oficer, kapitan Kozłow, potwierdził, że nikt tego wieczoru nie kontaktował się z majorem Liepą.

- Zatem pozostają dwie możliwości - powiedział Wallander. Putnis przytaknął.

- Albo okłamał żonę, albo jego oszukano.

- W tym drugim wypadku musiał to być jakiś znajomy głos - stwierdził Wallander. - Lub też ten, kto dzwonił, wyrażał się w taki sposób, że nie wzbudził podejrzeń majora.

- Też tak myślimy - odparł Putnis.

- Naturalnie nie możemy wykluczyć, że istnieje związek między jego pracą w Szwecji a tym, że został zamordowany - dobiegł z ciemności głos Murniersa. - Niczego nie możemy wykluczyć. Dlatego poprosiliśmy o pomoc szwedzką policję.

O pańską pomoc. Będziemy wdzięczni za wszelkie podpowiedzi, które mogłyby nas naprowadzić na właściwy trop. Dostanie pan wszystko, co będzie panu potrzebne.

Murniers wstał z krzesła.

- Proponuję, żebyśmy skończyli na dzisiaj. Wyobrażam sobie, że jest pan zmęczony po podróży.

Wallander w ogóle nie czuł się zmęczony. Był przygotowany na całonocną pracę, jeśliby zaszła taka potrzeba. Ale ponieważ wstał i Putnis, uznał spotkanie za zakończone.

Murniers nacisnął guzik dzwonka, przymocowany do stołu. Niemal od razu otworzyły się drzwi i do środka wszedł młody, umundurowany policjant.

- To sierżant Zids - przedstawił go Murniers. - Doskonale mówi po angielsku i będzie pańskim szoferem na czas pobytu w Rydze.

Zids trzasnął obcasami i zasalutował. W odpowiedzi Wallander nie zdobył się na nic innego niż skinienie głową.

Ponieważ żaden z pułkowników nie zaprosił go na kolację, uznał, że będzie miał wieczór dla siebie. Podążył za Zidsem schodami w dół, ku zabudowanemu podwórzu. Gdy wyszedł, natychmiast poczuł suchy mróz. Kontrast z dobrze ogrzany pokojem konferencyjnym był olbrzymi. Zids przytrzymał drzwiczki czarnego samochodu, Wallander usiadł na tylnym siedzeniu.

- Zimno - zagadnął, kiedy wyjeżdżali przez bramę.

- Tak, pułkowniku - odpowiedział sierżant Zids. - Teraz w Rydze jest bardzo zimno.

Pułkownik, pomyślał Wallander. Oczywiście, uważa za wykluczone, żeby szwedzki policjant miał niższą rangę niż Putnis i Murniers. Bawiła go ta myśl. Wiedział jednocześnie, że prawdopodobnie do niczego nie było tak łatwo przywyknąć, jak do przywilejów. Własny samochód, szofer, poważanie.

Sierżant Zids jechał szybko przez puste ulice. Wallander nie

czuł zmęczenia. Niechętnie myślał o zimnym pokoju hotelowym.

- Jestem głodny - zwrócił się do sierżanta. - Proszę mi wskazać dobrą, nie za drogą restaurację.

- Najlepsza restauracja jest w hotelu Łotwa.

- Tam już byłem.

- Nie ma innej restauracji w Rydze z równie dobrym jedzeniem - powiedział Zids, hamując raptownie przed tramwajem, wyjeżdżającym z łoskotem zza rogu.

- W milionowym mieście musi być więcej niż jedna dobra restauracja - próbował Wallander.

- W innych mają kiepskie jedzenie. W hotelu Łotwa jest najlepsze.

Widocznie muszę pójść tam, pomyślał i opadł na siedzenie. Może dostał rozkaz niewypuszczenia mnie do miasta? Szofer w pewnych okolicznościach oznacza raczej niewolę niż swobodę.

Zids zatrzymał się przed hotelem. Nim Wallander zdążył nacisnąć klamkę, sierżant otworzył mu drzwi.

- O której mam jutro odebrać pana pułkownika?

- Wystarczy o ósmej.

Ogromny hol był jeszcze bardziej wyludniony niż poprzednio. Skądś dochodziła odległa muzyka. Odebrał klucz w recepcji, pytając, czy restauracja jest otwarta. Portier o ciężkich powiekach, swą bladością przypominający pułkownika Murniersa, skinął głową. Wallander spytał przy okazji o muzykę.

- Mamy tu nocny klub - odparł posepnie portier.

Odchodząc, zauważył nagle mężczyznę, którego wcześniej widział pijącego herbatę w restauracji. Teraz siedział na podniszczonej skórzanej sofie, zagłębiony w lekturze gazety. To ten sam mężczyzna, był pewien.

Śledzą mnie, pomyślał. Jak w najgorszej powieści z czasów zimnej wojny: facet w szarym garniturze siedzi, udając, że

go nie widać. Właściwie jakich numerów się po mnie spodziewają?

W restauracji było niewiele więcej osób niż rano. Przy podłużnym stole siedziało kilku szepczących, ciemno odzianych panów. Ku jego zdziwieniu wskazano mu ten sam stolik, co przedtem. Zjadł zupę jarzynową i suchy, wysmażony kotlet. Natomiast łotewskie piwo było smaczne. Ponieważ czuł niepokój, nie miał ochoty na kawę. Zapłacił i wyszedł z restauracji, by poszukać nocnego klubu. Mężczyzna w szarym garniturze dalej siedział na sofie.

Wallander miał wrażenie, że znalazł się w labiryncie. Prowadzące jakby donikąd schody i ślepe połpiętra przywiodły go z powrotem do restauracji. Próbując iść za dźwiękiem muzyki, zauważył wreszcie oświetlony szyld przy końcu ciemnego korytarza. Mężczyzna, który powiedział coś, czego nie zrozumiał, otworzył przed nim drzwi. Znalazł się w mrocznym barze. Kontrast z pustką restauracji był duży. W barze było pełno ludzi. Za zasłoną oddzielającą bar od parkietu słychać było łomot kapeli. Wydawało mu się, że poznaje jedną z piosenek zespołu ABBA. Było duszno, w powietrzu unosił się zapach mocnych papierosów, takich, jakie palił major Liepa. Zauważył wolny stolik w pobliżu baru i zaczął przepychać się przez tłum. Cały czas miał wrażenie, że śledzi go wiele par oczu. Wiedział, że musi być ostrożny. Nocne kluby w krajach wschodnich były często spelunkami pełnymi bandziorów, żyjących z rabowania zachodnich gości.

Przekrzykując hałas, udało mu się złożyć zamówienie i po paru minutach stała przed nim szklaneczka whisky. Kosztowała prawie tyle, co kolacja, którą zjadł przed chwilą. Powąchał zawartość szklanki, przypominając sobie afery z zatrutymi drinkami, po czym zniechęcony przepił do samego siebie.

Z ciemności wyłoniła się dziewczyna, i nie przedstawiając

się, usiadła obok niego. Zauważył ją dopiero wtedy, gdy pochyliła głowę, zbliżając ją do jego twarzy. Zapach jej perfum przypominał woń zimowych jabłek. Pokręcił głową, gdy zagadnęła go po niemiecku. Jej angielszczyzna była kiepska. zaproponowała swoje towarzystwo, dopominając się o drinka. Wallander był skonsternowany. Zrozumiał, że jest prostytutką, lecz starał się o tym nie myśleć. W zimnej, posepnej Rydze chętnie by pogadał z kimś, kto nie był pułkownikiem policji. Drinka mógł jej postawić, ale granice wyznaczał sam. Tylko gdy był mocno pijany, mógł całkiem stracić rozeznanie. Zdarzało się to wyjątkowo rzadko, ostatnio rok temu, gdy w napadzie podniecenia i złości rzucił się na prokurator okręgową Anette Brodin. Wzdrygnął się na samą myśl o tamtym zdarzeniu. To się nigdy nie powtórzy. Przynajmniej nie tutaj, w Rydze.

Jednocześnie schlebiało mu jej zainteresowanie.

Za wcześnie się przysiadła, dopiero przyjechałem, nie zdążyłem się oswoić z tym dziwnym krajem, myślał.

- Może jutro - powiedział. - Ale nie dziś.

Później zrozumiał, że miała niewiele ponad dwudziestkę. Twarz pod ostrym makijażem przypominała mu twarz jego córki.

Opróżnił szklanę, podniósł się i wyszedł.

Było blisko, zbyt blisko, pomyślał.

Mężczyzna w szarym garniturze wciąż siedział w holu, czytając gazetę.

Dobrej nocy, z całą pewnością zobaczymy się jutro, pomyślał.

Spał niespokojnie. Kołdra była ciężka, łóżko niewygodne. Przez sen słyszał bezustannie dzwoniący telefon. Chciał wstać i podnieść słuchawkę, lecz gdy się obudził, wokół panowała cisza.

Rano usłyszał pukanie do drzwi. W półśnie zawołał: proszę wejść. Gdy zapukano ponownie, uzmysłowił sobie, że

zostawił klucz w zamku. Wskoczył w spodnie i otworzył. Przed drzwiami stała sprzątaczką, trzymając tacę ze śniadaniem. Zdziwił się, bo go nie zamawiał. Ale może było wliczone w cenę pokoju? Może sierżant Zids zamówił?

Sprzątaczką powiedziała po łotewsku „dzień dobry”, a on próbował to zapamiętać. Postawiła tacę na stole, uśmiechnęła się nieśmiało i podeszła do wyjścia. Poszedł, by za nią zamknąć.

Później wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zamiast wyjść z pokoju, sprzątaczką zamknęła drzwi, kładąc palec na ustach. Wallander patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Z kieszeni fartucha ostrożnie wyjęła kartkę papieru. Chciał właśnie coś powiedzieć, lecz ona powstrzymała go. Widział jej strach i rozumiał, że nie jest sprzątaczką. Jednocześnie czuł, że nie stanowi zagrożenia. Bała się po prostu. Wziął od niej papier i przeczytał angielski tekst. Przeczytał dwa razy, by zapamiętać treść. Spojrzał na nią, a ona włożyła rękę do drugiej kieszeni, wyjmując coś, co wyglądało jak zmięty afisz. Rozprostował i zobaczył, że była to obwoluta książki o Skanii, którą tydzień wcześniej dał majorowi. Ponownie spojrzał na nią, jej twarz wyrażała teraz nie tylko strach, ale coś jeszcze, determinację, a może nawet niezgodę. Podeszedł do biurka, wyjął pióro, i napisał na odwrocie obwoluty, przedstawiającej katedrę w Lund, że zrozumiał. *I have understood*. Pomyślał, że Baiba Liepa nie wygląda wcale tak, jak ją sobie wyobrażał. Lecz co sobie wyobrażał, gdy major, siedząc u niego w domu i słuchając Marii Callas, mówił, że ma żonę imieniem Baiba, tego nie pamiętał. Ale na pewno była to inna twarz.

Chrząknął z zażenowaniem, a ona ostrożnie otworzyła drzwi i wyszła.

Przyszła, by porozmawiać z nim o majorze, swym mężu. Bała się. Gdy ktoś zadzwoni do jego pokoju, pytając o pana Eckersa, miał najpierw zjechać do holu, zejść schodami

prowadzącymi do hotelowej sauny i poszukać szarych, stalowych drzwi obok restauracyjnej rampy. Można je będzie otworzyć od wewnątrz bez klucza. Będzie na niego czekać na ulicy na tyłach hotelu.

Please, napisała. *Please, please*. Teraz był całkiem pewny, że w jej twarzy był nie tylko strach, ale i niezgoda, bunt, a może nienawiść. To coś poważniejszego, niż mi się wydawało, pomyślał. Trzeba było kuriera w fartuchu sprzątaczkii, by zdać sobie z tego sprawę. Zapomniałem, że jestem w innym świecie.

Parę minut przed ósmą wysiadł z windy na parterze. Mężczyzny z gazetą nie było, natomiast inny stał przy stoisku z widokówkami, studiując je gorliwie.

Wallander wyszedł na ulicę. Nie było tak zimno jak wczoraj. Sierżant Zids czekał w samochodzie, powitał go i uruchomił silnik. Dzień powoli wschodził nad Rygą. Ruch był duży, sierżant nie mógł jechać tak szybko, jakby sobie tego życzył. Wallander cały czas miał przed oczami twarz Baiby Liepy. I nagle, niespodziewanie, poczuł strach.

Tuż przed dziewiątą rano Kurt Wallander odkrył, że pułkownik Murniers pali takie same papierosy, jak major Liepa. Rozpoznał markę Prima, gdy pułkownik wyjął z kieszeni munduru paczkę i położył przed sobą na stole.

Sierżant Zids prowadził go skomplikowanym, niemal bezkresnym labiryntem schodów i korytarzy w gigantycznym gmachu kwatery głównej, nim zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do biura Murniersa. Wallander pomyślał, że to zabawa w kotka i myszkę, bo na pewno jest krótsza i prostsza droga do pokoju pułkownika, tyle że nie chciano, by ją poznał.

Pokój, niespecjalnie duży, umeblowany był po spartańsku. Trzy różne telefony, przy jednej ze ścian powgniatana, zamknięta szafa na dokumenty. Na biurku, obok telefonów, stała duża żeliwna popielniczka udekorowana statuetką. W pierwszej chwili pomyślał, że to para łabędzi, lecz gdy się przyjrzał, zobaczył, że przedstawia umięśnionego mężczyznę, niosącego rozwiany sztandar.

Popielniczka i telefony, żadnych papierów. Żaluzje w dwóch wysokich oknach za plecami Murniersa były zsunięte do połowy lub zepsute.

Wpatrywał się w nie, myśląc o rewelacji, z którą Murniers przyszedł do niego parę minut wcześniej.

- Ujęliśmy domniemanego sprawcę - powiedział pułkownik.
- Dziś w nocy nasze śledztwo wreszcie przyniosło rezultaty, na które tak liczyliśmy.

W pierwszej chwili Wallander myślał, że chodzi o mordercę majora. Zorientował się jednak, że pułkownik mówi o zwłokach w pontonie.

- Szajka - powiedział Murniers. - Szajka z rozgałęzieniami biegnącymi do Tallina i Warszawy. Luźno powiązane grupy przestępców, utrzymujących się z przemytu, rabunków,

włamań, wszystkiego, co daje pieniądze. Podejrzewamy, że zaczęli czerpać zyski z handlu narkotykami, który, niestety, wzmógł się ostatnio w naszym kraju. Pułkownik Putnis właśnie ich przesłuchuje. Niedługo będziemy wiedzieli więcej.

Ostatnie słowa Murniers wypowiedział tak, że zabrzmiały jak spokojne, rzeczowe, dokładnie wyważone stwierdzenie niepodważalnego faktu. Wallander wyobraził sobie nagle pułkownika Putnisa powoli wyciągającego prawdę z torturowanego człowieka. Co właściwie wiedział o łotewskiej policji? Czy w dyktaturze istniała granica tego, co dozwolone? Czy Łotwa w ogóle była dyktaturą?

Przypomniał sobie twarz Baiby Liepy. Strach i jego przeciwieństwo.

Gdy ktoś zadzwoni, pytając o pana Eckersa, musi pan przyjść.

Murniers uśmiechnął się do niego, jakby potrafił czytać w myślach.

Chcąc, by jego tajemnica nie została odkryta, Wallander powiedział coś, co nie było prawdą.

- Major Liepa w rozmowie ze mną wyrażał niepokój o własne bezpieczeństwo. Nie podał jednak żadnych powodów. To jedna ze spraw, które pułkownik Putnis powinien spróbować wyjaśnić. Trzeba również ustalić, czy istnieje bez pośredni związek między zwłokami z pontonu a zamordowaniem majora.

Miał wrażenie, że widzi prawie niedostrzegalną zmianę na twarzy Murniersa. Powiedział zatem coś, czego się nie spodziewano. Ale czy zaskoczenie pułkownika wynikało z faktu, że Wallander powiedział to tak nagle, czy też Liepa naprawdę był zaniepokojony, a on o tym wiedział?

- Musieliście chyba zadawać sobie podstawowe pytania. Co mogło go wywołać z domu w środku nocy? Kto mógł mieć powód, by go zamordować? Nawet gdy zostaje

zamordowany kontrowersyjny polityk, trzeba brać pod uwagę prywatne motywy zbrodni. Tak zrobiono w sprawie Kennedyego, a także parę lat temu u nas, gdy szwedzki premier został zastrzelony na ulicy. Musieliście myśleć o tym wszystkim. Musieliście również dojść do wniosku, że prawdopodobnie nie ma sensownego prywatnego motywu. W przeciwnym razie nie prosiłobyście mnie o przyjazd.

- Zgadza się. Jest pan doświadczonym policjantem, zrobił pan prawidłową analizę. Major Liepa był szczęśliwie żonaty. Nie robił podejrzanych interesów. Nie uprawiał hazardu, nie miał kochanki. Był gorliwym policjantem, uważał, że swoją pracą może się przysłużyć naszemu krajowi. My również myślimy, że jego śmierć ma związek z pracą. Ponieważ bezpośrednio przed śmiercią nie zajmował się żadnym innym śledztwem, oprócz tego dotyczącego pontonu, zwróciliśmy się o pomoc do Szwecji. Może powiedział panu coś, czego nie ma w raporcie, złożonym tego samego dnia, gdy został zamordowany? Musimy to wiedzieć, mamy nadzieję, że może nam pan pomóc.

- Major Liepa mówił o narkotykach. O wzrastającej liczbie wytwórni amfetaminy w Europie Wschodniej. Był przekonany, że mężczyźni z pontonu padli ofiarą wewnętrznych porachunków w syndykacie zajmującym się ich przemysłem. Zastanawiał się, czy zabito ich z zemsty, czy też dlatego, że nie chcieli czegoś wyjawić. Poza tym ważne powody przemawiają za tym, że ponton był nafaszerowany narkotykami - ukradziono go, włamując się do komisariatu. Ale nie doszliśmy do tego, jak różne elementy tej układanki można ze sobą połączyć.

- Mam nadzieję, że pułkownik Putnis znajdzie odpowiedź. Jest bardzo doświadczonym oficerem śledczym. W międzyczasie proponuję obejrzenie miejsca, w którym major został zamordowany. Pułkownik Putnis, jeśli trzeba, poświęca przesłuchiwaniu podejrzanych dużo czasu.

- Czy miejsce, w którym znaleziono ciało majora, to miejsce zbrodni?

- Nic temu nie przeczy. Leży na uboczu, w nocy niewiele osób porusza się po terenie portu.

Coś tu jest nie tak, myślał Wallander. Major stawiałby opór. Nie byłoby łatwo zaciągnąć go na nabrzeże w środku nocy. To, że miejsce leży na uboczu, nie wystarcza.

- Chciałbym spotkać się z wdową po majorze. Rozmowa z nią może być ważna i dla mnie. Bo przypuszczam, że panowie rozmawiali już z nią wiele razy?

- Baibę Liepę przesłuchaliśmy wyjątkowo wnikliwie. Oczywiście zorganizujemy panu spotkanie z nią.

Jechali wzdłuż rzeki, w szarym, zimowym poranku. Sierżant Zids miał pojechać po Baibę Liepę, a Wallander i pułkownik Murniers na miejsce, w którym znaleziono zwłoki, i które Murniers przedstawił jako miejsce zbrodni.

- A wasza teoria? - spytał Wallander z tylnego siedzenia samochodu, który był większy i wygodniejszy niż ten, który oddano mu do dyspozycji. - Muszą panowie mieć jakąś.

- Narkotyki - odpowiedział Murniers zdecydowanie. - Wiemy, że bossowie handlu narkotykami trzymają armie ochroniarzy, prawie zawsze składające się z narkomanów gotowych zrobić wszystko, by dostać swą codzienną dawkę. Może uważali, że major stał się zbyt natrętny?

- A było tak?

- Nie. Gdyby ta teoria była prawdziwa, przynajmniej dziesięciu wyższych oficerów ryskiej policji powinno znaleźć się przed majorem na ewentualnej liście skazanych. Major nigdy wcześniej nie zajmował się śledztwem związanym z narkotykami. Czysty przypadek sprawił, że uznaliśmy go za najbardziej odpowiednią osobę do misji w Szwecji.

- Jakimi śledztwami zajmował się wcześniej?

Murniers patrzył przez szybę samochodu nieobecny wzrokiem.

- Był wytrawnym śledczym od spraw ogólnych. Ostatnio mieliśmy w Rydze kilka morderstw na tle rabunkowym. Major wyśmienicie sforsował wszystkie przeszkody i schwytał sprawców. Często wzywano go, gdy inni śledczy, z równie dużym doświadczeniem, byli bezsilni.

Siedzieli w milczeniu, czekając na czerwonym świetle.

Wallander patrzył na grupkę zmarzniętych, skulonych ludzi na przystanku autobusowym. Sprawiali wrażenie czekających na próżno.

- Narkotyki - powiedział. - Dla nas, na Zachodzie, to stary problem, a dla was - nowy.

- Niezupełnie - zaoponował Murniers. - Ale dzisiaj to przybrało zupełnie inny rozmiar. Otwarcie granic poszerzyło rynek o tereny dotąd niedostępne. Przyznaję, że chwilami czujemy się bezradni. Konieczne będzie rozwinięcie współpracy z policją na Zachodzie, bo duża część narkotyków przechodzących przez Łotwę przeznaczona jest na wasz rynek. To wasza twarda waluta ich nęci. Dla nas jest najzupełniej jasne, że Szwecja należy do krajów, którymi szczególnie interesują się łotewskie gangi. Ze względów praktycznych. Z Windawy do szwedzkiego wybrzeża jest stosunkowo niedaleko. Poza tym wasza linia brzegowa jest długa, przez co trudna do upilnowania. Można by powiedzieć, że jest to klasyczny szlak przemytniczy, otwarty na nowo. Dawniej tą samą drogą transportowano beczki z alkoholem.

- Proszę powiedzieć więcej - poprosił Wallander. - Gdzie produkują narkotyki? Kto za tym stoi?

- Musi pan zrozumieć, że znajduje się w kraju zubożałym. Równie biednym i podupadłym, jak jego sąsiedzi. Przez wiele lat zmuszeni byliśmy żyć jak w klatce, z odległości oglądając dostatek Zachodu. Teraz nagle wszystko to stało się osiągalne. Ale pod warunkiem że ma się pieniądze. Dla tych, którzy są pozbawieni skrupułów, narkotyki stanowią

najszybszą drogę do zdobycia majątku. Gdy pomagaliście nam burzyć mury i otwierać podwoje krajów, w których ludzie żyli dotąd w izolacji, otworzyliście jednocześnie śluzę dla fali głodu. Głodu tego wszystkiego, na co wcześniej mogliśmy tylko patrzeć z daleka, a czego nie wolno nam było dotknąć. Oczywiście nie wiemy, jak to się dalej potoczy. Nachylił się i powiedział coś do kierowcy, który natychmiast zatrzymał się przy trotuarze. Murniers wskazał na fasadę domu.

- Dziury po kulach. Mają nie więcej niż miesiąc.

Wallander pochylił się do przodu. Ściana pełna była dziur po pociskach.

- Co to za budynek?

- Jedno z naszych ministerstw. Pokazuję to panu, by mógł pan zrozumieć, że wciąż nie wiadomo, jak się to wszystko ułoży. Będzie więcej wolności czy mniej? A może zupełnie zniknie? Tego jeszcze nie wiemy. Musi pan zrozumieć, komisarzu Wallander, że znajduje się pan w kraju, gdzie nic nie jest jeszcze rozstrzygnięte.

Jechali dalej, skręcając w kierunku rozległego terenu portowego. Wallander próbował zrozumieć, o czym mówił Murniers. Poczul sympatię do tego bladego mężczyzny o nalanej twarzy. Miał wrażenie, że wszystko, co powiedział, dotyczyło również jego samego, a może nawet przede wszystkim jego.

- Wiemy, że są laboratoria wytwarzające amfetaminę, a może również morfinę i efedrynę - ciągnął Murniers. - Podejrzewamy poza tym, że azjatyckie i południowoamerykańskie kartele próbują stworzyć nowe kanały przerzutowe, mające zastąpić te, które istniały już wcześniej i prowadziły bezpośrednio do Europy Zachodniej. Wiele z nich rozpracowano i zlikwidowano. Ale na dziewiczym wschodnioeuropejskim rynku łatwiej uspić czujność policji. Powiedzmy szczerze, łatwiej nas

skorumpować i przekupić.

- Tak jak majora?

- On nigdy by się nie zniżył do wzięcia łapówki.

- Chodzi mi o to, że był czujnym policjantem.

- Jeśli był zbyt czujny, i tym sprowadził na siebie śmierć, to mam nadzieję, że pułkownik Putnis niedługo to wyjaśni.

- Kogo złapano?

- Faceta często zamieszanego w ciemne interesy z tymi dwoma z pontonu. Były rzeźnik z Rygi, jeden z przywódców zorganizowanej przestępczości, którą nieustannie zwalczamy. Dziwne, ale dotąd zawsze udawało mu się uniknąć więzienia. Może teraz będziemy mogli go przymknąć?

Samochód zatrzymał się przy stercie żelastwa i zdezelowanych dźwigów. Wysiedli i podeszli do skraju nabrzeża.

- Tam leżał major.

Wallander rozejrzał się wokół, starając się zapamiętać pierwsze spostrzeżenia.

W jaki sposób mordercy i major się tutaj dostali? I dlaczego tu? To, że miejsce leżało na uboczu, nie było wystarczającym wyjaśnieniem. Oglądał resztki dźwigu. *Please*, napisała Baiba Liepa. Murniers palił, przytupując nogami dla rozgrzewki.

Dlaczego nie mówi mi nic o miejscu zbrodni, myślał Wallander. Dlaczego Baiba Liepa chce się ze mną spotkać w tajemnicy? *Gdy ktoś zapyta o pana Eckersa, musi pan przyjść*. Dlaczego właściwie tu jestem?

Wróciło nieprzyjemne uczucie, którego doświadczył rano. Jestem tu obcy, to pewnie dlatego, pomyślał. Bycie policjantem to zajmowanie się rzeczywistością, której jest się częścią, a ta rzeczywistość nie była jego. Może jako pan Eckers mógłby wniknąć w ten obcy świat? W każdym razie jako szwedzki policjant Kurt Wallander był bezradny.

Wrócił do samochodu.

- Chciałbym przestudiować wasze raporty, protokoły z obdukcji i z przeglądu miejsca zbrodni, zdjęcia.

- Damy materiał do przetłumaczenia - odpowiedział Murniers.

- Może ustnie będzie szybciej? - zaproponował Wallander. - Sierżant Zids świetnie mówi po angielsku.

Murniers uśmiechnął się blado i zapalił nowego papierosa.

- Spiesz się panu. Jest pan niecierpliwy. Oczywiście, sierżant Zids może przetłumaczyć raporty.

Po powrocie do siedziby policji weszli za specjalną zasłonę i przez lustro weneckie obserwowali, jak pułkownik Putnis przesłuchuje mężczyznę. Pokój był całkiem pusty, stały w nim tylko stół i dwa krzesła. Pułkownik Putnis zdjął kurtkę mundurową. Mężczyzna naprzeciw niego był nieogolony i wyglądał na bardzo zmęczonego. Ospale odpowiadał na pytania.

- To potrwa - powiedział Murniers w zamyśleniu. - Ale prędzej czy później dowiemy się prawdy.

- Jakiej prawdy?

- Czy mamy rację, czy nie.

Wrócili labiryntem korytarzy. Wallanderowi wskazano niewielki pokój obok gabinetu Murniersa. Wszedł sierżant Zids z teczką zawierającą wyniki badań dotyczących śmierci majora. Murniers wymienił z sierżantem parę zdań po lotewsku.

- Baiba Liepa zostanie przywieziona tu na przesłuchanie o czternastej - poinformował.

Wallander przeraził się. *Pan mnie zdradził, panie Eckers. Dlaczego pan to zrobił?*

- Chodziło mi raczej o rozmowę, a nie o przesłuchanie.

- Powinienem być użyć innego słowa. Powiedzmy, że wyraziła radość ze spotkania z panem - powiedział Murniers i wyszedł.

W dwie godziny sierżant Zids przetłumaczył wszystko, co mieściło się w teczce. Wallander oglądał niewyraźne zdjęcia przedstawiające ciało. Uczucie, że coś ważnego się nie zgadza, pogłębiło się. Wiedząc, że myśli najsprawniej, gdy zajęty jest czymś innym, poprosił sierżanta, by zawiózł go do sklepu z bielizną. Chciałbym kupić *long underpants*, powiedział, a sierżant nie zdziwił się. Wchodząc do sklepu z konfekcją, Wallander czuł się groteskowo, jakby kupował kalesony pod eskortą policji. Zids mówił za niego, upierając się przy tym, by przymierzył kalesony, zanim je kupi. Wziął dwie pary. Zapakowano je w brązowy papier i przewiązano sznurkiem. Wyszli na ulicę, Wallander zaproponował wspólne zjedzenie lunchu.

- Byle nie w hotelu Łotwa. Gdziekolwiek, ale nie tam.

Sierżant Zids zjechał z szerokiej arterii i wcisnął się w wąskie uliczki starego miasta. Wallander znowu poczuł się jak w labiryncie, z którego sam nigdy by nie wyjechał. Restauracja nazywała się Sigulda. Powietrze w przepelnionej sali było ciężkie od tytoniowego dymu, wyglądało na to, że nie ma wolnych miejsc, ale sierżant zażądał wolnego stolika, i dostali go. Wallander zjadł omlet, a sierżant talerz zupy.

- W Szwecji byłoby to niemożliwe - powiedział Wallander w czasie posiłku - żeby policjant wszedł do restauracji i zażądał wolnego stolika, mimo że nie ma wolnych miejsc.

- Tutaj jest inaczej - odrzekł Zids spokojnie. - Ludzie chcą dobrze żyć z policją.

Wallander poczuł irytację. Wiek sierżanta nie licował z takim cynizmem.

- Na przyszłość nie chcę, by obsługiwano nas poza kolejnością.

Sierżant spojrział na niego zdziwiony.

- To nie dostaniemy jedzenia.

- Restauracja w hotelu Łotwa jest zawsze pusta - odrzekł

Wallander krótko.

Tuż przed czternastą wrócili do Komendy Głównej. W czasie lunchu Wallander milczał, rozmyślając nad tym, co nie zgadzało się w raporcie, który mu przetłumaczono. Uświadomił sobie, że razi go perfekcja dokumentu, jakby napisany był właśnie po to, by wszelkie pytania uczynić zbędnymi. Dalej nie zaszedł w swych rozważaniach, zaczynał też tracić zaufanie do własnego osądu. Może widział upiory tam, gdzie ich nie było?

Murniers opuścił biuro, a Putnis dalej prowadził przesłuchanie. Sierżant wyszedł po panią Liepę i Wallander został sam w pokoju. Zastanawiał się, czy są tu jakieś pluskwy lub czy ktoś nie obserwuje go przez weneckie lustro. Jakby chcąc zademonstrować swą niewinność, otworzył paczkę ze sklepu, zdjął spodnie i włożył kalessy. Zdażył poczuć, że gryzą, gdy zapukano do drzwi. Krzyknął: „proszę wejść” i sierżant otworzył je przed Baibą Liepą. *Teraz jestem Wallander. Nie Eckers. Pana Eckersa tu nie ma. Dlatego chciałem z panią porozmawiać.*

- Czy wdowa po majorze mówi po angielsku? - spytał sierżanta.

Zids skinął głową.

- W takim razie może nas pan zostawić samych.

Próbował się przygotować. *Muszę pamiętać o tym, że wszystko, co mówię i robię, jest widziane i słyszane. Nie możemy nawet kłaść palca na usta, a już na pewno pisać karteczek. A Baiba musi zrozumieć, że pan Eckers wciąż istnieje.*

Miała na sobie ciemny płaszcz i futrzaną czapkę, a na nosie okulary, których nie widział rano. Zdjęła czapkę i wstrząsnęła ciemnymi, półdługimi włosami.

- Proszę, niech pani usiądzie, pani Liepa - powiedział, uśmiechając się pospiesznie, jakby w tajemnicy dawał umówiony sygnał. Przyjęła to bez zdziwienia. Wiedział, że

musi zadać te wszystkie pytania, na które odpowiedź już znał. Ale może ona w odpowiedziach zdoła mu przemyścić jakąś wiadomość, przeznaczoną tylko dla *pana Eckersa*?

Po złożeniu kondolencji, formalnie, lecz przekonywująco zaczął zadawać naturalne w tej sytuacji pytania, pamiętając cały czas, że mogą być obserwowani.

- Jak długo byli państwo małżeństwem?

- Osiem lat.

- Jak rozumiem, nie mają państwo dzieci.

- Chcieliśmy z tym poczekać. Mam swoją pracę.

- Jaki ma pani zawód?

- Jestem inżynierem. Ale w ciągu ostatnich lat zajmowałam się tłumaczeniami literatury naukowej, między innymi dla naszej politechniki.

Jak udało ci się przynieść mi śniadanie, pomyślał. Kto jest twoim zaufanym w hotelu?

Ale myśl ta do niczego nie prowadziła. Zadał następne pytanie.

- I tego nie dało się pogodzić z dziećmi?

Od razu pożałował. Pytanie było zbyt obcesowe. Przejściem do następnej kwestii, bez czekania na odpowiedź, chciał pokazać, że jest mu przykro.

- Proszę pani - zaczął. - Musiała pani zastanawiać się nad tym, co właściwie stało się z pani mężem. Przeczytałem protokoły przesłuchań, jakie przeprowadziła z panią policja. Mówiła pani, że nic nie wie, nie rozumie i niczego się nie domyśla. Z pewnością to prawda. Pani zapewne najbardziej pragnie, by morderca męża został ujęty i ukarany. Mimo to chciałbym prosić, by cofnęła się pani do dnia, kiedy mąż wrócił ze Szwecji. Może pominęła pani coś z powodu szoku, w jakim się pani znajdowała, dowiedziawszy się o jego śmierci.

Jej odpowiedź stanowiła pierwszy sygnał, który miał rozszyfrować.

- Nie. Niczego nie zapomniałam. Absolutnie niczego.
Panie Eckers. Nic niespodziewanego na mnie nie spadło.
Stało się to, czego się obawialiśmy.

- Może jeszcze wcześniej - powiedział Wallander, posuwając się teraz ostrożnie, by nie narażać jej na trudności, z którymi mogłaby sobie nie poradzić.

- Mąż nie opowiadał o swojej pracy. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by wyjawić tajemnicę zawodową. Byłam żoną człowieka uczciwego.

Całkowicie się zgadza, pomyślał Wallander. I to go zabiło.

- Odniosłem to samo wrażenie. Mimo że znaliśmy się zaledwie kilka dni.

Czy zrozumiała teraz, że stoi po jej stronie? Że to dlatego chciał, by przyszła? By puścić zasłonę dymną nic nieznaczących pytań?

Jeszcze raz poprosił, by się zastanowiła. Ponownie zadał serię pytań, po czym doszedł do wniosku, że można to zakończyć. Nacisnął przycisk dzwonka, który, jak przypuszczał, usłyszał sierżant Zids, podniósł się i podał jej rękę.

Skąd wiedziałaś, że przyjechałem do Rygi, zastanawiał się. Ktoś musiał ci o tym powiedzieć. Ktoś, kto chciał, byśmy się spotkali. Ale dlaczego?

W czym miałby ci pomóc szwedzki glina z niewielkiego miasteczka?

Przyszedł sierżant i odprowadził Baibę do odległego wyjścia. Wallander stanął przy nieszczelnym oknie, obserwując dziedziniec. Wilgotny śnieg padał na miasto. Po drugiej stronie wysokiego muru widać było wieżę kościelną i pojedyncze bloki.

Nagle pomyślał, że to wszystko jest przywidzeniem. Dał się ponieść fantazji, rozsądek nie zdążył stawić oporu. Podejrzewał konspirację tam, gdzie jej nie było, nasłuchiwał się mitów o wschodnich dyktaturach opartych na spiskach.

Jakie miał powody, by nie ufać Murniersowi i Putnisowi? To, że Baiba pojawiała się w hotelu w przebraniu sprzątaczkę, mogło mieć wyjaśnienie znacznie mniej dramatyczne, niż sobie wyobrażał.

Jego rozmyślenia przerwał Putnis, który wszedł, zapukawszy do drzwi. Był zmęczony, uśmiechał się z przymusem.

- Przerwaliśmy chwilowo przesłuchanie podejrzanego. Niestety, nie złożył zeznań, które mieliśmy nadzieję usłyszeć. Sprawdzamy właśnie rozmaite informacje, które nam podał, później będzie kontynuował.

- Na jakiej podstawie oparte są podejrzenia?

- Wiedzieliśmy już wcześniej, że często posługiwał się Leją i Kalnsem jako kurierami i pomagierami. Mamy też nadzieję, że można będzie udowodnić, że w ostatnim roku zajmował się narkotykami. Poza rym Hagelman - to jego nazwisko - nie cofnąłby się przed torturowaniem czy zamordowaniem kogoś, jeśli uznałby to za konieczne. Oczywiście nie działał sam. Szukamy właśnie innych członków jego bandy. Ponieważ wielu z nich to obywatele sowieccy, mogą niestety znajdować się w swoim kraju. Ale nie damy za wygraną. Poza tym mamy sporo broni, do której Hagelman miał dostęp. Badamy właśnie, czy kule, które zabiły Leję i Kalnsa, nie zostały wystrzelone z którejś z tych zabawek.

- A związek ze śmiercią majora - zastanawiał się Wallander - gdzie się zaczyna?

- Nie wiemy. Ale na pewno było to morderstwo z premedytacją, egzekucja. Nawet nie został obrabowany. Wierzymy, że miało to związek z jego pracą.

- Czy major mógł prowadzić podwójne życie?

Putnis uśmiechnął się, zmęczony.

- Żyjemy w kraju, w którym kontrola nad obywatelami doprowadzona została do perfekcji. Dotyczy to również kontroli policji nad policją. Wiedzielibyśmy, gdyby major

żył podwójnym życiem.

- Chyba że ktoś go osłaniał.

Putnis spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Kto miałby go osłaniać?

- Nie wiem. Po prostu głośno myślałem. A to, obawiam się, była myśl nie najwyższych lotów.

- Zamierzałem zaprosić dziś pana do domu na kolację. Niestety, to niemożliwe, bo chcę kontynuować przesłuchanie podejrzanego. Może pułkownik Murniers pomyślał o tym? To bardzo nieuprzejme zostawiać pana samego w obcym mieście.

- Hotel Łotwa jest pierwszorzędny. Poza tym chcę uporządkować sobie w głowie różne myśli, dotyczące śmierci majora. Przyda mi się ten wieczór.

Putnis skinął głową.

- Wobec tego jutro wieczorem zapraszam pana do nas do domu. Moja żona Ausma jest wspaniałą kucharką.

- Z chęcią. Będzie mi bardzo miło.

Putnis wyszedł. Wallander nacisnął przycisk dzwonka. Chciał wyjść z komendy, nim Murniers zdąży zaprosić go na kolację, do siebie czy do restauracji.

- Jadę do hotelu - zakomunikował sierżantowi, gdy ten pojawił się w drzwiach. - Wziąłem na wieczór trochę papierkowej roboty. Może przyjechać pan po mnie jutro o ósmej.

Sierżant podwiózł go pod hotel. W recepcji kupił znaczki i widokówki. Poprosił też o plan miasta. Ponieważ mieli tylko bardzo ogólny, spytał o najbliższą księgarnię.

Rozejrzał się wokół. Nie zauważył nigdzie faceta czytającego gazetę czy pijącego herbatę.

To znaczy że są, pomyślał. Jednego dnia będą widoczni, drugiego nie. Chodzi o to, żebyśmy zaczęli wątpić w ich istnienie.

Wyszedł z hotelu, by poszukać księgarni. Ściemniło się, na

mokrym od śniegu trotuarze było tłumnie. Przystawał od czasu do czasu, by popatrzeć na wystawy. Towarów było niewiele, i wszystkie jednorakie. Dochodząc do księgarni, rzucił szybkie spojrzenie przez ramię, ale nie spostrzegł nikogo, kto zatrzymałby się w pół kroku.

Starszy pan, nieznający ani słowa po angielsku, sprzedał mu plan miasta, bezustannie mówiąc po łotewsku, jakby myślał, że Wallander mimo wszystko zrozumie.

Wrócił do hotelu. Gdzieś za nim snuł się niewidoczny cień. Postanowił nazajutrz spytać któregoś z pułkowników, dlaczego jest śledzony. Zrobi to uprzejmie, bez irytacji czy sarkazmu.

W recepcji zapytał, czy nikt nie dzwonił. Portier pokręcił przecząco głową. *No calls, mister Wallander. No calls at all.*

Poszedł na górę do pokoju i zasiadł do pisania widokówek. Odciągnął biurko od okna, żeby nie ciągnęło chłodem. Widokówka dla Bjórka przedstawiała katedrę w Rydze. Gdzieś w tamtej okolicy mieszkała Baiba Liepa, stamtąd późnym wieczorem wywołano majora, za pomocą nagłego telefonu.

Kto dzwonił, Baiba? Pan Eckers czeka w swoim pokoju, czeka na odpowiedź.

Napisał do Bjórka, do Lindy i do ojca. Nad ostatnią kartką zawahał się chwilę, w końcu napisał do swojej siostry Krystyny.

Zrobiła się siódma. Napuścił do wanny letniej wody, na jej krawędzi postawił szklanekę whisky. Przymknął oczy i jeszcze raz przebiegł w myśli wszystko od początku.

Ponton ratunkowy, zwłoki mężczyzn, ich przedziwny uścisk. Próbował dojrzeć coś, czego wcześniej nie zauważył. Rydberg często mówił o zdolności widzenia tego, co niewidoczne, zobaczenia czegoś nieoczekiwanego w czymś z pozoru zwykłym. W myślach metodycznie analizował bieg

wydarzeń. Gdzie skrywały się ślady, których dotąd nie zauważył?

Po kąpieli usiadł przy biurku i zaczął robić nowe notatki. Był teraz pewien, że droga obrona przez pułkowników jest właściwa. Jasne było, że mężczyźni z pontonu padli ofiarą wewnętrznych porachunków. To, dlaczego byli bez marynarek, gdy ich zastrzelono, i dlaczego później wrzucono ich do pontonu, nie miało specjalnego znaczenia. Porzucił myśl, że sprawcom świadomie chodziło o to, by zostali odnalezieni. *Dlaczego skradziono ponton?*, napisał później. *Kto to zrobił? W jaki sposób lotewscy przestępcy mogli tak szybko przyjechać do Szwecji? Czy kradzieży dokonali Szwedzi czy Łotysze zamieszkali w Szwecji, przejmujący towar na tym terenie?* Ciągnął dalej. Majora Liepę zamordowano w dniu powrotu ze Szwecji. Wiele przemawia za tym, że został uciszony. *Co wiedział major?*, zapisał - *i dlaczego przedstawiono mi raport pełen luk, który najwyraźniej unika określenia miejsca zbrodni?*

Odczytał notatki i myślał dalej. *Baiba Liepa*, napisał. *Co wie, czego nie chce wyjawić policji?* Odsunął notatnik i dołał sobie whisky. Była prawie dziewiąta, poczuł głód. Podniósł słuchawkę, sprawdzając, czy telefon działa, po czym zszedł do recepcji i zostawił wiadomość, że jest w restauracji. Rozejrzał się w holu. Nigdzie nie zauważył ogonów. W restauracji wskazano mu znów ten sam stolik, co poprzednio. Może wetknęli mikrofon w popielniczkę, pomyślał ironicznie, lub pod stołem siedzi facet i mierzy mi puls? Zjadł gotowaną kurę z ziemniakami, wypijając do tego pół butelki armeńskiego wina. Za każdym razem, gdy otwierały się wahadłowe drzwi do holu, myślał, że to portier z wiadomością o telefonie do niego. Do kawy wziął kieliszek koniaku i rozejrzał się po sali. Dziś wiele stolików było zajętych. W rogu siedziało kilku Rosjan, a przy podłużnym stole jakieś niemieckie towarzystwo z lotewskimi

gospodarzami. Było prawie wpół do jedenastej, gdy zapłacili absurdalnie niski rachunek. Namyślał się przez chwilę, czy nie odwiedzić nocnego klubu, po czym zdecydował, że nie i wszedł schodami na piętnaste piętro.

Wkładając klucz do zamka, usłyszał dzwonek telefonu. Zaklął, szarpnięciem otworzył drzwi i rzucił się do aparatu. *Czy mogę mówić z panem Eckersem?*, pytał mężczyzna bardzo kiepską angielszczyzną. Wallander odpowiedział, jak było umówione, że nie ma tu żadnego Eckersa. *To musi być pomyłka.* Mężczyzna przeprosił. *Proszę wyjść tylnymi drzwiami. Please, please.*

Włożył płaszcz, naciągnął na głowę wełnianą czapkę, po czym rozmyślił się i schował ją do kieszeni. Przez hol starał się przejść niezauważony. Gdy zbliżał się do wahadłowych drzwi, niemieckie towarzystwo wychodziło właśnie z restauracji. Szybko zszedł schodami do hotelowej sauny i korytarza kończącego się przy restauracyjnej rampie. Szare, stalowe drzwi wyglądały dokładnie tak, jak opisała je Baiba Liepa. Otworzył je ostrożnie i poczuł na twarzy uderzenie zimnego nocnego powietrza. Po omacku posuwał się wzdłuż rampy i wkrótce był na zewnątrz, na tyłach hotelu. Uliczkę oświetlało niewiele latarni. Zamknął za sobą drzwi i zanurzył się w ciemność. Na ulicy był tylko starszy pan z psem. Wallander stał bez ruchu w ciemności. Nikt nie nadchodził. Pies podniósł łapę przy śmietniku, starszy pan cierpliwie czekał. Mijając Wallandera, powiedział, żeby poszedł za nim, gdy minie róg. Gdzieś w oddali dzwonił tramwaj. Wallander naciągnął czapkę i czekał. Śnieg przestał padać i znów zrobiło się zimno. Mężczyzna zniknął. Wallander powoli poszedł w tym samym kierunku. Minąwszy róg, wszedł w zaułek. Mężczyzny z psem nie było. Bezszelestnie otworzyły się drzwi stojącego obok samochodu. *Panie Eckers,* dobiegł głos z ciemnego wnętrza. *Musimy natychmiast odjechać.* Wsunął się na tylne

siedzenie. Przez głowę przemknęła mu myśl że to, co robi, jest czystym szaleństwem. Nagle przypomniał sobie uczucie, którego doświadczył rano w samochodzie prowadzonym przez sierżanta Zidsa. To był strach. Strach, który teraz powrócił.

Ostry zapach wilgotnej wełny.

Tak zapamiętał nocną przejażdżkę ulicami Rygi. Skulił się na tylnym siedzeniu, i nim oczy przywykły do ciemności, czyjeś ręce szybko naciągnęły mu kaptur na głowę. Pachniał wełną, i gdy Wallander po pewnym czasie spocił się, zaczęła go swędzieć skóra. Ale intensywne uczucie strachu, że wszystko jest nie tak, cholernie nie tak, zniknęło w chwili, gdy znalazł się na tylnym siedzeniu. Głos należący, jak przypuszczał, do człowieka, który naciągnął mu kaptur, miał uspokajający ton: *We are no terrorists. We just have to be cautious.* To był ten sam głos, który pytał przez telefon o pana Eckersa i przeproszał za pomyłkę. Był przekonujący; później myślał, że ludzie z tej części Europy muszą się tego uczyć: brzmieć przekonująco, kiedy mówią, że nic nie zagraża, gdy w rzeczywistości zagraża wszystko.

Samochód był niewygodny. Odgłos silnika mówił mu, że jest produkcji rosyjskiej, prawdopodobnie była to łada. Nie wiedział, ile osób znajdowało się w aucie, ale co najmniej dwie, ktoś kaszłący siedział przed nim i prowadził, a ten o ciepłym głosie usadowił się obok. Od czasu do czasu, gdy opuszczano szybę, by wywietrzyć, uderzał go w twarz zimny strumień powietrza. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że czuje zapach perfum Baiby Liepy, lecz było to złudzenie, a może pragnienie. Trudno było powiedzieć, czy jechali szybko. Nagle zmieniła się nawierzchnia drogi; uznał, że wyjechali z miasta. Czasami samochód przyhamowywał na zakrętach, później przejeżdżali przez rondo. Próbował orientować się w czasie, lecz wkrótce stracił rachubę. Podróż dobiegała końca, samochód skręcił po raz ostatni, po czym zaczął trząść się i podskakiwać na wertepach. Kierowca wyłączył silnik, drzwi otworzyły się i ktoś pomógł

mu wysiąść.

Było zimno, czuł zapach igliwia. Ktoś ujął go pod ramię i poprowadził schodami w górę. Zaskrzypiały w zawiasach drzwi i znalazł się w ciepłym pomieszczeniu. Poczł zapach nafty. Drgnął nagle, gdy zdjęto mu kaptur z głowy, szok był większy, niż gdy mu go nakładano. Mógł widzieć. Oświetlony lampami naftowymi pokój był podłużny, jego ściany zrobione były z jasnych, grubo ciosanych desek, nad kominkiem wisiała głowa jelenia. Jestem w leśniczówce, pomyślał.

Mężczyzna o uspokajającym głosie zaczął mówić. Jego twarz zupełnie nie pasowała do wyobrażenia Wallandera, jeśli w ogóle wyobrażał sobie jakąś twarz. Był niski, niezwykle chudy, jakby przeszedł ciężką chorobę albo dobrowolnie się głodził. Twarz miał bladą, okulary w rogowych oprawkach, za duże i za ciężkie, nie pasowały do jego kościstej twarzy. Wallander pomyślał, że facet może mieć równie dobrze dwadzieścia pięć, jak i pięćdziesiąt lat. Tamten uśmiechnął się, wskazując krzesło. *Sit down, please*, powiedział. Z cienia wyłonił się bezszelestnie inny mężczyzna, niosąc termos i kubki. To szofer, pomyślał. Gość był starszy, czarniawy, sprawiał wrażenie człowieka, który bardzo rzadko się uśmiecha. Podał mu kubek z herbatą i obaj mężczyźni usiedli po drugiej stronie stołu. Kierowca ostrożnie zwiększył płomień stojącej na stole lampy z białym, porcelanowym kloszem. Spoza kręgu światła dobiegł prawie niedosłyszalny dźwięk. Tu jest ktoś jeszcze, pomyślał Wallander. Ktoś, kto czekał z herbatą.

- Poza herbatą nie mamy nic innego - powiedział człowiek o spokojnym głosie. - Ale kolację zjadł pan tuż przed wyjazdem, panie Wallander. Nie zatrzymamy pana długo.

To go zbulwersowało. Dopóki był panem Eckersem, to, co się działo, nie dotyczyło go osobiście, ale teraz stał się znowu Wallanderem, a oni obserwowali go przez swoje

niewidoczne dziury, widzieli, jak jadł kolację, popełnili tylko mały błąd, telefonując kilka sekund za wcześnie, nim zdążył otworzyć drzwi swego pokoju.

- Mam wszelkie powody, by wam nie ufać - powiedział. - Nie wiem nawet, kim jesteście. Gdzie jest wdowa po majorze?

- Musi nam pan wybaczyć nieuprzejmość. Nazywam się Upitis. Może być pan zupełnie spokojny. Gdy zakończymy rozmowę, będzie pan mógł wrócić do hotelu, gwarantuję.

Upitis, pomyślał Wallander. Jak ja Eckers. Jakiegokolwiek nazwisko by podał, i tak będzie fałszywe.

- Gwarancja nieznanego człowieka jest niewiele warta - odparł. - Uprawdziliście mnie, zarzuciwszy kaptur na głowę. (Czy kaptur po angielsku to rzeczywiście *hood*?).

Zgodziłem się na spotkanie z panią Liepą na jej warunkach, bo znałem jej męża. Założyłem, że powie coś, co pomoże policji wyjaśnić, dlaczego major zginął. Nie wiem, kim jesteście, mam więc wszelkie powody, by wam nie ufać.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Upitis, potakiwał w zadumie.

- Zgadzam się z panem. Proszę tylko nie myśleć, że jesteśmy ostrożni bez powodu. Jest to, niestety, konieczne. Pani Liepa nie mogła, niestety, być dzisiaj z nami. Ale ja mówię w jej imieniu.

- Skąd mogę to wiedzieć? Czego właściwie chcecie?

- Pańskiej pomocy.

- Dlaczego daliście mi fałszywe nazwisko? Po co to tajne spotkanie?

- Jak już powiedziałem, jest to, niestety, konieczne. Przebywa pan w tym kraju od niedawna, panie Wallander. Zrozumie pan to później.

- W jaki sposób mógłbym wam pomóc?

Znowu dobiegł go z ciemności ledwo słyszalny dźwięk. Baiba Liepa, pomyślał. Nie pokazuje się, ale jest tu, niedaleko.

- Musi pan uzbroić się w cierpliwość - ciągnął Upitis. - Proszę pozwolić mi zacząć od wyjaśnienia, czym właściwie jest Łotwa.

- Czy to naprawdę konieczne? Łotwa jest krajem jak inne. Choć muszę przyznać, że nie znam kolorów waszej flagi.

- Myślę, że to jednak konieczne. Gdy pan mówi, że nasz kraj jest taki jak wszystkie inne, widzę, że pewne rzeczy bezwarunkowo musi pan zrozumieć.

Wallander posmakował letniej herbaty, próbując spojrzeniem przeniknąć ciemność. Kątem oka dostrzegając słabą smugę światła pod niedomkniętymi drzwiami.

Szofer obejmował kubek, grzejąc sobie nim dłonie, oczy miał przymknięte. Wallander zrozumiał, że rozmawiać będzie tylko z Upitsem.

- Kim jesteście? Powiedzcie chociaż tyle.

- Jesteśmy Łotyszami. Zdarzyło nam się urodzić w tym poranionym kraju, w nieszczęśliwym czasie, nasze ścieżki spotkały się, i połączyło nas zadanie, które trzeba wykonać.

- Major Liepa...? - zaczął Wallander, nie kończąc pytania.

- Proszę pozwolić mi opowiedzieć wszystko od początku - ciągnął Upitis. - Musi pan zrozumieć, że nasz kraj znajduje się na skraju ostatecznego upadku. Podobnie jak w pozostałych republikach nadbałtyckich i innych byłych republikach radzieckich, zarządzanych dziś przez Moskwę, jakby były sowieckimi koloniami, ludzie próbują odzyskać wolność, utraconą po drugiej wojnie światowej. Lecz ta wolność powstaje z chaosu, a wśród cieni czyhają potwory, które mają złe zamiary. Wiara, że można być za lub przeciw to błędne mniemanie, katastrofalne w skutkach. Wolność ma wiele twarzy. Rosjanie, których tu przesiedlono, by przemieszać ich z Łotyszami, i w dalszej perspektywie doprowadzić nas w ten sposób do zagłady, czują niepokój nie tylko dlatego, że kwestionuje się ich obecność. Boją się stracić swe przywileje. Historia nie zna przykładów na to, by

dobrowolnie się ich zrzekano. Dlatego potajemnie szykują się do obrony, dlatego mogło się stać to, co stało się tu ubiegłej jesieni, gdy sowieckie wojsko przejęło kontrolę nad krajem, wprowadzając stan wyjątkowy. Innym złudzeniem jest wiara, że można bez szwanku, jako zjednoczony naród, przejść bezpośrednio od brutalnej dyktatury do demokracji. Nas wolność wabi jak piękna kobieta, której nie można się oprzeć. Dla innych jest zagrożeniem, które wszelkimi sposobami trzeba zwalczać.

Zamilkł, jakby jego słowa były objawieniem i dla niego samego.

- Zagrożeniem? - zdziwił się Wallander.

- Może wybuchnąć wojna domowa. Dyskusję polityczną może zastąpić coś innego; ludzie, którzy w sercu mają tylko zemstę, mogą wpaść w amok. Tęsknota za wolnością może zmienić się w koszmar, którego skutków nikt nie jest w stanie przewidzieć. Potwory czekają za kulisami, po nocach ostrzy się noże, a wynik tej krwawej rozprawy, tak samo jak przyszłość, trudno przewidzieć.

Zadanie, które trzeba wykonać. Wallander próbował zrozumieć właściwe znaczenie tych słów. Lecz z góry wiedział, że to daremne. Nie był w stanie ogarnąć całości zmian dokonujących się w Europie. W jego policyjnym świecie nie było miejsca na politykę. W czasie wyborów głosował dość przypadkowo i bez zaangażowania. Zmiany, które nie dotyczyły bezpośrednio jego życia, były mu obce.

- Ściganie potworów to raczej nie sprawa policji - powiedział niepewnie, próbując usprawiedliwić swą ignorancję. - Badam prawdziwe przestępstwa, popełnione przez prawdziwych ludzi. Zgodziłem się zostać panem Eckersem, wierząc, że Baiba Liepa chce się ze mną spotkać bez świadków. Łotewska policja poprosiła mnie o znalezienie mordercy majora i zbadanie, czy zbrodnia ta może mieć związek z pontonem, który przydryfował do

Szwecji. A teraz nagle wy prosicie mnie o pomoc? Można to powiedzieć prościej, bez długich wywodów o problemach społecznych, których i tak nie rozumiem.

- To prawda - odparł Upitis. - Więc powiedzmy raczej, że możemy sobie pomóc wzajemnie.

Wallander bez skutku szukał angielskiego odpowiednika słowa „zagadka”.

- To zbyt niejasne - powiedział w końcu. - Powiedzcie lepiej, czego chcecie, konkretnie, bez ceregieli.

Upitis wyciągnął notatnik, który leżał za lampą naftową. Z kieszeni zniszczonej marynarki wyjął pióro.

- Major odwiedził pana w Szwecji. Zwłoki obywateli łotewskich przydryfowały do szwedzkiego wybrzeża. Pan z nim współpracował?

- Tak. Był doskonałym policjantem.

- Lecz w Szwecji był tylko parę dni?

- Tak.

- Jak mógł pan w tak krótkim czasie spostrzec, że był doświadczonym śledczym?

- Solidność i doświadczenie widać od razu.

Pytania wydawały się niewinne, lecz Wallander wiedział już, do czego dąży Upitis. Przął swoimi pytaniami niewidoczną sieć. Upitis był jak biegły oficer śledczy, od początku zdążał do określonego celu, niewinność jego pytań była złudna. Może to policjant, pomyślał. Może to nie Baiba Liepa kryje się w mroku? Może pułkownik Putnis? Lub Murniers?

- A więc cenił pan pracę majora?

- Oczywiście! Przecież powiedziałem.

- A jeśli pominiemy jego biegłość i kompetencję jako policjanta?

- Jak można to pominąć?

- Jakie wrażenie zrobił na panu jako człowiek?

- Takie samo, jakie zrobił jako policjant. Był spokojny, solidny, miał dużo cierpliwości, wiedzę, był inteligentny.

- Major Liepa miał takie samo zdanie o panu. Uważał, że jest pan zdolnym policjantem.

Tu Wallanderowi włączyła się ostrzegawcza lampka. Choć było to tylko nieokreślone przeczucie, domyślił się, że Upitis zbliża się do ważnych pytań. Jednocześnie coś nie było w porządku. Major, nim go zamordowano, był w domu tylko przez kilka godzin. Mimo to Upitis miał dokładne informacje o jego pobycie w Szwecji. Informacje, które mógł otrzymać tylko od majora lub jego żony.

- To miło z jego strony. Że doceniał to, co robię.

- Czy miał pan dużo pracy w czasie, gdy major przebywał w Szwecji?

- Śledztwo w sprawie morderstwa zawsze pochłania dużo czasu.

- A więc nie mieliście go zbyt wiele na towarzyskie spotkania?

- Nie rozumiem pytania?

- Towarzystwo, relaks, rozmowy, śmiech, śpiewanie. Słyszałem, że Szwedzi lubią śpiewać.

- Nie utworzyliśmy żadnego chóru, jeśli to macie na myśli. Któregoś wieczoru zaprosiłem go do domu. To wszystko. Wypiliśmy butelkę whisky, słuchając muzyki. Potem major wrócił do hotelu.

- Major bardzo lubił muzykę. Ubolewał, że tak rzadko ma czas, by chodzić na koncerty.

Wallander czuł, że ostrzegawcza lampka w jego głowie miga coraz intensywniej. Co on, u diabła, chce wiedzieć, myślał. Kim jest ten Upitis? I gdzie jest Baiba Liepa?

- Czy wolno mi zapytać, czego słuchaliście?

- Muzyki operowej. Marii Callas. Dokładnie nie pamiętam. *Turandot*, zdaje się.

- Nie znam.

- To jedna z piękniejszych oper Pucciniego.

- I piliście whisky?

- Tak.

- Była zadymka?

- Tak.

Zbliża się do sedna, myślał Wallander gorączkowo. Co chce, bym mu bezwiednie wyjawiał?

- Jaką whisky piliście?

- Zdaje się, że JB.

- Major Liepa był bardzo powściągliwy, jeśli chodzi o alkohol. Ale czasem lubił odprężyć się przy drinku.

- Doprawdy?

- Był powściągliwy pod każdym względem.

- Myślę, że upiłem się bardziej niż on. Jeśli właśnie to chcieliście wiedzieć.

- Mimo to zdaje się pan wyraźnie pamiętać ten wieczór?

- Słuchaliśmy muzyki. Rozmawialiśmy. Siedzieliśmy w milczeniu ze szklankami w dłoniach. Czemu miałbym tego nie pamiętać?

- Pewnie kontynuowaliście rozmowę o zwłokach z pontonu?

- Nie, o ile pamiętam. Major mówił najwięcej o Łotwie, i o tym, że jest żonaty.

Nagle spostrzegł, że coś zmieniło się w pokoju. Upitis obserwował go badawczym wzrokiem, kierowca nieznacznie zmienił pozycję na krześle. Tak bardzo ufał swojej intuicji, że był pewny, iż właśnie doszli w rozmowie do tego punktu, do którego Upitis przez cały czas zmierzał. Ale co to było? W wyobraźni widział majora na sofie, szklaneczkę, którą opierał o jedno kolano, i słyszał muzykę dochodzącą z głośników na regale.

Lecz musiało być coś jeszcze, coś, co kazało stworzyć pana Eckersa, tajnego sobowtóra szwedzkiego policjanta.

- Dał pan majorowi książkę na pożegnanie?

- Kupiłem mu album o Skanii. Może nie wykazałem się pomysłowością, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Major bardzo się ucieszył z prezentu.

- Skąd pan wie?

- Jego żona mi powiedziała.

Odchodzimy od tematu, pomyślał. Te pytania są po to, żebyśmy odeszli od sedna.

- Czy pan wcześniej współpracował z policją z Europy Wschodniej?

- Był u nas kiedyś komisarz śledczy z Polski. To wszystko.

Upitis odsunął notatnik. Nic w nim nie zapisał, lecz Wallander był pewny, że dowiedział się tego, czego chciał.

Tylko czego, myślał. Co mogłem wygadać, co było aż tak ważne?

Pociągnął łyk wystygłej herbaty. Teraz moja kolej, myślał. Muszę zacząć od drugiej strony.

- Dlaczego major zginął? - spytał.

- Major był zamartwiony stanem kraju - odpowiedział Upitis z ociąganiem. - Często zastanawialiśmy się, co można by zrobić.

- Czy dlatego zginął?

- Z jakiego innego powodu mieliby go zabić?

- To nie jest odpowiedź, to nowe pytanie.

- Obawiamy się, że tak właśnie jest.

- Kto miałby powód, żeby go zabić?

- Proszę pamiętać o tym, co powiedziałem wcześniej. O ludziach lękających się wolności.

- Którzy ostrzą noże w ciemności?

Upitis powoli skinął głową. Wallander próbował przetrwać wszystko, co usłyszał.

- Stanowicie jakieś sprzysiężenie, jeśli dobrze to pojąłem?

- Raczej luźno powiązaną grupę ludzi. Organizację zbyt łatwo wysledzić i rozbić.

- Czego chcecie?

Upitis zdawał się wahać, Wallander czekał.

- Jesteśmy wolnymi ludźmi w samym sercu niewoli. Jesteśmy wolni w tym sensie, że możemy analizować

wszystko, co dzieje się na Łotwie. Może należy dodać, że większość z nas to intelektualisci. Dziennikarze, naukowcy, poeci. Może stanowimy załączek przyszłego ruchu politycznego, który uratuje ten kraj przed upadkiem, gdy wybuchnie chaos. Jeśli Sowieci dokonają zbrojnej ingerencji i nie da się zapobiec wojnie domowej.

- Major Liepa był jednym z was?

- Tak.

- Przywódcą?

- Nie mamy przywódców, panie Wallander. Ale major był ważnym członkiem naszej grupy. Ze swojej pozycji widział wiele. Sądzymy, że został zdradzony.

- Zdradzony?

- Nasza policja jest całkowicie opanowana przez okupanta. Major był wyjątkiem. Prowadził podwójną grę z kolegami. Dużo ryzykował.

Wallander zadumał się. Przypomniał sobie coś, co powiedział jeden z pułkowników. *Jesteśmy dobrzy w pilnowaniu się nawzajem.*

- Sugeruje pan, że za morderstwo może być odpowiedzialny ktoś z policji?

- Oczywiście nie jesteśmy pewni, lecz podejrzewamy, że właśnie tak sprawy się mają. Nie ma innej możliwości.

- Kto to miałby być?

- Mamy nadzieję, że pan nam pomoże się tego dowiedzieć.

Wallander uświadomił sobie, że po raz pierwszy trzyma w rękę jakiś konkretny związek z tą sprawą. Pomyślał o budzącym jego wątpliwości raporcie, dotyczącym miejsca, gdzie znaleziono ciało majora, i o tym, że sam był śledzony od przyjazdu do Rygi. Wszystkie te dziwne manewry ułożyły się nagle w jego głowie w spójną całość.

- Jeden z pułkowników? - spytał. - Putnis czy Murniers?

Upitis odpowiedział bez zastanowienia. Później Wallander pomyślał, że w jego głosie była jakby nutka triumfu.

- Podejrzewamy pułkownika Murniersa.
 - Dlaczego?
 - Mamy swoje powody.
 - Jakie?
 - Pułkownik Murniers odznaczył się na wiele sposobów jako lojalny obywatel Związku Radzieckiego.
 - Jest Rosjaninem? - spytał zdziwiony Wallander.
 - Przyjechał tu w czasie wojny. Jego ojciec był w Armii Czerwonej. W 1957 roku rozpoczął pracę w policji. Był wtedy bardzo młody. Młody i obiecujący.
 - Miałby więc zabić jednego ze swoich podwładnych?
 - Nie ma innego wyjaśnienia. Ale nie wiemy, czy zrobił to osobiście, czy też mordercą jest ktoś inny.
 - Dlaczego zamordowano majora tego wieczoru, kiedy wrócił ze Szwecji?
 - Major był miłkliwym człowiekiem - powiedział Upitis ostrym tonem. - Nigdy nie powiedział słowa bez potrzeby. W tym kraju człowiek się tego szybko uczy. Choć byłem jego bliskim przyjacielem, nawet mnie nie mówił więcej, niż to było konieczne. I tego człowiek się uczy: nie obciążać przyjaciół zbyt wieloma sekretami. Ale czasem wyrwało mu się, że wpadł na jakiś trop.
 - Na jaki?
 - Tego nie wiemy.
 - Coś musicie wiedzieć?
- Upitis pokręcił głową. Widać było zmęczenie na jego twarzy. Kierowca siedział bez ruchu.
- Skąd wiecie, że można mi zaufać?
 - Nie wiemy, ale musimy zaryzykować. Sądzymy, że szwedzki policjant nie chce być zbyt głęboko zamieszany w sprawy naszego kraju.
- Słusznie, pomyślał. Nie lubię być śledzony ani uprowadzany w nocy do nieznannej leśniczówki. Najchętniej wróciłbym do domu.

- Muszę się spotkać z Baibą Liepą.

Upitis skinął głową.

- Zadzwonimy, pytając o pana Eckersa - odpowiedział. -
Może już jutro.

- Mogę zażądać, by wezwano ją na przesłuchanie.

Upitis pokręcił głową.

- Zbyt wielu ludzi może was słuchać. Zorganizujemy spotkanie.

Rozmowa skończyła się. Upitis był pogrążony w myślach. Wallander rzucił spojrzenie w ciemność, smuga światła pod drzwiami zniknęła.

- Dowiedzieliście się tego, o co wam chodziło?

Upitis uśmiechnął się, nie odpowiadając.

- Tego wieczoru, gdy major siedział u mnie w domu, pijąc whisky i słuchając opery *Turandot*, nie powiedział niczego, co by mogło wyjaśnić jego śmierć. Od razu mogliście mnie o to spytać.

- W naszym kraju nie ma dróg na skróty - odparł Upitis. -
Najczęściej jedyną pewną i przejezdną drogą jest objazd.

Odsunął notes i wstał. Kierowca poderwał się z krzesła.

- Wolałbym nie wkładać kaptura w drodze powrotnej. Kłuje.

- Naturalnie. Musi pan zrozumieć, że nasza ostrożność służy również panu.

Świecił księżyc i było zimno, gdy wracali do Rygi. Za oknem przesuwwały się kształty ciemnych wiosek. Mijali przedmieścia, wygaszone ulice, nieskończone cienie bloków. Wallander wyskoczył z samochodu w miejscu, w którym wcześniej do niego wsiadł. Upitis powiedział, żeby wszedł do hotelu przez tylne drzwi. Nacisnął klamkę, drzwi były zamknięte. Zastanawiał się, co robić, gdy usłyszał, jak ktoś ostrożnie przekręca klucz w zamku. Ku swemu zdziwieniu rozpoznał mężczyznę, który kilka dni wcześniej otworzył mu drzwi do hotelowego nocnego klubu. Podążał za nim schodami pożarowymi, aż do swego pokoju. Było trzy

minuty po drugiej.

W pokoju panował chłód. Nalał whisky do szklanki od mycia zębów, owinał się kocem i usiadł przy biurku. Był zmęczony, ale wiedział, że nie zazna spokoju i nie zaśnie, póki nie zapisze wszystkiego, co stało się w nocy. Czuł w dłoni chłód pióra. Wyjął notatki, które zrobił wcześniej, pociągnął whisky i zaczął myśleć.

Cofnij się do punktów wyjściowych, powiedziałaby Rydberg. Zostaw luki i niejasności. Zaczynj od tego, czego jesteś całkowicie pewien.

Ale co właściwie wiedział? Dwaj zamordowani Łotysze, w jugosłowiańskim pontonie ratunkowym, dobijającym do brzegu w okolicy Ystadu - to było pewne. Major z Rygi przyjeżdża na kilka dni do Ystadu, by pomóc przy śledztwie. Sam Wallander popełnia niewybaczalny błąd - nie sprawdza dokładnie pontonu. Zaraz po tym ponton zostaje skradziony. *Przez kogo?* Major Liepa wraca do Rygi. Składa raport pułkownikom, Putnisowi i Murniersowi, po czym jedzie do domu. Pokazuje żonie książkę, którą dał mu szwedzki policjant. *O czym rozmawia z żoną?* Dlaczego żona zwraca się do Upitisa po złożeniu Wallanderowi wizyty w przebraniu hotelowej sprzątaczkii? *Czemu stworzyła pana Eckersa?*

Opróżnił szklankę i nalał więcej whisky. Koniuszki palców zbieleły mu z zimna - ogrzał je pod kocem.

Szukaj powiązań nawet tam, gdzie wydaje się, że ich nie ma, mawiał często Rydberg. Lecz czy rzeczywiście były jakieś powiązania? Główną postacią był major. Major mówił o przemyśle, narkotykach. Pułkownik Murniers również, lecz dowodów nie było, tylko przypuszczenia.

Przeczytał notatki, przypominając sobie, co powiedział Upitis: *Major Liepa wpadł na jakiś trop. Ale jaki? Któregoś z potworów, o których mówił Upitis?*

W zamyśleniu obserwował firankę, poruszaną wolno

wiatrem ciągnącym od nieszczęelnego okna.

Ktoś go zdradził. Podejrzewamy Mumiersa.

Czy było to możliwe? Przypomniał sobie, jak przed rokiem w Malmö policjant zastrzelił z zimną krwią starającego się o azyl uchodźcę. Czy w ogóle coś jest niemożliwe?

Pisał dalej. *Zwłoki w pontonie - narkotyki - major Liepa - pułkownik Murniers*. Co spajało ten łańcuch? Co chciał wiedzieć Upitis? Czy sądził, że major Liepa coś ujawnił, słuchając na sofie Marii Callas? Interesowało go to, co zostało powiedziane, czy też to, czy major w ogóle powierzył mi jakąś tajemnicę?

Było kwadrans po trzeciej. Czuł, że dalej się nie posunie. Poszedł do łazienki umyć zęby. W lustrze zobaczył, że na twarzy ma wciąż czerwone cętki od wełnianego kaptura.

Co wie Baiba Liepa? Czego ja nie widzę?

Rozebrał się i wszedł do łóżka. Przedtem nastawił budzik na siódmą. Sen nie nadchodził. Spojrzał na swój zegarek na rękę: była za kwadrans czwarta. Wskazówki budzika połyskiwały w ciemności: pięć po wpół do czwartej. Poprawił poduszkę i zamknął oczy. Nagle poderwał się. Ponownie spojrzął na swój zegarek: za dziewięć czwarta. Wyciągnął rękę i zapalił nocną lampkę. Budzik wskazywał za dziewiętnaście czwarta. Usiadł. Dlaczego budzik źle chodził? A może to jego zegarek wskazywał nieprawidłowy czas? Skąd ta różnica? Wcześniej jej nie było. Wziął budzik w rękę. Pokręcił wskazówkami, tak, żeby oba zegarki wskazywały ten sam czas. Za sześć czwarta. Zgasił światło i zamknął oczy. Kiedy już miał zapaść w sen, coś zatrzymało go na jego krawędzi. Leżąc bez ruchu, w ciemności myślał, że to tylko urojenie. W końcu zapalił nocną lampkę, usiadł w łóżku i odkręcił tylną ściankę budzika.

Mikrofon, nie większy od monety, gruby na trzy, cztery milimetry, był wciśnięty między dwie baterie.

W pierwszej chwili pomyślał, że to kłak kurzu albo kawałek

szarej taśmy. Lecz gdy przekręcił klosz lampy, zobaczył bezprzewodowy mikrofon. Długo siedział z budzikiem w ręku, w końcu przykręcił tylną ściankę.

Tuż przed szóstą, nie gasząc lampki, zapadł w niespokojną drzemkę.

Kurt Wallander obudził się naładowany wściekłością. Odkrycie mikrofonu w budziku wstrząsnęło nim. Czuł się upokorzony. Próbując pod prysznicem wypłukać zmęczenie z ciała, postanowił, że zażąda wyjaśnień. To, że kryli się za tym obaj pułkownicy, przyjął za pewnik. Po co poprosili o pomoc szwedzką policję, skoro od razu okazali jej nieufność, każąc go szpiegować? To, że śledzi go mężczyzna w szarym garniturze, którego zauważył w stołówce, a później koło recepcji, mógłby jeszcze zrozumieć. Tak wyobrażał sobie normalną egzystencję w kraju za żelazną kurtyną, która najwyraźniej wciąż istniała. Ale żeby włamywać się do pokoju i montować mikrofon?

O wpół do ósmej pił kawę w stołówce. Rozejrzał się, szukając ewentualnego cienia, lecz był sam na sam, nie licząc dwóch posepnych Japończyków, prowadzących cichą rozmowę przy stole w rogu.

Tuż przed ósmą wyszedł na ulicę. Znów zrobiło się trochę cieplej, może zbliżała się wiosna. Sierżant Zids stał przy samochodzie, machając do niego ręką. By okazać swe niezadowolenie, podczas jazdy Wallander siedział milczący i zamknięty w sobie. Machnął odmownie ręką, gdy Zids chciał odprowadzić go do pokoju. Myślał, że zna już drogę, ale naturalnie pomylił korytarze i, zirytowany, musiał pytać. Zatrzymał się przed drzwiami do pokoju Murniersa, uniósł dłoń, by zapukać, lecz rozmyślił się i poszedł do siebie. Był zmęczony i czuł, że musi pozbierać myśli, zanim wyładuje złość na Murniersie. Gdy zdejmował kurtkę, zadzwonił telefon.

- Dzień dobry - powiedział pułkownik Putnis. - Mam nadzieję, że spał pan dobrze, panie Wallander.

Z pewnością wiesz, że prawie wcale nie spałem, pomyślał Wallander ze złością. Musieliście słyszeć przez mikrofon, że

nie chrapałem. Na pewno masz już raport na biurku.

- Nie mogę narzekać. Jak przesłuchanie?

- Obawiam się, że nie najlepiej. Ale przed południem będziemy kontynuować. Skonfrontujemy podejrzanego z szeregiem nowych informacji, które być może zmuszą go do ponownego przemyślenia swojej sytuacji.

- Czuję się niepotrzebny. Nie bardzo rozumiem, w czym właściwie mogę pomóc.

- Dobrzy policjanci są zawsze niecierpliwi. Chciałbym przyjść do pana na chwilę, jeśli to panu by nie przeszkadzało.

- Jestem na miejscu.

Kwadrans później przyszedł pułkownik Putnis, a w ślad za nim do pokoju wszedł młody policjant, który przyniósł tacę z kawą. Putnis wyglądał na zmęczonego, miał podkrążone oczy.

- Wygląda pan na zmęczonego, pułkowniku Putnis.

- W pokoju przesłuchań brakuje powietrza.

- Może pan za dużo pali?

Putnis wzruszył ramionami.

- Pewnie ma pan słuszość. Słyszałem, że szwedzcy policjanci rzadko palą. Nie wiem tylko, jak zdołałbym żyć bez papierosów.

Czy major Liepa, pomyślał Wallander, zdążył opowiedzieć o przedziwnej komendzie policji w Szwecji, na której nie można było palić, z wyjątkiem wydzielonych pomieszczeń?

Putnis wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

- Pozwoli pan? - zapytał.

- Proszę bardzo. Sam nie palę, ale dym mi nie przeszkadza.

Wallander wypił łyk kawy. Była bardzo mocna i miała gorzkawy posmak. Putnis siedział w zadumie, obserwując unoszący się do góry dym.

- Dlaczego mnie śledzicie?

Putnis spojrzał na niego pytająco.

- Co pan mówi?

Wie, jak udawać, pomyślał Wallander, czując, że jego złość nagle wraca.

- Dlaczego mnie śledzicie? Zauważyłem oczywiście, że przydzieliliście mi ogon, ale czy konieczne było umieszczenie mikrofonu w budziku?

Putnis popatrzył na niego z namysłem.

- Mikrofon w budziku to rezultat niefortunnej pomyłki. Niektórzy podwładni są czasem zbyt gorliwi. Ale to, że pilnuje pana kilku policjantów w cywilu, jest spowodowane troską o pańskie bezpieczeństwo.

- Cóż mogłoby mi się stać?

- Nie chcemy, by cokolwiek się panu przydarzyło. Jednak nim się dowiemy, co się stało z majorem, stosujemy nadzwyczajne środki ostrożności.

- Potrafię dać sobie radę - odparł Wallander z rezerwą. - Wypraszam sobie kolejne mikrofony. Jeśli znajdę jakieś inne, natychmiast wracam do Szwecji.

- Przykro mi. Udzielę ostrej nagany osobie, która za to odpowiada.

- Ale to pan wydał rozkaz?

- Nie w sprawie mikrofonu - odpowiedział Putnis szybko. - Mikrofon został założony w wyniku inicjatywy jednego z podległych mi ludzi. Przyznaję, że to nie był najszcześniejszy pomysł.

- Mikrofon był bardzo mały. Zaawansowana technika. Przypuszczam, że ktoś siedział w sąsiednim pokoju i słuchał?

Putnis skinął głową.

- Oczywiście.

- Myślałem, że zimna wojna już się skończyła.

- Kiedy nadchodzi nowa epoka historyczna, część ludzi zawsze tkwi jeszcze w starej - odparł filozoficznie Putnis. - Obawiam się, że dotyczy to również policjantów.

- Pozwoli pan, że zadam kilka pytań, które nie są związane bezpośrednio ze śledztwem?

Na twarz Putnisa powrócił zmęczony uśmiech.

- Naturalnie, ale nie jestem pewien, czy będę mógł udzielić panu zadowolających odpowiedzi.

Wallander pomyślał, że przesadna uprzejmość Putnisa nie pasuje do jego wyobrażeń o wschodnioeuropejskich policjantach. Po pierwszym spotkaniu odniósł wrażenie, że Putnis przypomina zwierzę z rodziny kotowatych. Uśmiechnięty drapieżnik, pomyślał. Uprzejmy, uśmiechnięty drapieżnik.

- Przyznaję, że niezbyt dobrze orientuję się w tym, co dzieje się na Łotwie - zaczął. - Ale wiem oczywiście, co stało się tu ostatniej jesieni. Czołgi na ulicach, zabici w rynsztokach. Siejące postrach „czarne berety” szalejące po całym mieście. Widziałem resztki barykad na ulicach, dziury po kulach w murach. Widać olbrzymią wolę oderwania się od Sowietów, definitywnego zniesienia okupacji. Ale te tendencje napotykają opór.

- Istnieją różne zdania na temat słuszności tych ambicji - odparł Putnis z namysłem.

- Jakie stanowisko w tej sprawie zajmuje policja?

Putnis popatrzył na niego, zdziwiony.

- Naturalnie utrzymujemy porządek.

- Jak utrzymuje się porządek wśród czołgów?

- Mam na myśli to, że dbamy o spokój wśród ludzi, o to, by nikomu nic się nie stało.

- Czołgi stanowią jednak zasadnicze zaburzenie porządku, nieprawdaż?

Putnis dokładnie zgasił papierosa, nim odpowiedział.

- Obaj jesteście policjantami. Przyświeca nam ten sam szczytny cel: zwalczanie przestępczości i dbanie o to, by ludzie czuli się bezpieczni. Ale pracujemy w różnych warunkach. I dlatego używamy w tej pracy różnych

sposobów.

- Mówił pan, że są różne zdania na temat dążeń niepodległościowych. Dotyczy to również policji?

- Wiem, że policjantów na Zachodzie uważa się za apolitycznych urzędników, że policja nie zajmuje stanowiska w sprawie rządu, który akurat sprawuje władzę. Tak samo jest w zasadzie i u nas.

- Ale macie tylko jedną partię?

- Już nie. W ciągu ostatnich lat powstały nowe organizacje polityczne.

Wallander uświadomił sobie, że Putnis cały czas zręcznie unika bezpośredniej odpowiedzi na jego pytania. Postanowił spytać wprost.

- A jakie jest pańskie zdanie?

- Na jaki temat?

- Suwerenności. Oderwania się.

- Pułkownik lotewskiej policji nie powinien wypowiadać się na ten temat. W każdym razie nie wobec cudzoziemca.

- Tu przecież nie ma mikrofonów - upierał się Wallander. - Ta rozmowa zostanie między nami. Poza tym niedługo wracam do Szwecji. Nie ma obawy, że stanę na rynku i ogłoszę to, co mi pan powie w zaufaniu.

Putnis długo patrzył na niego, nim odpowiedział.

- Oczywiście mam do pana zaufanie, panie Wallander. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że popieram to, co dzieje się w kraju. Jak i w krajach sąsiednich. I w Sowietach. Lecz obawiam się, że nie wszyscy moi koledzy podzielają ten pogląd.

Na przykład pułkownik Murniers, pomyślał Wallander. Ale tego oczywiście nie powie. Putnis podniósł się z krzesła.

- Była to pobudzająca do myślenia rozmowa. Ale teraz w pokoju przesłuchań czeka na mnie pewna nieprzyjemna osoba. Właściwie przyszedłem, by powiedzieć, że moja żona Ausma pyta, czy odpowiadałoby panu przyjście do nas na

kolację jutro. Zapomniałem, że dziś ma inne zajęcia.

- Doskonale mi to odpowiada.

- Pułkownik Murniers prosi, by pan skontaktował się z nim teraz. Chce wspólnie z panem zastanowić się, na czym skoncentrować śledztwo w najbliższym czasie. Ja oczywiście od razu dam znać, jeśli w przesłuchaniu nastąpi jakiś przełom.

Wyszedł z pokoju. Wallander przeczytał notatki, które zrobił po powrocie z leśniczówki. *Podjeżrewamy pułkownika Murniersa*, powiedział Upitis. *Sądzimy, że zdradzono majora Liepę. Nie ma innego wyjaśnienia.*

Stał przy oknie, patrząc na dachy domów. Nigdy wcześniej nie brał udziału w podobnym śledztwie. Nie znał terenu, po którym się poruszał, nic nie wiedział o życiu mieszkających tu ludzi. Jak miał się do tego wszystkiego ustosunkować? Może najlepiej by było, gdyby wrócił do domu? Jednocześnie cała ta sprawa niewątpliwie budziła jego ciekawość. Chciał wiedzieć, dlaczego niski major krótkowidz został zamordowany. Gdzie szukać tych przeklętych powiązań?

Usiadł przy biurku i na nowo zaczął przeglądać notatki. Gdy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę, myśląc, że to Murniers.

Najpierw usłyszał gwałtowne zgrzytanie na łączach, a później zrozumiał, że to Björk próbuje wysłować się w swym nie najlepszym angielskim.

- To ja! - zawołał do słuchawki. - Wallander. Słyszę cię.

- Kurt! - krzychał Björk. - To ty? Prawie cię nie słyszę. Pomyśleć, że łącza przez Bałtyk są aż tak kiepskie. Słyszysz mnie?

- Słyszę, nie musisz krzyczeć.

- Co mówiłeś?

- Nie krzycz. Mów powoli.

- Jak ci idzie?

- Nie bardzo. Nie wiem nawet, czy w ogóle mi idzie.

- Halo?

- Powiedziałem, że idzie mi nie bardzo. Słyszysz mnie?

- Źle. Mów powoli. Nie krzycz. Dobrze ci idzie?

W tej samej chwili głos Bjórka stał się wyraźny i klarowny, jakby siedział on w pokoju obok.

- Teraz lepiej słychać. Nie zrozumiałem, co powiedziałaś.

- Idzie powoli. I nawet nie wiem, czy posuwamy się do przodu. Pułkownik policji o nazwisku Putnis od wczoraj przesłuchuje podejrzanego. Ale nie wiem, do czego to doprowadzi.

- Przydajesz się na coś?

Wallander zawahał się przez chwilę, po czym odpowiedział szybko i zdecydowanie.

- Tak. Dobrze, że tu jestem. Możecie się beze mnie obejść?

- U nas nie zdarzyło się nic szczególnego. Jest dość spokojnie. Możesz skoncentrować się na tym, co robisz.

- Macie jakieś ślady w sprawie pontonu?

- Żadnych.

- Czy zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć? Jest tam w pobliżu Martinsson?

- Leży w domu z grypą. Umorzyliśmy śledztwo, bo Łotwa przejęła sprawę. Nie wyszło nic nowego.

- Macie śnieg?

Odpowiedzi Bjórka nie było. Połączenie zostało przerwane, jakby ktoś przeciął przewód. Wallander odłożył słuchawkę i pomyślał, że powinien zadzwonić do ojca, wysłać widokówki i kupić jakieś pamiątki z Rygi. Co właściwie przywozi się z Rygi?

Niespodziewana fala tęsknoty za domem przerwała na chwilę jego myśli. Później wypił do końca wystygłą kawę i znów pochylił się nad notatkami. Po półgodzinie przeciągnął się w skrzypiącym krześle i rozprostował plecy. Zmęczenie nareszcie zaczynało go opuszczać. Muszę przede

wszystkim porozmawiać z Baibą. Zanim to zrobię, wszystko mogę tylko zgadywać, myślał. Ona ma na pewno informacje o decydującym znaczeniu. Muszę dowiedzieć się, o co chodziło Upitisowi w tym nocnym przesłuchaniu. Co miał nadzieję usłyszeć? Czy obawiał się, że coś wiem?

Napisał jej imię na papierze, nakreślił kółko wokół liter, przy nazwisku postawił wykrzyknik; potem imię Murniersa, a przy nim znak zapytania. Zebrał papiery i wyszedł na korytarz. Gdy zapukał do drzwi Murniersa, usłyszał z pokoju podniesiony głos. Wszedł. Murniers rozmawiał przez telefon; skinął na niego i wskazał jedno z niewygodnych krzeseł przeznaczonych dla gości. Pułkownik prowadził gorączkową rozmowę, od czasu do czasu jego głos przechodził w krzyk. Wallander uświadomił sobie, że w tym nalanym i zniszczonym ciełe drzemią wielkie pokłady energii. Z rozmowy nie rozumiał ani słowa, ale zdał sobie sprawę, że nie odbywa się ona po łotewsku - melodia języka była inna. Po chwili zorientował się, że to rosyjski. Murniers zakończył rozmowę, wyrzucając z siebie kanonadę słów, które brzmiały jak groźba albo jak rozkaz. Na koniec rzucił słuchawką.

- Idioci - zaklął pod nosem, wycierając twarz papierową chusteczką. Zwracając się w kierunku Wallandera, znów był spokojny, uśmiechnięty i opanowany.

- Zawsze są kłopoty z podwładnymi, którzy nie robią te go, co do nich należy. Czy macie ten sam problem w Szwecji?

- Często - uprzejmie odpowiedział Wallander. Przyglądał się człowiekowi siedzącemu po drugiej stronie biurka. Czy mógł zamordować majora Liepę? Oczywiście mógł, odpowiedział sam sobie. Tak jednoznaczną odpowiedź podyktowało mu doświadczenie, nabyte w ciągu wielu lat pracy w policji. Nie istnieli mordercy, byli tylko ludzie, którzy popełniali morderstwa.

- Chciałbym, żebyśmy jeszcze raz przejrzeni materiał. Jestem

przekonany, że mężczyzna przesłuchiwany przez pułkownika Putnisa jest w jakiś sposób w to wszystko zamieszany. Może uda nam się wspólnie znaleźć w raportach coś nowego?

Wallander postanowił nagle przejść do ofensywy.

- Mam wrażenie, że miejsce zbrodni nie zostało dostatecznie szczegółowo zbadane.

Murniers uniósł brwi.

- Nie rozumiem.

- Gdy sierżant Zids tłumaczył mi raport, pewne rzeczy wydały mi się dziwne. Po pierwsze, najwyraźniej nie pomyślano o zbadaniu samego nabrzeża.

- Co miałyby to dać? Co można by tam znaleźć?

- Ślady kół. Major Liepa nie mógł przecież pójść tamtej nocy do portu sam.

Wallander czekał na komentarz Murniersa, a gdy ten nic nie odpowiedział, mówił dalej.

- Zdaje się, że nie szukano też narzędzia zbrodni. Nabrzeże nie wydaje się w ogóle być miejscem, w którym popełniono morderstwo. W raportach przetłumaczonych mi przez sierżanta utożsamia się tylko miejsce znalezienia zwłok z miejscem zbrodni. Ale właściwie brak dowodów na to, że tak jest. Dziwne jest również to, że nie przesłuchano żadnych świadków.

- Nie było świadków - odparł Murniers.

- Skąd pan wie?

- Rozmawialiśmy ze strażą portową. Nikt nic nie widział. Ryga jest miastem, które w nocy zapada w sen.

- Myślę raczej o dzielnicy, w której mieszkał major. Wyszedł z domu późnym wieczorem. Może ktoś słyszał zatraskujące się drzwi i wyjrzał zaciekawiony, by sprawdzić, kto tak późno wychodzi. Mógł się zatrzymać jakiś samochód. Prawie zawsze jest ktoś, kto coś widział lub słyszał, jeśli się dobrze poszuka.

Murniers skinął głową.

- Właśnie to robimy. Część policjantów chodzi po domach z fotografią majora Liepy.

- Czy to aby nie za późno? Ludzie szybko zapominają. Albo mylą daty i godziny. Major Liepa codziennie wychodził z domu.

- Czasem lepiej jest poczekać. Gdy rozniosła się pogłoska, że zamordowano majora, ludzie widzieli to i owo. W każdym razie wydawało im się, że widzieli. Odczekanie paru dni to może dobry sposób, by zmusić ludzi do zastanowienia się i odróżnienia fałszywych wyobrażeń od rzeczywistych spostrzeżeń.

Wallander zdawał sobie sprawę, że Murniers może mieć rację. Jednocześnie wiedział z doświadczenia, że z powodzeniem można złożyć świadkowi dwie wizyty, z parodniową przerwą.

- Czy nad czymś jeszcze pan się zastanawia?

- Co miał na sobie major Liepa?

- Co miał na sobie?

- Mundur czy ubranie cywilne?

- Był ubrany w mundur. Powiedział żonie, że musi iść do pracy.

- Co znaleziono w jego kieszeniach?

- Papierosy i zapalki. Drobne monety. Pióro. Nic, co by mogło budzić podejrzenia. Niczego nie brakowało. W kieszonce na piersi miał legitymację. Portfel zostawił w domu.

- Czy wziął ze sobą broń służbową?

- Major wolał nie nosić broni bez potrzeby.

- W jaki sposób zwykł docierać na komendę?

- Miał oczywiście samochód z szoferem. Ale często wolał chodzić na piechotę. Bóg wie czemu.

- Raport z przesłuchania Baiby Liepy podaje, że nie pamięta ona, by słyszała zatrzymujące się na ulicy auto.

- Oczywiście. Nie miał przecież służby. Został oszukany.
- Wtedy o tym nie wiedział. Ponieważ nie wrócił do domu, musiał przypuszczać, że coś się stało z samochodem. Co wtedy zrobił?

- Prawdopodobnie postanowił pójść na piechotę. Ale nie wiemy tego na pewno.

Wallanderowi nie przychodziły do głowy inne pytania. Rozmowa z Murniersem przekonała go, że śledztwo było źle przeprowadzone. Tak źle, że robiło wrażenie spreparowanego. Ale po co? By coś ukryć? Co?

- Chciałbym obejrzeć dom majora i sąsiednie ulice. Sierżant Zids mógłby mi pomóc.

- Nic pan nie znajdzie. Ale oczywiście może pan chodzić własnymi drogami. Gdyby coś szczególnego zdarzyło się w pokoju przesłuchań, każe pana wezwać.

Nacisnął przycisk dzwonka i po chwili sierżant Zids stanął w drzwiach. Wallander poprosił, by na początek pokazał mu miasto. Poczul potrzebę przewietrzenia mózgu, nim powróci do sprawy majora.

Pokazywanie własnego miasta bawiło sierżanta. Obszernie opowiadał o mijanych ulicach i parkach. Wallander widział jego dumę. Jechali wzdłuż długiego, monotonnego bulwaru Aspazja. Po lewej stronie płynęła rzeka. Sierżant zatrzymał samochód przy trotuarze, pokazując wysoki monument - pomnik Wolności. Wallander próbował dopatrzeć się, co właściwie przedstawia ten ogromny obelisk. Przypomniał sobie, co Uptis mówił o wolności: można za nią tęsknić, ale można też jej się lękać. U podnóża piedestału kuliło się kilku zmarzniętych, obdartych mężczyzn, jeden z nich podniósł z ulicy niedopałek. Ryga jest miastem bezlitosnych kontrastów, myślał. Wszystko, co widzę i powoli zaczynam rozumieć, ma tutaj swoje przeciwieństwo. Wśród nieotynkowanych bloków stoją ozdobne, podupadłe kamienice sprzed wojny. Szerokie aleje kończą się ciasnymi

zaułkami lub też wielkimi, szarymi, betonowymi placami z granitowymi monumentami pośrodku.

Gdy sierżant zatrzymał samochód na czerwonym świetle, Wallander patrzył na ludzi, płynących jednolitym nurtem po trotuarze. Czy byli szczęśliwi? Czym różnili się od Szwedów? Trudno powiedzieć.

- Park Vermana - poinformował sierżant. - Są tam dwa kina: Spartak i Ryga. Na lewo widać esplanadę. Teraz skręcamy w ulicę Valdemara. Gdy minimy most nad miejskim kanałem, po prawej stronie zobaczy pan Teatr Dramatyczny. Teraz skręcamy znów w lewo, na bulwar 11 Listopada. Jedziemy dalej, pułkowniku Wallander?

- To wystarczy - odpowiedział, zupełnie nie czując się pułkownikiem. - Później pomoże mi pan kupić upominki. Teraz chcę zatrzymać się przy domu majora.

- Ulica Skarnu - stwierdził sierżant. - W sercu najstarszej części Rygi.

Przyhamował za dymiącą ciężarówką, z której rozładowywano worki z ziemniakami. Wallander zawahał się przez chwilę, czy brać ze sobą sierżanta. Bez niego nie będzie mógł zadawać pytań; z drugiej strony chciał pobyć sam ze swoimi myślami.

- Dom majora jest tam - powiedział sierżant, wskazując budynek wciśnięty między dwa bloki, które zdawały się go podtrzymywać.

- Czy okna mieszkania majora wychodzą na ulicę? - spytał Wallander.

- Tak, na drugim piętrze, cztery okna z lewej.

- Proszę poczekać przy samochodzie.

Mimo że był środek dnia, na ulicy widać było niewielu ludzi. Podeszedł powoli do budynku, z którego major wyszedł na swój ostatni, samotny spacer. Myślał o tym, co powiedział kiedyś Rydberg, że policjant czasem musi być aktorem. Wczuć się w sprawę, wejść w skórę sprawcy lub ofiary,

wyobrazić sobie ich myśli i sposób reagowania. Otworzył bramę. Na ciemnej klatce schodowej czuć było ostry zapach moczu. Puścił drzwi. Zamknęły się, wydając słabe trzaśnięcie. Nagle, nie wiadomo skąd, przysłała mu do głowy myśl. Wpatrując się w ciemną klatkę schodową, wyraźnie zobaczył całą sytuację. To było niczym błysk, jakby nagle ujrzał obraz, który, wyryty na siatkówce oka, przez cały czas istniał w jego głowie. Coś było wcześniej, myślał. Przed przyjazdem majora do Szwecji wiele już się wydarzyło. Ponton był tylko wierzchołkiem góry lodowej, na której trop wpadł. O to chodziło Upitisowi, kiedy pytał, czy major wyjawiał mu swe podejrzenia lub podzielił się tym, jakie fakty związane z tą zbrodnią odkrył w swoim kraju. Pojął nagle, że przegapił w swym rozumowaniu coś, czego wcześniej powinien był się domyślić. Jeśli Upitis miał rację i major został zdradzony przez swoich - może przez Murniersa - to inni z pewnością zadawali sobie to samo pytanie: co właściwie wie szwedzki policjant Kurt Wallander? Czy major wyjawiał mu informacje, jakie udało mu się zdobyć?

Wallander uświadomił sobie, że strach, który czuł parę razy w Rydze, był sygnałem ostrzegawczym. Może powinien być bardziej czujny? Nie było wątpliwości, że ludzie winni śmierci majora i mężczyzn z pontonu nie zawahaliby się popełnić kolejnego morderstwa.

Przeciął ulicę i stanął, by popatrzeć w okna. Baiba Liepa musi coś wiedzieć, myślał. Ale czemu sama nie przysłała do leśniczówki? Jest śledzona? Dlatego zostałem panem Eckersem? Po co ta rozmowa z Upitsem? Kim on jest? Kto podsłuchiwał przez uchylone drzwi, spod których padało światło?

Wczuć się, myślał. Rydberg rozpoczęłyby teraz wczuwanie się w rolę ofiary.

Major Liepa wraca ze Szwecji. Składa raport pułkownikom.

Później jedzie do domu. Składając sprawozdanie z przebiegu śledztwa w Szwecji, mówi coś, co sprawia, że ktoś natychmiast wydaje na niego wyrok śmierci. Jedzie do domu, je kolację z żoną, pokazuje jej książkę, którą dostał od szwedzkiego policjanta. Cieszy się, że znów jest w domu, nie ma przecucia, że to jego ostatni wieczór. Po śmierci majora wdowa kontaktuje się z policjantem ze Szwecji i wymyśla pana Eckersa. Przesłuchuje go mężczyzna o nazwisku Upitis, by ustalić, co wie, a czego nie. Szwedzkiego policjanta prosi się o pomoc, nie precyzując, na czym ma ona polegać. Wiadomo tylko, że zbrodnia ma związek z niestabilną sytuacją polityczną w kraju, a osią tego wszystkiego jest major. Dochodzi więc jeszcze jeden członek - polityka. Czy to o tym major rozmawia z żoną przy kolacji ostatniego wieczora? Tuż przed jedenastą dzwoni telefon. Nie wiadomo, kto telefonuje, lecz major Liepa nie przeczuwa, że to zapowiedź śmierci. Mówi, że będzie pracować w nocy, wychodzi z domu. Nigdy nie wraca.

Nie przyjechał żaden samochód. Począł parę minut, niczego nie podejrzewając. Później pomyślał, że być może samochód się zepsuł. Decyduje się pójść na piechotę.

Wallander wyjął z kieszeni plan Rygi i zaczął iść.

Sierżant Zids obserwował go z samochodu. Komu złoży raport, dumiał Wallander. Murniersowi?

Ktoś, kto zadzwonił, by wywołać go w środku nocy, musiał wzbudzać zaufanie Liepy; major niczego nie podejrzewał, a miał powody, by podejrzewać wszystkich. Komu ufał?

Odpowiedź była jedna: Baibie Liepie, swojej żonie.

Doszedł do wniosku, że nie posunie się dalej, spacerując z planem w rękę. Ludzie, którzy przyjechali, by zabrać majora w ostatnią podróż, wszystko starannie zaplanowali. Trzeba będzie pójść innym tropem, bo inaczej nie ruszy z miejsca.

Wracając do samochodu, pomyślał, że to dziwne, iż nie pokazano mu pisemnego raportu majora z podróży do

Szwecji.

Sam widział, jak major w Ystadzie wciąż robił notatki i słyszał, jak przy wielu okazjach podkreślał wagę natychmiastowego sporządzania szczegółowych pisemnych raportów. Pamięć jest zbyt krótka, rzetelny policjant nie powinien na niej polegać. Ale żaden raport nie został mu przedstawiony. Natomiast Putnis i Murniers złożyli mu ustne sprawozdanie z ostatniego spotkania z majorem.

Wyobraził go sobie, jak rozłożył stolik i zaczął pisać raport, gdy tylko samolot wystartował ze Sturup. Potem pisał dalej, czekając na lotnisku Arlanda, i później, w czasie przelotu nad Bałtykiem.

- Czy major nie zostawił żadnego raportu z pobytu w Szwecji? - spytał w samochodzie.

Sierżant spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Jak miałby zdążyć?

Zdążyłby, pomyślał Wallander. Ten raport musi gdzieś być. Może ktoś nie chce, żeby go zobaczył.

- Pamiętki - przypomniał Wallander. - Chciałbym odwiedzić dom towarowy. Później zjemy lunch. Ale nie poza kolejką. Zaparkowali przed Centralnym Domem Towarowym. Przez godzinę Wallander z sierżantem u boku biegał po sklepie, w którym było więcej ludzi niż towaru. Dopiero przy dziale z książkami i płytami zatrzymał się z zainteresowaniem. Znalazł sporo nagrań operowych w wykonaniu rosyjskich artystów. Ceny były bardzo niskie. Poza tym kupił kilka albumów o sztuce, w podobnie niskiej cenie, nie wiedział jeszcze dla kogo. Zapakowano mu kupiony towar i sierżant z wprawą prowadził go do kas. Cała ta procedura była tak męcząca, że Wallander aż się spocił.

Kiedy wyszli na ulicę, zaproponował lunch w hotelu Łotwa. Sierżant skinął głową z zadowoleniem, widząc, że jego słowa wreszcie dotarły do Wallandera.

Wallander zaniósł pakunki do pokoju. Powiesił kurtkę i

umył ręce w łazience. Miał nadzieję, że zadzwoni telefon i ktoś spyta o pana Eckersa. Ale nikt nie dzwonił, więc zamknął pokój i z powrotem zjechał windą na parter. Wcześniej, gdy odbierał klucz, nie zważając na obecność sierżanta spytał, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości. Portier pokręcił głową. Rozejrzał się po recepcji w poszukiwaniu kogoś z ludzi pułkowników. Nikogo. Sierżanta wysłał wcześniej do restauracji z nadzieją, że posadzą go przy innym stoliku, niż zwykle sadzano jego. Nagle zauważył, że jakaś kobieta macha do niego ręką. Siedziała za ladą, na której leżały gazety i widokówki. Rozejrzał się wokół, by się upewnić, że macha właśnie do niego, i podszedł.

- Czy pan Wallander nie chciałby kupić paru widokówek?
- Nie teraz - odpowiedział, zastanawiając się, skąd zna jego nazwisko. Kobieta miała około pięćdziesiątki, ubrana była w szary kostium. W chybionym wysiłku przydania sobie atrakcyjności umalowała usta na czerwono. Pomyślał, że nie miała szczerzej przyjaciółki, która by jej powiedziała, że nie do twarzy jej w takim makijażu.

Wyciągnęła w jego stronę parę widokówek.

- Czyż nie są ładne? - spytała. - Nie ma pan ochoty zobaczyć, jak wygląda nasz kraj poza stolicą?

- Niestety, nie mam czasu. W przeciwnym razie chętnie pojeździłbym po Łotwie.

- Ale na koncert ma pan chyba czas. Lubi pan przecież muzykę klasyczną, panie Wallander.

Był zaskoczony. Skąd mogła znać jego muzyczne gusta? W paszporcie tego nie było.

- W kościele świętej Gertrudy jest dziś koncert organowy - ciągnęła. - Zaczyna się o siódmej. Naszkicowałam mapkę, jeśli zechciałby się pan tam wybrać.

Wyciągnęła kartkę w jego kierunku, na odwrocie napisane było ołówkiem *pan Eckers*.

- Koncert jest darmowy - powiedziała, gdy sięgnął do kieszeni po portfel.

Skinął głową i schował mapkę. Wziął parę widokówek i poszedł do stołówki.

Tym razem był pewny, że spotka Baibę Liepę.

Przy stoliku, przy którym zawsze go sadzano, siedział i machał do niego sierżant Zids. W stołówce było wyjątkowo dużo ludzi. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie. Wallander usiadł i pokazał widokówki.

- Żyjemy w bardzo pięknym kraju - powiedział sierżant.

Nieszczęśliwym kraju, myślał Wallander. Zranionym i poszarpanym, jak postrzelone zwierzę.

Wieczorem spotkam jednego z tych ptaków z podciętych skrzydłami.

Baibę Liepę.

O wpół do szóstej Wallander opuścił hotel. Pomyślał, że jeśli w ciągu najbliższej godziny nie uda mu się pozbyć nieustannie kroczących za nim ogonów, nie uda mu się to już nigdy. Odkąd po wspólnym posiłku pożegnał sierżanta - usprawiedliwiając się czekającą go pracą nad raportem, który wołał sporządzać w pokoju hotelowym - cały czas próbował wymyślić, jak zgubić swoich stróżów.

Nigdy wcześniej nie był śledzony. Sam bardzo rzadko to robił. Usiłował sobie przypomnieć, czy Rydberg nie powiedział kiedyś czegoś mądrego na temat trudnej sztuki szpiegowania, ale nie pamiętał. Uświadomił sobie również, że zupełnie nie znając miasta, znajduje się w bardzo trudnej sytuacji, bo nie może zaplanować żadnych zmyłek. Mógł tylko improwizować i powątpiewał, czy mu się to uda.

Mimo to musiał spróbować. Baiba Liepa nie zachowywałaby tak daleko idących środków ostrożności, jeśli nie miałyby powodów. Nie wyobrażał sobie, żeby kobieta, która była żoną majora, miała robić niepotrzebnie dramatyczne gesty. Kiedy opuszczał hotel, było już ciemno. Położył klucz na kontuarze w recepcji, nie mówiąc, dokąd idzie ani kiedy wróci. Kościół świętej Gertrudy, w którym miał odbyć się koncert, leżał niedaleko hotelu Łotwa. Wallander miał nikłą nadzieję, że zdoła zgubić się w tłumie podążających we wszystkich kierunkach ludzi wracających z pracy.

Wiało. Zapiął kurtkę pod szyją i szybko rozejrzał się wokół. Nie zauważył nikogo podejrzanego. Może było ich kilku? Czytał gdzieś, że wytrawni agenci nigdy nie szli za śledzonym, ale sytuowali się przed nim. Szedł powoli, przystając często przy oknach wystawowych. Nie wpadł na lepszy pomysł niż udawanie wieczornego spacerowicza, cudzoziemca bawiącego przejazdem w Rydze, szukającego odpowiednich souvenirów. Przeciął szeroką esplanadę i

skręcił w ulicę na tyłach budynku Rady Państwa. Przez chwilę myślał, czyby nie złapać taksówki, a potem nie przesiąść się do innej, ale bał się, że dla cieni byłoby to zbyt łatwe do rozszyfrowania. Oni z pewnością dysponowali samochodami i mieli możliwość szybkiego sprawdzenia kursów taksówek.

Zatrzymał się przy wystawie z przygnębiająco szarą kolekcją męskich ubrań. Nie rozpoznał żadnej z osób przechodzących za jego plecami i odbijających się w wystawowym oknie. Co robić, myślał. *Baiba, powinnaś była powiedzieć panu Eckersowi, jak ma się niepostrzeżenie dostać do kościoła, mając psiarnię na karku.* Szedł dalej. Zaczęły marznąć mu ręce, żałował, że nie wziął rękawiczek.

Wiedziony nagłym impulsem wszedł do mijanej kawiarni. Lokal był zadymiony i pełen ludzi. Czuć było piwem, tytoniem i przepoconymi ubraniami. Rozejrzał się za stolikiem. Wolnego nie było, natomiast w głębi, w rogu sali, zauważył puste krzesło. Dwaj starsi mężczyźni ze szklankami piwa, głęboko pogrążeni w rozmowie, skinęli przyzwalająco, w odpowiedzi na pytający gest Wallandera. Kelnerka z zapoconymi pachami coś do niego zawołała, a on wskazał na jedną ze stojących na stole szklanek. Przez cały czas patrzył w kierunku drzwi wejściowych, by sprawdzić, czy ktoś wejdzie za nim do środka. Kelnerka przyniosła mu szklankę z piwem, przyjęła banknot, a resztę położyła na lepkiem stole. Do kawiarni wszedł mężczyzna w czarnej, zniszczonej skórzanej kurtce. Wallander śledził go wzrokiem. Mężczyzna przywitał się z towarzystwem, które zdawało się z niecierpliwością czekać na jego przybycie. Wallander upił łyk piwa i spojrzął na zegarek. Za pięć szósta - musi zdecydować, co dalej. Za nim znajdowało się wejście do toalety. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi, uderzał go odór uryny. Nie dopiwszy piwa, wszedł do

toalety. Samotna żarówka dyndała u sufitu. Po obu stronach wąskiego korytarzyka usytuowane były kabiny, a na jego końcu - pisuary. Przyszło mu na myśl, że są tu może tylne drzwi, lecz korytarzyk kończył się solidną ścianą. Nic z tego, pomyślał. Nie ma sensu nawet próbować. Jak ujść czemuś, czego nawet nie widać? *Pan Eckers przyprowadzi niestety nieproszone towarzystwo na koncert.* Zaczynała go irytować własna bezradność. Stał nad pisuarem, gdy do środka wszedł mężczyzna, i zamknął się w jednej z toalet.

Wallander poznał w nim tego, który przyszedł po nim do kawiarni - miał dobrą pamięć do twarzy i ubrań. Nie wahał się - wiedział, że choć może się mylić, musi zaryzykować. Szybko opuścił toaletę, przeszedł przez zadymioną kawiarnię i wyszedł na zewnątrz. Na ulicy rozejrzał się, próbując przeniknąć wzrokiem czeluście bram, lecz nikogo nie zauważył. Później szybko wrócił tą samą drogą, skręcił w małą uliczkę i zaczął biec, ile sił w nogach, aż znalazł się na esplanadzie. Na przystanku stał autobus - zdążył wcisnąć się do środka, nim zamknęły się drzwi. Na najbliższym przystanku, zanim ktoś zdążył zapytać go o bilet, wysiadł, zostawił za sobą główną ulicę i ponownie zagłębił się w jeden z krętych zaułków. Pospiesznie wyjął plan miasta i w świetle latarni próbował zorientować się, gdzie jest. Miał jeszcze trochę czasu, postanowił więc odczekać parę minut, zanim pójdzie dalej. Wszedł do ciemnej bramy. Poczekał dziesięć minut, ale nie przeszedł żaden z jego cieni. Wiedząc, że wciąż może być śledzony, uznał, że zrobił, co mógł.

Za dziewięć siódma wszedł do kościoła. Było już dużo ludzi. Przy nawie bocznej, w jednym z rzędów ławek, było wolne miejsce. Usiadł, obserwując ludzi, napływających cały czas do kościoła. Nikt podejrzany nie przyciągnął jego wzroku, nigdzie też nie widział Baiby Liepy.

Dźwięk organów spadł na publiczność jak grom, jakby ich

potężna muzyka miała rozsadzić kościół. Przypomniał sobie, jak kiedyś, będąc dzieckiem, zaprowadzony przez ojca do kościoła, tak się przestraszył dźwięku organów, że wybuchnął gwałtownym płaczem. Teraz poczuł w ich muzyce coś uspokajającego. Bach nie ma ojczyzny, myślał, jego muzyka jest wszędzie. Pozwolił jej wypełnić zmysły.

Zadzwoić mógł Murniers, myślał.

Coś, co powiedział major po powrocie ze Szwecji, mogło skłonić Murniersa do jego natychmiastowego uciszenia. Major mógł dostać wiadomość, by stawić się na służbę. Niewykluczone, że zamordowano go na terenie samej komendy.

Nagle coś wyrwało go z rozmyślań. Poczul się obserwowany. Zerknął na boki, ale widział tylko skupione na muzyce twarze. W szerokiej nawie głównej mógł dostrzec tylko plecy i karki siedzących przed nim. Wędrując wzrokiem dalej, doszedł do leżącej naprzeciwko nawy bocznej.

Napotkał wzrok Baiiby Liepy. Siedziała w środku rzędu, w futrzanej czapce na głowie, otoczona starszymi ludźmi. Odwróciła wzrok, upewniwszy się, że ją zauważył. W czasie pozostałej części ponadgodzinnego koncertu starał się nie patrzeć w jej kierunku, jednak jego wzrok mimowolnie wędrował ku niej co jakiś czas. Widział ją słuchającą muzyki z przymkniętymi oczami. Ogarnęło go uczucie, że cała ta sytuacja jest nierzeczywista. Zaledwie parę tygodni temu siedział z jej mężem, majorem, na sofie w swoim mieszkaniu przy Mariagatan; słuchali opery *Turandot* z Marią Callas, a za oknem przewalała się zawierucha. A teraz siedzi w kościele w Rydze i z wdową po majorze słucha fugi Bacha.

Musi mieć jakiś plan co do tego, jak mamy stąd wyjść, pomyślał. To ona wybrała kościół na miejsce spotkania.

Gdy koncert się skończył, ludzie natychmiast podnieśli się z miejsc, przy drzwiach powstał tłok. Wallander był

zaskoczony tym pośpiechem, tak jakby publiczność opuszczała kościół, wiedząc, że zaraz wybuchnie w nim bomba, a koncertu nigdy nie było. Stracił Baibę z oczu, dał się nieść tłumowi, który w dziwnym pośpiechu wylewał się z kościoła. Ale parę kroków przed kruchtą zauważył ją w głębi lewej nawy, w cieniu. Dawała mu znaki; wyszedł z tłumu pchającego się w kierunku wyjścia.

- Proszę iść za mną - to wszystko, co powiedziała. Za nawą boczną były małe drzwi. Otworzyła je kluczem większym od jej dłoni i znaleźli się na cmentarzu. Rozejrzała się szybko i zniknęła między zniszczonymi nagrobkami i zardzewiałymi żelaznymi krzyżami. Opuścili cmentarz przez furtkę wychodzącą na tylną uliczkę. W samochodzie z wygaszonymi światłami ktoś nagle zapuścił silnik. Była to łada, tym razem nie miał wątpliwości. Wsiadli. Młody człowiek za kierownicą palił mocnego papierosa. Baiba uśmiechnęła się niepewnie. Wyjechali na główną ulicę, ulicę Valdemara, jak przypuszczał. Jechali na północ, mijając park, który pamiętał z przejażdżki z sierżantem, a później skręcili w lewo. Baiba spytała o coś kierowcę, otrzymując w odpowiedzi kiwnięcie głową. Zauważył, że kierowca często patrzy w tylne lustro. Skręcili znów w lewo, nagle kierowca wcisnął gaz do dechy i skręcając gwałtownie po raz kolejny, przejechał na przeciwległy pas jezdni. Znowu minęli park - Wallander przypomniał sobie, że to park Vermana - i jechali w kierunku centrum. Baiba, pochylona do przodu, z głową przy karku kierowcy, wskazywała mu drogę. Jechali wzdłuż bulwaru Aspazja, minęli pusty plac, po czym mostem, którego nazwy nie znał, przecięli rzekę. Dojechali do dzielnicy ponurych blokowisk i zniszczonych fabryk. Zmniejszyli prędkość, Baiba opadła na siedzenie; Wallander domyślił się, że cienie już im nie zagrażały.

Parę minut później samochód zahamował przed zapuszczonym, dwupiętrowym budynkiem. Baiba skinęła

na niego i wysiedli. Otworzyła żelazną furtkę, poprowadziła go spiesznie wyżwirowaną ścieżką i otworzyła drzwi przygotowanym kluczem. Samochód odjechał. Weszli, w przedpokoju pachniało środkiem dezynfekcyjnym. Jedyne oświetlenie stanowiła słaba żarówka z czerwonym abażurem z materiału, co nadawało przedpokojowi wygląd kiepskiego nocnego klubu. Powiesiła swój gruby płaszcz, a on położył kurtkę na krześle i wszedł za nią do pokoju. Na ścianie wisiał duży krzyż. Pozapalała lampy; była teraz całkiem spokojna, gestem poprosiła go, by usiadł.

Dużo później ze zdziwieniem uświadomił sobie, że z pokoju, w którym wysłuchał przerażającej relacji Baiby, nie zapamiętał żadnych szczegółów - nawet koloru fotela, na którym siedział - jakby pokój był nieumeblowany. Jedyne duży, metrowej długości czarny krzyż, wiszący między szczelnie zasłoniętymi oknami, jak gdyby zastygł w powietrzu, naładowany potęgą boskiej mocy.

Miała na sobie rdzawobrazowy kostium, który, jak się później dowiedział, major kupił jej w Ystadzie. Włożyła go, by - jak powiedziała - uczcić jego pamięć, a jednocześnie miał jej przypominać o przestępstwie, którego ofiarą padł jej mąż. Opuszczali pokój tylko po to, by pójść do toalety czy zrobić w kuchni herbatę. Najwięcej mówił on, zadając masę pytań, na które odpowiadała przytłumionym głosem.

Pierwsze, co zrobili, to zlikwidowali pana Eckersa - nie był już potrzebny.

- Czemu właśnie to nazwisko? - spytał.

- Po prostu nazwisko. Może istnieje, może nie. Wymyśliłam je. Łatwo je zapamiętać. Być może jest w książce telefonicznej ktoś o tym nazwisku, nie wiem.

Z początku mówiła podobnie jak Upitis, jakby chciała odwlec dojście do sedna, bo przerażała ją ta perspektywa.

Słuchał uważnie, bojąc się uronić coś z podtekstów, którymi - jak zdążył zauważyć - mieszkający w tym kraju ludzie

posługiwali się w nadmiarze. Powtórzyła słowa Upitisa o potworach czających się w mroku, o toczącej się na Łotwie zaciętej walce. Mówiła o zemście i nienawiści, o lęku, zaczynającym powoli rozluźniać swój uścisk, o pokoleniu, ciemionym od czasów drugiej wojny światowej. Myślał, że jest po prostu antykomunistką, wrogiem Sowietów, jednym z przyjaciół Zachodu, których blok wschodni, paradoksalnie, zawsze wytwarzał w wielkich ilościach. Mówiła tylko o tym, co potrafiła przekonująco uargumentować. Po jakimś czasie zrozumiał, że starała się otworzyć mu oczy. Była jego nauczycielką i chciała uświadomić mu, co kryło się za fasadą tego wszystkiego i pomogłoby mu wyjaśnić zdarzenia, które nie do końca potrafił ogarnąć. Zdał sobie sprawę, że wcześniej nie miał pojęcia, o co właściwie toczy się gra we Wschodniej Europie.

- Proszę mi mówić po imieniu - powiedział, lecz ona tylko potrząsała głową i dalej trzymała dystans, jaki ustaliła na początku. Dla niej miał pozostać panem Wallanderem.

Spytał, gdzie się znajdują.

- W mieszkaniu należącym do przyjaciela. By wytrzymać i przeżyć, musimy dzielić się wszystkim. Szczególnie w tych czasach i w kraju, gdzie zachęca się wszystkich do myślenia tylko o sobie.

- Myślałem, że komunizm jest czymś innym, że liczy się w nim wspólnota i wspólne działanie.

- Kiedyś tak było. Lecz wtedy wszystko wyglądało inaczej. Może kiedyś, w przyszłości, uda się odtworzyć to marzenie. Lecz czy umarłe marzenia można wskrzesić? Przecież są jak martwi ludzie, którzy są martwi na zawsze.

- Co się stało? - spytał.

Z początku nie była pewna, do czego odnosi się jego pytanie. Później zorientowała się, że zaczął mówić o jej mężu.

- Karlisa zdradzono i zamordowano - powiedziała. - Wdarł

się zbyt głęboko w struktury zbrodni, które są zbyt potężne i obejmują wiele wysoko postawionych osób. I ci ludzie nie mogli mu pozwolić żyć dłużej. Wiedział, że igra z ogniem, lecz nie przypuszczał, że już został zdemaskowany jako zdrajca. *A traitor inside the nomenklatura.*

- Wrócił ze Szwecji. Od razu z lotniska pojechał do kwatery głównej, by złożyć raport. Czy wyszła pani po niego na lotnisko?

- Nie wiedziałam nawet, że ma wrócić. Może próbował dzwonić? Nigdy się tego nie dowiem. Może wysłał telegram na policję z prośbą, by mnie powiadomili? Tego też się nie dowiem. Zadzwoił do mnie dopiero wtedy, gdy był już w Rydze. W domu nie było nawet jedzenia na jego przyjazd. Ktoś z przyjaciół odstąpił mi kurę. Zdążyłam zrobić obiad, gdy przyszedł do domu z tą piękną książką.

Wallander był zażenowany. Książka, którą kupił przypadkowo, w wielkim pośpiechu, nie miała dla niego wartości uczuciowej. Słuchając Baiby, czuł się, jakby ją oszukał.

- Musiał coś mówić, gdy wrócił do domu - powiedział i poczuł, że kończy się mu zasób angielskich słów.

- Był podekscytowany. Oczywiście, również zaniepokojony i wściekły. Ale przede wszystkim zapamiętałam, że był bardzo zadowolony.

- Co się stało?

- Powiedział, że wreszcie uzyskał jasność. „Teraz jestem pewny swego”, powtarzał co chwila. Ponieważ podejrzewał, że nasze mieszkanie jest na podsłuchu, zaciągnął mnie do kuchni, odkręcił wszystkie krany i szeptał mi do ucha. Powiedział, że zdemaskował spisek, tak ordynarny i barbarzyński, że wy na Zachodzie nareszcie będziecie zmuszeni zrozumieć, co się dzieje w republikach nadbałtyckich.

- Tak powiedział? Spisek w republikach nadbałtyckich? A

nie na Łotwie?

- Jestem tego pewna. Czasem irytowało go, że trzy republiki nadbałtyckie traktowano jak jedno państwo, choć są między nimi duże różnice. Lecz tym razem mówił nie tylko o Łotwie.

- Użył słowa spisek?

- Tak. *Conspiracy*.

- Wiedzieliście, co to oznacza?

- Karlis wiedział to, co wszyscy inni, o bezpośrednich powiązaniach między przestępcami i politykami, a nawet policją. Chronili się nawzajem, ułatwiali sobie szwindle, dzielili się wszystkim, co mogli zdobyć. Karlisowi wiele razy proponowano łapówki, ale nigdy by ich nie przyjął, bo straciłby szacunek dla samego siebie. Przez długi czas, w tajemnicy, próbował zorientować się w sytuacji i wykryć, kto jest w to zamieszany. Oczywiście wiedziałam o wszystkim. Zdawałam sobie sprawę, że żyjemy w społeczeństwie opartym na spisku. Z marzenia o wspólnocie wyrósł potwór, a spisek stał się w końcu naszą jedyną ideologią.

- Od jak dawna major prowadził swe śledztwo?

- Przez osiem lat byliśmy małżeństwem. Zaczął badania na długo przed naszym spotkaniem.

- Co zamierzał osiągnąć?

- Z początku nic innego poza prawdą.

- Prawdę?

- Dla potomności. Dla czasów, które - tego był pewien - miały nadejść. Czasów, w których będzie można odsłonić, co właściwie kryło się pod płaszczem okupacji.

- Był zatem przeciwnikiem komunistycznego reżimu? Jak wobec tego mógł zostać wysokim oficerem policji?

Jej odpowiedź była gwałtowna, jakby rzucił na jej męża poważne oskarżenie.

- Czy pan nie rozumie? On był właśnie komunistą! Ta wielka zdrada wywołała w nim rozpacz! Korupcja i

obojętność przyprawiała go o smutek. Marzenie o lepszym świecie zamieniło się w kłamstwo.

- A więc żył podwójnym życiem?

- Trudno sobie wyobrazić jak to jest, kiedy rok po roku jest się zmuszonym udawać kogoś innego, wypowiadać poglądy, którymi się brzydzi, bronić reżimu, którego się nienawidzi. Lecz taki był los nie tylko Karlisa, także mój i wszystkich tych, którzy nie chcą wyrzec się nadziei na lepszy świat.

- Co odkrył? Co spowodowało u niego taką euforię?

- Nie wiem. Nie zdążyliśmy o tym pomówić. Najbardziej sekretne rozmowy odbywaliśmy pod kołdrą, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać.

- Nic nie powiedział?

- Był głodny. Chciał zjeść i napić się wina. Myślę, że nareszcie poczuł, że może odprężyć się na parę godzin. Poddać euforii. Gdyby nie zadzwonił telefon, myślę, że zacząłby śpiewać z kieliszkiem wina w ręku.

Umilkła nagle, Wallander czekał. Pomyślał, że nie wie nawet, czy major został już pochowany.

- Proszę się zastanowić - powiedział powoli. - Mógł coś zasugerować. Ludzie noszący tajemnicę mogą czasem, nie świadomie, powiedzieć coś, czego nie zamierzali.

Potrząsnęła głową.

- Myślałam już nad tym i jestem pewna, że nic nie powiedział. Może coś odkrył w Szwecji? Może rozwiązał jakiś kluczowy problem?

- Czy zostawił w domu jakieś papiery?

- Szukałam. Ale był bardzo ostrożny. Każde zapisane słowo mogło być zbyt niebezpieczne.

- Nic nie przekazał przyjaciołom? Uptisowi?

- Nie. Wiedziałaabym o tym.

- Ufał pani?

- Ufaliśmy sobie nawzajem.

- Czy ufał jeszcze komuś innemu?

- Miał naturalnie zaufanie do przyjaciół. Ale musi pan zrozumieć, że każdy powierzany komuś sekret naraża tę osobę na niebezpieczeństwo. Jestem pewna, że nikt poza mną nie wiedział tak dużo.

- Muszę wiedzieć wszystko, co pani wie o spisku. Wszystko może być ważne.

Siedziała przez chwilę w milczeniu, nim zaczęła mówić.

Wallander tak mocno starał się skoncentrować, że zaczął się pocić.

- Parę lat przed naszym spotkaniem, w końcu lat siedemdziesiątych, zdarzyło się coś, co sprawiło, że otworzyły mu się oczy na to, co się dzieje na Łotwie. Często mawiał, że oczy każdego człowieka muszą otworzyć się w jego własny, specjalny sposób. Lubił używać porównania, którego z początku nie rozumiałam. „Jednych budzi pianie koguta, innych wielka cisza”. Teraz wiem, co miał na myśli. Wtedy, ponad dziesięć lat temu, prowadził trudne śledztwo, w wyniku którego ujął w końcu sprawcę. Tamten człowiek nakradł z kościołów całą masę ikon, rzadkich dzieł sztuki, które przemycano za granicę i tam sprzedawano za olbrzymie sumy. Dowody były wystarczające na to, by przestępca został skazany, ale tak się nie stało.

- A jak się stało?

- Nawet nie postawiono go przed sądem. Śledztwo umorzono. Karlis nie miał pojęcia, o co chodzi, naturalnie domagał się procesu. I nagle, któregoś dnia, faceta wypuszczono z aresztu, a wszystkie protokoły utajniono. Karlisowi nakazano zapomnieć o wszystkim, a polecenie to wyszło od jego zwierzchnika. Pamiętam to nazwisko: Amtmanis. Karlis był pewny, że sam Amtmanis chronił tego faceta, a może nawet miał udział w zyskach. Ta historia mocno go dotknęła.

Wallander przypomniał sobie wieczór, gdy szalała burza śnieżna, a major siedział na jego sofie. *Jestem religijny,*

mówił. *Nie wierzę w żadnego Boga, lecz jestem religijny.*

- Co stało się później?

- Wtedy jeszcze nie znałam Karlisa, ale myślę, że przechodził ciężki kryzys. Może zastanawiał się, czy nie uciec na Zachód? Może chciał rzucić pracę w policji? Sądzę, że to ja go przekonałam, że powinien dalej tam pracować.

- Jak się poznaliście?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Czy to ważne?

- Być może. Nie wiem. Ale muszę zadawać pytania, jeśli mam pani pomóc.

- Jak się ludzie poznają? - zaczęła z melancholijnym uśmiechem. - Przez wspólnych przyjaciół. Mówiono mi o młodym oficerze policji, innym niż wszyscy. Nie wyglądał nadzwyczajnie, ale ja zakochałam się w nim od razu.

- Co było później? Pobraliście się? On dalej pracował?

- Był kapitanem, kiedy się poznaliśmy. Ale awansował nadspodziewanie szybko. Przy każdym awansie mówił, że jeszcze jeden żalobny kir zawisł na jego epoletach. Ciągłe próbował znaleźć dowody na to, że istnieje związek między politycznym kierownictwem kraju, policją a organizacjami przestępczymi. Postanowił zbadać wszystkie możliwości; wspominał o niewidzialnym departamencie, który ma jedno, jedyne zadanie: koordynować kontakty między politykami, policją i światem przestępczym. Jakieś trzy lata temu po raz pierwszy usłyszałam od niego słowo spisek. Proszę nie zapominać, że w tym czasie wydawało mu się, że sytuacja mu sprzyja. Z Moskwy dotarła do nas pierestrojka, i coraz częściej dyskutowaliśmy o tym, co trzeba zmienić w tym kraju.

- Czy jego szefem nadal był Amtmanis?

- Amtmanis już nie żył. Jego bezpośrednimi przełożonymi byli już wtedy Putnis i Murniers. Żadnemu z nich nie ufał, był przekonany, że jeden z nich zamieszany jest w spisek, a

może nawet jest jego twórcą. Mówił, że w policji jest „kondor” i „mewa”. Ale nie wiedział, kto jest kim.

- Kondor i mewa?

- Kondor jest drapieżnikiem, mewa niewinnym ptakiem. W młodości Karlis bardzo interesował się ptakami i marzył, żeby zostać ornitologiem.

- Nie wiedział tylko, który z nich jest kondorem? Myślałem, że rozumiał, że to pułkownik Murniers?

- Tak, ale to było o wiele później, jakieś dziesięć miesięcy temu.

- Co się wtedy stało?

- Karlis wpadł na trop przemytu narkotyków na wielką skalę. Mówił, że to diabelski plan, który może nas zabić dwukrotnie.

- „Zabić dwukrotnie”? Co miał na myśli?

- Nie wiem.

Szybko wstała, jakby nagle poczuła strach przed dalszą rozmową.

- Mogę pana poczęstować filiżanką herbaty. Kawy, niestety, nie mam.

- Chętnie napiję się herbaty.

Poszła do kuchni, a Wallander zaczął się zastanawiać, o co jeszcze ją spytać. Czuł, że jest wobec niego szczerą, mimo że wciąż nie wiedział, jakiej pomocy od niego oczekują, ona i Upitis. Nie był pewny, jak mógłby spełnić ich oczekiwania. Jestem tylko zwykłym gliną z Ystadu, a wam przydałby się ktoś taki jak Rydberg, myślał. Ale on wam pomóc nie może, bo podobnie jak major, nie żyje.

Baiba przyniosła na tacy herbatę i filiżanki. W mieszkaniu musi być ktoś jeszcze; woda nie mogła zagotować się tak szybko. Wszędzie otaczają mnie tu niewidzialni stróże, a ja niewiele rozumiem z tego, co się wokół mnie dzieje.

Widział, że jest zmęczona.

- Ile jeszcze możemy rozmawiać?

- Trochę. Na pewno obserwują moje mieszkanie. Nie mogę być za długo poza domem. Ale jutro wieczorem możemy znów się tu spotkać.

- Jutro jestem zaproszony na kolację do pułkownika Putnisa.

- Rozumiem. A pojutrze?

Skinął głową, spróbował herbaty, była słaba.

- Musiała pani się zastanawiać, co Karlis miał na myśli, mówiąc, że narkotyki mogą dwukrotnie zabić. Upitis również. Chyba rozmawialiście o tym?

- Raz Karlis powiedział, że do szantażu można posłużyć się czymkolwiek. Gdy spytałam, co ma na myśli, odpowiedział, że były to słowa któregoś z pułkowników. Nie wiem, dlaczego akurat to pamiętam. Może dlatego, że Karlis był w tamtym czasie bardzo zamknięty w sobie i milczący.

- Szantaż?

- Użył tego słowa.

- Kto miałby być szantażowany?

- Nasz kraj, Łotwa.

- Naprawdę tak powiedział? Cały kraj miałby być szantażowany?

- Tak. Nie mówiłabym tego, gdybym nie była pewna.

- Który z pułkowników użył słowa szantaż?

- Zdaje się, że Murniers. Ale nie jestem pewna.

- Co sądził Karlis o Putnisie?

- Uważał, że nie należy do najgorszych.

- Co miał na myśli?

- Że przestrzegał prawa. Nie brał łapówek od byle kogo.

- Ale brał?

- Wszyscy biorą.

- Ale nie Karlis?

- Nigdy. On był inny.

Zaczynała się niepokoić, dalsze pytania musiały poczekać.

- Baiba - powiedział, po raz pierwszy nazywając ją po

imieniu. - Chcę, żeby pani przemyślała wszystko, co mi dziś powiedziała. Pojutrze być może zapytam o to samo.

- Dobrze. Nie robię nic innego, tylko myślę.

Przez chwilę bał się, że wybuchnie płaczem, lecz szybko odzyskała panowanie nad sobą. Wstała i odciągnęła zasłonę, wiszącą na jednej ze ścian. Były za nią drzwi. Otworzyła je i do pokoju weszła młoda kobieta. Uśmiechnęła się przelotnie i zaczęła zbierać filiżanki.

- To Inese - przedstawiła ją Baiba. - To ją pan odwiedził dzisiejszego wieczoru. To pańskie alibi, gdyby ktoś pytał. Poznał ją pan w nocnym klubie hotelu Łotwa i została pańską kochanką. Nie wie pan dokładnie, gdzie mieszka, tyle tylko, że po drugiej stronie rzeki. Nie zna pan jej nazwiska, bo jest pana kochanką zaledwie od kilku dni. Przypuszczalnie zwykłą urzędniczką.

Wallander słuchał ze zdumieniem. Baiba powiedziała coś po łotewsku i dziewczyna o imieniu Inese stanęła przed nim.

- Tak wygląda - powiedziała Baiba. - Proszę zapamiętać jej wygląd. Pojutrze ona pana odbierze. Niech pan po ósmej pójdzie do nocnego klubu, Inese tam będzie.

- A jakie pani ma wyjaśnienie?

- Byłam na koncercie organowym i odwiedziłam brata.

- Brata?

- To on prowadził samochód.

- Na spotkanie z Upitisem wieziono mnie z kapturem na głowie. Dlaczego?

- Lepiej zna się na ludziach niż ja. Nie wiedzieliśmy, czy możemy panu ufać.

- Teraz wiecie?

- Tak - odrzekła z powagą. - Mam do pana zaufanie.

- Czego się po mnie spodziewacie?

- Pojutrze - odpowiedziała wymijająco. - Teraz musimy się spieszyć.

Samochód czekał przed furtką. W drodze powrotnej

milczała. Wallander domyślał się, że płacze. Gdy podjechali pod hotel, podała mu rękę, wymamrotała coś po lotewsku i samochód szybko odjechał. Mimo że był głodny, poszedł prosto do swego pokoju. Nalał sobie szklaneczkę whisky, położył się na łóżku i nakrył narzutą.

Myślał o niej.

Dopiero gdy minęła druga w nocy, rozebrał się i położył spać. Śniło mu się, że ktoś przy nim leży. Nie była to Inese, kochanka, którą mu przydzielono, ale ktoś inny, kogo pułkownicy ze snu nie pozwolili mu zobaczyć.

Sierżant Zids odebrał go następnego ranka punktualnie o ósmej. O wpół do dziewiątej do jego pokoju wszedł pułkownik Murniers.

- Zdaje się, że znaleźliśmy mordercę majora Liepy.

Wallander patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Czy to ten, którego pułkownik Putnis przesłuchuje od dwóch dni?

- Nie, to jakiś spryciarz, zamieszany w to wszystko od samego początku. A ten drugi to ktoś zupełnie inny. Proszę pójść ze mną.

Zeszli do piwnicy. Murniers otworzył drzwi do pokoju; w jednej ze ścian było weneckie lustro. Murniers skinął na Wallandera, by podszedł.

W pokoju za szybą były tylko stół i dwa krzesła, na jednym z nich siedział Upitis. Głowę miał obwiązany bandażem. Był w tej samej koszuli, którą miał na sobie podczas nocnej rozmowy w leśniczówce.

- Kto to jest? - spytał Wallander, nie spuszczać wzroku z Upitisa. Bał się, że wzburzenie go zdradzi. A może Murniers już wiedział?

- Człowiek, którego od dawna mieliśmy na oku. Nieudacznik, poeta, kolekcjoner motyli, dziennikarz. Pije za dużo, mówi za dużo. Odsiedział kilkuletni wyrok za wielokrotne nadużycia. Od dawna podejrzewamy, że jest

również zamieszany w znacznie poważniejsze przestępstwa, lecz nie mamy na to dowodów. Dostaliśmy anonimową informację, że może mieć coś wspólnego ze śmiercią majora Liepy.

- Są jakieś dowody?

- Nie przyznaje się oczywiście do niczego. Ale mamy dowody mające takie samo znaczenie, jak dobrowolne przyznanie się do winy.

- Jakie?

- Narzędzie zbrodni.

Wallander odwrócił się i spojrzał na Murniersa.

- Narzędzie zbrodni - powtórzył Murniers. - Może przejdziemy do mojego pokoju, to opowiem panu, jak go zatrzymaliśmy. Pułkownik Putnis powinien już być na miejscu.

Wallander szedł po schodach za nuącym coś pod nosem Murniersem.

Ktoś mnie oszukał, myślał z przerażeniem. Ktoś mnie oszukał, a ja nie mam pojęcia kto. Nie wiem kto i nie wiem dlaczego.

Upitis został aresztowany. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono drewnianą pałkę, na której były włosy i plamy krwi. Upitis nie potrafił powiedzieć, co robił owego wieczoru i nocy, gdy major został zamordowany. Twierdził, że był pijany, że odwiedzał przyjaciół, ale nie pamiętał których. Murniers przed południem wysłał policjantów, by przesłuchali osoby mogące dostarczyć Upitisowi alibi, nikt jednak nie mógł sobie przypomnieć, by go widział czy też gościł u siebie. Murniers wykazywał w tym śledztwie nadzwyczajną aktywność, podczas gdy Putnis trzymał się na uboczu.

Wallander gorączkowo próbował zorientować się w sytuacji. Gdy zobaczył Upitisa przez weneckie lustro, w pierwszej chwili pomyślał, że został on zdradzony. Ale później zaczął się wahać. Wciąż było zbyt dużo niejasności. Słowa Baiby o społeczeństwie, u którego podstaw leży spisek, wracały do niego echem. Uważał, że nawet gdyby podejrzenia majora, że Murniers jest skorumpowany, były prawdziwe, i gdyby pułkownik był zamieszany w śmierć Liepy, to cała sprawa zaczęła przybierać nierzeczywiste proporcje. Czy Murniers zaryzykowałby postawienie przed sądem niewinnego człowieka tylko po to, by się go pozbyć? Czy nie była to straszna arogancja?

- Jeśli jest winny - spytał Putnisa - jaką otrzyma karę?

- Jesteśmy na tyle staroświeccy, że zachowaliśmy karę śmierci. Zamordowanie oficera policji to jedno z najgorszych przestępstw, jakie można popełnić. Przypuszczam, że zostanie rozstrzelany. Osobiście uważam, że jest to odpowiednia kara. A jakie jest pańskie zdanie, komisarzu Wallander?

Nie odpowiedział. Myśl, że znajduje się w kraju, w którym skazywano ludzi na śmierć, przstraszyła go i na chwilę

odebrała mu animusz.

Zrozumiał, że Putnis przyjął postawę wyczekującą, że obaj pułkownicy często polowali osobno, nie informując się o tym wzajemnie. Putnis nie wiedział nawet o anonimowej informacji, którą otrzymał Murniers. Przed południem, w czasie jednego z silniejszych napadów aktywności Murniersa, Wallander zaciągnął Putnisa do swojego pokoju, poprosił sierżanta Zidsa o kawę i próbował skłonić pułkownika, by ten powiedział, co się właściwie dzieje. Od początku wyczuwał pewne napięcie między obu pułkownikami i teraz, gdy się całkiem pogubił, pomyślał, że nic nie straci, przedstawiając swoje wątpliwości.

- Czy to rzeczywiście właściwy człowiek? Pałka ze śladami krwi i paroma włosami? Jak można to traktować jako dowód, zanim zrobi się badanie krwi? Te włosy mogą być sierścią kota.

Putnis wzruszył ramionami.

- Zobaczymy - odpowiedział. - Murniers chyba wie, co robi. Rzadko zdarza mu się aresztować niewłaściwego człowieka. Jest znacznie bardziej efektywny niż ja. Ale pan zdaje się mieć wątpliwości, komisarzu Wallander? Wolno spytać, z jakich powodów?

- Nie mam wątpliwości. Ale wiele razy było tak, że sprawcą okazywał się człowiek, którego podejrzewaliśmy najmniej. Ja nie wątpię, zastanawiam się tylko, nic więcej.

W milczeniu pili kawę.

- Oczywiście byłoby dobrze, gdyby morderca majora został ujęty - powiedział Wallander. - Ale Upitis nie wygląda mi na przywódcę organizacji przestępczej, mordującej oficera policji.

- Może jest narkomanem - powiedział Putnis z ociąganiem.

- Narkomana można popchnąć do wszystkiego. Ktoś z góry mógł dać mu rozkaz.

- Zabicia majora drewnianą pałką? Nożem czy rewolwerem,

owszem. Ale nie pałką! A jak przeniósł ciało do portu?

- Nie wiem. Ale Murniers dojdzie do tego.

- A jak idzie przesłuchanie?

- Dobrze. Podejrzany jeszcze nie złożył decydujących zeznań, ale je złoży. Jestem przekonany, że jest zamieszany również w przemyt narkotyków, tak jak i ci z pontonu. Teraz muszę go tylko wyczekać. Dam mu czas na przemyślenie sytuacji.

Putnis wyszedł z pokoju. Wallander próbował zebrać myśli, zastanawiał się, czy Baiba wie, że jej przyjaciel Upitis został zatrzymany jako podejrzany o zabicie jej męża. A może w leśniczówce próbował wyciągnąć od Wallandera informacje, za których posiadanie chętnie by go zdzielił drewnianą pałką w głowę? Doszedł do wniosku, że żadna z teorii się nie sprawdziła i wszystkie tropy ostygły, jeden po drugim. Próbował zebrać resztki swojej wiedzy o tej sprawie i zobaczyć, czy zostało coś, na czym mógłby budować nowe teorie.

Po godzinie rozmyślań widział już tylko jedno wyjście - wrócić do Szwecji. Przyjechał tu, bo łotewska policja prosiła go o pomoc. Nie mógł jej udzielić, a teraz, gdy domniemany sprawca został ujęty, nie widział powodu, by dłużej tu siedzieć. Człowiek, z którym rozmawiał, okazał się poszukiwanym i Wallander, chcąc nie chcąc, musiał to zaakceptować. Zagrał rolę pana Eckersą, nie znając treści sztuki. Pozostaje tylko jak najszybciej wrócić do domu i zapomnieć o całej historii.

A jednak nie mógł tego zrobić. Nie mógł zapomnieć jej lęku i niezgody, zmęczonych oczu Upitisa. Nawet jeśli nie wszystko z łotewskiej rzeczywistości rozumiał, może dostrzegał to, czego nie widzieli inni.

Postanowił dać sobie jeszcze parę dni. By nie siedzieć z założonymi rękami, poprosił sierżanta Zidsa, czekającego na korytarzu, o przyniesienie raportów z dochodzeń, którymi

zajmował się major w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Utkwił w martwym punkcie, postanowił więc cofnąć się w czasie i poszperać w przeszłości majora; może w archiwum znajdzie coś, co wskaże mu drogę.

Sierżant Zids okazał się niezwykle efektywny, w pół godziny wrócił z naręczem zakurzonych teczek.

Po sześciu godzinach tłumaczenia raportów sierżant zachryplł i zaczął narzekać na ból głowy. Wallander nie pozwolił ani jemu, ani sobie, na przerwę. Przeglądali tecki, a sierżant tłumaczył, wyjaśniał, odpowiadał na pytania i tłumaczył dalej. Doszli właśnie do ostatniej strony ostatniego raportu w ostatniej teczce i Wallander poczuł rozczarowanie. Zrobił listę spraw, którymi zajmował się major w ostatnim roku życia: ujął gwałciciela, bandytę, który od dłuższego czasu terroryzował jedno z przedmieść Rygi, zajmował się dwoma przypadkami fałszerstw pocztowych, trzema morderstwami, z czego dwa zostały dokonane w obrębie rodziny, a ofiara i sprawca znali się. Nigdzie nie widział śladu tego, co, według Baiby, było jego najważniejszym zadaniem. Wizerunek majora Liepy jako gorliwego, niekiedy pedantycznego śledczego, to było wszystko, co udało mu się wydobyć z archiwum. Odesłał Zidsa z teczkami, myśląc, że jedyną godną uwagi rzeczą jest to, czego brakuje. Gdzieś musiał ukryć materiał ze swojego tajnego śledztwa, nie mógł przecież mieć tego wszystkiego w głowie, to absurd; zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili grozi mu zdemaskowanie. Jak mógł na serio, z myślą o potomnych, prowadzić dochodzenie bez sporządzenia testamentu? Mógł go przejechać samochód, a wtedy z jego pracy nic by nie zostało. Muszą istnieć jakieś zapiski i ktoś musi wiedzieć, gdzie one są. Może Baiba lub Upitis? Czy w przeszłości majora jest ktoś, kogo istnienie utrzymywał w tajemnicy, nawet przed własną żoną? Nie było to takie zupełnie absurdalne, myślał. *Każcie wyznanie stanowi*

obciążenie, mówiła Baiba. Z pewnością były to słowa jej męża.

Sierżant wrócił z archiwum.

- Czy major poza żoną miał jakąś rodzinę?

Sierżant pokręcił głową.

- Nie wiem, ale ona powinna wiedzieć.

Wallander nie chciał pytać o to Baiby. Pomyślał, że odtąd sam musi zacząć się stosować do obowiązujących tu norm. Nie rozgłaszać niepotrzebnie informacji, nie nikomu nie mówić nawet w zaufaniu, ale polować samotnie na wybranym przez siebie terenie.

- Muszą gdzieś być akta personalne majora. Chcę je zobaczyć.

- Nie mam do nich dostępu - odparł sierżant. - Tylko kilka osób ma prawo wglądu do teczek personalnych.

Wallander wskazał telefon.

- Proszę do nich zadzwonić. Niech pan powie, że szwedzki policjant chciałby zobaczyć akta personalne majora.

Po kilku chwilach sierżantowi udało się złapać pułkownika Murniersa, który obiecał, że papiery dotyczące majora zostaną natychmiast doręczone. W czterdzieści pięć minut później na biurku Wallandera leżała czerwonateczka. Otworzył ją i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była fotografia majora. Zdjęcie zostało zrobione dziesięć lat temu. Zaskoczony Wallander stwierdził, że major wygląda na nim tak, jak on go zapamiętał, w ogóle się nie zmienił.

- Proszę przetłumaczyć - zwrócił się do Zidsa.

- Nie wolno mi oglądać zawartości czerwonych teczek.

- Jeśli mógł pan przynieść teczkę, to chyba może pan również przetłumaczyć jej zawartość?

- Nie mam pozwolenia - odpowiedział.

- Udzielam go panu. Proszę tylko powiedzieć, czy major miał jakąś rodzinę poza żoną. Rozkażę panu później wszystko zapamiętać.

Sierzant zaczął przeglądać teczkę. Wallander miał wrażenie, jakby Zids dotykał papierów z taką niechęcią, z jaką bada się zwłoki.

Major miał ojca - według dokumentów nosili to samo imię, Karlis - który był emerytowanym pracownikiem poczty. Mieszkał w Windawie. Wallander przypomniał sobie broszurę, którą pokazywała mu w hotelu kobieta o czerwonych ustach. Namawiała go do podróży na wybrzeże, do miasta Windawa. Według danych z teczki ojciec Liepy miał 74 lata i był wdowcem. Wallander spojrzał jeszcze raz na fotografię majora i zamknął teczkę. Do pokoju wszedł Murniers, sierżant podniósł się pospiesznie, by odsunąć się jak najdalej od czerwonej teczki.

- Znaleźliście coś interesującego? Coś, co przeoczyliśmy? - spytał Murniers.

- Nic, właśnie miałem odesłać dokumenty do archiwum.

Sierzant wziął teczkę i wyszedł z pokoju.

- Jak wam idzie z zatrzymanym? - spytał Wallander.

- Złamiemy go - odpowiedział Murniers twardo. - Jestem pewien, że to właściwy człowiek. Chociaż Putnis zdaje się mieć wątpliwości.

Ja też je mam, pomyślał Wallander. Może pomówię o tym z Putnisem dziś wieczorem, gdy się spotkamy? Porównamy nasze wątpliwości. Postanowił natychmiast przerwać tę grę niedomówień. Nie miał już powodu, by ukrywać swoje myśli. Może w królestwie kłamstwa królem jest ten, kto posługuje się półprawdami? Po co mówić prawdę wprost, jeśli można używać jej w wygodny dla siebie sposób?

- W czasie pobytu w Szwecji major powiedział coś, co mnie skonfundowało - zaczął. - Wcześniej wypił trochę whisky, nie jestem więc pewien, czy dobrze go zrozumiałem. Powiedział, że czuje niepokój, ponieważ do niektórych kolegów nie może mieć do końca zaufania.

Twarz Murniersa nie zdradzała zaskoczenia.

- Oczywiście był wtedy podchmielony - ciągnął Wallander z niejasnym uczuciem niesmaku, że oczernia zmarłego.

- Ale jeśli właściwie go zrozumiałem, podejrzewał któregoś ze swoich zwierzchników o wejście w układy ze światem przestępczym.

- To interesujące, nawet jeśli powiedziała to osoba nie trzeźwa - odparł Murniers z namysłem. - Jeśli użył słowa zwierzchnik, może to oznaczać tylko mnie lub pułkownika Putnisa.

- Nie wymieniał żadnych nazwisk.

- Czy powiedział, na czym opiera swoje podejrzenia?

- Mówił o przemyśle narkotyków. O nowych kanałach przerzutowych przez Europę. Mówił, że trudno byłoby to przeprowadzić bez pomocy kogoś wysoko postawionego.

- Ciekawe. Zawsze miałem majora za niezwykle rozsądnego człowieka. Człowieka o wyjątkowo czystym sumieniu.

Jest nieporuszony, myślał Wallander. Czy potrafiłby zachować taki spokój, gdyby major Liepa miał rację?

- Jakie wyciąga pan wnioski? - spytał Murniers.

- Żadnych. Chciałem tylko o tym wspomnieć.

- Dobrze pan zrobił. Proszę o tym powiedzieć również pułkownikowi Putnisowi.

Wyszedł. Wallander włożył kurtkę i w korytarzu podszedł do czekającego nań sierżanta. W hotelu, zawinięty w narzutę, uciął sobie godzinną drzemkę. Po przebudzeniu zmusił się do wzięcia szybkiego zimnego prysznica, włożył granatowy garnitur i tuż po siódmej zszedł na dół, gdzie, oparty o kontuar, czekał już sierżant.

Pułkownik Putnis mieszkał za miastem, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Rygi. W drodze Wallander rozmyślał o tym, że na Łotwie zawsze podróżuje w ciemności; podróżuje w ciemności i myśli w ciemności. Poczul nagle tęsknotę za domem, wywołaną zapewne przez niejednoznaczność sytuacji. Zapatrzył się w mrok i

pomyślał, że powinien jutro zadzwonić do ojca. Z pewnością spyta, kiedy wracam do domu, myślał.

Niedługo, odpowiem, już niedługo.

Sierżant skręcił z głównej drogi i przez wysoką bramę wjechał na wyasfaltowany podjazd. Pomyślał, że prywatna droga dojazdowa do domu pułkownika jest utrzymana lepiej niż wszystkie te, którymi dotąd jeździł na Łotwie. Sierżant przyhamował przed altaną, oświetloną przez niewidoczne reflektory. Gdy Wallander wysiadł z samochodu, doznał uczucia, jakby nagle znalazł się w innym kraju, w którym nic nie było ciemne i zniszczone.

Pułkownik powitał go u wejścia do altany. Zamiast munduru miał na sobie dobrze skrojony garnitur, podobny do tych, w jakie byli ubrani mężczyźni z pontonu. Obok stała jego żona, dużo młodsza od niego. Wallander nie dawał jej więcej niż trzydzieści lat. W czasie powitania okazało się, że świetnie mówi po angielsku. Wallander wszedł do pięknego domu z uczuciem zadowolenia, które odczuwa się po zakończeniu długiej i pełnej trudów podróży. Pułkownik, ze szklaneczką whisky w rękę, pokazywał mu dom, nie próbując ukrywać dumy. Wallander zobaczył pokoje wypełnione importowanymi z Zachodu meblami, wywołujące wrażenie wystawności i chłodu.

Z pewnością byłbym taki sam jak oni, gdybym mieszkał w kraju, gdzie brakuje prawie wszystkiego, myślał Wallander. To musiało sporo kosztować, dziwne, że pułkownik policji może tak dobrze zarabiać. Łapówki, korupcja, przyszło mu na myśl, ale odsunął od siebie te podejrzenia. Nie znał przecież pułkownika i jego żony Ausmy. Może na Łotwie wciąż istnieją rodzinne majątki, choć Sowieci mieli prawie pięćdziesiąt lat, by zmienić stosunki ekonomiczne w tym kraju.

Przecież nic właściwie nie wiedział.

Stołówkę oświetlały wysokie kandelabry. Z rozmowy

wynikało, że również żona Putnisa pracuje w policji, ale w innym wydziale. Odnosił niejasne wrażenie, że chodzi o coś bardzo tajnego. Nasunęła mu się myśl, że może jest agentką lokalnego łotewskiego oddziału KGB. Pytała o Szwecję, a on, choć próbował się powstrzymać, bardzo wychwalał swój kraj.

Po kolacji Ausma poszła zrobić kawę, a Putnis podał koniak w saloniku z pięknymi skórzanymi fotelami. Wallander pomyślał, że nigdy nie będzie go stać na takie meble i ta myśl sprawiła, że nagle poczuł agresję. W irracjonalny sposób poczuł się współodpowiedzialny za to, co się dzieje w tym kraju, jak gdyby fakt, że nie protestuje otwarcie, czynił go współwinnym brania łapówek, które sfinansowały dom pułkownika.

- Łotwa jest krajem dużych kontrastów - powiedział, z trudem dobierając angielskie słowa.

- A Szwecja nie jest?

- Oczywiście że tak. Ale nie tak uderzających. W Szwecji to nie do pomyślenia, żeby pułkownik policji mógł sobie pozwolić na taki dom.

Putnis rozłożył ręce, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Nie jesteśmy z żoną bogaci, ale przez wiele lat żyliśmy oszczędnie. Mam ponad pięćdziesiąt pięć lat. Na starość chciałbym żyć wygodnie. Czy jest w tym coś złego?

- Nie mówię, że to coś złego. Mówię o różnicach. Major Liepa był pierwszym obywatelem jednej z republik nadbałtyckich, jakiego spotkałem. Odniosłem wrażenie, że przyjechał z bardzo ubogiego kraju.

- Dużo jest u nas biednych ludzi, nie przeczę.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, jak jest naprawdę.

Pułkownik Putnis popatrzył na niego badawczym wzrokiem.

- Nie bardzo rozumiem.

- Jak jest z łapówkami. Z korupcją. Powiązaniem polityków z organizacjami przestępczymi. Chciałbym otrzymać

wyjaśnienie tego, co major powiedział mi w Szwecji. Był wtedy pijany, mniej więcej tak, jak ja teraz.

Putnis przyglądał mu się z uśmiechem.

- Oczywiście. Wyjaśnię to, jeśli potrafię. Ale najpierw muszę wiedzieć, co powiedział major.

Wallander powtórzył słowa i zmyślane cytaty, które przedstawił Murniersowi parę godzin wcześniej.

- Oczywiście, i łotewskiej policji można to i owo zarzucić.

Wielu policjantów ma niskie pensje, pokusa przyjęcia łapówki może być duża. Ale jednocześnie muszę powiedzieć, że major Liepa przesadził, opisując sytuację w ten sposób. Jego uczciwość i pracowitość były oczywiście godne podziwu, ale czasami brał emocjonalne urojenia za fakty.

- Myśli pan, że przesadzał?

- Niestety, tak.

- Na przykład twierdząc, że wyższy oficer policji miałby być zamieszany w działalność przestępczą?

Pułkownik Putnis ogrzewał w dłoniach kieliszek koniaku.

- Musiał więc mieć na myśli mnie albo pułkownika Murniersa - powiedział z namysłem. - Dziwi mnie to. Stwierdzenie tyleż niefortunne, co nierozsądne.

- A jednak musiał mieć jakieś podstawy.

- Może uważał, że pułkownik Murniers i ja starzejemy się zbyt wolno - powiedział z uśmiechem. - Może był niezadowolony, że stoimy mu na drodze do awansu?

- Major nie robił wrażenia człowieka ogarniętego obsesją kariery.

Putnis potakiwał z namysłem.

- Przedstawię panu swoją hipotezę na temat tego, skąd major mógł powziąć takie podejrzenia, ale w największym zaufaniu.

- Nie zdradzam cudzych tajemnic.

- Mniej więcej dziesięć lat temu pułkownik Murniers uległ pożałowania godnej słabości. Przyłapano go na braniu

łapówki od dyrektora fabryki tekstyliów. Dyrektor był podejrzany o poważne nadużycia. Pieniądze, które przyjął Murniers, były zapłatą za odwracanie wzroku, gdy wspólnicy dyrektora usuwali pewne dokumenty, mogące dostarczyć decydujących dowodów w tej sprawie.

- Co się stało później?

- Sprawę zatuszowano. Dyrektor dostał symboliczną karę. Wyszedł po roku i został szefem największego w kraju tartaku.

- Co stało się z Murniersem?

- Nic. Głęboko tego żałował. Za dużo wtedy pracował, znajdował się w stanie przemęczenia, poza tym był w trakcie długiego i przykrego rozwodu. Biuro polityczne uznało, że należy mu wybaczyć. Może major pomylił chwilową słabość z chronicznym defektem charakteru? Tylko tak mogą to wytłumaczyć. Może jeszcze koniaku?

Wallander podsunął kieliszek. Zaniepokoiło go coś, co powiedział Putnis, a wcześniej Murniers, ale nie potrafił sprecyzować co konkretnie. W tej samej chwili do pokoju weszła Ausma, niosąc tacę z kawą, i zaczęła z entuzjazmem mówić o tym, co Wallander powinien koniecznie zobaczyć, nim opuści Rygę. Słuchając jej, czuł niepokój, jakby lekkie drażnienie prądem. Coś zostało powiedziane, coś prawie niezauważalnego, co jednak zwróciło jego uwagę.

- Szwedzka Brama - powiedziała Ausma. - Nie widział pan nawet tego pomnika czasów, gdy Szwecja była jedną z groźniejszych potęg w Europie?

- Obawiam się, że przeoczyłem.

- Dzisiaj Szwecja wciąż jest potęgą - powiedział Putnis. - Kraj niewielki, ale można mu pozazdrościć ogromnych bogactw.

Bojąc się, że straci wątek swych myśli, przeprosił i wyszedł do toalety. Wiele lat temu Rydberg nauczył go nie odkładać na później zbadania ewentualnego tropu, zwłaszcza jeśli

trop ten był tak blisko oczu, że aż trudno było go dojrzeć. Uświadomił sobie, co to było. Coś, co powiedział Murniers, a czemu Putnis zaprzeczył przed paroma zaledwie minutami, używając podobnych słów.

Murniers mówił o rozsądku majora, a Putnis o jego braku. Jeśli się wzięło pod uwagę to, co Putnis powiedział o Murniersie, było to dość zrozumiałe. Lecz Wallandera niepokoił fakt, że spodziewał się odwrotnej sytuacji.

Podejrzewamy Murniersa, powiedziała Baiba Liepa.

Podejrzewamy, że go zdradzono.

Może błędnie rozumowałem, myślał. Może w Murniersie widzę to, czego powinienem szukać w Putnisie? Spodziewałem się, że ten pułkownik, który mówił o rozsądku Liepy, powie coś wręcz przeciwnego. Próbował przypomnieć sobie głos Murniersa i nagle poczuł, że pułkownik miał na myśli coś więcej. Major Liepa jest rozsądnym człowiekiem, rozsądnym policjantem. A więc ma rację.

Rozważył tę myśl i doszedł do wniosku, że zbyt łatwo przyjął za dobrą monetę informacje i podejrzenia z drugiej i trzeciej ręki.

Wyszedł z toalety i wrócił do kawy i koniaku.

- Nasze córki - powiedziała Ausma, pokazując dwie fotografie w ramkach. - Aida i Lija.

- Ja też mam córkę. Ma na imię Linda.

Reszta wieczoru upłynęła na chaotycznej rozmowie. Wallander miał ochotę pożegnać się i wrócić do hotelu, ale nie chciał, by zostało to odebrane jako niegrzeczność. Była już prawie pierwsza w nocy, gdy sierżant zatrzymał samochód przed hotelem. W drodze Wallander zapadał w drzemkę, w czasie wieczoru wypił więcej, niż powinien, rano obudzi się pewnie zmęczony i skacowany.

Długo leżał, wpatrując się w ciemność, nim zasnął.

Twarze obu pułkowników zlały się w jedną. Nagle

uświadomił sobie, że czułby się fatalnie, gdyby wrócił do domu, nie zrobiwszy przedtem wszystkiego, by wyjaśnić okoliczności śmierci majora.

Powiązania są, rozmyślał. Major Liepa, zwłoki na pontonie, zatrzymanie Upitisa. Wszystko jest jakoś powiązane, tylko jeszcze tego nie widzę. A za moją głową, po drugiej stronie ściany, siedzą niewidzialni ludzie, rejestrując mój oddech.

Czy raportują również, że długo nie mogę zasnąć?

Może sądzą, że w ten sposób mogą śledzić moje myśli?

Jakaś ciężarówka z hałasem przejechała ulicą.

Tuż przed zaśnięciem pomyślał, że jest w Rydze już od czterech dni.

Gdy się obudził nazajutrz, poczuł, że jest tak zmęczony i skacowany, jak się tego obawiał. Czuł pulsujący ból w skroniach, a myjąc zęby, bał się, że zwymiotuje. Rozpuścił dwie tabletki od bólu głowy w szklance wody, myśląc, że bezpowrotnie minął czas, kiedy mógł pić alkohol bez przykrych konsekwencji.

Przyglądając się swemu odbiciu w lustrze, uświadomił sobie, że jest coraz bardziej podobny do ojca. Kac przynosił nie tylko skruchę, lecz również poczucie przemijalności. Działanie czasu dostrzegł także na swej bladej, opuchniętej twarzy.

O wpół do ósmej zjadł w restauracji smażone jajko i napił się kawy. Mdłości ustały. W ciągu pół godziny, która została mu do przyjazdu sierżanta, spróbował raz jeszcze uporządkować swoją wiedzę na temat całej sprawy. Starał się przejść do porządku nad odkryciem, którego dokonał ubiegłego wieczoru, że może to Putnis, a nie Murniers odegrał rolę niewidzialnego zdrajcy. Myśli jednak ciągnęły go z powrotem do punktu wyjścia. Wszystko było zbyt niejasne, zbyt płynne. Uświadomił sobie, że śledztwo na Łotwie prowadzi się całkiem inaczej niż w Szwecji. Nieobliczalność państwa totalitarnego sprawiała, że zbieranie faktów i zestawianie dowodów stawało się nieskończenie bardziej skomplikowane.

Może jest tak, że przede wszystkim trzeba zdecydować, czy przestępstwo w ogóle ma być ścigane, czy też należy do kategorii tych, do których społeczeństwo przywykło, a więc praktycznie go nie ma?

Idąc do samochodu, myślał, że musi bardziej energicznie szukać wyjaśnienia u obu pułkowników. Teraz nie wiedział nawet, czy niewidzialne drzwi zamykają się przed nim, czy też otwierają.

Patrząc przez szyby samochodu na zniszczone domy i szarobure place, czuł nieznaną mu dotąd melancholię. Wyobraził sobie, że ludzie czekający na przystankach i przemykający chodnikami mieli w duszy podobny smutek. Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Znowu zatęsknił za domem, ale czym właściwie był ów dom?

Gdy tylko wszedł do pokoju i posłał sierżanta po kawę, zadzwonił telefon.

- Dzień dobry - powiedział Murniers. Wallander słyszał, że posepny zazwyczaj pułkownik jest w dobrym humorze. - Czy wieczór był udany?

- Nie jadłem tak dobrze od przyjazdu do Rygi. Ale obawiam się, że za dużo wypilem.

- Umiar jest cnotą nieznaną w naszym kraju. Jak rozumiem, u podstaw szwedzkiego sukcesu leży umiejętność życia z umiarem?

Wallander nie znalazł odpowiedniej riposty, Murniers mówił dalej.

- Mam przed sobą ciekawy dokument. Myślę, że na jego widok potrafiłby pan zapomnieć, że wypił za dużo dobrego koniaku pułkownika Putnisa.

- Co to za dokument?

- Zeznanie Upitisa. Przepisane na czysto i podpisane dziś w nocy.

Wallander milczał.

- Jest pan tam? - spytał Murniers. - Może powinien pan od razu przyjść do mnie?

W korytarzu natknął się na sierżanta, który z filiżanką kawy szedł do pokoju Murniersa. Wallander usiadł, Murniers ze zmęczonym uśmiechem na twarzy podniósł leżącą na stole teczkę.

- Tutaj mamy zeznanie przestępcy Upitisa. Przetłumaczenie go będzie dla mnie czystą przyjemnością. Jest pan, zdaje się, zdziwiony?

- Tak. Czy to pan go przesłuchiwał?

- Nie. Pułkownik Putnis nakazał kapitanowi Emmanuelisowi przejąć przesłuchanie. Sprawił się doskonale. Pokładamy w nim duże nadzieje.

Czy to ironię było słycać w głosie Murniersa? Czy też był to tylko normalny głos zmęczonego i pozbawionego złudzeń policjanta?

- A więc zalkoholizowany kolekcjoner motyli i poeta Upitis postanawia złożyć pełne zeznanie - ciągnął Murniers. - Przyznaje się do zamordowania, razem z dwiema innymi osobami, panami Bergklaussem i Lapinem, majora Liepy, dwudziestego trzeciego lutego w nocy. Ci trzej panowie odegrali rolę przedsiębiorców, którzy podpisali kontrakt na zlikwidowanie majora. Upitis twierdzi, że nie wie, od kogo wyszło zamówienie, co chyba jest prawdą. Kontrakt przeszedł przez wielu pośredników, nim trafił pod właściwy adres. Ponieważ chodziło o wysokiego rangą oficera policji, suma była znaczna. Upitis i dwaj pozostali podzielili się honorarium za egzekucję, które było równe stu rocznym pensjom łotewskiego robotnika. Kontrakt sporządzono ponad dwa miesiące temu, a zatem na długo przed tym, zanim major pojechał do Szwecji. Zleceniodawca z początku nie podał żadnego terminu. Najważniejsze było, żeby nie sknócili sprawy. Ale nagle coś się zmieniło. Trzy dni przed zabójstwem, kiedy major był jeszcze w Szwecji, jeden z pośredników skontaktował się z Upitsem i zakomunikował mu, że trzeba usunąć majora, jak tylko wróci do Rygi. Nie podano powodu tego nagłego pośpiechu, podwyższono tylko sumę, i Upitis dodatkowo dostał samochód do dyspozycji. Upitis miał teraz codziennie - rano i wieczorem - odwiedzać kino, konkretnie Spartak. Na jednym z czarnych słupów, podtrzymujących dach kina, miała któregoś dnia pojawić się inskrypcja, to, co wy na Zachodzie nazywacie graffiti. Jego pojawienie się miało oznaczać, że major ma

natychmiast zostać zlikwidowany. Rano, w dniu powrotu majora, Upitis znalazł napis i natychmiast skontaktował się z Bergklaussem i Lapinem. Pośrednik dał mu znać, że późnym wieczorem major zostanie wywabiony z domu. Reszta należała do nich. Najwyraźniej przysporzyło im to dużych kłopotów. Założyli, że major będzie uzbrojony i czujny, że stawi opór. Musieli więc zaatakować od razu, jak tylko wyjdzie z domu. Ryzyko, że im się nie uda, było duże. Murniers zrobił przerwę i spojrzął na Wallandera.

- Czy nie za szybko?

- Nie. Nadażam za panem.

- Postawili więc samochód przy ulicy, na której mieszkał major - ciągnął Murniers. - Wykręcili żarówkę oświetlającą wejście do bramy i, uzbrojeni, ukryli się w cieniu. Przedtem odwiedzili piwiarnię, dodając sobie odwagi znaczną ilością wódki. Gdy major wyszedł z bramy, zaatakowali. Upitis twierdzi, że to Lapin uderzył pierwszy. Gdy znajdziemy Lapina i Bergklausza, możemy być pewni, że będą zeznawać przeciw sobie. W przeciwieństwie do prawa szwedzkiego, nasze pozwala na skazanie obu podejrzanych, jeśli nie da się wyjaśnić, kto był bezpośrednim sprawcą zbrodni. Major osunął się na ziemię, podjechał samochód, ciało upchnięto na tylnym siedzeniu. W drodze do portu major odzyskał przytomność i Lapin najprawdopodobniej ponownie uderzył go w głowę. Upitis mówi, że major nie żył, kiedy wynoszono go z samochodu. Chcieli, by to wszystko sprawiało wrażenie, że major uległ wypadkowi. Oczywiście to się nie mogło powieść, a Upitis i wspólnicy nie dołożyli też specjalnych starań, by wyprowadzić policję w pole.

Murniers położył raport na biurku.

Wallander przypomniał sobie noc w leśniczówce, pytania Upitisa, smugę światła pod drzwiami, za którymi ktoś stał i słuchał.

Podejrzewamy, że majora zdradzono, podejrzewamy

pułkownika Murniersa.

- Skąd mogli wiedzieć, że major wróci właśnie tego dnia?
- Może przekupiono kogoś z Aeroflotu? Mają tam listy pasażerów. Dowiemy się oczywiście, jak to było.
- Dlaczego zamordowano majora?
- W takim społeczeństwie jak nasze, pogłoski rozchodzą się szybko. Być może major był zbyt niewygodny dla pewnych kręgów przestępczych.

Wallander namyślał się nad następnym pytaniem. Słuchając przytoczonych przez Murniersa zeznań Upitisa, uświadomił sobie, że coś w nich jest nie tak. Ale nawet jeśli by założył, że zeznania są całkowicie fałszywe, nie byłby w stanie na ich podstawie zrekonstruować prawdy. Kłamstwa dopełniały się wzajemnie, i przez utkaną z nich szczelną zasłonę nie sposób było dostrzec, co się naprawdę wydarzyło.

Doszedł do wniosku, że nie ma już pytań. Pytań nie było, pozostały tylko niejasne stwierdzenia.

- Oczywiście wiecie, że zeznania Upitisa są nieprawdziwe? - zapytał Wallander.

Murniers spojrzał na niego badawczo.

- Dlaczego miałyby być nieprawdziwe?
- Z tej prostej przyczyny, że Upitis nie zabił majora. Całe zeznanie jest zmyślane. Musiał zostać do tego zmuszony. Albo doznał pomieszania zmysłów.
- Dlaczego tak podejrzany osobnik jak Upitis nie mógłby zamordować majora?

- Wiem to, bo się z nim spotkałem. Rozmawiałem z nim i mogę stwierdzić, że jeśli w tym kraju istnieje osoba, którą można całkowicie uwolnić od podejrzeń o zamordowanie majora, to jest nią właśnie Upitis.

Zdziwienie Murniersa nie mogło być udawane. A więc to nie on podsłuchiwał w ciemności w leśniczówce, pomyślał. A jeśli nie on, to kto? Baiba Liepa? Pułkownik Putnis?

- Mówi pan, że spotkał się z Upitisem?

Wallander postanowił posłużyć się półprawdą. Uznał, że musi chronić Baibę.

- Odszukał mnie w hotelu. Przedstawił się jako Upitis. Powiedział, że jest przyjacielem majora. Rozpoznałem go później, gdy pułkownik Putnis pokazał mi go przez weneckie lustro w pokoju przesłuchań.

Murniers wyprostował się na krześle. Widać było, że jest bardzo spięty, całą uwagę skupił na tym, co przed chwilą powiedział Wallander.

- Osobliwe. Bardzo osobliwe.

- Przyszedł do mnie, by powiedzieć, że podejrzewa o zamordowanie majora jego współpracowników.

- Łotewską policję?

- Tak. Upitis prosił mnie o pomoc w zbadaniu, jak to się stało. Nie mam pojęcia, skąd mógł wiedzieć, że w Rydze przebywa akurat szwedzki policjant.

- Powiedział coś jeszcze?

- Że przyjaciele majora nie mają dowodów, ale sam Liepa mówił im wcześniej, że czuje się zagrożony.

- Zagrożony przez kogo?

- Przez kogoś z policji. Może również przez KGB.

- Dlaczego miałyby być zagrożony?

- Z tych samych powodów, dla których - jak twierdzi Upitis - kręgi przestępcze Rygi postanowiły go zlikwidować. Można oczywiście zobaczyć tu powiązania.

- Jakie powiązania?

- Upitis dwa razy miał rację. Mimo że raz musiał kłamać.

Murniers gwałtownie wstał z krzesła.

Wallander pomyślał, że jak na szwedzkiego glinę, posunął się za daleko, przekroczył nieznaną mu granicę. Lecz Murniers spojrzał na niego niemalże prosząco.

- Pułkownik Putnis musi się o tym dowiedzieć.

- Tak. Powinien.

Murniers sięgnął po telefon i po dziesięciu minutach

pojawił się Putnis. Wallander nie zdążył podziękować za kolację, gdy Murniers po łotewsku, ze wzburzeniem i emfazą, zrelacjonował mu to, co przed chwilą usłyszał. Wallander zdążył pomyśleć, że twarz Putnisa zdradzi, czy to właśnie on ukrywał się za drzwiami leśniczówki. Lecz nic takiego nie zauważył. Próbował znaleźć możliwy powód, dla którego Upitis złożył fałszywe zeznanie, lecz wszystko było tak zagmatwane, że dał spokój.

Putnis zareagował inaczej niż Murniers.

- Dlaczego nie powiedział pan, że spotkał się z przestępcą Upitisem?

Nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Uświadomił sobie, że stracił zaufanie w oczach Putnisa. Zastanawiał się, czy to tylko przypadek sprawił, że był na kolacji u pułkownika właśnie wtedy, gdy Upitis złożył zeznanie. Czy w społeczeństwie totalitarnym w ogóle istniały przypadki? Czy Putnis sam nie mówił, że woli osobiście przesłuchiwać aresztantów?

Wzburzenie Putnisa zniknęło tak samo szybko, jak się pojawiło. Pułkownik z uśmiechem położył dłoń na ramieniu Wallandera.

- Kolekcjoner motyli i poeta Upitis jest sprytnym jegomościem. To oczywiście bardzo wyrafinowane posunięcie, odwieść podejrzenia od siebie i rzucić je na kogoś innego, odwiedzając szwedzkiego policjanta, który przebywa chwilowo w Rydze. Lecz jego zeznania z pewnością są prawdziwe, czekałem tylko, by się załamał. Sprawa morderstwa majora jest rozwiązana. Dlatego nie widzę powodu, by robił pan sobie kłopot i zostawał tu dłużej. Natychmiast każę panu zorganizować podróż powrotną. Naturalnie wyślemy oficjalne podziękowanie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

I właśnie w tym momencie, gdy jego pobyt na Łotwie miał dobiec końca, Wallander uświadomił sobie, jak cały ten

gigantyczny spisek musiał być skonstruowany.

Pojął nie tylko jego rozmiary, ale i sprytnie zgranie prawdy i kłamstwa, celowe przemieszanie fałszywych tropów z prawdziwymi związkami przyczynowymi. Zrozumiał również, że major był tak dobrym i uczciwym policjantem, jakim go widział od początku. Zrozumiał lęk Baiby i jej bunt. Musi ją spotkać, nim wyjedzie. Był jej to winien, miał też dług wdzięczności wobec zmarłego majora.

- Oczywiście, wyjadę. Ale zostanę tu do jutra. Miałem zbyt mało czasu, by obejrzeć to piękne miasto. Uświadomiłem to sobie już wczoraj, gdy rozmawiałem z pańską żoną.

Zwracał się do obu pułkowników, ale ostatnie zdanie skierował do Putnisa.

- Sierżant Zids jest wspaniałym cicerone - ciągnął. - Mam nadzieję, że mogę skorzystać z jego usług po południu, nawet jeśli moja praca jest skończona.

- Oczywiście - powiedział Murniers. - Może powinniśmy też uczcić zbliżające się rozwiązanie tej osobliwej historii. Nieuprzejmie byłoby pozwolić panu wyjechać bez prezentu i kilku toastów.

Wallander pomyślał o mającym nadejść wieczorze, podczas którego w hotelowym klubie nocnym miał spotkać Inese, swoją rzekomą kochankę, i o tym, że musi zobaczyć się z Baibą.

- Oddramatyzujmy to - powiedział. - Jesteśmy mimo wszystko policjantami, a nie aktorami oblewającymi udaną premierę. Jestem już umówiony na dziś wieczór, pewna młoda dama obiecała mi dotrzymać towarzystwa.

Murniers uśmiechnął się, wyjmując z biurowej szafki butelkę wódki.

- Nie chcemy, oczywiście, w tym przeszkadzać. W takim razie wzniesmy toast teraz.

Spieszno im, pomyślał. Chcieliby jak najszybciej pozbyć się mnie z Łotwy.

Pili. Wallander podnosił kieliszek, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie wiedział, który z pułkowników wydał rozkaz zlikwidowania majora. Jedyne co do tego miał wątpliwości, i tylko tego nie wiedział. Putnis czy Murniers? Teraz rozumiał, że major w swoim tajnym śledztwie doszedł do prawdy, którą, niestety, zabrał ze sobą do grobu. Chyba że zostawił notatki. Baiba musi je znaleźć, jeśli chce wiedzieć, kto zabił jej męża. Dopiero wtedy będzie można zrozumieć, dlaczego Upitis złożył fałszywe zeznania w ostatniej, rozpaczliwej próbie wykrycia, który z pułkowników jest winny śmierci majora.

Piję z jednym z najgorszych przestępców, jakich kiedykolwiek spotkałem, myślał. Nie wiem tylko, który to z nich.

- Oczywiście odwieziemy pana jutro na lotnisko - powiedział Putnis, gdy toasty się skończyły.

Wychodząc z komendy tuż za sierżantem pomyślał, że jest jak świeżo wypuszczony więzień. Jechali przez miasto, a sierżant pokazywał, opisywał, opowiadał. Wallander patrzył, potakiwał, mamrotał „tak” i „bardzo ładne”, gdy uważał, że tak trzeba, ale myślami był gdzie indziej. Myślał o Upitisie, zastanawiając się, jaki właściwie miał wybór.

Co Murniers czy Putnis szeptali mu do ucha? Jakie argumenty wybrali z katalogu pogroźek, których nie miał nawet odwagi sobie wyobrazić?

Może Upitis miał swoją Baibę, może miał dzieci. Ale czy na Łotwie strzelano do dzieci? Czy może wystarczyło zagrozić, że cała ich przyszłość będzie skończona, jeszcze nim się zacznie?

Czy tak funkcjonuje państwo totalitarne - zabierając szansę na normalne życie?

A zatem jaki wybór miał Upitis?

Czy uratował życie - swoje, rodziny, Baiby Liepy - odgrywając rolę mordercy, którym nie był? Wallander

próbował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o fingowanych procesach, oplatających, niczym straszliwy łańcuch krzywd nie do pojęcia, historię państw komunistycznych. Gdzieś w tym łańcuchu było miejsce na historię Upitisa, lecz dla niego na zawsze pozostanie niepojęte, że można kogoś zmusić do przyznania się do niepopelnionych win; do wyznania, że z premedytacją zamordowało się najlepszego przyjaciela, żywiącego te same nadzieje na przyszłość.

Nigdy się nie dowiem, pomyślał, nigdy się nie dowiem, jak to było, i może lepiej, bo i tak bym nie zrozumiał. Zrozumiałaby Baiba, i to ona musi się tego dowiedzieć. Gdzieś istnieje testament majora, jego śledztwo żyje, choć jest wyjęte spod prawa, kryje się gdzieś, gdzie czuwa nad nim nie tylko duch majora.

Szukam „Stróża”, i Baiba musi się o tym dowiedzieć. Że gdzieś jest tajemnica, do której trzeba dotrzeć, tak zręcznie ukryta, że tylko ona może ją znaleźć i rozszyfrować. Jej ufał major, była jego aniołem w świecie, w którym wszystkie inne anioły były upadłe.

Sierżant zatrzymał się przy bramie w starym murze miejskim i Wallander wysiadł. Była to Szwedzka Brama, o której mówiła żona Putnisa. Zadrżał, znów zrobiło się zimno. Nieobecny duchem, oglądał spękany mur, próbując zidentyfikować kilka wiekowych, wykutych w kamieniu znaków, lecz dał spokój i wrócił do samochodu.

- Jedziemy dalej? - spytał sierżant.

- Tak. Chcę zobaczyć wszystko, co warte jest zobaczenia.

Mimo zimna i rozbieganych oczu sierżanta, wolał samotność na tylnym siedzeniu niż w hotelowym pokoju. Poza tym zauważył już wcześniej, że sierżant lubi prowadzić. Myślał o zbliżającym się wieczorze, o tym, że nic nie mogło stanąć na przeszkodzie jego spotkaniu z Baibą. Zastanawiał się, czy nie lepiej spróbować złapać ją teraz, na

uniwersytecie, który musi leżeć gdzieś w pobliżu, i powiedzieć jej wszystko w jakimś pustym korytarzu. Ale nie wiedział, jaki przedmiot wyklada, nie wiedział nawet, w którym budynku pracuje.

Było coś jeszcze, co powoli zaczynał rozumieć. Tych parę krótkich spotkań z Baibą, tak przelotnych i naznaczonych goryczą, było wypełnionych czymś więcej niż tylko rozmowami o śmierci majora. Czuł coś, do czego nie bardzo był przyzwyczajony. To go niepokoiło. W wyobraźni widział rozsierzonego ojca, słyszał jego grzmiący głos, wypominający mu, że nie dość że został gliniarzem, to jeszcze jest na tyle głupi, by zakochać się we wdowie po lotewskim oficerze policji.

Czyżby tak było, naprawdę zakochał się w Baibie?

Sierżant Zids, jakby umiał czytać w myślach, wskazał na rozległy, brzydki budynek z cegły, mówiąc, że to część uniwersytetu. Wallander wpatrywał się przez spotniałe okno w ponure gmaszysko. Gdzieś tam, we wnętrzu tego podobnego do więzienia budynku, była Baiba Liepa. Wszystkie publiczne budynki w tym kraju mają w sobie coś z więzień i ludzie są w nich więźniami, pomyślał. Ale nie major i nie Upitis, choć ten drugi rzeczywiście teraz siedział. W jednej chwili poczuł, że ma dość tej jazdy i poprosił sierżanta, by odwiózł go do hotelu. Poprosił też, sam nie wiedząc czemu, by sierżant wrócił po niego po południu, o drugiej.

W recepcji od razu spostrzegł jednego ze smutnych panów i pomyślał, że pułkownicy nie muszą już udawać. Wszedł do restauracji i demonstracyjnie usiadł przy innym niż zwykle stoliku. Zbliżający się kelner miał nieszczególną minę. Mogę wprowadzić chaos, robiąc rewoltę przeciw państwowemu urzędowi, zajmującemu się przydzielaniem stolików, pomyślał ze złością. Ciężko opadł na krzesło, zamówił wódkę i piwo. Poczul ból w jednym z pośladków, na którym

odnawiał mu się okresowo czyrak. To spotęgowało jego wściekłość. Siedział ponad dwie godziny, a gdy kufel czy kieliszek były puste, przywoływał kelnera, prosząc o repetę. We wzrastającym odurzeniu miotał się między różnymi nastrojami, wreszcie w napadzie beznadziejnego sentymentalizmu rozmarzył się, wyobrażając sobie, że Baiba jedzie z nim do Szwecji. Opuszczając salę, nie mógł się powstrzymać, by nie pomachać smutasowi czuwającemu na sofie. Zasnął od razu. Śnił, że ktoś dobija się do drzwi. Okazało się, że to nie był sen - pukał sierżant. Wallander poderwał się z łóżka, krzyknął do sierżanta, by poczekał, i przemył twarz zimną wodą. W samochodzie poprosił, by sierżant wywiózł go za miasto, gdzieś do lasu, gdzie mógłby pospacerować. Chciał duchowo przygotować się na spotkanie z „kochanką”, która miała zaprowadzić go do Baiby.

W lesie zmarzł, ziemia pod stopami była twarda, czuł, że cała sytuacja jest nie do zniesienia.

Żyjemy w czasach, w których myszy polują na koty, pomyślał. Ale i to nie jest całą prawdą, bo nikt już nie wie, kto jest myszą, a kto kotem. Taki właśnie jest mój czas. Niełatwo być policjantem, gdy nikt nie jest tym, za kogo się podaje, i kiedy nic już się nie zgadza. Nawet Szwecja, którą - jak mi się kiedyś wydawało - rozumiałem, nie jest wyjątkiem. Rok temu prowadziłem samochód mocno podchmielony i nie stało się nic, bo koledzy mnie osłonili. Nawet tam przestępca idzie ręką w rękę ze ścigającym.

Spacerując, postanowił nagle, że będzie się starać o posadę szefa ochrony w fabryce w Trelleborgu. Decyzja nasunęła się sama, bez przymusu i wahania. Doszedł do wniosku, że pora na zmianę.

Myśl ta wprawiła go w dobry nastrój, wrócił do samochodu i pojechali do Rygi. Przed hotelem pożegnał się z sierżantem. W recepcji czekał list od pułkownika Putnisa, który

informował go, że samolot do Helsinek odlatuje jutro o wpół do dziesiątej. Wziął kąpiel i wsunął się do łóżka. Miał jeszcze trzy godziny do spotkania z „kochanką”. Ponownie prześledził w myślach wszystko, co się do tej pory wydarzyło. Wspominał majora, czuł cały bezmiar jego nienawiści, nienawiści bezsilnej, bo nawet mając dowody, nic nie mógł zrobić. Dotarł do ciemnego jądra korupcji, w którym Murniers czy Putnis, może obaj, organizowali to, co nie udało się nawet mafii: kontrolowaną przez państwo działalność przestępczą. Major widział i wiedział za dużo, dlatego został zamordowany. Gdzieś zostały ukryte wyniki jego śledztwa, zbiór dowodów, testament.

Nagle usiadł na łóżku.

Przeoczył najważniejszą sprawę dotyczącą tego testamentu. Konkluzje, do jakich sam doszedł, na pewno przyszły też do głowy pułkownikom. Oczywiście, że myśleli podobnie, i również oni starali się znaleźć ukryte przez majora dowody. Nagle powrócił strach. Przecież w tym kraju spowodowanie zniknięcia szwedzkiego policjanta było dziecinnie proste. Sfingować wypadek, wyreżyserować śledztwo, i można odesłać do Szwecji cynową trumnę opatrzoną wyrazami żalu.

Może już podejrzewają, że wiem za dużo?

A może nagła decyzja, by odesłać mnie do domu, znaczyła, iż byli pewni, że nic nie wiem?

Muszę być ostrożny. Jestem tu całkiem sam i muszę zrobić tak, jak powiedziała Baiba: zdecydować, komu mogę ufać, ryzykując, że się mylę. Jestem sam, otoczony czujnymi oczami i uszami ludzi, którzy bez wahania zrobiliby ze mną to samo, co z majorem.

Może kolejna rozmowa z Baibą jest zbyt ryzykowna?

Patrzył przez okno na dachy domów. Ściemniło się, była prawie siódma, musiał się zdecydować.

Niewiele we mnie z bohatera, pomyślał, a jeszcze mniej z

niebojącego się ryzyka i gardzącego śmiercią szeryfa. Najchętniej prowadziłbym śledztwa w sprawach bezkrwawych włamań i niewielkich oszustw na jakiejś spokojnej szwedzkiej prowincji.

Lecz gdy pomyślał o Baibie, jej strachu i niezgodzie, zrozumiał, że gdyby się teraz ugiął, nie mógłby nigdy więcej spojrzeć sobie w twarz.

Włożył garnitur i tuż po ósmej zszedł do nocnego klubu.

W holu siedział inny szary mężczyzna, z nową gazetą w rękach. Tym razem Wallander nie pomachał mu. Mimo wczesnego wieczoru mroczny lokal był pełen ludzi. Przepychając się między stolikami, widział zapraszające uśmiechy kobiet. Znalazł w końcu wolny stolik. Pomyślał, że nie powinien pić, by mieć całkowicie jasną głowę, lecz mimo to, gdy podszedł kelner, zamówił whisky. Podium dla orkiestry było puste, hałaśliwa muzyka dobiegała z głośników przymocowanych u sufitu. W zadymionym mroku próbował rozróżnić poszczególnych ludzi, lecz widział tylko koktajl cieni, głosów i muzyki.

Inese pojawiła się nagle. Grała swą rolę z pewnością, która go zdumiewała. Nie było w niej nic z nieśmiałej kobiety, którą poznał parę dni temu. Miała mocny, wyzywający makijaż i króciutką minispódniczkę. Uświadomił sobie, że nie jest przygotowany na uczestnictwo w tej grze. Wyciągnął rękę na powitanie, lecz ona zignorowała ją i pochyliła się, by go pocałować.

- Jeszcze nie idziemy - powiedziała. - Zamów coś dla mnie, śmieję się, ciesz się, że mnie widzisz.

Piła whisky i paliła nerwowo, a Wallander próbował grać swą rolę pana w średnim wieku, któremu schlebiało, że przyciągnął uwagę młodej dziewczyny. Próbował przebić się przez hałas, opowiadając o przejażdżce przez miasto z sierżantem w roli przewodnika. Spostrzegł, że wybrała krzesło umożliwiające jej obserwowanie drzwi. Gdy

wspomniał, że nazajutrz wraca do domu, drgnęła. Zastanawiał się, jak głęboko zamieszana jest w to wszystko, czy należała do „przyjaciół”, o których mówiła Baiba, a którzy stanowili gwarancję, że przyszłość kraju nie zostanie rzucona wilkom na pożarcie.

Nawet jej nie mogę ufać, myślał. Nawet ona może prowadzić podwójną grę, z konieczności, potrzeby lub bezsilnej determinacji.

- Zapłać. Zaraz idziemy - powiedziała.

Włączono oświetlenie estrady, muzycy w różowych jedwabnych marynarkach stroili instrumenty. Zapłacili kelnerowi, a ona uśmiechała się, udając, że namiętnie szepcze mu coś do ucha.

- Obok toalety jest wyjście - powiedziała. - Zamknięte, lecz gdy zapukasz, ktoś je otworzy. To drzwi do garażu. Stoi w nim biały moskwicz z żółtym błotnikiem nad przednim prawym kołem. Samochód jest otwarty. Usiądź na tylnym siedzeniu. Niedługo przyjdę. A teraz uśmiechaj się, szepcz mi do ucha i całuj mnie. Później idź.

Zrobił, jak mówiła. Zapukał w stalowe drzwi - zamek zazgrzytał. Wchodzący i wychodzący z toalety nie zauważyli nawet, gdy otworzył drzwi prowadzące do garażu. Mężczyzna, który je otworzył, od razu zniknął.

Jestem w kraju pełnym tajnych wejść i wyjść, pomyślał, gdzie niczego nie robi się tak po prostu.

Garaż był ciasny. W słabym świetle zobaczył ciężarówkę bez kół, białego moskwicza i kilka rowerów. Czuć było starym olejem i benzyną. Usiadł na tylnym siedzeniu i czekał. Po chwili przyszła Inese. Gdy włączyła silnik, drzwi garażu rozchyliły się. Wyjechali i skręcili w lewo, oddalając się od szerokich ulic wokół hotelu Łotwa. Z uwagą obserwując samochody w lusterku, kluczyła po ulicach, jakby jechała według niewidocznej mapy. Wallander całkiem stracił orientację. Po dwudziestu minutach krążenia miała

pewność, że nikt za nimi nie jedzie. Poprosiła o papierosa, przypalił i podał jej. Długim, żelaznym mostem wjechali w dzielnicę fabryk i niekończących się blokowisk, przypominających koszary. Nie był pewny, czy poznaje dom, przed którym stanęli.

- Proszę się pospieszyć, nie ma czasu.

Wpuściła ich Baiba, naprędce zamieniając kilka słów z Inese. Zastanawiał się, czy już wie, że on ma jutro wyjechać z Rygi. Bez słowa wzięła od niego kurtkę i powiesiła ją na oparciu krzesła. Inese zniknęła, zostali sami w przytulnym, otulonym ciężkimi zasłonami pokoju. Nie wiedział, od czego zacząć ani co w ogóle powiedzieć. Zrobił tak, jak często powtarzał mu Rydberg: mów, jak jest, to na pewno nie pogorszy sprawy.

Skuliła się na sofie, jakby poczuła nagły ból, gdy powiedział, że Upitis przyznał się do zamordowania jej męża.

- To nieprawda - wyszeptwała.

- Przetłumaczono mi jego zeznania. Miał rzekomo dwóch współników.

- To nieprawda! - wykrzyknęła, i ten krzyk był jak rzeka przerywająca tamę.

W drzwiach do kuchni pojawiła się Inese i spojrzała na niego, a wtedy zrozumiał, co ma robić. Przesiadł się na sofę i objął łkającą Baibę. Pomyślał, że płacze, ponieważ Upitis popełnił niewyobrażalną zradę albo też dlatego, że to kłamliwe zeznanie zostało na nim wymuszone. Płakała z wściekłości, kurczowo w niego wtulona. Później przypominał sobie, że to właśnie wtedy przekroczył ową niewidzialną granicę, za którą zaczął się przyznawać samemu sobie, że ją kocha. Wiedział, że uczucie, które się w nim zapaliło, było wynikiem tego, że pierwszy raz czuł się komuś potrzebnym.

Inese przyniosła herbatę. Przelotnie pogłaskała Baibę po głowie, a ta po chwili przestała płakać. Twarz jej zszarzała.

Wallander opowiedział o wszystkim, co się stało, i powiedział, że ma wracać do Szwecji. Przedstawił jej całą historię tak, jak udało mu się ją pozłepiać, i sam się zdziwił, że zabrzmiała tak przekonywająco. Na koniec powiedział o testamencie, który musi gdzieś być ukryty. Skinęła głową.

- Tak - powiedziała. - Coś musiał schować. Na pewno robił notatki. Jego śledztwo nie mogło istnieć wyłącznie w niezapisanych myślach.

- Ale nie wie pani gdzie?

- Nic mi nie mówił.

- Czy ktoś jeszcze może to wiedzieć?

- Nie, ufał tylko mnie.

- Jego ojciec mieszka w Windawie?

Spojrzała na niego, zdziwiona.

- Dopytałem się. Myślałem, że to może jest jakaś szansa.

- Bardzo kochał ojca. Lecz nie powierzyłby mu tajnych dokumentów.

- Gdzie mógł je ukryć albo zdeponować?

- Nie w domu. To zbyt niebezpieczne. Zburzyliby dom, gdyby sądzili, że coś tam znajdują.

- Proszę pomyśleć. Cofnąć się w czasie. Gdzie mógł to ukryć?

Pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Musiał wyobrazić sobie, że może stać się to, co się stało. Musiał założyć, że pani zrozumie, iż zostawił gdzieś dowody, i że tylko pani wpadnie na to gdzie.

Nagle chwyciła go za rękę.

- Musi mi pan pomóc. Nie może pan wyjechać.

- Nie mogę zostać. To wzbudziłoby podejrzenia pułkowników. A jak mógłbym tu przebywać w tajemnicy przed nimi?

- Może pan wrócić - powiedziała, nie puszczając jego ręki. - Ma pan tu dziewczynę. Może pan wrócić jako turysta.

Ale to ciebie kocham, pomyślał. A nie Inese, moją „kochankę”.

- Ma pan tu dziewczynę - powtórzyła.

Przytaknął. Jasne, miał dziewczynę w Rydze, ale nie Inese.

Nie odpowiadał, a ona nie domagała się odpowiedzi.

Zdawała się być pewna, że wróci. Weszła Inese i nagle szok Baiby, spowodowany wiadomością o zeznaniu Upitisa, minął.

- W naszym kraju można zginąć, gdy się mówi za dużo, i gdy się milczy, gdy mówi się nie to, co trzeba, lub gdy rozmawia z niewłaściwymi ludźmi. Ale Upitis jest silny, wie, że go nie zostawimy, bo zdajemy sobie sprawę, że zeznanie jest nieprawdziwe. Dlatego w końcu zwyciężymy.

- Zwyciężymy?

- Chcemy tylko prawdy, przyzwoitości i prostoty. Życia w wolności, którą sami wybieramy.

- To dla mnie za wielkie - powiedział Wallander. - Chcę tylko wiedzieć, kto zamordował majora i dlaczego ponton ze zwłokami przydryfował do szwedzkiego wybrzeża.

- Proszę wrócić, to nauczę pana mojego kraju. Nie tylko ja, Inese również.

- Nie wiem.

Baiba spojrzała na niego.

- Gdyby był pan człowiekiem, który zawodzi, znaczyłoby to, że Karlis się mylił. A on nigdy się nie mylił.

- To niemożliwe - powtórzył. - Gdybym tu wrócił, pułkownicy od razu by o tym wiedzieli. Musiałbym mieć inną tożsamość, inny paszport.

- To można załatwić - zapaliła się Baiba. - Jeśli tylko będę wiedzieć, że pan przyjedzie.

- Jestem policjantem. Nie mogę ryzykować całej swojej kariery, jeżdżąc po świecie na fałszywych papierach.

W tej samej chwili pożałował tego, co powiedział. Spojrzał Baibie prosto w oczy.

- Tak - powiedział powoli. - Przyjadę.

Mijała północ, a oni dalej próbowali wydedukować, gdzie major mógł ukryć dowody. Jej determinacja była niewzruszona. Do niczego jednak nie doszli i rozmowa się urwała.

Pomyślał, że gdzieś w ciemnościach czaiły się nieznające spoczynku psy pułkowników. Czując nierealność całej sytuacji, pojął, że wciągnięto go do sprzysiężenia, dla którego miał powrócić do Rygi, by prowadzić tajne śledztwo. Miał być anonimowym policjantem-detektywem w kraju, którego nie znał, i prowadzić śledztwo w sprawie, której już dawno ukręcono łeb. Wpatrzony w twarz Baiiby, zdawał sobie sprawę, że to szalone przedsięwzięcie, ale nie potrafił się oprzeć gorącej pewności w jej głosie.

Była prawie druga w nocy, gdy Inese powiedziała, że trzeba wracać. Zostawiła ich na chwilę samych, by mogli się pożegnać.

- Mam przyjaciół w Szwecji. Skontaktują się z panem. Pomogą panu zorganizować przyjazd.

Szybko wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Inese wiozła go do hotelu. Gdy dojechali do mostu, kiwnęła głową w kierunku lusterka.

- Jadą za nami. Musimy przed hotelem odegrać parę zakochanych, którym trudno się rozstać.

- Postaram się. Może powinienem spróbować zwabić panią do mojego pokoju?

Zaśmiała się.

- Jestem porządną dziewczyną. Ale jak pan wróci, może powinien pan posunąć się tak daleko.

Zostawiła go, a on postął chwilę na zimnie, starając się wyglądać na pogrążonego w tęsknocie.

Następnego dnia wrócił Aeroflotem przez Helsinki do domu.

Pułkownicy towarzyszyli mu do hali odlotów i serdecznie go

pożegnali.

Jeden z nich zamordował majora, pomyślał.

A może obaj? Jak gliniarz z Ystadu ma ustalić, co się właściwie stało?

Późnym wieczorem otwierał drzwi swojego mieszkania.

Wszystko, co się zdarzyło, zaczynało przypominać sen.

Pomyślał, że pewnie nigdy nie zobaczy Baiby, a ona będzie opłakiwać męża, nie dowiedziawszy się, co naprawdę się stało.

Spróbował whisky, którą kupił w samolocie.

Przed snem długo słuchał Marii Callas.

Czuł się zmęczony i niespokojny.

Zastanawiał się, co dalej.

Po sześciu dniach przyszedł list. Znalazł go na wycieracze pod drzwiami, gdy wrócił po długim, męczącym dniu na komisariacie. Przez całe popołudnie padał ciężki, wilgotny śnieg; długo stał na klatce schodowej, strząsając go z ubrania.

Zrozumiał później, że do ostatniej chwili odsuwał od siebie myśl o kontakcie z nimi, jakby starał się odwlec to, co musiało nastąpić. Wciąż nie czuł się gotowy.

Była to zwykła, brązowa koperta z logo jakiegoś przedsiębiorstwa, jakby w środku znajdowała się reklama. Odłożył ją na szafkę przy wieszaku. Dopiero po kolacji, na którą wyszperał w zamrażarce zapomnianą zapiekankę z ryby, przypomniał sobie o liście i przyniósł go. „Kwiaty Lippmana” - było napisane na kopercie. Pomyślał, że to nie sezon na reklamy ogrodnicze. W pierwszym odruchu chciał wyrzucić kopertę do śmieci, ale choroba zawodowa, której objawy polegały na przeglądaniu najbardziej nawet bzdurnych reklam, powstrzymała go przed tym. Często myślał, że żyje jak ktoś, kto odwraca wszystkie kamienie na drodze, bo musi wiedzieć, czy czegoś nie kryją.

W kopercie był ręcznie napisany list, bez czytania wiedział, że to oni nawiązali z nim kontakt.

Położył list na stole i zaparzył kawę. Czuł, że musi dać sobie czas na spokojne przeczytanie tego, co do niego piszą, bo wiedział, że robi to dla Baiby.

Przed tygodniem wysiadł z samolotu na lotnisku Arlanda z uczuciem smutku. Jednocześnie poczuł ulgę, bo nikt go już nie śledził. Z rzadką u niego spontanicznością, wsuwając paszport przez okienko, zagadnął kobietę z kontroli paszportowej: „Jak dobrze być w domu”, powiedział, lecz ona spojrzała na niego nieprzychylnie i oddała mu paszport, nawet go nie otwierając.

Oto Szwecja, pomyślał. Pozornie wszystko jasne i świeże, lotniska zbudowane tak, by nie mógł się w nich zagnieździć żaden brud. Wszystko na widoku, wszystko jest tym, na co wygląda. Nasza religia i narodowa nadzieja to bezpieczeństwo, zapisane i zagwarantowane przez prawo, cały świat wie, że śmierć z głodu jest u nas przestępstwem. Nie rozmawiamy z obcymi bez potrzeby, bo oni mogą nas skrzywdzić, zaśmiecić nam kąty, zaczernić nasze neony. Nie zbudowaliśmy nigdy imperium, dzięki czemu nie musieliśmy oglądać, jak się rozpada. Wmówiliśmy sobie, że stworzyliśmy mały, ale najlepszy ze światów. Byliśmy zaufanymi stróżami rajy, a teraz, gdy party się skończyło, odgrywamy się najbardziej nieprzychylną kontrolą paszportową na świecie.

Początkowa ulga zmieniła się w przygnębienie. W świecie Kurta Wallandera, tym odesłanym na emeryturę bądź po części zlikwidowanym rajy, nie było miejsca dla Baiby Liepy. Nie mógł jej sobie wyobrazić tu, pośród tych wszystkich, działających bez zarzutu, a przez to złudnych światła. Tęsknota za nią już zaczęła go dopadać, i taszcząc багаż przez długi jak w więzieniu korytarz, prowadzący do nowo zbudowanej hali lotów krajowych, gdzie miał czekać na samolot do Malmö, zaczął marzyć o Rydze, choć tam pilnowały go niewidzialne psy. Samolot był spóźniony, pasażerom rozdano więc specjalne talony i zaproszono na kanapki. Długo siedział, patrząc na lotnisko, na którym w drobnym, wirującym śniegu startowały i lądowały samoloty. Wokół niego mężczyźni w uszytych na miarę garniturach bezustannie rozmawiali przez telefony komórkowe; zdziwiony usłyszał, jak korpulentny pan, wyglądający na sprzedawcę pomp centryfugowych, czyta dziecku przez swój niezemski aparat bajkę o Jasiu i Małgosi. Później sam zadzwonił z automatu do córki i był zaskoczony, że zastał ją w domu. Ucieszył się, słysząc jej głos, pomyślał, że może

zatrzyma się na parę dni w Sztokholmie, ale z rozmowy wynikało, że Linda ma dużo pracy, nie wyszedł więc z tą propozycją. Myślni znów wrócił do Baiby, do jej lęku i buntu; czy rzeczywiście wierzyła, że szwedzki glina jej nie zawiedzie? A przecież co on właściwie mógł zrobić? Jeśli wróci, psy natychmiast go wytropią i nigdy nie zdoła się od nich uwolnić.

Na lotnisku w Sturup nikt na niego nie czekał. Wziął taksówkę do Ystadu. Kierowca jechał o wiele za szybko, gawędzili o pogodzie. Gdy powiedzieli sobie już wszystko o mgłę i drobnym śniegu, tańczącym w świetle reflektorów, poczuł nagle zapach Baiby. Ogarnął go niepokój, że już jej nie spotka.

Dzień po powrocie pojechał do Lóderup odwiedzić ojca. Kobieta z opieki socjalnej ostrzygła go i Wallander pomyślał, że to jego najlepsza fryzura w ciągu ostatnich lat. Przywiózł koniak, ojciec kiwał z zadowoleniem głową, studiując jego etykietkę.

Zaskoczył sam siebie, gdy nagle opowiedział ojcu o Baibie. Siedzieli w starej stajni, której ojciec używał jako pracowni. Na sztalugach stało nieukończone płótno, przedstawiające nieśmiertelny krajobraz, w lewym rogu miał być głuszec. Kiedy Wallander przyszedł, ojciec właśnie nanosił kolor na dziób ptaka. Odłożył pędzel i wytarł ręce w pachnący terpentyną kawałek materiału. Wallander opowiadał o podróży do Rygi i nagle, sam nie rozumiejąc czemu, przerwał i zaczął mówić o Baibie. Nie powiedział, że jest wdową po zamordowanym policjancie, wymienił tylko jej imię, powiedział, że mu jej brak.

- Ma dzieci? - spytał ojciec.

Wallander pokręcił głową.

- Może mieć?

- Przypuszczam. Skąd miałbym wiedzieć?

- Ale wiesz chyba, ile ma lat?

- Może trzydzieści trzy. Jest młodsza ode mnie.
- No więc może mieć dzieci.
- Dlaczego pytasz, czy może mieć dzieci?
- Bo uważam, że właśnie tego potrzebujesz.
- Mam już dziecko. Mam Lindę.
- Jedno to za mało. Człowiek powinien mieć co najmniej dwoje dzieci, by zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Zabierz ją do Szwecji i ożeń się z nią!
- To nie takie proste.
- Czy musisz wszystko komplikować tylko dlatego, że jesteś policjantem?

Znów to samo, pomyślał. Nie da się z nim rozmawiać, zawsze znajdzie powód, by mnie zaatakować tylko dlatego, że kiedyś wstąpiłem do służby.

- Umiesz dochować tajemnicy? - spytał. Ojciec popatrzył na niego podejrzliwie.
- A jak myślisz? Komu miałbym cokolwiek zdradzić?
- Może skończę z policją. Może znajdę inną pracę. Jako szef ochrony w fabryce wyrobów gumowych w Trelleborgu. Ale tylko może.

Ojciec długo na niego patrzył, nim odpowiedział.

- Na rozsądne decyzje nigdy nie jest za późno. Jedyne, czego będziesz żałował, to tego, że tak długo zwlekałeś z tą decyzją.

- Powiedziałem może, tato. Nie mówiłem, że na pewno.

Lecz ojciec nie słyszał. Wrócił do sztalug i do dzioba głuszca. Wallander usiadł na starych sankach, patrząc na niego w milczeniu. Potem pojechał do domu. Nie miał z kim porozmawiać. W wieku czterdziestu trzech lat nie miał przy sobie zaufanej osoby. Od śmierci Rydberga stał się bardziej samotny, niż mógł to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Miał tylko Lindę. Do Mony, jej matki, nie potrafił się już zbliżyć. Stała mu się obca, o jej życiu w Malmö nic nie wiedział.

Mijając drogę do Kasebergu pomyślał, że mógłby odwiedzić

Gorana Bomana z policji w Kristianstad. Może z nim mógłby porozmawiać o wszystkim, co zaszło.

Do Kristianstad nie pojechał. Złożył Bjórkowi raport i wrócił na służbę. Martinsson i inni, popijając kawę, zadawali obojętne pytania. Stało się dla niego jasne, że nikogo nie interesuje, co ma do powiedzenia. Wysłał podanie o pracę do Trelleborga, przemeblował swój pokój, próbując obudzić w sobie zapał do pracy. Bjórk, odgadując jego nastrój, próbował go rozruszać i w dobrej wierze zaproponował, by wygłosił zamiast niego odczyt w miejscowym klubie Rotary. Wallander podjął się zadania i w czasie lunchu w hotelu Continental poprowadził nieudany wykład o nowoczesnych technikach pracy policyjnej. W sekundę po wykładzie nie pamiętał już, o czym mówił.

Któregoś ranka poczuł się nie najlepiej. Lekarz policyjny zbadał go dokładnie i stwierdził, że ze zdrowiem jest wszystko OK, choć powinien uważać na nadwagę. W środę wrócił z Rygi, a w sobotę pojechał na dansing do Ahus. Po kilku tańcach zaproszono go do stolika, przy którym siedziała Ellen, fizjoterapeutka z Kristianstad. Jednak twarz Baiby ciągle stawała mu przed oczami, chodziła za nim jak cień, zabrał się więc stamtąd szybko i pojechał do domu. Wracał drogą wzdłuż wybrzeża. Zatrzymał się w Kivik, na opustoszałym polu, gdzie latem odbywały się coroczne targi. W ubiegłym roku jak szalencie biegł tu z pistoletem w rękę, ścigając mordercę. Teren pokrywała teraz cienka warstewka śniegu. Księżyc w pełni oświetlał morze, a on miał przed oczami twarz Baiby i nie potrafił przestać o niej myśleć. Pojechał dalej, do Ystadu. W domu upił się, nastawiając bardzo głośno muzykę. Sąsiedzi walili w ściany. A rano obudziło go walenie serca. Niedzielę prześlubił, czekając nie wiadomo na co.

List przyszedł w poniedziałek. Wallander usiadł w kuchni przy stole, czytając ładne, wyrobione pismo. List podpisał

ktos podajacy sie za Josepha Lippmana.

Jest pan przyjacielem naszego kraju. Dotarły do nas informacje z Rygi o pańskich olbrzymich zasługach. Odezwiemy się wkrótce, podając szczegóły dotyczące pańskiego ponownego wyjazdu na Łotwę. Joseph Lippman. Zastanawiał się, na czym polegały jego ogromne zasługi i kim byli „my”, którzy mieli się wkrótce odezwać? Zirytował go ten lakoniczny tekst, informacja podobna do rozkazu. Czy on sam nie miał już nic do powiedzenia? Wcale nie zdecydował się wstąpić do tajnej korporacji niewidzialnych ludzi, bojaźliwe wahanie brało w nim górę nad zdecydowaniem i wolą. Chciał zobaczyć Baibę, to oczywiste, lecz nie ufał swej własnej motywacji, uważał, że zachowuje się jak nieszczęśliwie zakochany młokos.

We wtorek rano obudził się z podjętą decyzją. Pojechał na komendę, wziął udział w beznadziejnym zebraniu związków zawodowych, po czym poszedł do Bjórka.

- Chciałbym wziąć kilka dni wolnego, nzebierało mi się tego trochę - zaczął.

Bjórk popatrzył na niego z zazdrością i głębokim zrozumieniem.

- Sam chciałbym to zrobić - odpowiedział posepnie. - Właśnie przeczytałem długi okólnik Komendy Głównej Policji. Już widzę, jak koledzy w całym kraju, pochyleni nad biurkami, robią to samo. Preczytałem i nie rozumiem, jaki jest jego cel. Oczekują od nas opinii o całej masie wcześniejszych pism dotyczących wielkiej reorganizacji. Tylko nie wiem, do którego z tych wszystkich pism odnosi się ten okólnik.

- Weź wolne - poradził Wallander.

Bjórk z irytacją odsunął leżący przed nim papier.

- Całkowicie wykluczone. Wezmę wolne, kiedy przejdę na emeryturę. Jeśli dożyję. Choć bez wątpienia byłoby głupio, gdybym zginął na posterunku. Chcesz więc wziąć urlop?

- Chciałbym pojechać na tydzień w Alpy, na narty. Mogę później popracować w noc świętojańską, jeśli to ci pasuje, a urlop wezmę dopiero w końcu lipca.

Björk skinął głową.

- Naprawdę znalazłeś jeszcze jakąś ofertę? Myślałem, że o tej porze roku wszystko jest już zajęte.

- Nie, nie znalazłem.

Björk uniósł pytająco brwi.

- Wygląda mi to na improwizację.

- Jadę samochodem. Nie lubię zorganizowanych wyjazdów.

- A kto lubi?

Nagle Björk spojrzał na niego oficjalnie i przybrał minę, której używał, kiedy uważał, że powinien przypomnieć, kto tu jest szefem.

- Jakie sprawy masz teraz na biurku?

- Wyjątkowo niewiele. Najpilniejsze jest pobicie w Svarte. Ale to może przejąć ktoś inny.

- Od kiedy chcesz wziąć wolne? Od dzisiaj?

- Wystarczy od czwartku.

- Na jak długo?

- Obliczyłem, że mam dziesięć zaległych dni.

Björk skinął głową i zanotował.

- Myślę, że to niegłupia decyzja. Ostatnio byłeś trochę oklapnięty.

- Delikatnie mówiąc - odparł Wallander, wychodząc z pokoju.

Przez pozostały do wyjazdu czas zajmował się sprawą pobicia, głównie rozmawiając przez telefon. Zdążył odpowiedzieć na pismo z banku, dotyczące niejasności na jego koncie. Pracował i czekał, aż coś się wydarzy. W książce telefonicznej Sztokholmu znalazł wiele osób o nazwisku Lippman, lecz w dziale przedsiębiorstw nie znalazł żadnej firmy o nazwie Kwiaty Lippmana.

Po piątej posprzątał biurko i pojechał do domu. Nadłożył

drogi, zatrzymując się przy nowym sklepie z meblami, obejrzał skórzany fotel, pasujący do jego mieszkania. Ale odstraszyła go cena. W sklepie spożywczym przy ulicy Hamngatan kupił ziemniaki i kawałek boczku. Młoda ekspedientka rozpoznała go i uprzejmie skinęła mu, gdy płacił. Przypomnił sobie, że jakiś rok temu przez cały dzień szukał bandziora, który obrabował ten sklep. W domu zjadł kolację i usiadł przed telewizorem.

Odezwali się wieczorem, przed dziewiątą.

Zadzwoił telefon i ktoś w łamanym szwedzkim poprosił go, by przyszedł do pizzerii naprzeciw hotelu Continental. Wallander poczuł nagle, że ma dość tajemnic, i poprosił mężczyznę o podanie swego nazwiska.

- Mam wszelkie powody, by być nieufnym. Chcę wiedzieć, w co się wdaję.

- Nazywam się Joseph Lippman. Pisałem do pana.

- Kim pan jest?

- Prowadzę niewielką firmę.

- Ogrodnictwo?

- Można to tak nazwać.

- Czego pan ode mnie chce?

- Myślę, że wyraziłem się dość jasno w liście.

Wallander postanowił zakończyć rozmowę, uważając, że nie dostał odpowiedzi. Był zły. Miał dość niewidzialnych ludzi, którzy upierali się, by z nim rozmawiać, i żądali, by okazywał im zainteresowanie i gotowość współpracy. Pomyślał, że ten Lippman mógł równie dobrze pracować dla lotewskich pułkowników.

Zostawił samochód i poszedł ulicą Regementsgatan w kierunku centrum. Do pizzerii dotarł o wpół do dziesiątej. Kilka stolików było zajętych, lecz nie zauważył przy nich samotnego mężczyzny, który mógł być Lippmanem. Przypomnił sobie coś, czego kiedyś nauczył go Rydberg. *Zawsze trzeba się zdecydować, czy lepiej jest być*

pierwszym, czy raczej ostatnim na miejscu spotkania. Zapomniał o tym, ale nie wiedział, czy w tym wypadku miało to jakieś znaczenie. Usiadł w rogu, zamówił piwo i czekał.

Joseph Lippman zjawił się za trzy minuty dziesiąta. Wallander zastanawiał się już, czy ich celem nie było wywabienie go z mieszkania. Ale gdy Lippman stanął w drzwiach pizzerii, od razu wiedział, że to on. Miał około sześćdziesiątki i był ubrany w o wiele za duży płaszcz. Przeszedł ostrożnie między stolikami, jakby bał się upaść czy nastąpić na minę. Uśmiechając się, zdjął płaszcz i usiadł naprzeciwko Wallandera. Był czujny, rozglądał się ukradkiem. Dwaj mężczyźni przy jednym ze stolików wymieniali złośliwe komentarze o kimś nieobecnym, kto, zdaje się, był na bakier z kompetencją.

Pomyślał, że Lippman jest Żydem. Policzki szare od ciemnego zarostu, ciemne oczy za szklami bez oprawek. Wydawało mu się, że to właśnie jest semicki wygląd. Lecz co on właściwie wiedział o semickim wyglądzie? Nic.

Do stolika podeszła kelnerka i Lippman zamówił herbatę. Był uderzająco uprzejmy, Wallander domyślał się, że człowiek ten przeżył wiele upokorzeń.

- Jestem wdzięczny, że pan przyszedł - powiedział. Mówił tak cicho, że Wallander musiał pochylić się nad stolikiem.

- Nie dajcie mi wyboru. Najpierw list, a potem telefon. Może na początek powie pan, kim właściwie jest?

Lippman pokręcił przecząco głową.

- To, kim jestem, nie ma znaczenia. Ważny jest pan, panie Wallander.

- Nie - odparł zirytowany. - Musi pan zrozumieć, że nie zamierzam pana słuchać, jeśli nie jest pan w stanie okazać mi choćby tyle zaufania, żeby powiedzieć, kim pan jest.

Kelnerka przyniosła herbatę, zamilkli do czasu, gdy zostawiła ich samych.

- Moja rola ogranicza się do funkcji organizatora i posłańca. Kto pyta posłańca o imię? To nieistotne. Dzisiaj spotykamy się, a jutro zniknę. Najpewniej nie zobaczymy się nigdy więcej. A zatem nie jest to głównie kwestia zaufania, tylko konkretnych decyzji. Bezpieczeństwo zawsze jest kwestią praktyczną, również w moim mniemaniu.

- W takim razie równie dobrze możemy zakończyć tę rozmowę.

- Mam dla pana pozdrowienia od Baiby Liepy - powiedział pospiesznie Lippman. - Nawet tego nie chce pan usłyszeć? Wallander rozluźnił się na krześle. Patrzył na siedzącego naprzeciwko mężczyznę, osobiście skulonego, jakby był tak wątłego zdrowia, że w każdej chwili mógł upaść.

- Nie chcę niczego słyszeć, póki nie dowiem się, kim pan jest - powtórzył w końcu. - Po prostu.

Lippman zdjął okulary i ostrożnie nalał mleka do herbaty.

- To tylko z troski. Z troski o pana, panie Wallander. W naszych czasach na ogół najlepiej jest wiedzieć jak najmniej.

- Byłem na Łotwie. Byłem i chyba rozumiem, co znaczy być ciągle szpiegowanym i kontrolowanym, ale teraz jesteśmy w Szwecji.

Lippman z zadumą kiwał głową.

- Może ma pan rację. Jestem starym człowiekiem, który nie widzi już, jak zmienia się rzeczywistość.

- Ogrodnictwo - odpowiedział Wallander. - Nawet to się zmieniło?

- Przyjechałem do Szwecji jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku - zaczął Lippman, powoli mieszając herbatę. - Byłem wtedy młodym człowiekiem, marzyłem, by zostać artystą, wielkim artystą. Mroźnym świtem ujrzeliśmy zarys wybrzeża Gotlandii i zrozumieliśmy, że udało nam się, mimo że łódź przeciekała i wielu z nas było ciężko chorych. Mieliliśmy gruźlicę, byliśmy niedożywieni. Pamiętam ten mroźny świt. Postanowiłem

namalować kiedyś obraz przedstawiający szwedzkie wybrzeże jako symbol wolności. Tak mogły wyglądać bramy raju, zmarznięte i zimne czarne skały wyłaniające się z mgły. Nigdy tego nie namalowałem. Zamiast tego zostałem ogrodnikiem. Żyję ze sprzedaży roślin ozdobnych różnym przedsiębiorstwom. Zauważyłem, że zwłaszcza pracownicy przedsiębiorstw komputerowych lubią otaczać się zielenią. Raju już nie namaluję, muszę zadowolić się tym, że go widziałem. Wiem, że ma wiele bram. Tak jak i piekło. Trzeba nauczyć się rozróżniać te bramy. W przeciwnym razie jest się straconym.

- Major Liepa umiał?

Lippman nie był zaskoczony, że Wallander wprowadził do rozmowy nazwisko majora.

- Major Liepa wiedział, jak wyglądają bramy - powiedział powoli. - Ale nie dlatego zginął. Zginął, bo zobaczył, kto przez nie wchodzi i wychodzi - ludzie lękający się światła, bo ono sprawia, że tacy jak major mogą ich zobaczyć.

Lippman sprawiał wrażenie człowieka głęboko religijnego, formułował myśli tak, jakby był księdzem, stojącym przed niewidocznymi parafianami.

- Przeżyłem całe życie na wygnaniu - ciągnął. - Przez pierwsze dziesięć lat, do połowy lat pięćdziesiątych, wciąż myślałem, że kiedyś wrócę do ojczyzny. Później nadeszły długie lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, gdy całkiem straciłem nadzieję. Tylko bardzo starzy bądź zupełnie młodzi, i ci całkiem szaleni Łotysze na obczyźnie wierzyli, że świat się zmieni i któregoś dnia wrócimy do utraconego kraju. Wierzyli w dramatyczny punkt zwrotny, a ja oczekiwałem powolnego końca tragedii. I nagle coś zaczęło się dziać. Ze starej ojczyzny przychodziły przedziwne raporty, raporty naładowane optymizmem. Widzieliśmy, jak olbrzymi Związek Radziecki zaczyna drzeć w posadach, jakby trawiąca go utajona gorączka wreszcie zaczęła być

widoczna na zewnątrz. Czy mogło zdarzyć się to, w co nie mieliśmy odwagi wierzyć? Wciąż nie wiemy. Zdajemy sobie sprawę, że kolejny raz mogą nam zabrać wolność. Związek Radziecki jest osłabiony, lecz może to być stan chwilowy. Mamy niewiele czasu. Wiedział o tym major Liepa i dlatego się spieszył.

- My? - powiedział Wallander. - Jacy my?

- Wszyscy Łotysze w Szwecji należą do jakichś organizacji. Skupialiśmy się we własnym gronie, bo to dawało nam namiastkę utraconej ojczyzny. Pomagamy ludziom utrzymać narodową kulturę, stworzyliśmy różnego rodzaju komitety pomocy, założyliśmy fundacje. Nasłuchiwalismy wołań o pomoc i staraliśmy się na nie reagować. Walczyliśmy o pamięć. Te emigracyjne organizacje zastępują nam utracone miasta i wsie.

Szklane drzwi pizzerii otworzyły się i do środka wszedł samotny mężczyzna. Lippman zastygł. Wallander rozpoznał wchodzącego - nazywał się Elmberg i był kierownikiem jednej ze stacji benzynowych.

- Nie ma obawy - powiedział do Lippmana. - Ten człowiek nigdy nikogo nie skrzywdził. Wątpię również, czy obchodzi go egzystencja państwa łotewskiego. Jest kierownikiem stacji benzynowej.

- Baiba Liepa prosi o pomoc. Chce, żeby pan przyjechał. Potrzebuje pana.

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął kopertę.

- Dla pana.

Koperta nie była zaklejona, ostrożnie wyjął cienki papier listowy.

List był krótki, napisany ołówkiem. Sprawiał wrażenie nakreślonego w pośpiechu.

Jest testament i strażnik. Ale boję się, że sama nie znajdę właściwego miejsca. Proszę zaufać posłańcom, jak kiedyś ufał pan mojemu mężowi. Baiba.

- Możemy pomóc panu we wszystkim, czego pan potrzebuje, by dojechać do Rygi - powiedział Lippman, gdy Wallander odłożył list.

- Nie możecie przecież uczynić mnie niewidzialnym!

- Niewidzialnym?

- Jeśli mam pojechać do Rygi, muszę wcielić się w kogoś innego. Jak zagwarantujecie mi bezpieczeństwo?

- Powinien pan nam ufać, panie Wallander. Ale mamy niewiele czasu.

Zrozumiał, że i Lippman jest niespokojny. Próbował wmówić sobie, że wszystko, co się wokół niego dzieje, jest nierzeczywiste, nieprawdziwe. Ale z drugiej strony dobrze wiedział, że świat wygląda właśnie tak. Baiba wysłała wołanie o pomoc, jedno z tysięcy, stale przecinających kontynenty. To skierowane było do niego i musiał na nie odpowiedzieć.

- Wziąłem wolne od czwartku. Oficjalnie jadę na tydzień w Alpy na narty.

Lippman odsunął filiżankę.

Nagła determinacja zmieniła wyraz jego miękkiej, melancholijnej twarzy.

- Doskonały pomysł - podchwycił. - Oczywiście, szwedzki policjant co roku jeździ w Alpy, by próbować szczęścia na górskich stokach. Którędy pan jedzie?

- Samochodem przez wschodnie Niemcy. Przez Sassnitz.

- Jak nazywa się pański hotel?

- Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej nie byłem w Alpach.

- Ale jeździ pan na nartach?

- Tak.

Lippman zamyślił się. Wallander skinął na kelnerkę i zamówił kawę. Gdy spytał Lippmana, czy chce jeszcze herbaty, ten, nieobecny duchem, pokręcił tylko głową.

W końcu zdjął okulary i wytarł je starannie.

- Podróż w Alpy to świetny pomysł - powtórzył. - Ale

potrzebuję nieco czasu, by zorganizować wszystko, co potrzebne. Jutro wieczorem ktoś do pana zadzwoni i powie, którym promem najlepiej wypłynąć z Trelleborga. Proszę nie zapomnieć umocować nart na dachu samochodu. I niech pan spakuje się tak, jakby rzeczywiście wybierał się w Alpy.

- Jak mam się dostać na Łotwę? Jak to sobie właściwie wyobrażacie?

- Na promie wszystkiego się pan dowie. Ktoś się z panem skontaktuje. Musi nam pan ufać.

- Nie mogę zagwarantować, że zaakceptuję wasze pomysły.

- W naszym świecie nie ma żadnych gwarancji, panie Wallander. Mogę tylko obiecać, że zrobimy absolutnie wszystko, co w naszej mocy. Może powinniśmy już zapłacić i wyjść?

Rozstali się przed pizzerią. Wiał gwałtowny i porywisty wiatr. Joseph Lippman pożegnał się pośpiesznie i poszedł w stronę stacji kolejowej. Wallander szedł do domu przez opustoszałe miasto. Myślał o liście Baiby.

Psy już za nią chodzą, myślał. Boi się. Pułkownicy zrozumieli, że major zostawił testament.

Nagle uświadomił sobie, że nie ma czasu.

Nie było już miejsca na strach i zastanawianie się.

Musi odpowiedzieć na jej wołanie.

Następnego dnia przygotował się do podróży.

Wieczorem, po siódmej, zadzwoniła kobieta, mówiąc, że ma dla niego miejsce na promie odchodzącym z Trelleborga nazajutrz o szóstej rano. Przedstawiła się jako pracownik biura podróży Lippman.

Poszedł spać o północy.

Przed zaśnięciem pomyślał, że całe przedsięwzięcie jest szalone.

Zamierzał dobrowolnie wdać się w coś, co było z góry skazane na niepowodzenie, ale wołanie Baiby o pomoc było

rzeczywistością, nie złym snem. Musiał na nie odpowiedzieć.

Nazajutrz wczesnym rankiem wjechał na prom w Trelleborgu. Policjant z kontroli paszportów, który właśnie zaczynał służbę, skinął na niego, pytając, dokąd jedzie.

- W Alpy - odpowiedział.

- Nieźle.

- Czasem trzeba się oderwać.

- Każdy tego potrzebuje.

- Nie wytrzymałbym tu ani dnia dłużej.

- Teraz, przez parę dni może pan zapomnieć, że jest policjantem.

- Jasne.

Tylko że to akurat z pewnością nie było prawdą. Jechał, by wykonać najtrudniejsze zadanie, jakiego kiedykolwiek się podjął. Zadanie, które być może w ogóle nie istniało.

Był szary świt. Wyszedł na pokład, gdy prom odbił od nabrzeża. Trzęsąc się z zimna, patrzył na rozszerzającą się, w miarę jak prom oddalał się od lądu, perspektywę morza.

Szwedzkie wybrzeże znikło powoli za horyzontem.

Gdy jadł śniadanie w kafeterii, podszedł do niego mężczyzna, przedstawiając się jako Preuss. Miał dla Wallandera instrukcje od Josepha Lippmana i nową tożsamość, którą od tej chwili miał się posługiwać. Preuss miał około pięćdziesiątki, czerwoną twarz i rozbiegane oczy.

- Przejdźmy się po pokładzie - zaproponował.

Kiedy Wallander wyruszał ponownie na Łotwę, Bałtyk skrywała gęsta mgła.

Granica była niewidoczna.

Istniała w nim, jak zwinięty kłębek drutu kolczastego, tuż pod mostkiem.

Kurt Wallander bał się. Później przypominał sobie swoje ostatnie kroki po litewskiej ziemi, ku łotewskiej granicy, jak wędrówkę do kraju, z którego mógł wołać słowami Dantego: Pożegnaj się z nadzieją! Stąd nikt nie wraca, a przynajmniej żaden żywy szwedzki policjant.

Była gwiazdzista noc. Preuss, który nie odstępował go od chwili spotkania na promie, był podniecony. Wallander słyszał w ciemności jego szybki i nieregularny oddech.

- Musimy czekać - szepnął Preuss w swym trudno zrozumiałym niemieckim. *Warten, warten.*

Wallander był wściekły, że dostał przewodnika niemówiącego ani słowa po angielsku. Czy Lippman zakładał, że szwedzki glina, z trudnością mówiący po angielsku, zna perfektnie niemiecki? Był bliski wycofania się z całego przedsięwzięcia, wyglądającego na triumf fantastów nad jego własnym rozsądkiem. Pomyślał, że Łotysze od lat żyjący na emigracji stracili kontakt z rzeczywistością. Przesadnie optymistyczni czy ogólnie zwariowani, próbowali pomóc rodakom w ojczyźnie, która nagle ujrzała przed sobą szansę zmartwychwstania. Jak ten człowiek nazwiskiem Preuss, drobny, szczupły mężczyzna o ospowatej twarzy, mógł dać mu tyle otuchy i poczucia bezpieczeństwa, by miał odwagę wrócić na Łotwę i działać? Co właściwie wiedział o Preussie? Że był - być może - obywatelem łotewskim na wygnaniu, utrzymywał się może z handlu monetami w niemieckim mieście Kiel. Ale co jeszcze? Absolutnie nic.

Coś gnało go jednak dalej. Preuss siedział obok, wciąż drzemiąc, a on pędził na wschód, według wskazówek, które

Preuss dawał mu od czasu do czasu, wskazując kierunek na mapie. Jechali przez dawne NRD i pierwszego dnia, późnym popołudniem, dotarli do polskiej granicy. W podupadłym gospodarstwie, około pięć kilometrów od polskiego posterunku granicznego, Wallander wprowadził samochód do na wpół rozwalonej stodoły. Mężczyzna, który ich przyjął, Łotysz na wygnaniu, znający angielski, gwarantował, że bezpiecznie przechowa samochód do powrotu Wallandera. Poczekali na wieczór. Potykając się w ciemności, przedzierali się przez gęsty świerkowy las, aż do granicy. Przekroczyli pierwszą niewidzialną linię na drodze do Rygi. W małym miasteczku, którego nazwy nie znał, w zardzewiałej ciężarówce czekał na nich zakatarzony mężczyzna, Janick. Rozpoczęła się rozkołysana jazda na przełaj przez Polskę. Wallander zaraził się katarem od kierowcy, tęsknił za porządnym posiłkiem i kąpielą, a dostawał zimne kotlety schabowe i niewygodne polowe łóżka w wiejskich domach.

Podróż ciągnęła się, jechali głównie nocą. Pozostały czas był wypełniony pustym, rozwlekłym czekaniem. Próbował zrozumieć ostrożność Preussa, lecz cóż mogło im zagrażać w Polsce? Ale wyjaśnienia nie dostał. Pierwszej nocy widział migające w oddali światła Warszawy, następnej Janick przejechał jelenia. Próbował zorientować się, jak działa ta łotewska siatka wzajemnej pomocy, jaką spełnia funkcję, poza eskortowaniem zdezorientowanych szwedzkich policjantów, zamierzających nielegalnie przekroczyć granicę Łotwy. Lecz Preuss nie rozumiał, co Wallander do niego mówi, a Janick nucił przez cały czas szlagier z czasów wojny i kichał. Kiedy w końcu dotarli do litewskiej granicy, Wallander nienawidził „We'll meet again” i myślał, że równie dobrze mógłby się znajdować głęboko w Rosji, Czechosłowacji czy Bułgarii. Całkiem stracił orientację, nie wiedział już, z której strony jest Szwecja, i z każdym

przejechanym kilometrem szaleństwo całego przedsięwzięcia stawało się dla niego coraz bardziej oczywiste. Przez Litwę jechali autobusami, i po czterech dniach od wyruszenia znaleźli się przy lotewskiej granicy, w lesie pachnącym żywicą.

- *Warten* - powiedział Preuss, i Wallander posłusznie usiadł na pieńku. Było mu zimno i czuł się nie najłepiej.

Przyjadę do Rygi przeziębiony i zasmarkany, myślał z irytacją. Ze wszystkich głupot, jakie zrobiłem w życiu, ta jest największa, nie zasługuje na szacunek, tylko na szyderczy śmiech. Szwedzki gliniarz w średnim wieku siedzi w środku litewskiego lasu, bo całkiem stracił rozsądek i rozeznanie.

Ale nie było odwrotu. Wiedział, że nigdy na własną rękę nie zdoła wrócić drogą, którą tu przybył. Był całkiem zależny od tego cholernego Preussa, którego nasłał na niego szalony Lippman. A droga nieodwołalnie prowadziła dalej, hen, ku Rydze, coraz dalej od wszelkiego rozsądku.

Na promie, gdy linia szwedzkiego wybrzeża znikwała na horyzoncie, a on siedział nad kawą, podszedł do niego Preuss. Wyszli na pokład, na lodowaty wiatr. Preuss dał mu list od Lippmana. Od teraz miał się nazywać herr Hegel, herr Gottfried Hegel, niemiecki komiwojażer, sprzedający nuty i albumy o sztuce. Jak najnormalniejszą rzecz w świecie Preuss wręczył mu niemiecki paszport. Wklejono do niego zdjęcie, które Linda zrobiła mu parę lat temu. Jak Lippman zdołał je zdobyć, pozostawało irytującą zagadką. Z upartej gestykulacji Preussa zrozumiał w końcu, że ma mu oddać swój szwedzki paszport. Zrobił to i pomyślał, że kompletnie zwariował. Był teraz panem Heglem.

Preuss podczołgał się na szczyt wykrotu, jego twarz bielą w ciemności. Było parę minut po północy. Wallander pomyślał, że dostanie zapalenia płuc, jeśli dalej będzie siedział na zmarzniętym pieńku.

Nagle Preuss uniósł rękę i gorączkowo wskazywał nią ku

wschodowi. Na gałęzi drzewa powiesili lampę naftową, by nie stracić ze sobą kontaktu. Wallander poderwał się, i mrużąc oczy, patrzył w kierunku wskazanym przez Preussa. Po chwili zauważył słabe migające światełko, jakby rowerzysta z obluzowanym dynamem jechał w ich kierunku. Preuss zeskoczył z wykrotu i zgasił lampę.

- *Gehen* - zaszczał. - *Schnell, nun. Gehen!*

Gałęzie drzew drapały i smagały mu twarz. Teraz przekraczam ostateczną granicę, z drutem kolczastym w brzuchu, myślał.

Znaleźli się przy pasie granicznym, podobnym do wyrabanej w lesie uliczki. Preuss wstrzymał go na moment, uważnie nasłuchując, po czym pociągnął Wallandera za sobą i znów skryli się w gęstwinie. Po dziesięciu minutach wyszli na zabłoconą drogę wiodącą przez mokradła, gdzie czekał na nich samochód. W środku widać było słaby ognik żarzącego się papierosa. Ktoś wysiadł i szedł w ich kierunku, zasłaniając dłonią latarkę. Była to Inese.

Długo potem pamiętał radość, jaką poczuł na jej widok, wreszcie zobaczył kogoś, kto nie był obcy. Uśmiechała się do niego w nikłym świetle latarki, a on stał bez słowa. Preuss wyciągnął na pożegnanie szczupłą dłoń i zniknął, nim Wallander zdążył coś powiedzieć.

- Mamy przed sobą długą drogę - odezwała się Inese. - Musimy ruszać.

Wstawał świt, gdy zbliżali się do Rygi. Od czasu do czasu zjeżdżali na pobocze, by Inese mogła odpocząć, w dodatku złapali gumę w tylnym kole. Z trudnością wymienili je na zapasowe. Zaproponował, że przejmie kierownicę, lecz pokręciła tylko głową.

Od razu wyczuł, że coś musiało się stać. W twarzy Inese dostrzegł zaciętość i surowość, spowodowane na pewno czymś więcej niż zmęczeniem i koncentracją za kierownicą. Wallander milczał, niepewny, czy nie jest zbyt zmęczona, by

odpowiadać na jego pytania. Ale zdążył się dowiedzieć, że Baiba czeka na niego i że Upitis wciąż siedzi w areszcie. Jego zeznania opublikowano w gazetach. Nie doczekał się jednak wyjaśnienia, dlaczego Inese się boi.

- Tym razem nazywam się Gottfried Hegel - powiedział, gdy po dwóch godzinach zatrzymali się, by dolać benzyny z kanistra.

- Wiem - odpowiedziała Inese. - Nie jest to szczególnie ładne imię.

- Inese, proszę powiedzieć, dlaczego tu jestem. W czym mogę wam pomóc?

Nie odpowiedziała, spytała natomiast, czy nie jest głodny, i podała mu butelkę piwa i kanapki z kiełbasą. Pojechali dalej. Raz przysnął, ale obudził się po chwili, bojąc się, żeby i ona nie zasnęła.

Było już jasno, gdy wjeżdżali na przedmieścia Rygi. Był osiemnasty marca, dzień urodzin jego siostry. Próbując oswoić się z nową tożsamością, postanowił, że Gottfried Hegel będzie miał liczne rodzeństwo, a jego najmłodsza siostra będzie mieć na imię Krystyna. Wyobraził sobie panią Hegel jako dziarską babę z delikatnym wąsikiem i ich mieszkanie w Schwabingen; dom z czerwonej cegły, a na jego tyłach dobrze utrzymany, banalny ogródek. Historia, w którą wyposażył go Lippman, była nader lakoniczna. Doświadczony śledczy potrzebowałby zaledwie minuty, by zdemaskować Hegla i jego fałszywy paszport.

- Dokąd jedziemy? - spytał.

- Zaraz będziemy na miejscu - Inese odpowiedziała wymijająco.

- Jak mam wam w czymkolwiek pomóc, jeśli o niczym nie wiem? Czego nie chce mi pani powiedzieć? Co się stało?

- Jestem zmęczona. Ale cieszymy się, że pan wrócił. Baiba jest szczęśliwa. Rozplacze się, jak pana zobaczy.

- Dlaczego nie odpowiada pani na moje pytania? Co się

stało? Widzę, że się pani boi.

- W ciągu ostatnich tygodni sytuacja się pogorszyła, ale niech lepiej Baiba panu opowie. Nie wszystko wiem.

Jechali przez niekończące się peryferie miasta. Budynki fabryk leżały jak nieruchome prehistoryczne zwierzęta, przyczajone na tle żółtego światła, padającego z ulicznych latarni. Jechali w smugach mgły, wypełniającej puste ulice. Tak właśnie wyobrażał sobie zawsze państwa Europy Wschodniej, które nazywały się socjalistyczne i głosiły z triumfem, że są alternatywnym rajem.

Inese zahamowała przed podłużnym budynkiem jakiegoś magazynu i wyłączyła silnik.

Wskazując niską żelazną bramę w szczytowej ścianie, powiedziała:

- Proszę tam iść i zapukać, wpuszczą pana. Ja muszę jechać.

- Zobaczymy się?

- Nie wiem, Baiba decyduje.

- Nie zapomni pani, że jest moją kochanką?

Uśmiechnęła się.

- Byłam kochanką pana Eckersa, ale nie wiem, czy również mi się spodoba pan Hegel. Jestem porządną dziewczyną i nie zmieniam mężczyzn jak rękawiczek.

Wallander wysiadł, a ona od razu odjechała, żeby ukryć samochód. Przez chwilę rozważał, czy nie pójść na przystanek autobusowy, nie dojechać do centrum, nie odszukać szwedzkiego konsulatu lub ambasady i nie poprosić o pomoc. Nie próbował sobie nawet wyobrazić reakcji urzędnika konsulatu na tę historię - prawdziwą przecież - odpowiedzialną przez szwedzkiego policjanta. Mógł mieć tylko nadzieję, że nagłe pomieszenie zmysłów należało do spraw, którymi zajmowali się urzędnicy placówek dyplomatycznych.

Miał jednak świadomość, że jest już za późno i musi dokończyć, co zaczął. Podszedł wyżywirowaną ścieżką do

żelaznej bramy i zapukał.

Drzwi otworzył brodaty, zezowaty mężczyzna, którego nie znał. Skinął uprzejmie głową i wyjrzał, by sprawdzić, czy nikt Wallandera nie śledził, po czym wepchnął go do środka i szybko zamknął bramę.

Zdziwiony Wallander zobaczył, że jest w magazynie zabawek: wszędzie stały wysokie regały zapchane lalkami. Miał wrażenie, jakby wszedł do katakumb, złowrogie głowy lalek, przypominające czaszki, wyszczerzały się do niego w demonicznych uśmiechach. Czuł się tak, jak gdyby w rzeczywistości spał w swojej sypialni w Ystadzie, a wszystko to było tylko senną marą. Wystarczyło spokojnie oddychać, czekając na wyzwalające przebudzenie. Ale przebudzenie nie nastąpiło, z cienia wyłoniło się jeszcze trzech mężczyzn, w głębi widać było kobietę. Jediną osobą, którą rozpoznał, był szofer z leśniczówki.

- Panie Wallander - powiedział mężczyzna, który mu otworzył. - Jesteśmy bardzo wdzięczni, że pan przyjechał i chce nam pomóc.

- Przyjechałem, bo prosiła mnie o to Baiba. To jedyny powód. I z nią chcę się spotkać.

- W tej chwili jest to niemożliwe - powiedziała kobieta w bezbłędnej angielszczyźnie. - Baiby pilnują przez okrągłą dobę. Ale wiemy, jak zorganizować spotkanie.

Mężczyzna przyniósł krzesło, ktoś inny podał mu kubek z herbatą. W słabym świetle trudno było rozróżnić twarze. Zezowaty mężczyzna, wyglądający na przywódcę, kucnął przed Wallanderem i zaczął mówić.

- Nasza sytuacja jest bardzo trudna. Stale nas śledzą, policja wie, że major ukrył gdzieś mogące im zagrażać dokumenty.

- Czy Baiba znalazła papiery męża?

- Jeszcze nie.

- Czy wie, gdzie one są? Czy w ogóle ma jakiegokolwiek pojęcie, gdzie mógł je schować?

- Nie, ale jest pewna, że pan jej pomoże.

- Jakim cudem mógłbym jej pomóc?

- Jest pan naszym przyjacielem, panie Wallander. Jest pan policjantem, nawykłym do rozwiązywania zagadek.

Są szaleni, pomyślał zaszokowany, żyją w wyimaginowanym świecie, stracili wszelkie proporcje. Traktowali go jak ostatnią deskę ratunku, która przybrała niemal mityczne rozmiary. Zrozumiał, że tyrania i strach mogą wzbudzić w człowieku absurdalne nadzieje na przyjście nieznanego wybawiciela, który przyniesie mu ratunek.

Major Liepa był inny, liczył tylko na siebie i przyjaciół, którymi się otaczał. Dla niego wszystkie krzywdy, których piętnem naznaczony był łotewski naród, stanowiły twardą rzeczywistość. Był religijny, lecz wolał, by Bóg nie zaciemniał religii. Teraz, gdy majora zabrakło i nie było już centralnej postaci, wokół której mogliby się skupić, szwedzki policjant Wallander miał wkroczyć na scenę i przejąć pałeczkę.

- Muszę jak najszybciej zobaczyć się z Baibą - powtórzył. - To jest dla mnie najważniejsze.

- Zobaczy ją pan trochę później - odpowiedział zezowaty.

Wallander poczuł olbrzymie zmęczenie, najchętniej wziąłby kąpiel i położył się do łóżka. Gdy był zmęczony, nie dowierzał swemu osądowi, bał się, że popełni jakiś katastrofalny w skutkach błąd.

Zezowaty ciągle siedział przed nim w kucki, Wallander zauważył rewolwer, zatknięty za pasek jego spodni.

- Co zrobicie, gdy znajdziecie papiery majora?

- Trzeba będzie je opublikować. Przede wszystkim wywieźć z kraju, a potem upublicznić u was. To będzie przewrót, zdarzenie historyczne. Świat zrozumie w końcu, co się stało, i co się wciąż dzieje w naszym udręczonym kraju.

Wallander chciał zaprotestować, sprowadzić tych szalonych ludzi na drogę majora. Lecz nie znalazł w swej zmęczonej

głowie angielskiego odpowiednika słowa „zbawca”, nie znalazł niczego, poza zdumieniem; oto był w magazynie zabawek w Rydze, nie mając pojęcia, co ma robić dalej.

Wszystko odbyło się błyskawicznie.

Brama do magazynu została wyważona, Wallander zerwał się z krzesła, widział Inese z krzykiem biegnącą między regałami. Nie miał pojęcia, co się stało. Nastąpiła gwałtowna eksplozja i Wallander rzucił się głową naprzód za półkę załadowaną głowami lalek.

Magazyn rozświetliły kolejne eksplozje i serie z broni maszynowej.

Widział zezowatego, strzelającego z rewolweru do niewidocznego celu, magazyn znajdował się pod intensywnym ostrzałem. Wcisnął się głębiej za półki, w dymie, wśród zamętu, przewróciła się półka z arlekinami, doczołgał się do ściany, dalej iść nie mógł. W ogłuszającym terkocie broni usłyszał czyjś krzyk, odwrócił się i zobaczył Inese, osuwającą się na krzesło, na którym przed chwilą siedział. Z przestrelonego oka płynęła krew, nie żyła. Zezowaty, trafiony kulą, wyrzucił jedno ramię w górę, lecz trudno było stwierdzić, czy został zabity, czy tylko ranny. Wallander wiedział, że musi się stąd wydostać, lecz był uwięziony w kącie. Do środka wbiegli pierwsi ludzie w mundurach, z karabinami maszynowymi w rękach. Instynktownie przewrócił na siebie półkę z rosyjskimi babuszkami, i deszcz lalek spadł mu na głowę, grzebiąc go, leżącego na podłodze. Był pewien, że zaraz go zauważą i zastrzelą, nie pomoże mu fałszywy paszport. Inese nie żyła, magazyn był otoczony, a ci szaleni marzyciele nie mieli szans, żeby się obronić.

Strzelanina ucichła tak nagle, jak się zaczęła. Zapadła ogłuszająca cisza. Leżał nieruchomo, próbując wstrzymać oddech. Słyszał głosy rozmawiających ze sobą żołnierzy czy też policjantów, i nagle rozpoznał jeden z nich; to był

sierzant Zids, nie miał wątpliwości. Przez warstwę lalek widział ludzi w mundurach. Wynoszono martwych przyjaciół majora. Sierzant Zids wyszedł z cienia, wydając rozkaz przeszukania magazynu. Wallander zamknął oczy, myśląc, że wszystko się zaraz skończy, zastanawiał się, czy Linda kiedykolwiek się dowie, co stało się z jej ojcem, który zdematerializował się w czasie zimowego urlopu w Alpach, czy też jego zniknięcie pozostanie nierozwiązaną zagadką, jedną z wielu wypełniających archiwa szwedzkiej policji.

Ale nikt nie przyszedł, by skopać lalki z jego twarzy. Odgłos kroków oddalał się powoli, wściekły głos sierżanta, pokrzykującego na żołnierzy, umilkł, magazyn wypełniła cisza i gorzki zapach prochu. Nie wiedział, jak długo leżał bez ruchu. Chłód cementowej posadzki sprawił, że trząsł się tak bardzo, aż lalki zaczęły grzechotać. Ostrożnie usiadł, jedną ze stóp miał sztywną, jak odmrożoną. Podłoga była zalana krwią i wszędzie było widać dziury po kulach. Wziął kilka głębokich oddechów, by nie zwymiotować.

Wiedzą, że tu jestem, myślał. To mnie sierżant kazał szukać żołnierzom. Ale może pomyśleli, że jeszcze nie przyszedłem, że zaatakowali za wcześnie?

Mając przed oczami przestrzeloną głowę Inese, zmuszał się do myślenia. Musi wyjść z tego domu śmierci, musi zrozumieć, że teraz jest zupełnie sam i może zrobić tylko jedno: odszukać szwedzki konsul i poprosić o pomoc. Trząsł się ze strachu, serce waliło mu gwałtownie w piersiach, bał się, że zaraz dostanie ataku serca, którego nie przeżyje. Ile czasu upłynęło, nim odzyskał kontrolę, nie wiedział.

Brama była zamknięta. Wiedział, że budynek jest strzeżony i nie może próbować wyjść przed zmrokiem. Za jedną z przewróconych półek było okno, prawie całkiem pokryte zastarzałym brudem. Brodząc ostrożnie wśród porozbijanych zabawek, podszedł do niego i wyjrzał na

zewnątrz. Zobaczył dwa dżipy, ustawione przodem w kierunku magazynu. Czterej żołnierze z bronią gotową do strzału uważnie obserwowali budynek. Odszedł od okna i rozejrzał się dokoła. Chciało mu się pić, gdzieś musiała być woda, wcześniej dostał przecież herbatę. Szukając kranu, gorączkowo zastanawiał się, co dalej. Był ścigany, a ścigający zademonstrowali niewyobrażalną brutalność. Kontakt z Baibą równałby się wyrokowi śmierci. Nie miał już wątpliwości, że obaj pułkownicy - a przynajmniej jeden z nich - gotowi byli zrobić wszystko, by wyniki śledztwa majora nie ujrzały światła dziennego ani na Łotwie, ani za granicą. Z zimną krwią, jak bezpańskiego psa, zabili nieśmiałą, cichą Inese. Może zrobił to jego kierowca, uprzejmy sierżant Zids. Strach Wallandera mieszał się z nienawiścią. Gdyby miał w ręku broń, nie zawahałby się jej użyć. Pierwszy raz w życiu uświadomił sobie, że byłby w stanie zabić, nie tłumacząc tego obroną własną.

Życie ma swój, a śmierć swój czas - myśl ta przyszła do niego po raz pierwszy, gdy kiedyś jakiś pijaczyna w parku Pildamm w Malmö uderzył go nożem w pierś, tuż pod sercem. Teraz to zdanie nabrało konkretnego znaczenia.

Znalazł brudną toaletę z kapiącym kranem, opłukał twarz i ugasił pragnienie. Następnie przeszedł do odległej części budynku, wykręcił żarówkę u sufitu i usiadł, czekając na wieczór.

By odgonić strach, próbował ułożyć plan ucieczki. W jakiś sposób musi dostać się do centrum i odszukać szwedzki konsulat. Powinien być przygotowany na to, że każdy policjant, każdy „czarny берет” ma jego rysopis. Bez pomocy szwedzkich dyplomatów jest stracony, nie ma możliwości, by pozostawał dłużej niezauważony. Liczył się również z tym, że szwedzka placówka jest strzeżona.

Pułkownicy uznali, że znam tajemnicę majora, myślał. Inaczej by tak nie zareagowali. Pułkownicy, bo nie wiem, o

którego chodzi. Zdrzemnął się, ze snu wyrwał go warkot samochodu, hamującego przed magazynem. Od czasu do czasu podchodził do okna. Żołnierze wciąż pilnowali budynku. Czuł mdłości, groza tego miejsca była nie do wytrzymania. Zmusił się do obejścia magazynu w poszukiwaniu drogi ucieczki. Brama nie wchodziła w rachubę, była pod nieustanną obserwacją. W końcu znalazł otwór w ścianie, tuż przy podłodze, który był rodzajem kanału wentylacyjnego. Przyłożył ucho do zimnej ceglanej ściany, starając się usłyszeć, czy żołnierzy nie ma i po tej stronie magazynu, lecz nie mógł się zorientować. Nie wyobrażał sobie, co będzie, jeśli ucieczka mu się nie powiedzie. Próbował wrócić do snu, ale zakrwawiona twarz Inese nie dawała mu spokoju. Zapadł mrok i oziębilo się.

Była siódma. Wiedział, że musi stąd wyjść. Zaczął powoli obluźowywać zardzewiałe drzwiczki do kanału. Wyobrażał sobie, że zaraz rozbłyśnie reflektor, głosy zaczną wykrzykiwać komendy i grad kul uderzy w ceglana ścianę. W końcu udało mu się ostrożnie otworzyć drzwiczki. Na wyżwirowany placyk przed magazynem padało słabe żółte światło z sąsiednich zabudowań fabrycznych. Nigdzie nie widział żołnierzy. Dziesięć metrów dalej stało kilka zardzewiałych ciężarówek. Tam postanowił się dostać. Wziął głęboki oddech, skulił się i pobiegł tak szybko, jak tylko umiał. Dobiegając do pierwszego samochodu, potknął się o starą oponę, uderzając kolaniem o kupę żelastwa. Poczul przeszywający ból, przestraszył się, że hałas zwróci uwagę żołnierzy, ale nic się nie stało. Ból w kolanie był bardzo silny, po nodze płynęła krew.

Co dalej? Gdzie znajdzie szwedzki konsulat czy ambasadę? Nie wiedział nawet, jaki typ szwedzkiej placówki dyplomatycznej znajdował się na Łotwie. Nagle poczuł, że nie może i nie chce się poddawać. Nie wysła prywatnego SOS, musi skontaktować się z Baibą. Oddaliwszy się od tego

przeklętego domu śmierci, w którym zginęła Inese i jej przyjaciele, potrafił myśleć inaczej. Przyjechał tu dla Baiby i odnajdzie ją, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Ostrożnie przemykał wśród cieni. Idąc wzdłuż płotu otaczającego zabudowania fabryczne wyszedł na słabo oświetloną ulicę. Wciąż nie wiedział, gdzie jest, ale słyszał odległy szum jakby ruchliwej autostrady. Postanowił iść w tym kierunku. Od czasu do czasu spotykał ludzi i wtedy myślał z wdzięcznością o Lippmanie, który był na tyle przewidujący, że kazał mu włożyć ubranie przywiezione przez Preussa. Ponad pół godziny szedł w kierunku, z którego dochodził dźwięk, dwa razy chowając się w cieniu przed samochodami policyjnymi i wciąż próbując wymyślić, co dalej. W końcu uświadomił sobie, że jest tylko jedna osoba, do której mógł się zwrócić. To też było ryzykowne, ale nie miał wyboru. Oznaczało to również, że musi spędzić jeszcze jedną noc w jakiejś kryjówce, ale nie wiedział, gdzie jej szukać. Wieczór był mroźny, musiał zdobyć coś do jedzenia, by przetrzymać zbliżającą się noc.

Nagle zrozumiał, że nie zdoła dojść do Rygi. Kolano dokuczało mu coraz mocniej i kręciło mu się w głowie ze zmęczenia. Było tylko jedno wyjście. Trzeba ukraść samochód. Przestraszył się tej myśli, ale wiedział, że tylko to mu pozostaje. Jednocześnie przypomniał sobie ładę zaparkowaną na ulicy, którą minął przed chwilą. Nie stała przed żadnym domem i wyglądała na porzuconą. Zawrócił. Starł się sobie przypomnieć, w jaki sposób szwedzcy złodzieje samochodów otwierają je i zapalają. Ale co mógł wiedzieć o ładzie? Może się okazać, że sposoby szwedzkich złodziei w jej przypadku zawiodą.

Samochód był szary, miał powgniatane zderzaki. Wallander stanął w cieniu, obserwując otoczenie i auto. W pobliżu był tylko ciemny budynek zrujnowanej fabryki. Podeszedł do

resztek płotu przy sterczącej z ruin, rozebranej rampie. Zgrabiałymi palcami zdołał odłamać z siatki trzydziestocentymetrowy kawałek drutu. Zwinął go w pętelkę na jednym końcu i podbiegł do samochodu.

Wsunąwszy przy szybie drut z pętlą, podciągnął zawleczkę zamka, poszło łatwiej, niż myślał. Wskoczył do samochodu, szukając po omacku stacyjki i kabli. Przeklinał brak zapalek, pot spływał mu pod koszulą, zatrząsał się z zimna.

Zdesperowany, wyrwał pęk kabli spod stacyjki, oddzielił właściwe i zwarł końcówki. Silnik zaskoczył, ale zaraz zgasł. Wrzucił dźwignię biegów na luz i spróbował jeszcze raz. Silnik znów zastartował, Wallander nie znalazł hamulca ręcznego, poszukując włącznika światła, przyciskał wszystkie możliwe guziki na tablicy rozdzielczej, w końcu wrzucił jedynkę.

To koszmar, pomyślał, jestem szwedzkim gliną, a nie żadnym szaleńcem na niemieckim paszporcie, kradnącym samochody w stolicy Łotwy. Ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Próbował odnajdywać właściwe biegi, zastanawiając się, dlaczego w samochodzie śmierdzi rybą.

W końcu dojechał do głównej arterii, której szum słyszał poprzednio, przy wjeździe na autostradę silnikomalże nie zgasł. Zobaczył światła Rygi, zdecydował się odnaleźć dzielnicę wokół hotelu Łotwa i udać się do którejś z tych małych restauracji, jakie widział w czasie poprzedniej wizyty. Po raz kolejny pomyślał z wdzięcznością o Josephie Lippmanie, który zadbał, by Preuss zaopatrzył go w pewną ilość łotewskiej waluty. Nie wiedział, jak dużo tego jest, miał jedynie nadzieję, że wystarczy na posiłek. Przejechał most nad rzeką i skręcił w lewo na bulwar. Ruch nie był zbyt wielki, utknął jednak za tramwajem, narażając się na wściekłe wycie klaksonu taksówki, zmuszonej do gwałtownego hamowania.

Ze zdenerwowania nie mógł znaleźć odpowiednich biegów.

Objechał tramwaj i skręcił w ulicę, która okazała się jednokierunkowa. Z przeciwka nadjeżdżał autobus, ulica była bardzo wąska, a on nie mógł znaleźć wstecznego. Był już gotów poddać się, zostawić samochód na środku ulicy i zwać. Znalazł jednak wsteczny i wycofał wóz. Następnie skręcił w równoległą ulicę, prowadzącą do hotelu Łotwa i zaparkował na dozwolonym miejscu. Był mokry od potu i znowu pomyślał, że złapie zapalenie płuc, jeśli zaraz nie weźmie gorącej kąpieli i nie zmieni ubrania.

Zegar na kościelnej wieży wskazywał za kwadrans dziewiątą. Przeciął ulicę i wszedł do piwiarni, którą odwiedził, gdy był w Rydze pierwszy raz. We wnętrzu zadymionego lokalu szczęśliwie znalazł wolny stolik. Przycupnięci, dyskutujący nad kuflami ludzie, nawet go nie zauważyli, nie było żadnych mundurowych, mógł grać rolę Gottfrieda Hegla, komiwojażera sprzedającego nuty i albumy. Jedząc kiedyś z Preussem w barze w Niemczech, nauczył się, że menu nazywa się *Speisekarte*, i o to poprosił. Jadłospis był po łotewsku, niczego nie rozumiał, tknął więc na chybił trafił w jeden z rzędów. Dostał pieczeń wołową, do niej pił piwo, i na ten jeden moment jego mózg usnął.

Podjadłszy, poczuł się lepiej, zamówił kawę; mózg zaczął znowu funkcjonować. Nagle wymyślił, gdzie mógłby spędzić noc. Wykorzysta fakt, że w tym kraju wszystko ma swoją cenę. Będąc tu poprzednim razem, zaraz za hotelem Łotwa zauważył kilka pensjonatów i podupadłych hotelików w zaułkach. Pójdzie tam, użyje swego niemieckiego paszportu, kładąc jednocześnie kilka szwedzkich setek na kontuarze, którymi zapłaci za pokój i brak niepotrzebnych pytań. Istniała oczywiście możliwość, że pułkownicy nakazali szczególnie uważać na niektóre hotele w Rydze, postanowił jednak podjąć ryzyko, mając nadzieję, że jego niemiecka tożsamość pozwoli mu na spędzenie w hotelu jednej nocy, zanim rano zbiorą karty meldunkowe. Zresztą może trafi na

recepjonistę nieznajdującego przyjemności w bieganiu na policję.

Skończył kawę i pomyślał o obu pułkownikach i sierzancie Zidsie, który być może osobiście zamordował Inese. Gdzieś w tych strasznych ciemnościach czekała na niego Baiba Liepa. *Baiba będzie bardzo szczęśliwa.* Były to jedne z ostatnich słów, jakie wypowiedziała Inese w swoim zbyt krótkim życiu.

Spojrzał na zegar wiszący nad barem. Prawie wpół do jedenastej. Płacąc rachunek, zorientował się, że ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wynająć pokój.

Opuścił piwiarnię. Zatrzymał się przed hotelem Hermes, znajdującym się kilka przecznic dalej. Drzwi wejściowe były otwarte, wszedł po skrzypiących schodach na drugie piętro. Kotara odsunęła się na bok i stara, mała kobieta, spojrzała na niego szparkami oczu spoza grubych szkieł. Starał się być przyjacielski, położył paszport na kontuarze, *Zimmer*, powiedział. Kobieta skinęła głową i zagadała po łotewsku, kładąc przed nim druk do wypełnienia. Ponieważ w ogóle nie zwróciła uwagi na paszport, postanowił zmienić plan i wpisać zmyślane nazwisko. W pośpiechu nie wpadł na nic lepszego niż Preuss, imię Martin, trzydziestosiedmioletni przybysz z Hamburga. Kobieta z uśmiechem podała mu klucz i wskazała jeden z korytarzy. Nie potrafię udawać, pomyślał. Jeśli pułkownicy nie są na tyle rozwścieczeni poszukiwaniem mnie, by organizować naloty na wszystkie hotele w Rydze, mogę spać spokojnie do jutra. Oczywiście wpadną w końcu na to, że Martin Preuss to Kurt Wallander, ale do tego czasu zniknę. Otworzył drzwi pokoju, z zadowoleniem zauważył wannę. Wypełniająca ją stopniowo coraz cieplejsza woda wydawała mu się czymś prawie nierealnym. Rozebrał się i zanurzył. Rozleniwiające ciepło rozeszło się po całym ciele. Przysnął.

Gdy się obudził, woda była już chłodna. Wylał się i wsunął

do łóżka. Na ulicy zaturkotał tramwaj. Patrząc w ciemność, czuł powracający strach.

Trzeba trzymać się tego, co postanowił. Jeśli straci kontrolę nad swym osądem, psy, które na niego polują, dopadną go. A wtedy będzie zgubiony.

Wiedział, co trzeba zrobić.

Następnego dnia musi odnaleźć w Rydze jedyną osobę, która może pomóc mu skontaktować się z Baibą Liepą.

Nie znał jej imienia. Wiedział tylko, że ma czerwone usta.

Przed świtem powróciła Inese.

Wyszła do niego z sennego koszmaru, w którego ciemnym tle ktoś niewidoczny go obserwował. We śnie ciągle żyła. Próbował ją ostrzec, ale nie słyszała, co do niej mówi.

Wyskoczył ze snu i otworzył oczy w pokoju w hotelu Hermes.

Zegarek na nocnym stoliku wskazywał cztery minuty po szóstej. Przejeżdżający tramwaj zazgrzytał na ulicy. Przeciągnął się i po raz pierwszy od opuszczenia Szwecji poczuł się wypoczęty.

Nie wychodząc z łóżka, przeżywał powtórnie wszystkie wydarzenia poprzedniego dnia. W jego zrelaksowanej głowie ohydna masakra jawiła się jako coś nieprawdziwego, niemożliwego do zrozumienia. Ta bezsensowna jatka była wstrząsająca. Na myśl o śmierci Inese ogarniała go rozpacz, nie potrafił sobie wyobrazić, jak zniesie to, że nie zdołał uratować jej, zezowatego ani innych, którzy na niego czekali, a których imion nawet nie zdążył poznać.

Niepokój wygonił go z łóżka. Zaraz po wpół do siódmej opuścił pokój i zapłacił w recepcji. Stara kobieta przyjęła pieniądze z przyjaznym uśmiechem, pogadując coś po łotewsku. Wallander obliczył szybko, że może pozwolić sobie na jeszcze kilka noclegów, gdyby zaszła taka potrzeba. Poranek był chłodny. Postawił kołnierz kurtki. Postanowił coś zjeść, zanim zacznie realizować plan. Jakiś czas błądził po ulicach, wreszcie znalazł otwartą kawiarnię. Lokal był prawie pusty. Zamówił kawę, parę kanapek i usiadł przy narożnym, niewidocznym od wejścia stoliku. O ósmej poczuł, że nie może dłużej czekać. Wóz albo przewóz. Znowu pomyślał, że powrót na Łotwę był szaleństwem.

Po półgodzinie stał przed hotelem Łotwa, w miejscu, gdzie sierżant Zids zwykł czekać na niego w samochodzie.

Zawahał się. Może jest zbyt wcześnie? Może kobieta o czerwonych ustach jeszcze nie przyszła? Wszedł, rzucił okiem w kierunku recepcji, gdzie kilku wcześniej wstających gości regulowało rachunki. Minął kanapę, na której jego cienie kryły się niegdyś za płachtami gazet. Kobieta siedziała przy swoim stoisku, właśnie je otwierała, troskliwie wykladała różne pisma. Co będzie, jeśli mnie nie pozna, pomyślał. Może jest tylko pośrednikiem i nic nie wie o znaczeniu spraw, które załatwiam.

Zauważyła go, stojącego przy filarze, czuł, że go poznała, wie, kim jest i nie jest zaniepokojona. Podszedł do niej, wyciągnął rękę i głośno po angielsku powiedział, że chciałby kupić kilka pocztówek. By dać jej czas na ochłonięcie, ciągnął rozmowę, pytając, czy ma może przypadkiem pocztówki z widokami starej Rygi. Wokół stało kilka osób. Przerwał swoje gadanie i pochylił się ku niej bliżej, jak gdyby chciał pokazać jakiś szczegół.

- Poznała mnie pani - zaczął. - Kiedyś dała mi pani bilet na koncert, na którym poznałem Baibę Liepę. Musi mi pani pomóc spotkać ją znowu. Nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się z tym zwrócić. To bardzo ważne. Jednocześnie chciałbym, żeby pani wiedziała, że to niebezpieczne, Baiba jest pilnowana. Nie wiem, czy pani wie, co stało się wczoraj. Proszę pokazać mi jakąś broszurę i odpowiedzieć, udając, że mi pani coś tłumaczy.

Jej dolna warga zaczęła drżeć, a oczy wypełniły się łzami. Nie mógł dopuścić do tego, by się rozplakała i pozwolić, by ktoś to zauważył. Zaczął więc mówić, że jest szczególnie zainteresowany pocztówkami z całej Łotwy, nie tylko z Rygi. Od znajomego słyszał, że w hotelu Łotwa jest ich duży wybór. Opanowała się, zrozumiał, że wie. Czy wie również o tym, że wrócił na Łotwę? Przytaknęła.

- Nie mam gdzie się podziać - ciągnął. - Potrzebuję jakiejś kryjówki, zanim pomoże mi pani spotkać się z Baibą.

Nie znał jej imienia, wiedział tylko, że jej usta były zbyt czerwone. Czy dobrze zrobił, zwracając się do niej? Może lepiej było zostawić to wszystko i szukać szwedzkiego konsulatu? Dokąd przesunęła się granica przyzwoitości i racji w kraju, w którym niewinni ludzie mogą być zabijani ot tak, jak bezpańskie psy?

- Nie wiem, czy będę mogła załatwić panu spotkanie z Baibą. Nie mam pojęcia, czy jest to jeszcze możliwe. Ukryć może się pan u mnie w domu. Zbyt mało znaczę, by policja się mną interesowała. Niech pan wróci za godzinę i czeka na przystanku autobusowym po drugiej stronie ulicy. A teraz proszę iść.

Wyprostował się, dziękując jak zadowolony klient, schował do kieszeni jakąś broszurę, po czym wyszedł. Najbliższą godzinę spędził wmieszany w tłum w znajdującym się nieopodal domu towarowym. Kupił czapkę, by w ten wątpliwy sposób zmienić swój wygląd. Na przystanku był o czasie. Kobieta wyszła z hotelu i stanąwszy przy nim, udawała, że go nie zna. Po kilku minutach przyjechał autobus. Wsiedli, zajął miejsce kilka rzędów za nią. Pół godziny krążyli po ulicach centrum, nim autobus ruszył w kierunku przedmieść Rygi. Obserwował drogę, jedyne, co rozpoznał to park Kirowa. Dojechali do niebywale ponurej dzielnicy. Nie był przygotowany, gdy przycisnęła guzik stop, i o mało nie został w autobusie. Przeszli przez oszroniony plac zabaw, na którym kilkoro dzieci wspinało się po zardzewiałych drabinkach. Po drodze Wallander włożył na zdechłego kota. W końcu byli na miejscu, wszedł za nią w mroczny, wypełniony echem korytarz, potem na krużganek, zimny wiatr smagał ich twarze. Odwróciła się.

- Mieszkam w bardzo małym mieszkaniu, ze starym ojcem. Powiem mu tylko, że jest pan bezdomnym przyjacielem. Mój kraj jest pełen takich ludzi i to naturalne, że sobie pomagamy. Później przyjdą ze szkoły moje córki. Zostawię

im kartkę, na której wyjaśnię pańską obecność, i poproszę, by zaparzyły panu herbatę. Jest ciasno, ale to wszystko, czym mogę służyć. Ja muszę wracać do hotelu.

Na mieszkanie składały się dwa małe pokoje, jeszcze mniejsza kuchenka i mikroskopijna łazienka. Na jednym z łóżek leżał stary człowiek.

- Nie wiem nawet, jak się pani nazywa - powiedział Wallander, odbierając od niej wieszak.

- Wiera, a pan nazywa się Wallander.

Mówiła to tak, jakby to było jego imię; sam niedawno nie bardzo wiedział, jakiego imienia używać. Starzec podniósł się z łóżka i, wsparty na lasce, chciał przywitać nieznanego. Wallander zaprotestował, było to niepotrzebne, nie chciał przeszkadzać. Wiera wystawiła w kuchni chleb i coś do smarowania. Protestował znowu; szukał przecież schronienia, nie jadłodajni. Czuł się skrępowany, zmuszając ją do pomocy, wstydził się swego mieszkania, trzy razy większego od całej powierzchni, jaką rozporządzała jej rodzina. Pokazała mu drugi pokój, prawie w całości wypełniony przez duże łóżko.

- Niech pan zamknie drzwi, jeśli chce mieć pan spokój. Tu może pan odpocząć. Spróbuję wrócić jak najprędzej.

- Nie chcę, żeby się pani narażała.

- Trzeba robić to, co konieczne - odrzekła. - Jestem zadowolona, że zwrócił się pan do mnie.

Wyszła. Wallander ciężko usiadł na łóżku.

Dotarł tutaj.

Pozostało tylko czekać na Baibę Liepę.

Wiera wróciła przed piątą. Wallander pił herbatę z jej dziećmi, dwunastoletnią Sabiną i o dwa lata starszą Ewą. Nauczył się kilku lotewskich słów, one natomiast chichotały z jego beznadziejnych prób zaśpiewania *Wlazł kotek na płotek*. Nawet ojciec Wiery chrapliwym głosem zaśpiewał starą żołnierską balladę. Przez krótką chwilę udało mu się

zapomnieć o swojej misji, przestrelonym oku Inese i masakrze. Istniało zwyczajne życie, z daleka od władzy, i to był ten świat, którego bronił major Liepa, prowadząc swoje śledztwo. To dla Sabiny, Ewy i starego ojca Wiery spotykali się w leśniczówkach i tajnych magazynach.

Po powrocie Wiera uściskała córki, a następnie zamknęła się z Wallanderem w pokoju. Gdy usiedli na łóżku, poczuła się zażenowana. Dotknął jej ramienia, by wyrazić swą wdzięczność, opacznie zrozumiała jego gest i odskoczyła. Nie było sensu się tłumaczyć, zapytał więc, czy udało się jej skontaktować z Baibą.

- Baiba płacze - odrzekła. - Oplakuje swoich przyjaciół. A najbardziej Inese. Ostrzegą ją przed wzmożoną czujnością policji, prosiła, by byli ostrożni, stało się jednak to, czego obawiała się najbardziej. Baiba płacze, ale jest również wściekła, tak samo jak ja. Chce się spotkać z panem dziś wieczór, mamy pewien pomysł, jak to przeprowadzić. Zanim panu wyjaśnię, musimy coś zjeść. Kiedy człowiek jest głodny, traci całą nadzieję.

Skupili się wokół stołu, otwieranego ze ściany w pokoju, w którym spał ojciec. Wyglądało to tak, jakby Wiera z rodziną mieszkała w przyczepie kempingowej. Trzeba było drobiazgowej organizacji, by dla wszystkich starczyło miejsca, zastanawiał się, jak można żyć w takiej ciasnocie. Pomyślał o willi pułkownika Putnisa pod Rygą. Różnice między życiem Wiery i pułkownika były aż nadto widoczne. To w obronie przywilejów rozpętano bezpardonową nagonkę na ludzi takich jak Inese i major. Wszystko, co robili tamci, zostawiało ślady krwi na ich rękach.

Jedli grochówkę przygotowaną przez Wierę na malutkiej kuchence. Dziewczynki podały razowy chleb i piwo. Wallander czuł, że Wiera jest spięta, choć stara się zachować spokojną twarz przed rodziną. Nie wybaczyłyby sobie, gdyby coś jej się stało. Po posiłku dziewczynki zaczęły

zmywać, a ojciec wrócił na łóżko.

- Jak ma na imię pani ojciec?

- Nazywa się Antons, to dość rzadkie imię - odrzekła. - Ma siedemdziesiąt sześć lat i kłopoty z pęcherzem. Całe życie pracował w drukarni. Mówią, że starzy drukarze mogą ulec zatruciu ołowiem, objawiającym się między innymi niemożnością skupienia się. Czasem jest całkiem nieobecny, może i jego dopadła ta choroba.

Wrócili z powrotem na łóżko w jej pokoju, zasunęła kotarę na drzwiach. Dziewczynki szeptały i chichotały w kuchni; wiedział, że nadszedł właściwy moment.

- Czy pamięta pan kościół, w którym na koncercie spotkał pan Baibę?

Przytaknął.

- Czy trafiłby pan tam?

- Nie stąd.

- A spod hotelu Łotwa, z centrum?

- Z centrum tak.

- Nie mogę iść z panem do miasta, to niebezpieczne. Choć nie sądzę, żeby ktoś podejrzewał, że jest pan u mnie. Proszę nie wysiadać na przystanku przed hotelem, tylko na poprzednim lub następnym. Niech pan odszuka kościół i czeka tam do godziny dziewiątej. Czy pamięta pan tylne wyjście, którym za pierwszym razem opuszczaliście kościół? Wallander kiwnął głową. Sądził, że pamięta, ale nie był przekonany.

- Pójdzie pan tam, gdy będzie pan całkiem pewien, że nie jest śledzony. Tam pan zaczeka. Jeśli Baiba będzie mogła, przyjdzie.

- W jaki sposób się pani z nią skontaktowała?

- Zadzwoiłam.

Wallander popatrzył zdziwiony.

- Telefon musi być na podsłuchu?

- Oczywiście, że jest na podsłuchu. Zadzwoiłam i

powiedziała, że książka, którą zamówiła, właśnie przysła. Musi więc iść do księgarni i odebrać ją. A ja tam zostawiłam list, że pan przyjechał i że jest u mnie. Kilka godzin później poszłam do sklepu, w którym sąsiad Baiby ma zwyczaj robić zakupy. Tam odebrałam list Baiby, w którym powiadomiła mnie, że dziś wieczorem postara się przekraść do kościoła.

- Ale jeśli jej się nie uda?

- Wtedy nie będę panu mogła więcej pomóc. A i pan niech tu nie wraca.

Wiedział, że Wiera ma rację. To była jedyna możliwość, by znowu spotkać Baibę. Jeśli im się nie powiedzie, nie pozostanie nic innego, jak tylko odnaleźć szwedzką ambasadę, która pomoże mu wrócić do domu.

- Czy wie pani, gdzie w Rydze jest szwedzka ambasada?

Zastanawiała się chwilę, nim odpowiedziała.

- Nie wiem, czy Szwecja ma tutaj ambasadę.

- No ale konsulatu powinien być?

- Nie wiem gdzie.

- Znajdę w książce telefonicznej. Proszę mi napisać łotewską nazwę ambasady i konsulatu. Książka powinna być w jakiejś restauracji. Proszę również o nazwę samej książki.

Na kartce wyrwanej z zeszytu jednej z córek zapisała słowa, o które prosił, i nauczyła go poprawnie je wymawiać.

Dwie godziny później pożegnał się z Wierą i jej rodziną. Dała mu starą koszulę ojca i szalik, by choć trochę zmienić jego wygląd. Nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczy, i poczuł, że już zaczyna tęsknić.

Zdechły kot jak złowróbny znak leżał na drodze do przystanku. Wiera dała mu trochę drobnych, by miał czym zapłacić za autobus. Gdy wsiadł, znowu poczuł, że jest obserwowany. Wieczorem niewielu pasażerów jechało w kierunku miasta, usiadł więc na samym końcu, by mieć przed sobą plecy wszystkich obecnych. Spoglądając od czasu do czasu przez brudną tylną szybę, nie zauważył

żadnego podejrzanego samochodu.

Jednak czuł instynktowną obawę, wrażenie, że go namierzili i teraz śledzą, nie opuszczało go. Próbował zdecydować, jak w tej sytuacji postąpić. Miał na to piętnaście minut. Gdzie ma wysiąść i jak zgubić ewentualny ogon? Nagle przyszedł mu do głowy pomysł na tyle szalony, że miał pewne szanse powodzenia. Wyszedł z założenia, że chodzą nie tylko za nim. Niemniej ważne dla nich było śledzenie go aż do spotkania z Baibą i wyczekanie właściwego momentu, by przejąć testament majora.

Żeby móc wykonać swój plan, nie trzymał się pierwotnych instrukcji Wiery i wysiadł przed hotelem Łotwa. Nie rozglądając się, wszedł do środka i zapytał w recepcji o wolny pokój na jeden lub dwa dni. Mówił po angielsku, głośno i wyraźnie, i gdy recepcjonista odpowiedział, że są wolne pokoje, podał swój niemiecki paszport i wpisał się jako Gottfried Hegel. Bagaż nadejdzie wkrótce, powiedział. I głośno, nie na tyle jednak, by wzbudzić podejrzenie, że chce zostawić fałszywy ślad, zamówił budzenie na północ. Czeka na ważny telefon i nie chciałby zasnąć. W najlepszym wypadku da mu to cztery godziny forów, pomyślał. Nie mając bagażu, wziął tylko klucz i poszedł do windy. Pokój był na czwartym piętrze, nie mógł marudzić, musiał działać natychmiast. Starał się przypomnieć sobie, w którym miejscu tylne schody przylegają do korytarza, i gdy wysiadł z windy, wiedział od razu, dokąd ma iść. Schodząc ciemnymi schodami, miał nadzieję, że nie zdążyli obstawić całego hotelu. Dotarł do piwnicy, a potem do drzwi prowadzących na tyły budynku. Przez moment zastanawiał się, czy i jak otworzy je bez klucza, ale miał szczęście, klucz tkwił w zamku od wewnątrz. Wyszedł na ciemną ulicę na tyłach hotelu, przystanął bez ruchu i rozejrzał się, było pusto i cicho. Pobiegł wzdłuż ścian domów, skręcił w przecznicę i nie zatrzymał się, dopóki nie znalazł się cztery

kwartały od hotelu. Zdyszany wszedł do jakiejś bramy, by złapać oddech i zobaczyć, czy nikt za nim nie idzie. Próbował wyobrazić sobie, jak w tym samym czasie, w innej części miasta, Baiba Liepa stara się zgubić swe ogony, które ktoś z decydentów na pewno za nią wysłał. Sądził, że jej się powiedzie, miała przecież najlepszego nauczyciela, majora. Tuż przed wpół do dziesiątej dotarł do kościoła świętej Gertrudy. Ogromne okna były ciemne, zatrzymał się na tyłach, gdzie mógł spokojnie czekać. Skądś dochodziły odgłosy kłótni; potok wściekłych słów, które przerwała wrzawa, ryk, a potem nastąpiła ogłuszająca cisza. Przytupując lekko nogami, by nie zmarznąć, starał się przypomnieć sobie aktualną datę. Pojedyncze samochody przejeżdżały ulicą obok, a on był przygotowany, że któryś z nich zatrzyma się, i wysiądą z niego ci, przed którymi krył się w ciemnościach.

Miał uczucie, że wiedzą już wszystko, i że jego blef z powrotem do hotelu Łotwa na nic się nie zdał. Czy popełnił błąd, zakładając, że kobieta o czerwonych ustach nie pracuje dla pułkowników? Może ich wysłannicy w cieniu kościoła czekali tylko na moment, gdy zobaczą testament majora? Odgonił te myśli. Jedyne wyjście widział w ucieczce do szwedzkiej ambasady i wiedział, że tego właśnie nie zrobi.

Zegar na wieży kościelnej wydzwonił dziesiątą. Opuścił swoje miejsce, uważnie rozejrzał się po ulicy i pośpiesznie podszedł do żelaznej furtki. Mimo jego ostrożności, lekko zakrzypiała przy otwieraniu. Pojedyncze latarnie ponad murem rzucały nikłe światło na kościelny dziedziniec. Stał bez ruchu, nasłuchując, wokół panował spokój. Wydeptaną ścieżką poszedł ostrożnie do zakrystii, z której poprzednim razem wychodzili razem z Baibą. Znowu poczuł, że jest śledzony, i że gdzieś przed nim czają się cienie, lecz nic nie mógł na to poradzić, stanął i postanowił czekać.

Baiba Liepa pojawiła się bez szmeru, jak gdyby wypłynęła z

ciemności. Drgnął na jej widok. Szeptała coś, czego nie rozumiał. Pociągnęła go za sobą przez uchylone drzwi zakrystii. Wtedy zauważył, że czekała na niego w kościele. Dużym kluczem zamknęła drzwi i podeszła do balustrady przy ołtarzu. Było kompletnie ciemno, prowadziła go za rękę jak ślepcę, nie rozumiał, jak znajduje drogę w tym mroku. Za zakrystią znajdowało się pomieszczenie bez okien, w nim na stole stała lampa naftowa. To tutaj na niego czekała, jej futrzana czapka leżała na krześle. Zaskoczony i wzruszony, zobaczył fotografię majora. Był tam również termos, kilka jabłek i kawałek chleba. Wygląda to jak zaproszenie na ostatnią wieczerzę, myślał. Tylko ile czasu minie, nim psy gończe ich dopadną? Zastanawiał się, jakie były jej kontakty z Kościołem, czy wierzyła w Boga, w odróżnieniu od swojego nieżyjącego męża. Pomyślał, że wie o niej niewiele, jak kiedyś niewiele wiedział o nim. Gdy weszli, przyciągnęła go do siebie i mocno przytuliła. Czuł, że płacze, w bólu i wściekłości jej ręce obejmowały go żelaznym uściskiem.

- Zabili Inese - wyszeptała. - Zabili wszystkich. Myślałam, że pana też. Myślałam, że wszystko stracone, ale wtedy Wiera skontaktowała się ze mną.

- To było przerażające. Ale teraz nie możemy o tym myśleć. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Zawsze musimy o tym myśleć - powiedziała. - Jeśli zapomnimy, to zapomnimy również, że jesteśmy ludźmi.

- Nie miałem na myśli zapomnienia - wyjaśnił. - Musimy działać dalej, a smutek nas obezwładnia.

Opadła na krzesło, była wymizerowana bólem i zmęczeniem. Ile jeszcze wytrzyma, zastanawiał się Wallander.

Noc, którą spędzili w kościele, była punktem zwrotnym w życiu Kurta Wallandera; zdawało się, że wkroczył w nowy jego etap. Poprzednio niewiele zastanawiał się nad życiem.

Możliwe, że w momentach melancholii, na widok zamordowanych ludzi, przejechanych dzieci lub desperackich samobójców rozumiał, że w obliczu śmierci życie jest bardzo kruche. Tak krótko człowiek żyje, a tak długo będzie martwy. Ale otrząsał się z takich myśli; życie postrzegał przede wszystkim przez pryzmat codzienności, ufał w swoją zdolność wzbogacania jej według filozoficznych recept. Niewiele też dbał o czasy, w których przyszło mu żyć. Człowiek rodzi się, gdy się rodzi, umiera, gdy umiera, Wallander rzadko przekraczał myślą te granice bytowania. Ale tej nocy, którą spędził w chłodnym kościele z Baibą Liepą, postanowił, że musi głębiej wejrzeć w siebie. Spozrzegł, że świat prawie w ogóle nie przypomina Szwecji i że jego własne problemy wydają się bez znaczenia przy tych, które dotknęły Baibę. Dopiero tej nocy po raz pierwszy zdołał sobie uświadomić, czym była ta masakra, która pozbawiła życia Inese; nieprawdopodobne stało się prawdziwe. Istnieli pułkownicy, sierżant Zids, prawdziwe kule wystrzeliwane z prawdziwej broni, które roztrzaskiwały mózgi i w ułamku sekundy tworzyły pustkę. Wiedział, że ten dręczący koszmar powoduje, że życie upływa w ustawicznym strachu. Kręgi strachu, pomyślał. Taki jest mój czas, nie rozumiałem tego przedtem, zanim dożyłem mojego wieku.

Powiedziała, że w kościele są bezpieczni na tyle, na ile w tym kraju w ogóle można być bezpiecznym. Ksiądz był bliskim przyjacielem Karlisa Liepy, bez zastrzeżeń udzielił kryjówki Baibie, gdy zwróciła się do niego o pomoc. Wallander powiedział jej o swoich odczuciach: że wydaje mu się, iż go znaleźli i teraz tylko czekają gdzieś w ukryciu.

- Po co mieliby czekać? - zdziwiła się. - Dla ludzi tego pokroju takie słowo nie istnieje. Jeśli mogą złapać i zlikwidować tych, co zagrażają ich interesom, robią to natychmiast.

Wiedział, że mogła mieć rację. Ale uważał, że kluczową kwestią jest sprawa testamentu, ci ludzie bali się pozostawionych przez majora dowodów, a nie wdowy po nim czy nieszkodliwego - w ich opinii - szwedzkiego gliniarza, który postanowił dokonać własnej, tajemnej zemsty.

Uderzyło go jeszcze jedno przeczucie, na tyle zaskakujące, że postanowił na razie nic nie mówić o nim Baibie. Nagle zdał sobie sprawę, że może istnieć trzeci powód, dla którego cienie na razie tylko czyhały, zamiast się objawić, zaarrestować ich i odwieźć na komendę policji. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej prawdopodobna wydawała mu się ta możliwość. Ale na razie milczał, by nie narażać Baiby na dodatkowy stres.

Rozumiał jej rozpacz z powodu śmierci Inese i przyjaciół oraz desperację spowodowaną niemożnością znalezienia miejsca ukrycia testamentu. Roztrząsała przecież wszystkie możliwości, próbowała wczuć się w myśli Karlisa, ale bez skutku. Zerwała kafelki w łazience, pocięła obicia mebli, lecz nie znalazła niczego oprócz kurzu i kości zdechłych myszy.

Wallander próbował jej pomóc. Usiedli po przeciwnych stronach stołu. Baiba naląła herbaty, światło lampy naftowej wypełniło ponurą kościelną komórkę ciepłem i atmosferą bliskości. Najchętniej objąłby ją i ukoił jej smutek. Znowu pomyślał, że chciałby zabrać ją ze sobą do Szwecji. Wiedział jednak, że nie ma takiej możliwości. W każdym razie nie teraz, nie tuż po tym, jak straciła Inese i przyjaciół. Wiedział, że Baiba prędzej umrze, niż ustanie w poszukiwaniach testamentu pozostawionego przez jej męża. Jednocześnie wciąż rozważał trzecią możliwość, tę, która tłumaczyłaby brak aktywności psów. Jeśli było tak, jak przypuszczał, w cieniu czaił się nie ich wróg, ale wróg ich wroga, który ich strzegł. „Kondor” i „mewa”, pomyślał. W dalszym ciągu nie wiem, który z decydentów w jakie stroi

się piórka. Ale może „mewa” wie, kim jest „kondor”, i usiłuje chronić upatrzoną przez niego ofiarę?

Noc spędzona w kościele była jak podróż na nieznaną kontynent. Chcieli coś znaleźć, nie mając pojęcia, gdzie tego szukać. Co to było? Paczka zawinięta w brudny papier? Teczka? Wallander był przekonany o sprycie majora, który musiał wiedzieć, że łatwy do odnalezienia schowek jest bezwartościowy. Lecz żeby poznać świat majora, musiał wiedzieć więcej o Baibie. Zadawał jej pytania, których zadawać nie chciał, ale ona wyperswadowała mu obiekcje. Z jej pomocą wszedł z butami w ich najbardziej intymne życie. Czasami pochylali się nad jakąś sprawą, sądząc, że naprowadza ich to na ślad. Ale później okazywało się, że Baiba przebadła już tę możliwość i że trop prowadził donikąd.

O czwartej nad ranem był bliski poddania się. Zmęczonymi oczami przyjrzał się jej wyczerpanej twarzy.

- O czym jeszcze nie pomyśleliśmy? - spytał, i było to pytanie skierowane do nich obojga. - Gdzie jeszcze szukać? Skrytka musi być w jakimś pomieszczeniu. Pomieszczeniu niedostępnym, wodoodpornym, żaroodpornym, zabezpieczonym przed włamaniami. O czym jeszcze nie pomyśleliśmy?

Ciągnął nieubłaganie dalej.

- Czy wasz dom ma piwnicę?

Przytaknęła.

- O strychu już mówiliśmy. Mieszkanie wywróciliśmy do góry nogami. Dacza pani siostry. Dom pani teścia w Winda wie. Niech pani myśli, Baiba. Musi być coś, o czym jeszcze nie pomyśleliśmy.

Zauważył, że jest bliska załamania.

- Nie - powiedziała. - Nie ma już innego miejsca.

- To nie musi być w domu. Opowiadała pani, że czasami jeździliście na wybrzeże. Czy istnieje jakiś kamień, na

którym siadywaliście? Gdzie rozbijaliście namiot?

- Już o tym mówiłam. Wiem, że tam Karlis nigdy niczego by nie ukrył.

- Czy rzeczywiście rozbijaliście namiot zawsze w tym samym miejscu? Przez osiem lat? Może choć raz, jeden jedyny, wybraliście inne?

- Oboje lubiliśmy powtarzające się przyjemności.

Chciała iść dalej, ale on ciągnął ją z powrotem. Uważał, że major nigdy by nie wybrał przypadkowej kryjówki. To miejsce musi być związane z ich wspólną historią. Zaczął od początku. Nafta w lampie kończyła się, Baiba znalazła świecę, nakapała stearyny i ustawiła ją. Następnie jeszcze raz przeszli przez całe jej życie z majorem. Wallander bał się, że Baiba zemdleje z przemęczenia, nie wiedział, kiedy ostatni raz spała, starał się dodać jej otuchy, udając optymizm, choć miał go w sobie niewiele. Zaczął znowu od ich wspólnego mieszkania. Czy na pewno nie dostrzega już żadnej możliwości? W każdym domu istnieje przecież niezliczona ilość zakamarków.

Ciągnął ją przez wszystkie pokoje. Na koniec była tak zmęczona, że wykrzykiwała swoje odpowiedzi.

- Nic nie ma! - krzyczała. - Cały czas, oprócz urlopów, spędzaliśmy w domu i w pracy. W ciągu dnia byłam na uniwersytecie, a Karlis jeździł do komendy głównej. Nie ma żadnych materiałów. Karlis myślał pewnie, że jest nieśmiertelny.

Jej wściekłość obróciła się przeciw martwemu mężowi. To była skarga. Wallanderowi przypomniało się, jak przed rokiem w Szwecji brutalnie zamordowano somalijskiego imigranta i Martinsson próbował pocieszyć zrozpaczoną wdowę.

Żyjemy w epoce wdów, pomyślał. Przybytki wdów i strachu są naszym domem.

Drgnął nagle, Baiba zrozumiała, że wpadł na całkiem nowy

pomysł.

- Co jest? - wyszeptwała.

- Proszę poczekać, muszę pomyśleć.

Czy to możliwe? Rozpatrywał ów pomysł z różnych stron, próbował odrzucić go jako fanaberię, ale myśl o nim nie opuszczała go.

- Chcę panią o coś zapytać - zaczął powoli. - I chcę, żeby odpowiedziała pani bez zastanowienia, natychmiast. Zastanawianie się może sprawić, że udzieli pani niewłaściwej odpowiedzi.

Przyglądała mu się uważnie w świetle filującej świecy.

- Czy to możliwe, że Karlis wybrał najbardziej nieprawdopodobną kryjówkę spośród wszystkich - komendę główną?

Jej oczy zabłysły.

- Tak, to mógł zrobić - odpowiedziała szybko.

- Dlaczego?

- Taki był. To by pasowało do jego charakteru.

- Gdzie?

- Nie wiem.

- Jego pokój odpada. Czy kiedykolwiek opowiadał o komendzie?

- Uważał, że jest ohydna. Jak więzienie. To było więzienie.

- Proszę myśleć. Czy był jakiś pokój, o którym mówił częściej, który coś dla niego znaczył, któremu był szczególnie niechętny bądź który bardziej lubił?

- Pokój przesłuchań działał na niego szczególnie przygnębiająco.

- Tam nie można niczego ukryć.

- Nienawidził gabinetów pułkowników.

Myślała intensywnie z zamkniętymi oczami. Gdy je otworzyła, wiedziała.

- Karlis opowiadał o pomieszczeniu, które nazywał Salą Złą. Ukryte są w niej dokumenty dotyczące wszystkich krzywd,

jakich doznał nasz kraj. Naturalnie, tam schował swój testament. Pośród świadectw o wszystkich cierpiących tak mocno i tak długo. Zostawił swoje papiery w komendzie głównej.

Wallander obserwował jej twarz, z której zniknęło nagle całe zmęczenie.

- Tak - powiedział. - Sądzę, że ma pani rację. Wybrał kryjówkę w kryjówce. Wybrał chińską urnę. Ale w jaki sposób oznaczył testament, żeby tylko pani mogła go znaleźć?

Nagle zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie.

- Wiem - zaszlochała. - Teraz rozumiem, jak myślał. Na początku naszej znajomości pokazywał mi karciane sztuczki. Jako chłopiec marzył nie tylko o zostaniu ornitologiem, ale również sztukmistrzem. Prosiłam, aby nauczył mnie kilku sztuczek. Odmówił. Pokazał mi tylko najłatwiejszą. Talię kart dzieli się na dwie części, czerwone karty osobno i czarne osobno. Trzeba wyciągnąć jedną kartę i włożyć ją z powrotem do talii. W tak podzielonej talii, czarna karta może trafić do czerwonych i odwrotnie, czerwona do czarnych i łatwo ją znaleźć. Mawiał, że w gorzkiej szarzyźnie świata rozjaśniam jego życie. Dlatego zawsze szukaliśmy czerwonego kwiatu wśród niebieskich lub żółtych albo zielonego domu wśród białych. Stało się to naszą zabawą, naszą tajemnicą. W ten sposób musiał myśleć, ukrywając testament. Archiwum jest pełne różnokolorowych teczek. Gdzieś wstawiona jest teczka, która różni się od innych kolorem lub wielkością. Tam znajdziemy to, czego szukamy.

- Archiwum policyjne musi być wielkie.

- Czasami, gdy wyjeżdżał, kładł talię kart na mojej poduszce, zawsze z czarną kartą ukrytą wśród czerwonych - ciągnęła. - Nie wątpię, że w archiwum jest teczka o mnie. To zapewne obok niej wetknął tę obcą kartę.

Było w pół do szóstej. Nie osiągnęli jeszcze celu, ale sądzili, że wiedzą, gdzie się znajduje. Wallander wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Szwecji - powiedział po szwedzku.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Mówię, że powinniśmy odpocząć - wyjaśnił. - Przed świtem musimy stąd wyjść. Nie wiemy dokąd, nie wiemy również, jak dostać się do policyjnego archiwum. Dlatego powinniśmy odpocząć.

W szafce, na której leżała stara mitra, znaleźli zrolowany koc. Baiba rozłożyła go na podłodze. Najzwyczajniej w świecie wtulili się w siebie, by zachować więcej ciepła.

- Proszę spać. Ja nie będę spał, odpocznę tylko. Gdy będzie trzeba iść, obudzę panią.

Odczekał chwilę, nie było odpowiedzi. Zasnęła.

Opuścili kościół przed siódmą.

Wallander podtrzymywał Baibę, półprzytomną ze zmęczenia. W czasie gdy spała, leżał przy niej, rozmyślając nad kolejnym posunięciem. Wiedział, że musi przygotować jakiś plan, Baiba nie mogła mu już więcej pomóc; spaliła za sobą mosty i była równie zagrożona, jak on. Od teraz był jej opiekunem. Leżał w ciemności, myśląc, że tym razem nie ma żadnego planu, skarbiec jego pomysłów był pusty. Ale myśl o istnieniu trzeciej możliwości pchała go naprzód. Wiedział, że pokładanie w niej zbyt wielkiego zaufania było niebezpieczne, mógł się mylić, a wtedy mordercy majora pozostaliby bezkarni. Jednak o siódmej, gdy trzeba było już wychodzić, wiedział, że nie ma innego wyjścia.

Ranek był zimny. Stali bez ruchu przed bramą, Baiba zawisała na jego ramieniu. Z ciemności doszedł Wallandera prawie niedosłyszalny dźwięk, jak gdyby ktoś nagle poruszył się i zachrzącił stopami na grudach zmarzniętej ziemi. Teraz przyjdą, pomyślał. Zaraz spuszczą psy. Nic się jednak nie stało. Wciąż panował spokój. Pociągnął Baibę za sobą do furtki w murze. Wyszli na ulicę, gdzie Wallander zyskał pewność, że śledzący są gdzieś blisko. Wyczuł ruch w cieniu jednej z bram, usłyszał zgrzyt ponownie otwieranej furtki. Niezbyt sprytnie psy wysyłają za nimi pułkownicy, pomyślał ironicznie.

Albo też chcą, żebyśmy wiedzieli, że nie zgubili tropu.

Chłodny poranek otrzeźwił Baibę, zatrzymali się na jakimś rogu i Wallander wiedział, że musi coś postanowić.

- Czy zna pani kogoś, kto może pożyczyć nam samochód?

Myślała przez chwilę, nim zaprzeczyła.

Strach wzmagął jego poirytowanie. Czemu w tym kraju wszystko było takie trudne? Jak może jej pomóc, jeśli nic tu nie jest normalne, proste, jak był do tego przyzwyczajony?

Nagle przypomniał sobie samochód, który ukradł poprzedniego dnia. Szansa nie była zbyt wielka, nic jednak nie straci, jeśli sprawdzi, czy dalej stoi tam, gdzie go zostawił. Skierował Baibę do drzwi mijanej kawiarni, myśląc, że pewnie zbije to z tropu węszącą za nimi sforę: teraz będą musieli się rozdzielić i zastanawiać się, czy Baiba i on nie mają już przypadkiem wszystkich materiałów w ręku. Ta myśl poprawiła mu humor, wiedział, że w ten sposób rzucą im fałszywą przynętę. Szedł szybko ulicami Rygi. Przede wszystkim musiał sprawdzić, czy samochód w dalszym ciągu stoi tam, gdzie go porzucił.

Był tam. Wallander bez namysłu wskoczył za kierownicę, w środku ciągle śmierdziało rybami, zwarł kable, tym razem pamiętając, żeby wrzucić dźwignię biegów na luz. Zatrzymał się przed kawiarnią, i nie wyłączając silnika, poszedł po Baibę. Siedziała przy stoliku, pijąc herbatę, poczuł głód, ale to mogło poczekać. Zapłaciła już wcześniej, więc wyszli i wsiedli do samochodu.

- Skąd pan go wytrzasnął?

- Kiedy indziej pani opowiem. Teraz proszę mi pokazywać, jak mam jechać, żeby wydostać się z Rygi.

- Dokąd jedziemy?

- Jeszcze nie wiem, na razie poza miasto.

Poranny ruch wzmagał się i Wallander narzekał na ociążałość samochodu. W końcu dotarli na rogatki i wyjechali na równinę, usianą rozrzuconymi wśród pól chłopskimi zagrodami.

- Dokąd prowadzi ta droga? - zapytał Wallander.

- Do Estonii. Kończy się w Tallinie.

- Tak daleko nie pojedziemy.

Wskaźnik poziomu paliwa zaczął podskakiwać, skręcił więc do najbliższej stacji benzynowej. Stary, ślepy na jedno oko człowiek napełnił bak. Gdy Wallander chciał zapłacić i stwierdził, że nie wystarczy mu pieniędzy, Baiba dorzuciła

resztę i pojechali dalej. W czasie tankowania Wallander zauważył przejeżdżający szosą czarny samochód marki, której nie znał, a zaraz potem jeszcze jeden. Gdy wyjechali ze stacji, w lusterku zobaczył auto, zatrzymujące się na poboczu za nimi. A więc trzy, pomyślał. Co najmniej trzy, może więcej.

Przyjechali do miasteczka, którego nazwy nie zapamiętał. Zatrzymał się przy rynku. Grupa ludzi otaczała stragan, na którym sprzedawano ryby. Był bardzo zmęczony. Jego mózg nie wytrzyma, jeśli zaraz się trochę nie prześpi. Po drugiej stronie ulicy zauważył szyld hotelu, zdecydował się natychmiast.

- Muszę się przespać - powiedział do Baiby. - Nie ma pani pieniędzy, czy wystarczy na pokój?

Kiwnęła głową. Wysiedli, przecięli rynek i weszli do hotelu. Baiba tłumaczyła recepcjonistce coś, co wywołało rumieniec na jej twarzy. Skutek był taki, że nie musieli wypełniać druku meldunkowego.

- Co pani jej powiedziała? - zapytał, gdy weszli do pokoju, którego okna wychodziły na podwórze.

- Prawdę. Że nie jesteśmy małżeństwem i zatrzymamy się tylko na parę godzin.

- Zarumieniła się?

- Sama bym się zarumieniła.

Napięcie na chwilę opadło. Baiba spłonęła rumieńcem, a Wallander wybuchnął śmiechem, po czym znowu spowaźniał.

- Nie wiem, czy pani wie, że jest to jedno z najbardziej szalonych przedsięwzięć, w jakich kiedykolwiek brałem udział. Nie wiem również, czy zdaje sobie pani sprawę, że boję się co najmniej tak samo jak pani. W odróżnieniu od pani męża, jestem gliną, który całe życie przepracował w mieście niewiele większym od tego, w którym jesteśmy teraz. Nie mam żadnego doświadczenia w prowadzeniu

skomplikowanych spraw kryminalnych, dotyczących brutalnych zbrodni. Od czasu do czasu musiałem prowadzić śledztwa w sprawie morderstw, ale najczęściej ścigałem podpitych włamywaczy i zbiegłe cielaki.

Usiadła przy nim na brzegu łóżka.

- Karlis mówił, że jest pan dobrym policjantem. Mówił, że popełnił pan błąd, bo zaniedbał pan pewną sprawę, ale i tak uważał pana za sprytnego dochodzeniowca.

Wallander niechętnie przypomniał sobie aferę z pontonem.

- Nasze kraje są tak różne. Karlis i ja pracowaliśmy w zupełnie odmiennych warunkach. On doskonale poradziłby sobie w Szwecji, natomiast ja nie mógłbym być policjantem na Łotwie.

- Teraz pan jest.

- Nie - zaoponował. - Jestem tutaj, ponieważ pani mnie o to prosiła, lub może dlatego, że Karlis był taki, jaki był. Na dobrą sprawę nie wiem, co ja tu robię. Jednego tylko jestem pewien: chciałbym, żeby pojechała pani ze mną do Szwecji, gdy to wszystko się skończy.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Dlaczego? - spytała.

Wiedział, że nie potrafiłby jej tego wytłumaczyć, bo jego własne uczucia były sprzeczne i pogmatwane.

- Nieważne - powiedział. - Proszę zapomnieć, co powiedziałem. Teraz muszę się przespać, żeby móc logicznie myśleć. Pani również powinna odpocząć. Może będzie najlepiej, jeśli poprosi pani recepcjonistkę, żeby zapukała za trzy godziny.

- Dziewczyna znowu się zarumieni - powiedziała Baiba, wstając. Wallander wślizgnął się pod narzutę. Zasypiał właśnie, gdy wróciła z recepcji.

Po trzech godzinach obudził się, mając wrażenie, jakby spał tylko kilka minut. Pukanie nie zbudziło Baiby. Wallander zmusił się do wzięcia zimnego prysznica, by przepędzić

zmęczenie. Ubrał się i pomyślał, że Baiba może pospać dłużej, zanim on wymyśli, co dalej. Na kawałku papieru toaletowego napisał, że niedługo wróci i żeby na niego czekała.

Dziewczyna z recepcji uśmiechnęła się niepewnie, a on miał wrażenie, że w jej spojrzeniu było coś pożądanego. Mówiła trochę po angielsku. Wallander spytał, gdzie mógłby coś zjeść, a ona wskazała drzwi małej, hotelowej jadalni. Usiadł przy stoliku, z którego widział rynek. Wokół straganu z rybami ciągle stali kupujący, szczelnie opatuleni, bo dzień był zimny. Samochód stał tam, gdzie go zaparkował.

Po drugiej stronie rynku zobaczył czarne auta, które mijają ich przy stacji benzynowej. Miał nadzieję, że siedzące w nich pieski pomarzę.

Recepcjonistka, spełniająca również rolę kelnerki, podeszła z półmiskiem kanapek i dzbankiem kawy. Jedząc, spoglądał od czasu do czasu na rynek. W jego głowie zaczął się konkretyzować plan. Pomyślał, że to niemożliwe, by mógł się powieść.

Gdy zjadł, poczuł się lepiej. Wrócił do pokoju. Baiba obudziła się i spojrzała na niego, kiedy wchodził. Przysiadł na łóżku i zaczął jej tłumaczyć, co zamierza.

- Karlis musiał mieć kogoś zaufanego wśród kolegów.
- Nigdy nie spotykaliśmy się towarzysko z policjantami - odrzekła. - Mieliliśmy innych przyjaciół.
- Proszę pomyśleć - nalegał. - Musiał być ktoś, z kim czasami pił kawę. Niekoniecznie przyjaciel, wystarczy, żeby nie był jego wrogiem.

Zamyśliła się, dał jej czas. Cały plan opierał się na tym, że major miał kogoś, komu może nie całkiem ufał, ale kogo nie podejrzewał.

- Mówił czasami o Mikelisie - powiedziała po namyśle. - Młodym sierżancie, który różnił się od innych. Ale nic o nim nie wiem.

- Musi pani coś wiedzieć. Dlaczego Karlis o nim wspominał? Poprawiła poduszki, widział, że stara się coś sobie przypomnieć.

- Karlis opowiadał o przerażeniu, jakim napełniała Mikelisa znieczulica kolegów, ich obojętność w obliczu cierpienia. Mikelis był inny. Kiedyś z Karlisem aresztowali człowieka, nędzarza, obarczonego liczną rodziną. Zaraz potem Mikelis zwrócił się do Karlisa i powiedział, że uważa to za obrzydliwość. Może Karlis opowiadał o nim również w związku z innymi sprawami, ale nie pamiętam.

- Kiedy to było?

- Niedawno.

- Niech pani spróbuje sprecyzować. Rok temu? Więcej?

- Mniej. Mniej niż rok.

- Mikelis musiał być zatrudniony w sekcji zabójstw, skoro pracował razem z Karlisem?

- Nie wiem.

- Tak musiało być. Zadzwoni pani do Mikelisa i powie, że musi się pani z nim spotkać.

Popatrzyła na niego, wystraszona.

- On każe mnie zamknąć.

- Nie przyzna się pani, że jest Baibą Liepą. Powie mu pani tylko, że ma dla niego informacje, które mogą mu pomóc w karierze. Ale chce pani pozostać anonimowa.

- Policjanta w naszym kraju niełatwo oszukać.

- Musi pani brzmieć przekonywająco. Nie może się pani poddawać.

- Ale co ja mu powiem?

- Nie wiem. Proszę mi pomóc coś wymyślić. Co może być największą pokusą dla łotewskiego policjanta?

- Pieniądze.

- Obca waluta?

- Za amerykańskie dolary wielu mieszkańców naszego kraju gotowych jest sprzedać własną matkę.

- Powie pani, że zna kilka osób, które posiadają sporo dolarów.

- Spyta, skąd je mają.

Wallander myślał gorączkowo. Nagle przypomniał sobie pewne zdarzenie, które miało miejsce w Szwecji.

- Zadzwoń pani do Mikelisa i powie tak: zna pani dwóch Łotyszów, którzy dokonali napadu w Sztokholmie i przejęli większą ilość obcej waluty, w większości dolarów. Obrabowali kantor wymiany walut na dworcu centralnym, a szwedzka policja nie rozwiązała sprawy. Teraz są na Łotwie, wraz z całą tą sumą. Tak pani powie.

- Spyta, kim jestem i co o tym wiem.

- Zasugeruje pani, że była kochanką jednego z nich, ale on panią porzucił. Chce się pani zemścić, lecz lęka się ich pani, dlatego chce pozostać anonimowa.

- Nie bardzo umiem kłamać.

Wybuchnął.

- To musi się pani nauczyć. Teraz. Ten Mikelis to nasza jedyna szansa na dostanie się do archiwum. Mam pewien plan, który być może da się przeprowadzić, więc jeśli nie ma pani innych propozycji, muszę spróbować go realizować.

Wstał z łóżka.

- Teraz wracamy do Rygi. W samochodzie opowiem pani, co obmyśliłem.

- Czy to Mikelis odszuka papiery Karlisa?

- Nie on - odpowiedział z powagą. - Ja to zrobię. On wprowadzi mnie tylko do komendy.

Po powrocie do Rygi Baiba zadzwoniła do Mikelisa z poczty i udało jej się sprzedać ich kłamstwa. Później poszli do miejskiej hali targowej. W budynku przypominającym hangar sprzedawano ryby. Wallander miał tu czekać na Baibę. Patrzył za nią, znikającą w tłumie, i myślał, że być może nigdy więcej jej nie zobaczy. W hali z mięsem Baiba spotkała się z Mikelisem. Przechadzali się wśród stoisk i

rozmawiali, popatrując na towar. Wyznała mu, że nie istnieją żadni dolarowi bandyci. W czasie powrotu do Rygi Wallander instruował ją, żeby niczego nie ukrywała i opowiedziała całą historię. To było jedyne, co mogli zrobić: wóz albo przewóz.

- Albo panią zatrzyma - mówił. - Albo robi to, czego chcemy. Jeśli zacznie pani kręcić, pomyśli, że to może być pułapka kogoś z przełożonych, powątpiewających w jego lojalność. Jeśli pani nie rozpozna, musi go pani przekonać, że jest wdową po Karlisie. Proszę zrobić dokładnie tak, jak mówię.

Po godzinie Baiba wróciła do Wallandera. Od razu wiedział, że się powiodło. Jej twarz wyrażała ulgę i zadowolenie. Jest śliczna, pomyślał.

Opowiadała cichym głosem, jak bardzo Mikelis się bał, stawiając na jedną kartę całą swoją przyszłość w policji. Może nawet ryzykował życiem. Ale jednocześnie miała wrażenie, że poczuł pewną ulgę.

- Jest jednym z nas - mówiła. - Karlis się nie mylił.

Pozostało dużo czasu do momentu, gdy Wallander będzie mógł przystąpić do działania. Spacerowali po mieście, by zabić czas, ustalili dwa alternatywne miejsca spotkania i na koniec poszli na uniwersytet, gdzie wykładała. W pustej, pachnącej eterem sali biologicznej Wallander zasnął, oparłszy głowę o gablotę ze szkieletem rybitwy. Baiba usiadła w szerokiej okiennej niszy, bezmyślnie gapiąc się na park za szybą. Pozostało im tylko monotonne oczekiwanie.

Tuż przed ósmą rozstali się. Baiba namówiła strażnika, by na moment zgasił światło przy wyjściu na tyłach uniwersytetu.

Gdy to nastąpiło, Wallander wymknął się i pobiegł w kierunku wskazanym przez Baibę. Gdy się zatrzymał dla złapania oddechu, był pewien, że sfera została pod uniwersytetem. Kiedy na zegarze kościelnym za komendą

główną wybiła dokładnie dziewiąta, wszedł przez oświetlone drzwi do tej części komendy, która była dostępna dla ludzi z zewnątrz. Baiba szczegółowo opisała mu wygląd Mikelisa, gdy więc go zobaczył, był jedynie zaskoczony jego młodością. Mikelis czekał za kontuarem. Bóg jeden wie, jak umotywował swoją obecność na komendzie, pomyślał Wallander, podchodząc wprost do niego i rozpoczynając odgrywanie swej roli. Wysokim, wzburzonym głosem opowiadał, jak to on, uczciwy turysta, został w biały dzień obrabowany na ulicy Rygi. Nie dość że ci groźni bandyci zabrali mu pieniądze, to jeszcze odważyli się zagrabić coś tak nietykalnego, jak paszport. I w tym momencie z rozpaczą uświadomił sobie, że popełnił fatalny błąd. Kompletnie zapomniał poprosić Baibę, by dowiedziała się, czy Mikelis mówi po angielsku. Co będzie, jeśli zna tylko łotewski, myślał zdesperowany. Nie mógł nawet przywołać nikogo na pomoc, bo wtedy wszystko byłoby stracone.

Ku jego uldze okazało się, że Mikelis zna angielski, lepiej nawet niż major, i kiedy któryś z policjantów podszedł do kontuaru, by ewentualnie uwolnić Mikelisa od uciążliwego Anglika, został opryskliwie oddalony. Mikelis wprowadził Wallandera do przyległego pokoju. Znajdujący się w nim policjanci okazali mu zainteresowanie, jednak nie na tyle duże, by mógł sądzić, że któryś z nich coś podejrzewa i może wszcząć alarm. Pokój przesłuchań był wychłodzony, Wallander usiadł na krześle. Mikelis przypatrywał mu się z powagą.

- O dziesiątej przyjdą policjanci pełniący nocną służbę - zaczął. - Dobrze będzie, jeśli do tego czasu spiszemy protokół z napadu. Oprócz tego wyślę patrol, który będzie szukać osób odpowiadających rysopisom, jakie wymyślimy. Mamy dokładnie godzinę.

Mikelis potwierdził przypuszczenia Wallandera - archiwum było ogromne. Najprawdopodobniej nie uda mu się

przeszukać choćby części półek i rejestrów, znajdujących się w podziemiach komendy głównej. Jeżeli Baiba nie ma racji, przypuszczając, że Karlis ukrył testament w pobliżu teczki z jej imieniem na okładce, wszystko zakończy się fiaskiem. Mikelis dał Wallanderowi plan, który sam narysował. Po drodze do archiwum trzeba przejść przez troje różnych drzwi, do których klucze dostanie. Na końcu korytarza, za ostatnimi drzwiami, czuwa strażnik. Dokładnie o wpół do jedenastej Mikelis zatelefonuje do niego i zajmie go rozmową. Po godzinie, o wpół do dwunastej, zejdzie do piwnicy i poprosi strażnika o pomoc w jakiejś wymyślonej sprawie. Wtedy Wallander opuści archiwum. Jeśli natknie się w korytarzu na jakiegoś policjanta, który będzie coś podejrzewał, musi sobie z nim radzić na własną rękę.

Czy powinien ufać Mikelisowi?

Wallander zadał sobie to pytanie, wiedząc, że odpowiedź jest bez znaczenia, musi mu ufać, nie ma innego wyjścia. Pamiętał instrukcje, jakie dawał Baibie na temat tego, co ma mówić młodemu sierżantowi, ale nie miał zielonego pojęcia, co mu powiedziała poza tym; jedno było pewne, nakłoniła go do wprowadzenia Wallandera do archiwum. Przecież i tak, cokolwiek by zrobił, jest obcy w tej rozgrywce.

Po pół godzinie Mikelis wyszedł z pokoju, by wysłać patrol na poszukiwanie osób, które mogły być sprawcami napadu na angielskiego turystę Stevensa. Nazwisko zaproponował Wallander, skąd je wytrzasnął, nie wiedział. Natomiast Mikelis wymyślił rysopisy, pasujące do połowy mieszkańców Rygi. Wallander pomyślał, że jeden z rysopisów przypomina samego Mikelisa. Napad miał mieć miejsce w pobliżu esplanady, ale pan Stevens był w dalszym ciągu zbyt roztrzęsiony, by móc pojechać z patrolem i dokładnie wskazać miejsce. Po powrocie Mikelisa przestudiowali raz jeszcze plan drogi do archiwum. Wallander skonstatował, że będzie przechodził koło pokoju,

w którym niegdyś pracował, a także obok gabinetów pułkowników. Na tę myśl przeszły go ciarki. Nawet jeśli któryś z nich siedzi w swym pokoju, pomyślał, to i tak nie mogę wiedzieć, czy to ten, który zlecił sierżantowi Zidsowi zamordowanie Inese i jej przyjaciół. Który z nich jest za to odpowiedzialny, Putnis czy Murniers? Który wysłał swoje psy, żeby zapolowały na ludzi szukających testamentu majora?

Nadszedł czas zmiany strażników. Wallander poczuł w żołądku ból spowodowany napięciem nerwowym. Chciałby pójść do toalety, lecz nie było na to czasu. Mikelis uchylił drzwi na korytarz i powiedział, że można iść. Wallander pamiętał plan, wiedział, że nie może zabłądzić. Moment, w którym Mikelis miał zatelefonować do strażnika, zbliżał się. Komenda była pusta. Przemykał długimi korytarzami najciszej jak umiał, przygotowany, że któreś drzwi nagle się otworzą i zobaczy wymierzoną w siebie broń. Licząc schody, słyszał, jak jego kroki odbijają się echem w korytarzu i pomyślał, że wszedł do jakiegoś labiryntu, w którym bardzo łatwo może stracić orientację. Schodząc w dół, zastanawiał się, jak głęboko leży archiwum. W końcu dotarł do miejsca, w którego pobliżu powinien znajdować się strażnik. Spojrzał na zegarek, Mikelis miał zadzwonić za chwilę. Stał bez ruchu i nasłuchiwał. Cisza niepokoiła go. Czyżby jednak zabłądził? Ostry dźwięk dzwonka telefonu przeciął nagle ciszę, Wallander odetchnął. Usłyszał kroki w sąsiednim korytarzu, kiedy ucichły, pospieszył dalej, dopadł drzwi archiwum i otworzył je dwoma kluczami, które dostał od Mikelisa.

Próbował odszukać włączniki światła. Po omacku wodził palcami wzdłuż ściany, w końcu je znalazł. Mikelis mówił mu, że drzwi są szczelne i nie przepuszczają światła, które mogłoby zaalarmować strażnika.

Czuł się jak w ogromnym, podziemnym hangarze. Nie

przypuszczał, że archiwum może być tak wielkie. Nieprzeliczone rzędy szaf i regałów, wypełnionych ciasno teczkami, wytrąciły go na chwilę z równowagi. Sala Zła, pomyślał. Z jakimi myślami wchodził tu major, by zostawić bombę, którą miał nadzieję kiedyś zdetonować?

Wallander znów popatrzył na zegarek i zirytował się. Jest późno, a on traci czas na jałowe rozważania. Jednocześnie poczuł, że nie wytrzyma już długo i będzie musiał się wypróżnić. Chyba jest gdzieś w archiwum toaleta, myślał gorączkowo. Pytanie tylko, czy zdązę ją znaleźć? Ruszył w kierunku, który przedtem wskazał mu Mikelis. Łotewski policjant przestrzegał go również, że pośród regałów i pomieszczeń archiwum bardzo łatwo zabłądzić, ponieważ wszystkie wyglądają identycznie. Wallander przeklinał fakt, że tak duża część jego świadomości zajęta jest rozregulowanym żołądkiem i bał się, co będzie, jeśli szybko nie znajdzie ubikacji.

Zatrzymał się nagle i rozejrzał. Spostrzegł bowiem, że poszedł w złym kierunku. Zaszedł za daleko, czy też nie skręcił w miejscu, które wskazywał plan Mikelisa? Zawrócił. Zdał sobie nagle sprawę, że nie wie, gdzie jest, i poczuł panikę. Zerknął na zegarek. Pozostało czterdzieści minut. Powinien już dawno znaleźć właściwy sektor. Przeklinał sam siebie. Czyżby Mikelis coś źle narysował? Dlaczego nie może go odnaleźć? Stwierdził, że musi zacząć od początku. Pobiegnął między półkami w kierunku wyjścia. W pośpiechu wpadł na blaszany kosz, który z ogłuszającym łoskotem uderzył o szafę z dokumentami. Strażnik, pomyślał. To musiało być słyszalne za drzwiami. Stał bez ruchu i słuchał, ale żaden klucz nie zazgrzytał w zamku. Jednocześnie poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Spuścił spodnie, przykucnął nad koszem i wypróżnił się. Z wściekłym niesmakiem zdjął z półki teczkę, wydarł z niej kilka kartek - pewnie protokół z przesłuchania - i podtarł się. Po czym zaczął od nowa,

wiedząc, że musi znaleźć właściwy pokój, zanim będzie za późno. Modlił się do Rydberga, by ten kierował jego krokami. Liczył pokoje i półki, w końcu trafił. Ale zajęło mu to zbyt wiele czasu i teraz miał tylko nieco ponad pół godziny na odnalezienie testamentu. Nie był pewien, czy to wystarczy. Zaczął szukać. Mikelis nie mógł wytłumaczyć mu ze szczegółami, jak urządzone jest archiwum, Wallander musiał szukać na wyczucie. Zauważył, że dokumenty były ustawione w zwykłym porządku alfabetycznym. Istniały sekcje, podsekcje, a może nawet dodatkowe podpodsekcje. Tu znajdują się wszyscy niełojalni, pomyślał. Wszyscy śledzeni i terroryzowani, wszyscy, na których doniesiono lub uznano, że pasują na wrogów ludu.

Jest ich tak wielu, że nigdy nie znajdę teczki Baiby.

Próbował wejść w system nerwowy archiwum, wyodrębnić logicznie miejsce, w którym mógł być ukryty „Czarny Piotruś”. Czas płynął, a on nie posunął się ani o krok naprzód. Znów zaczął od początku, gorączkowo wyjmował z półek różniące się kolorami teczki, starając się nie stracić panowania nad sobą. Do opuszczenia archiwum pozostało tylko dziesięć minut, a on jeszcze nie znalazł teczki Baiby. W ogóle nic nie znalazł. Był zdesperowany, doszedł tak daleko, a teraz musiał przyznać się do własnej bezsilności. Nie było już czasu na systematyczne szukanie. Wszystko, co mógł teraz zrobić, to przejść raz jeszcze wzdłuż półek, zdając się na swój instynkt. Wiedział jednak, że nie istnieją archiwa zbudowane na instynktownych zasadach i pomyślał, że wszystko jest stracone. Major był sprytnym człowiekiem, w każdym razie zbyt sprytnym dla Kurta Wallandera, policjanta z Ystadu.

Gdzie, myślał, gdzie? Jeśli archiwum jest talią, to gdzie jest wsunięta czerwona karta? Gdzieś z boku czy w środku?

Wybrał środek, rzędy teczek, wszystkie z brązowymi grzbietami, i nagle wśród nich jedna niebieska. Wyrwał

brązowe teczki okalające niebieską, pierwsze nazwisko - Leonard Blooms, drugie - Baiba Kalns. Na moment wszystko stanęło. A więc panięskie nazwisko Baiby musiało brzmieć Kalns. Wyciągnął teczkę, nie było na niej żadnej nazwy ani numeru. Nie miał czasu na jej przeglądanie, pospieszył do wyjścia, zgasił światło i zamknął drzwi. Strażnika nie było, ale według planu Mikelisa mógł wrócić w każdej chwili. Wallander szedł spieszenie korytarzem, gdy nagle usłyszał echo kroków powracającego strażnika. Droga była zamknięta, wiedział, że musi zmienić plan i szukać wyjścia na własną rękę. Stał bez ruchu, podczas gdy strażnik przechodził sąsiednim korytarzem. Gdy kroki ucichły, pomyślał, że musi znaleźć drogę, która go wyprowadzi z podziemia. Szukając schodów, przypominał sobie, ile pięter przeszedł w drodze na dół. Gdy znalazł się znowu na parterze, był wykończony. Poszedł wybranym na chybił trafił, pustym korytarzem. Pod ścianą stał człowiek. Palił papierosa. Musiał słyszeć zbliżającego się Wallandera. Zgasił niedopałek pod obcasem, zastanawiając się, kto pracuje tak późno w nocy. Gdy Wallander wyszedł zza rogu, człowiek stał o kilka kroków od niego. Kurtka jego munduru była rozpięta, miał około czterdziestki. Zobaczywszy Wallandera z niebieską teczką w ręku, od razu wiedział, że to ktoś obcy. Wyciągnął pistolet i krzyknął coś po łotewsku. Wallander nie rozumiał, ale podniósł ręce nad głowę. Człowiek zbliżał się w jego kierunku, wciąż mierzył mu w pierś i nie przestawał pokrzykiwać. Zrozumiał, że oficer chce, by uklęknął. Patetycznym gestem wykonał nakaz, ciągle trzymając ręce w górze. Nie było ucieczki, wpadł, zaraz pewnie przyjdzie któryś z pułkowników i zobaczy niebieską teczkę z testamentem majora.

Człowiek z wymierzonym pistoletem wykrzykiwał coś, co brzmiało jak pytania. Wallander zaczął się bać, że zastrzeli go tu, w korytarzu. Zaczął mówić to, co pierwsze przyszło

mu do głowy:

- *It is a mistake* - powtarzał ostrym głosem. - *His a mistake, I am a policeman, too.*

Nie było żadnego nieporozumienia. Oficer rozkazał mu wstać z rękami w górze i popchnął go do przodu, od czasu do czasu poszturchując lufą w plecy.

Okazja nadarzyła się, gdy podeszli do windy. Wallander już właściwie się poddał, uznając, że sytuacja jest bez wyjścia. Opór nie miał sensu, oficer na pewno nie zawahałby się go zastrzelić. Ale gdy czekali na windę, oficer, przypalając papierosa, odwrócił się nieznacznie, i wtedy, w ułamku sekundy, Wallander dostrzegł możliwość ucieczki. Rzucił niebieską teczkę pod nogi oficera i jednocześnie z całej siły walnął go w kark. Ten osunął się na podłogę, wypuszczając pistolet z dłoni. Wallander poczuł piekielny ból w knykciach. Nie wiedział, czy go zabił, czy tylko pozbawił przytomności, jego własna ręka zeszywniała z bólu. Podniósł teczkę, schował pistolet do kieszeni i pomyślał, że głupotą byłoby korzystać teraz z windy. Człowiek leżący na podłodze zaczął dawać oznaki życia, Wallander wiedział, że nie zdoła go uderzyć jeszcze raz równie silnie. Próbował zorientować się w sytuacji, spoglądając przez okno w ciemne podwórze i spostrzegł, że korytarz pułkowników znajduje się po drugiej stronie budynku. Korytarzem w lewo zaczął oddalać się od windy, ufając, że znajdzie wyjście. Miał szczęście, wszedłszy do jednej ze stołówek, trafił w kuchni na niedbale zamknięte drzwi towarowe. Był na zewnątrz. Ręka puchła i bolała coraz bardziej.

Z Baibą miał się spotkać o wpół do pierwszej. Cekał w parku przy esplanadzie, w cieniu kościoła zamienionego na planetarium. Otaczały go cienie starych lip. Baiba nie przyszła. Kwadrans po pierwszej zrozumiał, że musiało stać się coś, co uniemożliwiło jej przyjście. Ogarnął go niepokój, przed oczami stanęła mu przestrzelona głowa Inese. Czyżby

ogary i ich mocodawcy mimo wszystko spostrzegli, że Wallanderowi udało się wymknąć z uniwersytetu? Co w takim razie zrobili z Baibą? Nie miał odwagi się domyślać. Wyszedł z parku, nie mając pojęcia, dokąd się udać. Szedł pogrążonymi w mroku ulicami, jak gdyby prowadzony przez ból ręki. Przejeżdżający na sygnale wojskowy gazik zmusił go do szukania schronienia w pobliskiej bramie, zaraz potem znów musiał uskoczyć w cień przed przemykającym ulicą policyjnym autem. Okładki teczki z testamentem majora, którą schował pod koszulą, uwierały go w żebra. Zastanawiał się, gdzie spędzi noc. Temperatura powietrza znacznie spadła.

Drżał z zimna. Alternatywnym miejscem spotkania, które ustalili z Baibą, było czwarte piętro domu towarowego. Do godziny dziesiątej, na którą się tam umówili, pozostało jeszcze ponad siedem godzin i niepodobna było spędzić ich na ulicy. Wiedział również, że powinien poszukać pomocy lekarskiej, podejrzewał, że w rękę pękła mu jakaś kość. Ale nie odważyłby się pójść do lekarza dopóty, dopóki miał przy sobie testament majora. Przez moment pomyślał, czyby nie poszukać schronienia w szwedzkiej ambasadzie. Ale po chwili odrzucił ten pomysł. Szwedzki glina, nielegalnie szmuglujący się do obcego kraju, z pewnością zostałby odstawiony do ojczyzny ciupasem. Nie zamierzał ryzykować.

Postanowił poszukać samochodu, który służył mu podczas ostatnich dwóch dni. Niestety, nie znalazł go tam, gdzie zaparkował. Przez chwilę myślał, że otumaniony bólem ręki pomylił miejsce. Czy rzeczywiście tu zostawił auto? Wreszcie nabrał pewności, że samochód został rozebrany na części i pocięty na paseczki przez kogoś z pułkowników, podejrzewającego, że może być w nim ukryty testament majora.

Gdzie spędzić noc? Przytłaczała go myśl, że znajduje się na

terytorium wroga, otoczony przez ścigającą go sferę, kierowaną przez kogoś, kto nie zawaha się zmienić go w martwą kukłę, wrzuconą potem do któregoś z pokrytych lodem basenów portowych lub zakopaną w podmiejskim lesie. Instynktownie tęsknił za domem. U źródeł jego samotności w tej lotewskiej nocy leżały dwa martwe ciała mężczyzn w gumowym pontonie, tak odległe teraz i niewyraźne, że nasuwało się pytanie, czy w ogóle istniały.

Z braku innego pomysłu poszedł mrocznymi, pustymi ulicami w kierunku hotelu, w którym spędził noc. Drzwi wejściowe były zamknięte i żadne światło nie zapaliło się na piętrze, gdy zadzwonił. Obawiał się, że ból ręki odbierze mu jasność myśli, jeśli zaraz nie znajdzie dachu nad głową i nie będzie mógł się ogrzać. Poszedł do następnego hoteliku, lecz próby dostania się do środka były bezowocne. W trzecim z kolei, bardzo zaniedbanym i niezachęcającym do wejścia, zastał drzwi otwarte. Wszedł do recepcji, w której, z głową opartą na stole, spał mężczyzna. Przy jego nogach stała w połowie pusta butelka. Wallander szarpnięciem przywrócił go do życia i machnął mu przed nosem paszportem, który dostał od Preussa, w zamian za co otrzymał klucz do pokoju. Wskazał gestem butelkę z resztką wódki, położył na kontuarze stukoronowy banknot i zabrał flaszkę ze sobą.

Pokój był mały, cuchnął stęchlizną, meble były brudne, a tapety zakopcone. Usiadł na łóżku, pociągnął kilka łyków z flaszki i poczuł błogie, rozchodzące się po ciele ciepło. Zdjąwszy kurtkę, napełnił umywalkę zimną wodą i zanurzył w niej spuchniętą rękę. Ból powoli ustawał. Postanowił, że całą noc przesiedzi z ręką w umywalce. Pociągając od czasu do czasu z butelki, zastanawiał się z niepokojem, co też mogło stać się z Baibą.

Wolną ręką wyjął spod koszuli niebieską teczkę i otworzył ją. W środku było kilkadziesiąt pokrytych maszynowym pismem kartek, kilka niewyraźnych kserokopii, ale żadnych

zdjęć, na które miał nadzieję. Testament majora był napisany po lotewsku, nie mógł więc niczego z niego zrozumieć. Zauważył, że począwszy od strony dziewiątej, nazwiska Murniersa i Putnisa powtarzają się regularnie. W jednych zdaniach występowały obok siebie, w innych osobno. Nie wiedział, co to oznacza, czy major wskazywał na jednego z nich czy na obydwu. Dając spokój domysłom, położył teczkę na podłodze, wypełnił umywalkę świeżą wodą i oparłszy czoło o kant stołu, przysnął. Obudził go skurcz, spał dziesięć minut. Ból w ręce wzrastał, zimna woda przestała pomagać. Wypił resztkę wódki z butelki, owinął rękę ręcznikiem i położył się.

Nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli Baiba nie pojawi się w domu towarowym.

Ogarniało go uczucie przegranej. Nie zasnął do białego rana. Wróciła ładna pogoda.

Z pólśnu wyrwało go uczucie zagrożenia. Była prawie siódma. Leżał bez ruchu, wsłuchując się w mrok. Niebezpieczeństwo nie czaiło się w pokoju czy na zewnątrz, było w nim, coś go ostrzegało, że nie podniósł jeszcze wszystkich kamieni, pod którymi można coś znaleźć.

Ból ręki zelżał. Ostrożnie poruszył palcami, starając się nie patrzeć na dłoń. Ból powrócił natychmiast. Jeszcze kilka godzin, a nie da sobie rady bez lekarza.

Był bardzo zmęczony. Kiedy przysypiał kilka godzin wcześniej, czuł się pokonany. Władza pułkowników była zbyt wielka, a jego własne możliwości kontrolowania sytuacji gwałtownie się kurczyły. Czuł się również pokonany przez zmęczenie, długotrwały brak snu sprawił, że nie dowierzał własnemu osądowi.

Próbował sobie wytłumaczyć uporczywe uczucie zagrożenia, z którym się obudził. Co przeoczył? Gdzie nie zauważył ukrytych powiązań, bądź też błędnie je zinterpretował? Czego wciąż jeszcze nie dostrzegał? Musiał ufać swemu instynktowi, który w sytuacji, w jakiej się znajdował, był jego jedynym sprzymierzeńcem.

Czego wciąż nie dostrzegał? Usiadł w łóżku, z niesmakiem spojrzął na spuchniętą rękę i napełnił umywalkę zimną wodą. Najpierw opłukał twarz, później rękę. Po chwili podszedł do okna i odsłonił firankę. Uderzył go silny zapach węglowych spalin. Wilgotny świt wstawał nad wieżami niezliczonych kościołów tego miasta. Obserwując ludzi spieszących trotuarami, wciąż zastanawiał się, czego nie dostrzegał.

Opuścił pokój, zapłacił i pozwolił pochłonąć się miastu.

Przechodząc przez jeden z parków, którego nazwy nie pamiętał, pomyślał, że Ryga jest miastem psów, nie tylko tych tropiących, które go ściagały, ale również zwykłych

czworonogów, wyprowadzanych przez ludzi na spacer. Przystanął, obserwując gwałtowną walkę dwóch z nich: wilczura i mieszańca. Właściciele, krzycząc, próbowali je rozdzielić i nagle zaczęli krzyczeć również na siebie. Wilczur należał do starszego pana, a mieszaniec do trzydziestoletniej kobiety. Miał uczucie, że patrzy na zastępczy pojedynek, który psy odbywają zamiast ludzi, wyrażając w tej walce agresję swoich właścicieli. Psy walczyły tak jak ludzie, i wyniku tej walki również nie można było przewidzieć.

Przyszedł do domu towarowego dokładnie o dziewiątej, gdy właśnie otwierano. Niebieska teczka paliła go pod koszulą. Instynkt podpowiadał mu, że teraz powinien się jej pozbyć, ukryć ją gdzieś na chwilę.

W czasie spaceru po mieście dokładnie rejestrował wszystkie ruchy ludzi dookoła siebie i był pewny, że pułkownicy znowu go namierzili. Cieni zdawało się być więcej niż wcześniej, pomyślał ponuro, że zanosi się na burzę. Zatrzymał się przed wejściem do domu towarowego, udając, że patrzy na tablicę reklamową, podczas gdy tak naprawdę obserwował punkt informacyjny, będący jednocześnie przechowalnią bagażu. Kontuar miał kształt litery L, co pamiętał z poprzedniej wizyty. Podeszedł do kasy wymiany walut, położył stukoronowy banknot i dostał za niego plik łotewskich pieniędzy. Następnie poszedł na górę, do działu płyt gramofonowych. Wybrał dwie z muzyką Verdiego. Płyty miały taką samą wielkość jak teczka. Gdy płacił, dostrzegł smutasa, udającego zainteresowanie jazzem. Wrócił do punktu informacyjnego i czekał. Gdy zebrało się trochę ludzi, przeszedł do dłuższego ramienia kontuaru, wyciągnął teczkę i włożył ją między płyty. Poszło szybko, mimo że używał tylko jednej ręki. Oddał torbę, wziął numerek i odszedł. Mimo że cienie były rozstawione gęsto, miał pewność, że nikt nie zauważył, jak pozbywa się teczki.

Ryzyko, że przeszukają torbę, było niewielkie, widzieli przecież, jak kupował płyty.

Spojrzał na zegarek. Do spotkania z Baibą zostało dziesięć minut. Niepokój go nie opuszczał, ale pozbywszy się teczki, poczuł się pewniej. Poszedł na piętro z meblami. Mimo wczesnej pory było już tam sporo ludzi, którzy z rezygnacją czy też z rozmarzeniem oglądali sofy i łóżka. Powoli szedł w kierunku działu kuchennego. Nie chcąc przybyć za wcześnie, zatrzymał się przy armaturze.

Byli umówieni przy lodówkach i kuchenkach, zobaczył ją od razu. Oglądała piecyk. Natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Coś się stało, już rano miał to przeczucie. Niepokój wyostrzył mu wszystkie zmysły.

Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się, ale jej oczy mówiły, że bardzo się boi. Wallander podszedł, nie patrząc na ruchy cieni. Za wszelką cenę chciał wyjaśnić sytuację.

- Co się stało? - spytał. - Proszę mówić tylko to, co ważne, nie mamy czasu.

- Nic się nie stało, tyle że nie mogłam wyjść z uniwersytetu, bo był obstawiony.

Dlaczego kłamie, myślał gorączkowo. Dlaczego próbuje kłamać tak zręcznie, bym nie mógł tego przejrzeć?

- Czy zdobył pan teczkę?

Zawahał się, czy powiedzieć jej prawdę i nagle poczuł, że ma dość wszystkich łgarstw.

- Tak. Mam ją. Na Mikelisie można było polegać.

Spojrzała na niego szybko.

- Proszę mi ją dać. Wiem, gdzie ją ukryć.

Wtedy uświadomił sobie, że nie mówi tego Baiba, tylko jej strach; chciała, by oddał teczkę, bo ktoś jej groził.

- Co się stało? - spytał znowu z naciskiem.

- Nic - powtórzyła.

- Proszę nie kłamać - powiedział ostrzejszym tonem. - Dam pani teczkę. Ale co by się stało, gdyby pani jej nie dostała?

Widział, że jest na granicy załamania. Nie upadnij tylko, pomyślał z desperacją, wciąż mamy przewagę, lecz tylko tak długo, jak długo nie są całkiem pewni, czy znalazłem testament majora.

- Umarłby Upitis - wyszeptała.

- Kto tym grozi?

Pokręciła głową.

- Muszę wiedzieć. Dla Upitisa nie ma już znaczenia, co mi pani powie.

Baiba popatrzyła na niego z przerażeniem. Potrząsnął ją za ramię.

- Kto? - spytał. - Kto?

- Sierżant Zids.

Puścił jej ramię. Odpowiedź wywołała w nim wściekłość.

Czy nigdy się nie dowie, który z pułkowników kryje się za tym wszystkim? Gdzie było jądro zła?

Nagle zobaczył zbliżające się cienie. Pewnie byli przekonani, że ma już testament majora. Bez namysłu pociągnął za sobą Baibę i zaczęli biec ku schodom. To nie Upitis zginie pierwszy, lecz my, jeśli nie zdołamy uciec.

Ich nagły manewr zaskoczył i dezorientował sforę. Wątpił, czy im się uda, ale wiedział, że muszą spróbować. Wpadli na schody, potrącając mężczyznę, który nie zdążył uskoczyć, i znaleźli się w dziale konfekcji. Klienci i ekspedientki patrzyli na nich ze zdumieniem. Wallander potknął się o własne stopy i głową naprzód runął na drążek z garniturami. Usiłując wyplątać się z marynarek, przewrócił cały wieszak. Ratując się przed upadkiem, podparł się na chorej ręce i poczuł w ramieniu nagły ból, przeszywający jak cios noża. Podbiegł do niego jeden ze sklepowych ochroniarzy, chwycił go za ramię i wtedy Wallander pozbył się resztek obiekcji. Zdrową ręką walnął strażnika w twarz, jednocześnie pociągając Baibę za sobą w tę część sklepu, gdzie miał nadzieję znaleźć zapasowe wyjście. Ścigające ich

ogary zbliżały się, nie próbując się dłużej kryć. Wallander szarpał drzwi, których nie mógł otworzyć, w końcu zauważył obok inne, uchylone. Wbiegli na schody, lecz z dołu słychać już było tupot kroków, pozostało tylko biec schodami na górę.

Szarpięciem otworzył drzwi pożarowe, znaleźli się na pokrytym żwirem dachu. Rozejrzał się w poszukiwaniu dalszej drogi ucieczki i stwierdził, że są w potrzasku. Zejście z dachu było tylko jedno, skok w wieczność. Trzymając kurczowo Baibę za rękę, postanowił czekać. Wiedział, że pułkownik, który za chwilę ukaże się na dachu, jest tym, który zamordował majora. Zza szarych drzwi pożarowych wyłoni się w końcu odpowiedź. Z goryczą pomyślał, że nie ma już znaczenia, czy miał rację.

Był jednak zdziwiony, gdy na dach wbiegł pułkownik Putnis z uzbrojonymi ludźmi. Mimo wszystko podejrzewał, że to Murniers był potworem, tak długo skrywającym się w cieniu.

Putnis podszedł do nich powoli, Wallander czuł, jak paznokcie Baiby wpijają mu się w dłoń. Nie rozkaże przecież swoim ludziom, by nas zastrzelili tutaj, myślał rozpaczliwie. Choć kto wie? Pamiętał brutalną egzekucję Inese, ogarnęło go przerażenie, drżał.

Nagle Putnis uśmiechnął się i osłupiały Wallander spostrzegł, że szczerzący zęby drapieżnik ma uprzejmy wyraz twarzy.

- Jest pan zaskoczony, komisarzu Wallander. Pan zdaje się wierzyć, że to ja kryję się za tą zagmatwaną sprawą. Muszę powiedzieć, że trudno pana ochraniać.

Przez chwilę mózg przestał mu działać, po czym przyszła mu do głowy myśl, że mimo wszystko miał rację, to nie Putnis, lecz Murniers był wcieleniem zła, które tak długo ścigał. Miał też rację w tym, że istniała trzecia możliwość, że wróg miał wroga. Nagle wszystko stało się jasne, wycucie go nie

zawiodło. Wyciągnął lewą rękę na przywitanie.

- Trochę niezwykle miejsce spotkania - uśmiechnął się Putnis. - Ale jest pan najwyraźniej człowiekiem, przy którym trzeba przyzwyczaić się do niespodzianek. Muszę przyznać, że zastanawia mnie, jak pan zdołał przedostać się do kraju, niezauważony przez służby graniczne.

- Sam nie bardzo wiem. To długa i skomplikowana historia. Putnis patrzył z troską na jego uszkodzoną rękę.

- Jak najszybciej powinna zostać opatrzona - powiedział. Wallander skinął głową i uśmiechnął się do Baiby. Była wciąż napięta, nie rozumiała, co się dzieje.

- Murniers - powiedział Wallander. - A więc to on? Putnis skinął głową.

- Major Liepa miał rację w swoich podejrzeniach.

- Nie rozumiem wielu rzeczy.

- Pułkownik Murniers jest bardzo inteligentnym i bardzo złym człowiekiem. To, niestety, dowodzi, że bystre umysły wybierają ciała ludzi niebezpiecznych.

- Czy to pewne, że to on zabił mojego męża? - spytała nagle Baiba.

- To nie on zmiążdżył czaszkę majorowi, tylko jego wierny sierżant.

- I mój szofer - dodał Wallander. - Sierżant Zids, który zabił Inese i innych w budynku magazynu.

Putnis skinął głową.

- Pułkownik Murniers nigdy nie lubił narodu łotewskiego. Jeśli nawet odgrywał rolę policjanta, trzymającego się z daleka od polityki, jak przystało na profesjonalistę, był w głębi duszy fanatycznym zwolennikiem starego porządku. Dla niego Bóg będzie zawsze siedział na Kremlu. Taka sytuacja umożliwiła mu zawarcie sojuszu z przestępcami. Czując się zagrożony przez majora, próbował fałszować tropy, tak by prowadziły do mnie. Muszę przyznać, że minęło sporo czasu, nim w ogóle zacząłem się w tym

wszystkim orientować. Później postanowiłem udawać, że nic nie wiem.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Wallander. - Major mówił o sprzysiężeniu, które ma pokazać Europie, co się dzieje w tym kraju, musiało więc być coś więcej.

Putnis pokiwał głową z namysłem.

- Oczywiście, że było coś więcej. Coś o wiele większego niż skorumpowany policjant wysokiej rangi, z całą brutalnością broniący swych przywilejów. To był iście diabelski plan i major to rozumiał.

Wallander był przemarznięty. Wciąż trzymał Baibę za rękę. Uzbrojeni ludzie Putnisa czekali przy drzwiach pożarowych.

- Wszystko było bardzo zręcznie ukartowane - ciągnął Putnis. - Murniers miał plan, do którego udało mu się szybko przekonać Kreml i kręgi rosyjskich prominentów na Łotwie. Zwęszył możliwość upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu.

- Wykorzystując fakt, że mury w Europie runęły, chciał zarabiać na przemyśle narkotyków, między innymi do Szwecji - uzupełnił Wallander. - Używając ich jednocześnie do zdyskredytowania łotewskiego ruchu narodowyzwoleńczego. Mam rację?

Putnis przytaknął.

- Już na samym początku spostrzegłem, że jest pan zdolnym policjantem, komisarzu Wallander. Obdarzony analitycznym umysłem i bardzo cierpliwym. Murniers tak właśnie to wykalkulował. Winą za handel narkotykami miano obarczyć łotewski ruch narodowyzwoleńczy. Miało to skłonić kraje zachodnie, a zwłaszcza Szwecję, do zmiany opinii na jego temat. Kto chciałby popierać ruch polityczny, odwdzięczający się za to zalewem narkotyków? Murniers stworzył bez wątplenia wyrefinowaną i niebezpieczną broń.

Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Rozumie pani? - spytał Baibę. Powoli skinęła głową.
- Gdzie jest sierżant Zids? - spytała.
- Jak tylko będę miał potrzebne dowody, Murniers i Zids zostaną ujęci - odpowiedział Putnis. - Murniers jest na pewno bardzo niespokojny. Nie zdawał sobie chyba sprawy, że cały czas śledziliśmy jego ludzi, którzy z kolei śledzili pana. Oczywiście można mnie krytykować za narażanie pana na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, ale wyszedłem z założenia, że jest to konieczne, by znaleźć papiery majora.
- Kiedy wczoraj wyszłam z uniwersytetu, Zids czekał na mnie - powiedziała Baiba. - Gdybym nie zgodziła się oddać mu papierów, Upitis miał zginąć.
- Upitis jest oczywiście niewinny - mówił Putnis. - Murniers zabrał dwoje dzieci jego siostry jako zakładników. Miały zginąć, gdyby Upitis nie zgodził się na odegranie roli mordercy majora. Pomysłowość Murniersa nie ma granic. Zdemaskowanie go będzie ulgą dla całego kraju. Oczywiście zostanie skazany na śmierć i stracony. Zids również. Dochodzenie majora zostanie ogłoszone, a spisek ujawniony, nie tylko na sali sądowej, ale i przed całym narodem. Na pewno będzie to miało wpływ również na obraz Łotwy w oczach społeczności międzynarodowej.
- Wallander poczuł ulgę. Było po wszystkim.
- Putnis uśmiechnął się.
- Jedyne, co pozostaje, to przestudiować raport majora. Teraz może pan nareszcie jechać do domu, komisarzy Wallander. Jesteśmy oczywiście wdzięczni za pańską pomoc.
- Wallander wyjął z kieszeni numerek.
- Teczka jest niebieska. Leży w siatce w przechowalni bagażu. Ale płyty chciałbym dostać z powrotem.
- Putnis roześmiał się.
- Jest pan bardzo sprytny, doprawdy, nie popełnia pan pomyłek.

Jaki ton w głosie Putnisa zdradził go, tego Wallander nie zdołał sobie nigdy wyjaśnić. Lecz gdy tylko pułkownik włożył numerek do kieszeni munduru, wiedział, że właśnie popełnił największą ze wszystkich pomyłek. Pewność i intuicja złączyły się w jedno. Poczłł suchość w ustach.

Putnis wciąż się uśmiechał, wyciągając pistolet z kieszeni. Jednocześnie jego ludzie podchodzili coraz bliżej, z bronią wycelowaną w Baibę i Wallandera, aż ich otoczyli. Ona nie rozumiała, co się dzieje, a jego gardło zeszywniało ze strachu i upokorzenia. Otworzyły się drzwi pożarowe i na dach wszedł sierżant Zids. Oszołomiony Wallander pomyślał, że Zids cały czas stał za drzwiami; teraz, gdy przedstawienie było skończone, nie musiał dłużej sterczeć za kulisami.

- To była jedyna pańska pomyłka - powiedział Putnis głosem bez wyrazu. - Wszystko, co przed chwilą opowiedziałem, jest naturalnie prawdą, z tym, że jedynym elementem, który należy w tej układance wymienić, jestem ja sam. Wszystko, co powiedziałem o Murniersie, dotyczy mnie. Miał więc pan rację i nie miał jej, komisarzu Wallander. Gdyby pan był, jak ja, marksistą, zrozumiałby pan, że czasami trzeba postawić świat na głowie, by móc postawić go na nogi.

Putnis cofnął się o parę kroków.

- Mam nadzieję, że jest pan świadomy, że nie może wrócić do Szwecji. Umierając na tym dachu, będzie pan już blisko nieba.

- Ale nie Baiba - prosił Wallander. - Nie Baiba.

- Niestety - odrzekł Putnis.

Uniósł broń i Wallander zrozumiał, że najpierw chce zastrzelić Baibę. Nic nie mógł zrobić, pozostało mu tylko umrzeć na dachu w centrum Rygi.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły, Putnis drgnął i odwrócił się w ich kierunku. Na dach wtargnął pułkownik

Murniers na czele uzbrojonych policjantów. Gdy zobaczył Putnisa z rewolwerem w ręku, bez wahania oddał trzy szybkie strzały w jego pierś. Wallander rzucił się na Baibę, by ją chronić. Na dachu rozpętała się gwałtowna strzelanina. Ludzie Murniersa i Putnisa szukali osłony za kominami i rurami wentylacyjnymi. Wallander znajdował się na linii ognia, próbował schować Baibę za martwym ciałem Putnisa. Nagle za kominem zobaczył Zidsa. Sierżant patrzył na nich i Wallander zrozumiał, że będzie próbował wziąć ich jako zakładników, by uciec. Ludzi Murniersa było więcej, a część policjantów Putnisa już nie żyła. Wallander zobaczył leżący obok ciała Putnisa pistolet, lecz nim go dosięgnął, sierżant runął na niego. Wallander wyrzucił swą uszkodzoną pięść w kierunku jego twarzy i krzyknął z bólu. Zids zachwiał się pod ciosem, usta zaczęły mu krwawić, ale rozpaczliwy atak Wallandera nie zatrzymał go. Z nienawiścią na twarzy uniósł broń, by zabić szwedzkiego glinę, który przysporzył tylu problemów jemu i jego zwierzchnikom. Wallander wiedział, że umrze, przymknął oczy, padł strzał, a on wciąż żył. Gdy otworzył oczy, zobaczył klęczącą obok niego Baibę, z pistoletem Putnisa w obu dłoniach. Oddała jeden jedyny strzał, który trafił Zidsa prosto między oczy. Płakała, już nie ze strachu i niepewności, które nosiła w sobie tak długo, ale z wściekłości i ulgi.

Strzelanina urwała się. Dwóch ludzi Putnisa było rannych, pozostali nie żyli. Murniers przyglądał się ze smutkiem jednemu ze swoich ludzi, który dostał serię w pierś, po czym podszedł do nich.

- Przykro mi, że tak się to rozegrało, ale musiałem usłyszeć, co powie Putnis - tłumaczył się.

- Z pewnością można to przeczytać w papierach majora - odrzekł Wallander.

- Skąd mogłem mieć pewność, że w ogóle istnieją? Albo że je

pan znalazł?

- Zadając mi pytanie.

Murniers pokręcił głową.

- Gdybym nawiązał kontakt z kimś z was, wszedłbym w otwarty konflikt z Putnisem. Uciekłby za granicę i nigdy nie zdołalibyśmy go ująć. Naprawdę nie miałem innego wyjścia, niż czuwać nad panem, ciągle depcząc po piętach śledzącym pana ludziom Putnisa.

Wallander poczuł się nagle zbyt zmęczony, by słuchać dalej. Ręka pulsowała gwałtownym bólem, uchwyciwszy się Baiby, próbował wstać. Zemdlał od razu.

Obudził się w szpitalu, z ręką w gipsie i nareszcie nie czując bólu. W drzwiach stał pułkownik Murniers, przyglądając mu się z uśmiechem.

- Lepiej się pan czuje? Nasi łotewscy lekarze są naprawdę dobrzy, choć pańska ręka nie wyglądała najlepiej. Zabierze pan ze sobą zdjęcia rentgenowskie.

- Co się stało?

- Zemdlał pan. Pewnie zrobiłbym to samo na pańskim miejscu.

Wallander rozejrzał się po pokoju.

- Gdzie jest Baiba Liepa?

- U siebie w domu. Pozbierała się już, gdy zostawiłem ją tam parę godzin temu.

Wallander poczuł suchość w ustach. Ostrożnie usiadł na brzegu łóżka.

- Kawa. Czy mógłbym dostać filiżankę kawy?

Murniers roześmiał się.

- Nigdy wcześniej nie spotkałem człowieka, pijącego takie ilości kawy. Oczywiście, dostanie pan kawę. Jeśli czuje się pan lepiej, proponuję, byśmy poszli do mojego biura i zakończyli całą tę sprawę. Przypuszczam, że później pan i Baiba Liepa będziecie mieli sobie dużo do powiedzenia. Jeśli ręka znów zacznie boleć, lekarz policyjny da panu

zastrzyk, bo ten, który założył gips, mówił, że ból może powrócić.

Jechali przez miasto, było późne popołudnie, zapadał zmrok. Gdy przez zabudowaną bramę wjeżdżali do kwatery głównej, Wallander pomyślał, że tym razem jest tu po raz ostatni. W drodze do pokoju Murniers wyjął niebieską teczkę z kasy pancерnej, przy której stał uzbrojony strażnik.

- Dobrze, że została zamknięta - powiedział Wallander. Murniers spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Dobrze? To było konieczne, komisarzu. To, że nie ma już Putnisa, nie oznacza końca wszystkich problemów. Wciąż żyjemy w tym samym kraju, rozrywanych sprzecznościami, których nie pozbedziemy się, oddając trzy strzały w pierś pułkownika policji.

Wallander zastanowił się nad tymi słowami. Policjant z kawą na tacy stał przed drzwiami. Wspomnienie pierwszej wizyty w tym ciemnym pokoju było teraz bardzo odległe. Czy uda mu się kiedyś ogarnąć myślą wszystko, co zdarzyło się w międzyczasie?

Murniers wyjął butelkę z biurowej szafki i napełnił dwa kieliszki.

- Być może nie na miejscu jest wznoszenie toastu, gdy zginęło tylu ludzi, ale uważam, że zasłużyliśmy na to, przede wszystkim pan, komisarzu Wallander.

- Popełniłem same błędy - zaprotestował. - Myślałem nieprawidłowo, zbyt późno odkryłem wszystkie powiązania.

- Przeciwnie, bardzo zaimponowały mi pańskie dokonania, a przede wszystkim pańska odwaga.

- Żaden ze mnie bohater, dziwię się, że jeszcze żyję.

Opróżnili kieliszki i usiedli przy stole, między nimi leżała niebieska teczka z testamentem majora.

- Właściwie mam tylko jedno pytanie. Upitis - powiedział Wallander.

Murniers z namysłem pokiwał głową.

- Cynizm i przebiegłość pułkownika Putnisa nie miały granic. Potrzebował kozła ofiarnego, nadającego się na mordercę, a przede wszystkim powodu, by odesłać pana do domu. Od razu zauważyłem, że obawiał się pańskich kompetencji. Kazał porwać dwoje małych dzieci, których matką jest siostra Upitisa. Gdyby Upitis nie przyznał się do zamordowania majora Liepy, dzieci miały zginąć. Nie miał wyboru. Zastanawiam się często, co sam zrobiłbym w takiej sytuacji. Oczywiście został już zwolniony. Baiba Liepa wie, że nie był zdrajcą. Dzieci również odnaleźliśmy.

- Wszystko zaczęło się od pontonu, który przydryfował do szwedzkiego wybrzeża - powiedział Wallander po chwili zadumy.

- Pułkownik Putnis i jego współpracownicy rozpoczęli wtedy wielką operację przemytu narkotyków, między innymi do Szwecji. Wśród łotewskich emigrantów w Szwecji Putnis ulokował swoich agentów, którzy mieli podrzucić im narkotyki, a których odkrycie doprowadziłoby do kompromitacji łotewskiego ruchu narodowyzwoleńczego. Na jednym ze statków, przemycających narkotyki z Windawy, doszło do awantury. Prawdopodobnie część ludzi pułkownika pracowała na własny rachunek, planowali zagarnięcie dużej partii amfetaminy. Gdy to odkryto, zastrzelono ich i wrzucono na ponton, w zamieszaniu zapominając o narkotykach, które były w nim ukryte. O ile wiem, szukano pontonu przez ponad dobę, bez rezultatu. Dzisiaj możemy się cieszyć, że przydryfował do Szwecji. Gdyby stało się inaczej, całkiem możliwe, że Putnisowi udałoby się przeprowadzić jego plany. Naturalnie to jego agenci sprzątnęli ponton z komendy, gdy zorientowali się, że nikt z was nie zauważył, co jest w środku.

- Musiało stać się coś więcej - powiedział Wallander z namysłem. - Dlaczego Putnis postanowił zabić majora zaraz po jego powrocie?

- Póki major był na Łotwie, można go było pilnować lub przynajmniej sprawdzać, z kim się spotyka. W Szwecji nie miał nad majorem żadnej kontroli. Ryzykowałby zbyt wiele, pozwalając mu żyć. Putnisa po prostu poniosły nerwy. Wydał Zidsowi rozkaz zamordowania majora, a ten go wykonał.

Zamilkli na dłużej, Wallander widział, że Murniers jest zmęczony i czymś zmartwiony.

- Co teraz będzie? - spytał w końcu.

- Oczywiście dokładnie przestudiuję papiery majora, a później zobaczymy.

Odpowiedź zaniepokoiła Wallandera.

- To trzeba opublikować.

Murniers nie odpowiadał i Wallander nagle zrozumiał, że nie było to takie oczywiste. Interes Murniersa nie musiał być zbieżny z interesem Baiły i jej przyjaciół. Być może wystarczyło mu zdemaskowanie Putnisa, mógł mieć inne zdanie na temat politycznych skutków rozdmuchiwania tej historii. Myśl, że testament majora mógłby zostać upchany gdzieś w archiwach, wzburzyła Wallandera.

- Chciałbym dostać kopię tego raportu - powiedział. Pułkownik od razu przejrzał jego zamiary.

- Nie wiedziałem, że pan zna łotewski.

- Trudno wiedzieć wszystko.

Murniers przyglądał mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę. Wallander, napotkawszy jego wzrok, nie odwracał oczu, myśląc, że nie może ustąpić. Po raz ostatni mierzył swoje siły z pułkownikiem, ważne, by nie dać się teraz pokonać. Był to winien majorowi.

Murniers podjął nagle decyzję, nacisnął przycisk dzwonka pod biurkiem i do pokoju wszedł policjant, zabierając niebieską teczkę. Dwadzieścia minut później Wallander otrzymał kopię, która nie miała być nigdy zarejestrowana, ponieważ pułkownik Murniers po prostu o niej nie wiedział.

Kopię tę przywłaszczył sobie szwedzki gliniarz Wallander, bez pozwolenia i wbrew zwyczajom panującym między zaprzyjaźnionymi krajami. Później oddał ją ludziom niemającym prawa do tego tajnego dokumentu. Swoim czynem Wallander wykazał brak rozeznania i dyscypliny, czym zasłużył sobie na ostrą naganę.

Tak brzmiałby komunikat, gdyby kiedykolwiek został napisany. Wallander pomyślał, że nigdy się nie dowie, dlaczego Murniers zdecydował się dać mu kopię raportu. Czy przez pamięć dla majora czy dla kraju? A może uważał, że Wallander zasłużył na ten pożegnalny prezent?

Nie było nic więcej do powiedzenia.

- Paszport, który ma pan teraz, niewiele jest wart - powiedział Murniers. - Dopilnuję, by wrócił pan do Szwecji bez problemu. Kiedy chce pan jechać?

- Może jeszcze nie jutro.

Pułkownik Murniers odprowadził go do czekającego na dziedzińcu samochodu. Wallander przypomniał sobie o swoim peugeocie, który został w stodole w pobliżu polsko-niemieckiej granicy.

- Zastanawiam się, jak odzyskam samochód - mruknął.

Murniers popatrzył na niego, nie rozumiejąc. Nie wiedział po prostu, jak Wallander dostał się na Łotwę. Wallander pomyślał, że nie wie nawet, jak blisko Murniersa stali ludzie, uważający się za strażników lepszej przyszłości na Łotwie. Zdrapał tylko wierzchnią warstwę spraw, do których pozwolono mu się zbliżyć. Reszty tego kamienia nigdy nie odwróci.

- Nic takiego - powiedział.

Cholerny Lippman, myślał ze złością. Czy łotewskie organizacje emigracyjne mają fundusze, z których szwedzki gliniarz może dostać rekompensatę za stracony samochód? Czuł się urażony, nie mogąc tego wszystkiego wyjaśnić. Jest zbyt zmęczony i zanim odpocznie, nie będzie mógł

dowierzać własnym osądom.

Pożegnali się przed samochodem, który miał go zawieźć do Baiby Liepy.

- Spotkamy się na lotnisku. Dostanie pan dwa bilety, jeden z Rygi do Helsinek, drugi z Helsinek do Sztokholmu. O ile wiem, między krajami skandynawskimi można się przemieszczać bez paszportu. Nikt się więc nie dowie, że był pan w Rydze.

Samochód przejechał przez bramę, okienko między nim a kierowcą było zasłonięte, siedział, myśląc o słowach Murniersa: nikt się nie dowie, że był w Rydze. Uświadomił sobie nagle, że sam nigdy nikomu o tym nie opowie, nawet ojcu. Pozostanie to tajemnicą, ponieważ wszystko, co się wydarzyło, jest zbyt nieprawdopodobne, zbyt niewiarygodne.

Kto by mu uwierzył?

Oparł się i przymknął oczy. Teraz ważne było tylko spotkanie z Baibą. O tym, co będzie, jak wróci do Szwecji, pomyśli potem.

W mieszkaniu Baiby spędził dzień i dwie noce. Moment, o którym myślał - nieco patetycznie - przez cały czas, nie nadszedł. Nie powiedział jej nic o swoich uczuciach. Najbardziej zbliżyli się do siebie drugiego wieczoru, gdy siedząc na sofie, oglądali fotografie. Kiedy przyjechał, przyjęła go z rezerwą, jak kogoś obcego. To pomieszało mu szyki, choć nie bardzo wiedział jakie. Czego właściwie oczekiwał? Podała obiad, którego głównym składnikiem była żylasta kura. Baiba nie była zapewne zbyt dobrą kucharką. Nie mogę zapominać, że jest intelektualistką, myślał, i marzenia o lepszym świecie wychodzą jej pewnie lepiej niż obiady. Na świecie potrzebni są i ludzie, którzy potrafią gotować, i marzyciele, choć jedni z drugimi niekoniecznie potrafią szczęśliwie żyć.

Ogarnęła go melancholia. Wiedział, że on należy do

kuchcików, nie marzycieli. Policjant, z nosem ciągle przy brudnej ziemi, niewiele miał okazji do wpatrywania się w niebo. A przecież kochał ją bezsprzecznie i było to powodem jego melancholii. W tym nastroju będzie musiał zakończyć owo najbardziej osobliwe i niebezpieczne zadanie. Bolało go to. Gdy go poinformowała, że jego samochód będzie czekał w Sztokholmie, prawie nie zareagował.

Zaczął się nad sobą uzalać.

Posłała mu na sofie. Słyszał jej spokojny oddech, dochodzący z sypialni. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Od czasu do czasu wstawał, przechodził po zimnej podłodze do okna i obserwował pustą ulicę, na której major spotkał swą śmierć. Cieni już nie było, zostały pogrzebane razem z Putnisem. Pozostała tylko wielka pustka, bolesna i odstręczająca.

Dzień przed jego wyjazdem odwiedzili nieoznaczony grób, w którym Putnis pogrzebał Inese i jej przyjaciół. Płakali, nie ukrywając łez. Wallander szlochał jak opuszczone dziecko, jakby po raz pierwszy uświadomił sobie, w jak przerażającym żyje świecie. Baiba przyniosła kwiaty, zmarznięte, rachityczne róże, które położyła na mogile.

Wallander dał jej kopię testamentu majora, lecz nie przeczytała jej przy nim.

Rankiem na Rygę spadł śnieg.

Murniers przyjechał po niego osobiście. Baiba przygarnęła go w drzwiach, wtulali się w siebie, jakby przed chwilą uszli z katastrofy morskiej. Odjechał.

Na schodkach samolotu usłyszał głos Murniersa.

- Przyjemnej podróży.

I on się cieszy, że wyjeżdżam, nie będzie za mną tęsknił, pomyślał.

Samolot Aerofłotu zatoczył krąg nad Rygą, po czym obrał kurs na Zatokę Fińską.

Nim osiągnęli normalny pułap lotu, zasnął z głową

zwieszoną na piersi.

Tego samego wieczoru, dwudziestego trzeciego marca, przybył do Sztokholmu.

Głos płynący z głośników w hali przylotów prosił go o zgłoszenie się do informacji.

W kopercie, którą otrzymał, był paszport i kluczyki do samochodu zaparkowanego tuż za postojem taksówek. Zdziwiony, zobaczył, że wóz jest świeżo umyty.

W aucie było ciepło, jakby ktoś przed chwilą z niego wyszedł.

Tej samej nocy wyruszył do Ystadu.

Tuż przed świtem wszedł do swego mieszkania.

Epilog

Na początku maja, wczesnym rankiem, Wallander siedział znudzony w swoim pokoju i starannie wypełniał kupon totolotka, gdy do drzwi zapukał Martinsson. Wciąż było zimno, wiosna nie przysła jeszcze do Skanii. Wallander mimo to otworzył okno, jakby miał potrzebę przewietrzenia mózgu; słuchając rozśpiewanej, siedzącej na drzewie zięby, rozważał, która drużyna futbolowa ma większe szanse na wygraną. Gdy Martinsson pojawił się w drzwiach, Wallander odsunął kupon totka, wstał i zamknął okno - wiedział, że Martinsson ciągle bał się przeziębienia.

- Nie przeszkadzam? - spytał.

Od czasu powrotu z Rygi Wallander był opryskliwy i niezbyt uprzejmy wobec kolegów. Niektórzy dziwili się, jak drobna kontuzja ręki, której uległ podczas wypadu na narty w Alpy, mogła aż tak wytrącić go z równowagi. Nikt jednak go o to nie pytał, czekano, aż chandra i fanaberie przejdą same.

Wallander zdawał sobie sprawę, że zachowuje się nieprzyjemnie. Utrudnianie kolegom pracy przez obnoszenie się ze swoją niechęcią i melancholią było nie

fair. Nie wiedział jednak, jak znowu stać się dawnym Wallanderem - stanowczym, lecz dobrodusznym gliną z komendy policji w Ystadzie. Tamten człowiek przestał istnieć. Nie wiedział nawet, czy go żałuje.

W ogóle nie bardzo wiedział, o co mu w życiu chodzi. Podróż w Alpy, która była kłamstwem, pozwoliła mu również odkryć pewien fałsz, który w sobie nosił. Wiedział z całą pewnością, że nie jest człowiekiem, który świadomie kryje się za kłamstwami. Jednocześnie coraz częściej pytał siebie, czy jego brak rozeznania w sprawach tego świata nie był rodzajem kłamstwa, choćby i wypływającym z dobroduszości.

Kiedy ktokolwiek wchodził do jego pokoju, odzywały się w nim wyrzuty sumienia. Nie widział jednak innej rady, niż udawać, że wszystko jest po staremu.

- Nie przeszkadzasz - odpowiedział z wymuszoną uprzejmością. - Siadaj.

Martinsson opadł na sterzące sprężyny niewygodnego krzesła.

- Chciałbym opowiedzieć ci przedziwną historię - zaczął. - Lub raczej dwie historie. Zdaje się, że odwiedziły nas upiory z przeszłości.

Ta górnolotność nie podobała się Wallanderowi. Brutalna rzeczywistość, którą się zajmowali, źle współgrała z poetyckimi alegoriami. Ale nic nie powiedział, czekał na ciąg dalszy.

- Pamiętasz faceta, który zadzwonił z informacją, że ponton przydryfuje do wybrzeża? Nie złapaliśmy go, a sam się nie ujawnił.

- Było ich dwóch - sprostował Wallander. Martinsson kiwnął głową.

- Zacznijmy od pierwszego. Parę tygodni temu Anette Brolin rozważała, czy go nie przymknąć, bo był podejrzany o szczególnie brutalne pobicie. Ponieważ jednak nie był

wcześniej karany, upiekło mu się.

Wallander słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

- Nazywa się Holmgren - ciągnął Martinsson. - Przez czysty przypadek zobaczyłem raport o tym pobiciu na biurku Svedberga. Zdążyłem przeczytać, że był właścicielem kutra o nazwie „Byron”. Zacząłem wtedy coś kojarzyć. Zrobiło się jeszcze ciekawiej, kiedy okazało się, że tenże Holmgren pobił jednego ze swych najbliższych przyjaciół, faceta o nazwisku Jakobson, który najmował się u niego na załoganta.

Wallander przypomniał sobie noc w porcie w Brantevik. Martinsson miał rację, najwyraźniej odwiedziły ich upiory z przeszłości. Z napięciem czekał na ciąg dalszy.

- Dziwne było to, że Jakobson nie chciał zgłosić pobicia, mimo że było poważne i najwyraźniej bez powodu.

- A kto je zgłosił? - zapytał Wallander ze zdziwieniem.

- W porcie Brantevik Holmgren rzucił się na Jakobsona z korbą od kabestanu. Ktoś to zobaczył i zadzwonił na policję. Jakobsen trzy tygodnie przeleżał w szpitalu. Był solidnie poobijany. Mimo to nie chciał oskarżyć Holmgrena. Svedbergowi nie udało się wyjaśnić, co było przyczyną pobicia. Zacząłem się zastanawiać, czy to nie ma czegoś wspólnego z tamtym pontonem. Pamiętasz, że ukrywali przed sobą nawzajem, że kontaktowali się z policją? W każdym razie tak myśleliśmy.

- Pamiętam.

- Pomyślałem, że porozmawiam z tym Holmgrenem - ciągnął Martinsson. - Nawiasem mówiąc, mieszkał przy tej samej ulicy co ty.

- Mieszkał?

- No właśnie. Kiedy tam przyszedłem, okazało się, że się wyprowadził. W dodatku daleko stąd. Do Portugalii. W urzędzie miejskim zostawił papier, zmieniający go w emigranta. Podał przedziwny adres na Azorach. „Byrona”

sprzedał duńskiemu rybakowi za cenę niższą, niż by uzyskał na wyprzedaży.

Martinsson zamilkł. Wallander patrzył na niego z uwagą.

- Zgodzisz się, że to przedziwna historia. Uważasz, że powinniśmy wysłać te informacje do Rygi?

- Nie. Nie sądzę, żeby to było potrzebne. Ale dzięki, że z tym do mnie przyszedłeś.

- To jeszcze nie wszystko. Teraz druga część tej historii. Czytałeś wczorajsze popołudniówki?

Od dawna nie kupował gazet, przynajmniej jeśli prowadził akurat śledztwa, któremu dziennikarze poświęcali więcej uwagi niż zwykle. Pokręcił głową i Martinsson mówił dalej.

- A powinieneś. Piszą o tym, jak celnicy z Góteborga wyłowili ponton ratunkowy, należący do rosyjskiego trawlera. Dryfował w pobliżu Vinga, co wydaje się dziwne, bo tego dnia na morzu panowała cisza. Kapitan trawlera twierdził, że musieli zawinać do stoczni, by zreperować zepsute propeler. Wyszli na połów przy Dogger Bank. Nie zauważyli, że zgubili ponton. Przez czysty przypadek koło pontonu znalazł się pies tropiący narkotyki i okazał wyraźne zainteresowanie. Celnicy znaleźli w nim parę kilo wysokiej jakości amfetaminy, pochodzącej, jak się okazało, z polskich laboratoriów. Być może to potwierdza, że ponton wykradzony z naszej piwnicy miał w sobie zawartość, której nie znaleźliśmy.

Wallander pomyślał, że te ostatnie słowa były aluzją do jego fatalnego błędu. Martinsson miał oczywiście rację, było to niewybaczalne zaniedbanie. Jednocześnie miał ochotę wyjawić mu, co się właściwie stało podczas „urlopu w Alpach”. Ale nie powiedział nic, nie miał siły.

- Masz chyba rację. Lecz nigdy nie dowiemy się, dlaczego ci faceci zostali zamordowani, i dlaczego po śmierci ubrano ich w marynarki.

- Tego bym nie powiedział. - Martinsson wstał. - Kto wie, co

przyniesie jutrzejszy dzień? Uważam, że jesteśmy o krok od rozwiązania tej historii.

Wallander, nic nie mówiąc, skinął głową. Martinsson odwrócił się w drzwiach.

- Wiesz, co myślę? To mój osobisty pogląd. Że Holmgren i Jakobson zajmowali się przemytem. I przez przypadek wpadli na ponton. Ale mieli swoje powody, by nie mieszać w to policji.

- To nie wyjaśnia pobicia.

- Może ustalili, że nie będą się z nami kontaktować? Może Holmgren myślał, że Jakobson się wygadał?

- Chyba masz rację. Ale nigdy się tego nie dowiemy.

Martinsson wyszedł, Wallander otworzył okno i powrócił do wypełniania kuponu.

Po południu pojechał do nowo otwartej kawiarni w porcie.

Zamówił kawę i zaczął pisać list do Baiły Liepy.

Po pół godzinie przeczytał, co napisał, i podarł papier.

Opuścił kawiarnię i poszedł na molo. Rzucił na wodę kawałki papieru, jak okruszyny chleba.

Jeszcze nie wiedział, co napisać.

Tęsknił coraz bardziej.

Posłowie

Wstrząsające zdarzenia, rozgrywające się w ostatnich latach w republikach nadbałtyckich, stanowią podłoże tej książki. Pisanie powieści, której akcja rozgrywa się w obcym otoczeniu, wiąże się z komplikacjami, lecz jeszcze bardziej problematyczne jest poruszanie się w politycznym i społecznym krajobrazie, w którym nic nie jest rozstrzygnięte. Poza konkretnymi trudnościami, jakich przysparza sprawdzenie, czy na przykład dany pomnik w danym dniu w dalszym ciągu stał na cokole czy też już został zrzucony i wywieziony, albo czy dana ulica nazywała się tak a tak w lutym 1991 roku czy też zmieniła już nazwę, istnieją inne, głębsze komplikacje, polegające na przykład na konieczności abstrahowania od faktu, że dziś możemy już przewidzieć ogólny kierunek rozwoju sytuacji w republikach nadbałtyckich. Rekonstruowanie myśli i uczuć jest z pewnością zadaniem pisarza, lecz potrzebna jest mu pomoc. Jeśli chodzi o tę książkę, chcę podziękować wielu osobom, a szczególnie dwóm. Z nazwiska wymienię Guntisa Bergklavsa, który poświęcił masę czasu na udzielanie mi wyjaśnień, dzielił się ze mną swoimi wspomnieniami i wysuwał własne propozycje, który nauczył mnie tajemnic Rygi. Drugą osobą, której chciałbym podziękować, jest inspektor z wydziału zabójstw w Rydze, który cierpliwie wprowadzał mnie w tajniki swojej pracy.

Przez cały czas należało pamiętać, jaka była sytuacja na Łotwie wtedy, zaledwie przed rokiem, gdy wszystko wyglądało zupełnie inaczej, było jeszcze bardziej niejasne niż dziś.

Los republik nadbałtyckich nie jest jeszcze rozstrzygnięty; przykładowo na terenie Łotwy wciąż stacjonuje duża liczba rosyjskich żołnierzy. O tym, jak będzie wyglądać przyszłość tych krajów, zadecyduje wynik walki między starym a

nowym, znanym i nieznanym.

W parę miesięcy po napisaniu tej książki, wiosną 1991 roku, w Związku Radzieckim miał miejsce jesienny pucz, decydujące zdarzenie, które przyspieszyło uzyskanie niepodległości przez republiki nadbałtyckie. Sama ewentualność zaistnienia puczu i jego następstw stanowił jeden z punktów wyjścia powieści. Lecz ani ja, ani nikt inny, nie mógł przewidzieć jego przebiegu, ani tego, że będzie miał miejsce.

Psy z Rygi to powieść, co oznacza, że może nie wszystkie opisane w niej szczegóły odpowiadają rzeczywistości i nie wszystkie z opisanych zdarzeń naprawdę miały miejsce. Ważne jest, że mogły się wydarzyć. Wolność pisarza polega między innymi na możliwości wyposażenia domu towarowego w przechowalnię bagażu czy w dział meblowy - mimo że ich nie ma - jeśli zajdzie potrzeba, jak to czasem się zdarza.

Henning Mankell, kwiecień



W zimową noc 1991 roku załoga rybackiego kutra dostrzeżę dryfujący na morzu ponton ratunkowy. Wewnątrz znajdują się zwłoki dwóch młodych mężczyzn, ubranych w eleganckie garnitury. Następnego dnia policja w Ystadzie otrzymuje anonimową informację o makabrycznym odkryciu. Początkowo policjanci bagatelizują wiadomość, ale wkrótce fale wyrzucają ponton na brzeg. Okazuje się, że mężczyźni, torturowani przed śmiercią, pochodzili z Europy Wschodniej. W jaki sposób i dlaczego ich ciała znalazły się u wybrzeży Szwecji? Komisarz Wallander słusznie przewiduje, że zanoi się na długie i zawile śledztwo, które będzie musiał prowadzić daleko od Ystadu...

